

**David Shobin**

# **Dostawca**

**(Przekład: Tomasz Wiliusz)**

*Pamięci Jacka Shobina,  
dobrego i szlachetnego człowieka*

## PROLOG

Chrząszcze były wprost piękne.

Długie na zaledwie pół centymetra, miały niezwykle ubarwienie - efektowną kombinację onyksu i lawendy. Usztywniona, lśniąca pierwsza para skrzydeł świeciła jak dwie wypolerowane tarcze. Lawendowy pasek przecinał je niczym lampas, a dwie groźne zielone plamy na głowie przywodziły na myśl opalizujące guziki.

Kłębiące się w ciasnej skrzynce chrząszcze tworzyły rozdygotaną masę kolorów. Były padlinożercami, posiadały więc niezwykle wyczulony węch, a w powietrzu wisiał ostry odór zgnilizny. Wierciły się niecierpliwie w swoim więzieniu, lekko poruszając wzniesionymi czułkami, w jakiś prymitywny sposób świadome tego, co je czeka.

Mężczyzna położył zwłoki na stojącym obok stole z nierdzewnej stali. Wcześniej wypatroszył je, obdarł ze skóry. Zostały jednak jeszcze fragmenty chrząstki i więzadeł, łączących kości. To właśnie nimi miały zająć się chrząszcze. Mężczyzna ostrożnie przeniósł emaliowaną skrzynkę na stolik i przechylił ją ostrożnie. Chrząszcze, niczym hebanowe kulki, wpadły do opróżnionej klatki piersiowej.

Nie jadły nic od wielu dni, więc gdy tylko zwęszyły pokarm, ruszyły pospiesznie w stronę gnijących szczątków. Były cudem ewolucji - nie zmieniły się od milionów lat - i doskonale spełniały wyznaczone zadanie. Gdy odnajdowały choćby najmniejszy skrawek tkanki, ich podobne do szczypiec żuwaczki wbijały się w nią, by następnie rozdrobnić ją ostrymi jak brzytwy szczękami. Radziły sobie nawet z najtwardszymi chrząstkami. Setki chrząszczy żarłocznie pochłaniały pokarm, niczym ławica piranii.

Podczas gdy część z nich zadowolili się tym, co znalazła wśród żeber, reszta ruszyła w górę kręgosłupa, zatrzymując się dopiero u podstawy czaszki.

W jej zagłębieniach i szczelinach zachowało się jeszcze sporo tkanki. Roje chrząszczy rzuciły się do otworu u podstawy czaszki, w pośpiechu gramoląc się jeden przez drugiego. Kilkadziesiąt wdrapało się do przewodów usznych, gdzie smakowite kawałki tkanki przylegały do delikatnych kostek ucha wewnętrznego. Inne żarłoczne owady przemykały niczym kraby po kości skroniowej ku oczodołom. Choć nie było tam już gałek ocznych, zawierały jednak obfitość pokarmu, od mikroskopijnych resztek mięśni po cienkie nitki więzadeł.

Uczta trwała godzinę. Kiedy mężczyzna wrócił, szkielet był już czysty, wypolerowany, огоłocony do kości. Najedzone chrząszcze zebrały się w grupkach po dziesięć, dwadzieścia, niczym małe grudki węgla na białym tle. Tu i ówdzie, ze szpar wylanieli się zbłąkani maruderzy, balansujący niepewnie na krawędziach kości.

Mężczyzna przewrócił skrzynkę na bok. W środku znajdował się cuchnący, gnijący ochłap. Po kilku sekundach chrząszcze wychwyciły odór i stały się niespokojne. Po chwili, niczym armia na manewrach, ruszyły w stronę emaliowanego pojemnika. Weszły do środka i rzuciły się na mięso w żarłocznym szale. Kiedy wszystkie znalazły się w skrzynce, mężczyzna zamknął ją i odstawił na półkę. Nie niepokoił się o los chrząszczy.

Przed upływem tygodnia znowu zostaną nakarmione.

## ROZDZIAŁ I

Ćwierć wieku po zakończeniu budowy Szpital Uniwersytecki w Stony Brook wciąż pozostawał największym arcydziełem architektury na Long Island, szpitalem w pełnym tego słowa znaczeniu. Lokalne władze na ogół nie zgadzały się na stawianie budynków o wysokości przekraczającej kilka pięter, ale dwie osiemnastopiętrowe wieże szpitala, jakby na przekór wszelkim przepisom, dumnie górowały nad rozległym kampusem uniwersytetu. Trudno uwierzyć, że z betonu i szkła udało się wyczarować coś tak wspaniałego. Na siódmym piętrze, na dysponującym czterdziestoma miejscami oddziale intensywnej terapii noworodków, Nicholas Giancola walczył o życie.

Urodzony cztery tygodnie przed terminem, mały Nicholas ważył niewiele ponad dwa i pół kilo. Nie to było jednak problemem. Największe wyzwanie dla pediatrów stanowiła występująca u niego niespotykana wręcz kombinacja wad wrodzonych. Oprócz ciężkiej przepukliny przeponowej - wnętrzności znalazły się w klatce piersiowej - Nicholas cierpiał na zwyrodnienie przewodu tętniczego, płodowego naczynia krwionośnego, które powinno było zamknąć się po porodzie. Od pierwszego oddechu obie te wady ciężko nadwyręzały jego słabe płuca. Sytuację pogarszała jeszcze aspiracja smółki - treść okrężnicy została przedwcześnie wydalona i podczas porodu wciągnięta z powietrzem do układu oddechowego. Wszystko to nie wróżyło dziecku długiego życia.

Losy Nicholasa ważyły się od kilku tygodni. Najwięcej kłopotów sprawiało lekarzom dostarczenie dziecku wystarczającej do przeżycia ilości tlenu. Jego oskrzela wypełniała gęsta smółka, blokując dopływ powietrza. Płuca natomiast nie mogły sprawnie funkcjonować z powodu uciskających je wnętrzności. Był to prawdziwy paragraf 22: stan malca był zbyt ciężki, aby ryzykować konieczny zabieg chirurgiczny, a bez operacji chłopiec nie miał szans na przeżycie. Personel medyczny szybko uświadomił sobie, że dziecko może uratować tylko cud.

Uroda małego czyniła tę sytuację jeszcze bardziej przygnębiającą. Nicholas miał ciemne, pełne wyrazu oczy i kręcone kasztanowe włosy. Mimo że ze wszystkich stron otaczały go nowoczesne, bezduszne urządzenia medyczne, często uśmiechał się do lekarzy i pielęgniarek. Od samego początku stał się ulubieńcem oddziału.

Personel Szpitala Uniwersyteckiego niedawno uzyskał uprawnienia do stosowania ECMO. ECMO, pozaustrojowe sztuczne natlenianie krwi, zostało opracowane z myślą o pacjentach takich jak Nicholas. Miał on być pierwszym

dzieckiem poddanym temu zabiegowi w tym szpitalu, polegającym na usuwaniu ubogiej w tlen krwi pacjenta, przetaczaniu jej do urządzenia natleniającego i pompowaniu z powrotem do żył. Pompa zastępowała płuca wtedy, gdy za wszelką cenę trzeba było zyskać na czasie.

I to się udało. Kiedy krew Nicholasa przepływała przez urządzenie, specjaliści dokładnie przepłukali jego płuca, usuwając z nich całą zielonkawą materię. Po trzech takich zabiegach uznano, że już bardziej nie da się ich oczyścić. Poziom nasycenia tlenem wzrósł, a puls spadł do przyzwoitego poziomu. Po dwóch tygodniach terapii stan Nicholasa został określony jako stabilny. Nadszedł czas, by chirurdzy dokonali cudu.

Mały Nicholas cieszył się ogólną sympatią. Na operację odprowadziła go liczna grupa pracowników szpitala. Zabieg postanowiono przeprowadzić w największej ze szpitalnych sal, aby pomieścić dwudziestu kilku ludzi pragnących obserwować jego przebieg. Sam ordynator przyjął funkcję pierwszego asystenta. Niezwykła biegłość chirurgów sprawiła, że skomplikowana operacja przepukliny została zakończona w niecałą godzinę. Płuca Nicholasa zareagowały niemal od razu. Bez uciskających je wnętrzości rozprężyły się do pełnej pojemności, dostarczając bogate w tlen powietrze chronicznie niedotlenionym tkankom. Chłopiec został natychmiast przeniesiony na oddział intensywnej terapii noworodków, gdzie personel dyżurował przy nim, jakby odprawiał modły. Wreszcie pojawiła się nadzieja, że wszystko dobrze się skończy.

Ale tak się nie stało. Po usunięciu smółki i operacji przepukliny lekarze sądzili, że najgorsze mają już za sobą. Byli przekonani, że kiedy minie pierwszy, najtrudniejszy dzień po zabiegu, Nickie będzie mógł zostać odłączony od respiratora. Jednakże czterdzieści osiem godzin później nadal nie zanosilo się na oczekiwaną poprawę. Kiedy tylko próbowano ograniczyć ilość sztucznie dostarczanego powietrza, poziom nasycenia tlenem gwałtownie spadał. Najwyraźniej w organizmie dziecka wciąż działo się coś niedobrego, coś, czego nikt nie przewidział. Nie pozostawało nic innego, jak przeprowadzić biopsję. Konieczne było uzyskanie zgody rodziców.

Sal i Donna Giancola oddaliby życie za swojego syna. Przystawali na wszystkie propozycje lekarzy, więc zgodzili się i na biopsję. Donna miała zaledwie dziewiętnaście lat, jej mąż był o trzy lata starszy. Pochodzili z tradycyjnych, kochających się włoskich rodzin i gorąco pragnęli jak najszybciej założyć własną. To, co się zdarzyło, było dla nich ogromnym wstrząsem. W miarę upływu czasu czuwanie

przy łóżeczku synka kosztowało ich coraz więcej sił. Jak otępiali siedzieli na korytarzu i obserwowali z daleka, co się dzieje.

Biopsję płuc noworodków przeprowadzano tylko w wyjątkowych sytuacjach. Zabieg został wykonany następnego ranka i przebiegł zadziwiająco dobrze. Personel oddziału intensywnej terapii noworodków potraktował ten przypadek jako wyjątkowo pilny i wyniki, których przygotowanie zwykle trwało dwa dni, gotowe były jeszcze tego popołudnia. Patolog dokonał strasznego odkrycia. Oprócz pozostałych dolegliwości Nicholas cierpiał także na niezwykle rzadkie schorzenie znane jako dysplazja włósniczek pęcherzyków płucnych.

Jej przyczyną był wadliwy rozwój najmniejszych naczyń krwionośnych płuc, co poważnie utrudniało wymianę tlenu. Co gorsza, choroby tej nie można było wyleczyć bez zdecydowanej interwencji chirurgicznej. Tylko nielicznym dzieciom udawało się przeżyć z nią więcej niż kilka miesięcy. Jediną nadzieją był przeszczep płuca.

Diagnoza wprawiła cały personel w osłupienie. Jeszcze nie tak dawno wszyscy cieszyli się z udanej operacji, a teraz nagle ziemia usunęła im się spod nóg. Nad oddziałem intensywnej terapii noworodków zawisła gęsta chmura bezsilności. Minęła prawie godzina, zanim ktoś rzucił jakąś konkretną propozycję.

- Zadzwoń do SUP - powiedziała Meg Erhardt, przełożona pielęgniarek z wieczornej zmiany.

- O tej porze nikogo tam nie ma - odparł ktoś. - Koordynator do spraw przeszczepów przyjdzie pewnie dopiero jutro rano.

SUP to Filadelfijski Szpital Uniwersytetu Pensylwanii, w którym pracowali najlepsi w kraju specjaliści od przeszczepów płuc noworodkom.

- Przynajmniej zostawię im wiadomość - powiedziała Meg. - Niech wiedzą, że mają nowego klienta.

Niewielka, bo niewielka, ale była to ich jedyna szansa. Przeszczep płuca u noworodka to poważne przedsięwzięcie, wymagające szczegółowych przygotowań. Najpierw dziecko musiało zostać wciągnięte na listę kandydatów do przeszczepu. Potem trzeba było przeprowadzić analizę tkanki i antygenów zgodności tkankowej, a następnie uzgodnić kwestie finansowe. Taki zabieg kosztowałby towarzystwo ubezpieczeniowe dziesiątki tysięcy dolarów. Co więcej, transport noworodków w mieście wymagał pomocy lotnictwa wojskowego. No i pozostawał jeszcze jeden bardzo ważny aspekt tej sprawy - oczekiwanie na śmierć odpowiedniego dawcy.

Nawet w sprzyjających okolicznościach wszystko to musiałoby potrwać co

najmniej dwa miesiące. Wątpliwe było, czy Nicholas będzie żył tak długo. Był bardzo słaby i poddano już zbyt wielu zabiegom.

Tydzień później życie Nickie'ego wciąż wisiało na włosku. Ani na chwilę nie odłączono go od respiratora. Tylko w ten sposób można było zapewnić jego organizmowi choć minimalne dostawy tlenu. Nie mógł jeść samodzielnie, więc karmiono go dożylnie i przez nos. Na szczęście pierwsza rozmowa z koordynatorem od przeszczepów przebiegła pomyślnie i robota papierkowa była już w toku. Próbki poddano analizie w celu dobrania odpowiedniej tkanki do przeszczepu. Wtedy pojawiła się kolejna przeszkoda: sprzeciw towarzystwa ubezpieczeniowego.

Nicholas był ubezpieczony w prywatnej firmie, kierującej się w swojej działalności zasadą ograniczania kosztów. Zarząd niechętnie wyraził zgodę na opłacenie sztucznego natlenowania krwi, a przeszczep to już było stanowczo za wiele. Prośba o jego sfinansowanie została odrzucona. Lekarze planowali napisać odwołanie, a inni pracownicy szpitala slali do firmy listy, w których przekonywali, kogo trzeba, o konieczności operacji - mieli nadzieję, że w końcu im się uda. Niestety, nie mogli czekać bez końca.

Na oddziale intensywnej terapii radość z pracy z noworodkami była często przyćmiewana świadomością ich ciężkiego stanu. Tym razem personel Szpitala Uniwersyteckiego nie mógł zrzucić z barków przygniatającego poczucia beznadziei. Wszyscy byli bardzo przywiązani do Nickie'ego. Jego ciężki los poruszył każdego, w szpitalu panowała atmosfera ogólnego przygnębienia. Mimo to nikt nie zamierzał dać za wygraną. Utrzymywanie dzieci przy życiu było pracą tych ludzi i nikt nie znał się na tym tak dobrze jak oni. Jeśli wszyscy razem przystąpią do działania, może uda się dać Nickie'emu jeszcze miesiąc. Albo dwa. Aż załatwi mu się przeszczep.

To stało się w weekend, parę minut po jedenastej wieczorem, kiedy zaczynała się nocna zmiana. Wszyscy lekarze gdzieś zniknęli. Kończące dyżur pielęgniarki w oczekiwaniu na przybycie zmienniczek uzupełniały karty pacjentów. Nagle powietrze przeciął przenikliwy elektroniczny pisk, alarm czujnika tlenowego. Meg upuściła kartę i podniosła głowę, zaskoczona. Szybko rozejrzała się po sali. Około dziesięciu metrów od niej migotało pomarańczowe światło.

Jezu, pomyślała. To Nickie!

Rzuciła długopis i zerwała się z krzesła. Przebiegła przez salę. Nicholas leżał w



odkrytym, płaskim, szerokim akrylowym inkubatorze, otoczonym różną aparaturą. Stały tu monitory pracy serca, temperatury i zawartości moczu; materac, na którym leżało dziecko, przecinały dziesiątki kabli. W pierwszej chwili Meg miała nadzieję, że przyczyną uruchomienia alarmu było odłączenie się jakiegoś przewodu, ale wystarczyło rzucić okiem na małego pacjenta, by zrozumieć, że to nie to.

Skóra Nickie'ego przybrała niezdrowy, niebieskoszary odcień, świadczący o niedoborze tlenu w organizmie. Według wskazań monitora poziom nasycenia wynosił osiemdziesiąt dziewięć procent i z każdą sekundą był coraz niższy. Niedobrze, bardzo niedobrze. Meg obróciła się na pięcie i huknęła na stojącą za nią pielęgniarkę.

- Wezwij ordynatora, natychmiast! I sprawdź, czy nie mogliby tu podesłać kogoś od respiratorów!

Szybko przeniosła wzrok na dziecko. Rurka dotchawicza była na miejscu, wentylator wyglądał na dobrze podłączony. Ale przecież stan dzieciaka nie mógł się pogorszyć bez powodu. Jeszcze pół godziny temu Nickie miał się dobrze - no, może nie tyle dobrze, co dobrze jak na niego. Pewnie nawalił przewód dostarczający tlen albo rurka dotchawicza lekko się oblużowała. Meg szybko obrzuciła wzrokiem wskazania monitorów. Oprócz poziomu nasycenia tlenem wszystko wydawało się w porządku, nie licząc spodziewanego częstoskurczu. Co więc się działo, do licha?

Nagle włączył się alarm monitora pracy serca. Meg z zaskoczeniem zauważyła, że widoczny na ekranie wzór, jeszcze przed chwilą tak równy i spokojny, zmienił się w serię złowrogo powykrzywianych linii.

- Migotanie komór! - krzyknęła w stronę stanowiska pielęgniarek. - Ściągnijcie tu kardiologa, ale to już! - Dobry Boże, pomyślała, co nastąpi teraz?

Nie musiała długo czekać na odpowiedź. Sprawdziwszy pospiesznie, czy wszystkie przewody elektrokardiografu są dobrze podłączone, spojrzała na oscyloskop. Ku jej przerażeniu widniała na nim prosta linia. Małe, przemęczone serce przestało bić. Meg natychmiast ułożyła dłonie po obu stronach klatki piersiowej dziecka i przystąpiła do masażu serca, posługując się kciukami.

- Nickie, no, no - mówiła z narastającym niepokojem.

W do niedawna spokojnym pomieszczeniu zapanowała gorączkowa atmosfera. Pielęgniarki z oddziału intensywnej terapii pracowały jak dobrze naoliwiona maszyna, wyćwiczona w reagowaniu na wszelkie kryzysy. Szybko sprawdziły wszystkie przewody i przygotowały się do kardiowersji. Dziecko leżało bez ruchu, jego skóra przybrała barwę rychłej śmierci. Po kilku minutach przybyła oczekiwana pomoc,

niczym posiłki nadchodzące na pole bitwy.

Przez następną godzinę pracownicy szpitala uwijali się jak w ukropie, nie chcąc pogodzić się z porażką. Wszyscy mieli w pamięci dwoje innych dzieci, zmarłych w podobnych okolicznościach w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Parę minut po pomocy stało się jasne, że wysiłki personelu spełzyły na niczym. Drobne ciało zbyt wiele wycierpiało, by zareagować na próby reanimacji.

Mały Nicholas Giancola, wiek cztery tygodnie, jeden dzień, został uznany za zmarłego o dwunastej trzynastie w nocy. Był trzecim dzieckiem, którego nie udało się uratować.

## ROZDZIAŁ 2

Jennifer Hartman była przerażona. Była w szóstym miesiącu ciąży i właśnie dowiedziała się, że nie może już liczyć na swojego ginekologa. Nie wyrzucił jej za drzwi; po prostu postanowił przekazać Jennifer pod opiekę specjalisty ze Szpitala Uniwersyteckiego. Nie dlatego, że nie chciał się nią opiekować! Po prostu, jego zdaniem, potrzebny był jej w tej chwili ktoś, kto ma doświadczenie w prowadzeniu ciąży wysokiego ryzyka. Och, oczywiście, nieraz przyjmował porody bliźniąt, wtedy jednak był młodszy. A teraz tyle się mówi o surowym karaniu winnych błędów w sztuce lekarskiej...

Bliźnięta! Jennifer oniemiała z wrażenia. Chwyciła kurczowo drzwi samochodu, nie mogąc otrząsnąć się z szoku. Nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Już sam fakt, że zaszła w ciążę, uważała za istny cud, ale nigdy nawet nie przeszło jej przez myśl, iż mogłaby urodzić więcej niż jedno dziecko. Kiedy wreszcie wgramoliła się do samochodu, owładnęły ją sprzecznej uczucia. Jednym z nich było dziwne przeświadczenie, że pozostawiono ją na łasce losu.

Pacjentką doktora Stronga była od zawsze. Owszem, miał już swoje lata i niektórzy uważali go za staroświeckiego. Ale był przy niej, kiedy walczyła z bezpłodnością, i zawsze traktował ją jak dobry wujaszek, bezustannie dodając otuchy. Na szesnaście tygodni przed porodem cieszyła się na myśl, że to właśnie Strong znajdzie się z nią w sali porodowej. A teraz... dobry Boże, bliźnięta! Za kilka minut będzie musiała zadzwonić do Richarda i powiedzieć mu o rym. Najpierw jednak potrzebowała porady medycznej. Wyjeżdżając z parkingu, włączyła telefon komórkowy i przywołała jeden z numerów zapisanych w pamięci urządzenia.

- Chciałabym rozmawiać z doktor Morgan Robinson - powiedziała do mikrofonu. Po chwili dodała: - Mówi siostra. - Nastąpiła krótka przerwa. - Morgan? To ja, Jen. Nie uwierzysz, co się stało.

Jak zawsze, postanowiła najpierw porozmawiać ze swoją starszą siostrą. Przez ostatnich pięć lat to właśnie Morgan była ostoją tego, co Jennifer nazywała rodziną, dopóki nie zjawiał się Richard - mężczyzna, który nie przypadł do gustu jej rodzicom. Nie dlatego, że nie miała innych krewnych; po prostu niezbyt często z nimi rozmawiała. Brat, młodszy od niej o dwa lata, wolny duch, właśnie kończył studia na Hawajach.

Co się natomiast tyczy jej rodziców. No cóż... Starsi Robinsonowie szczylic się swoją ciężko wywalczoną pozycją społeczną i nie tolerowali mezaliansów. Kiedy Jen

poznała Richarda, który pochodził z rodziny robotniczej i nie miał wyższego wykształcenia, rodzice przestali ją zauważać. Po ślubie było jeszcze gorzej. Odkąd rodzice wyprowadzili się do Arizony, Jennifer wymieniała z nimi pozdrowienia świąteczne, ale niewiele ponadto. Nawet nie wiedzieli, że jest w ciąży.

Kiedy Jen skończyła mówić, z aparatu na desce rozdzielczej rozległ się głos jej siostry.

- Nie chcę ci nic wypominać - powiedziała - ale pamiętasz, jak wszyscy mówili, że strasznie ci wysadziło brzuch? Nie wiem, czemu ten twój łapiduch odkrył to dopiero teraz. Wierz mi, będzie ci lepiej bez tego starego...

- Morgan, daj spokój, co? Rozmawialiśmy o tym już z tysiąc razy. Powiedz mi tylko, co wiesz o tym nowym lekarzu.

- Przepraszam, Jen. Nie chciałam się wymądrzać. Przypomnij mi, jak on się nazywa.

Jennifer spojrzała na wizytówkę, którą dostała od Stronga.

- Właściwie to dał mi nazwiska dwóch lekarzy. Jeden z nich to jakiś doktor Schubert...

- Schubert? Arnold Schubert, ten facet od selekcji płodów?

- Co to takiego?!

- Nieważne - pospiesznie odparła Morgan. - A ten drugi to kto?

- Hawkins. Brad Hawkins ze Szpitala Uniwersyteckiego. Znasz go?

- Osobiście nie - odparła Morgan - ale słyszałam o nim. Jest stosunkowo młody, ale ma dobrą reputację.

- Co to znaczy "stosunkowo"?

- Czekaj, zajrzę do rejestru. - Z głośnika dobiegł szelest przewracanych kartek. - Już znalazłam. Jest na liście lekarzy, z których usług możesz korzystać w ramach ubezpieczenia. Hawkins, Bradford C. Tu jest data urodzenia, ma trzydzieści osiem lat. Zrobił specjalizację sześć lat temu...

- Z czego?

- Z położnictwa - powiedziała Morgan. - Po czteroletnim stażu na ginekologii i położnictwie można jeszcze spędzić dodatkowe dwa lata na perynatologii. Studia skończył w Yale, staż odbył w Chicago. Stan cywilny - wdowiec.

- Morgan, nie obchodzi mnie...

- W każdym razie jest uważany za dobrego specjalistę. Założono mu tylko jedną sprawę o błąd w sztuce lekarskiej, co jak na położnika pracującego w tych okolicach

jest znakomitym wynikiem. Wydaje mi się, że powinnaś pójść do niego, Jen. Szpital Uniwersytecki na pewno jest lepszy niż jakaś podrzędna klinika. Przekazałaś już Richardowi radosną nowinę?

- Jeszcze nie, ale zaraz to zrobię. - Jennifer odetchnęła z ulgą. - Dzięki, Morgan. Zawsze mogę na ciebie liczyć. No to powiedz, jak się czuje moja siostra na myśl, że wkrótce zostanie ciotką, i to dwojga siostrzeńców naraz?

- Właściwie to się już oswoiłam z myślą, że na jednym się skończy, ale jakoś sobie poradzę.

- Mam nadzieję, że AmeriCare nie będzie mi robić żadnych trudności?

- Nawet o tym nie myśl - zapewniła ją Morgan. - Zajmę się wszystkim osobiście.

Odkładając słuchawkę, doktor Morgan Robinson uśmiechnęła się do siebie i pokręciła głową z niedowierzaniem, rozrzucając rude włosy. Czy Jennifer zdawała sobie sprawę, co ją czeka zarówno przed, jak i po porodzie? Morgan, lekarz pediatra, wiedziała, ile muszą wycierpieć matki noszące w łonie więcej niż jedno dziecko. Z drugiej strony w przypadku Jennifer był to owoc prawdziwej miłości. Próbowała zajść w ciążę od trzech lat. Kiedy wyjdzie z szoku, będzie podwójnie szczęśliwa, że zamiast jednego upragnionego dziecka od razu będzie miała dwoje.

Jen była dzielna. Większość ludzi nie potrafiłaby tak godnie jak ona znieść odrzucenia przez rodziców. Dużym problemem było także niedostateczne wykształcenie Richarda. Po ślubie, kiedy Jen musiała zarabiać na nich oboje, coś w ich związku zaczęło się psuć. Morgan obserwowała z podziwem, jak jej młodsza siostra walczy o uratowanie małżeństwa, które wielu innym kobietom nie wydawałoby się tego warte. Kiedy w końcu Richard znalazł obiecującą pracę, ich związek się umocnił. A potem Morgan patrzyła, jak Jen znosi ze stoickim spokojem trzy lata bezpłodności, rzadko użalając się nad sobą.

Morgan wróciła do przeglądania piętrzących się na biurku sprawozdań, czekających na jej opinie. Westchnęła ciężko. Czasami tęskniła do chaosu panującego w klinice, w której przed dwoma laty pracowała jako pediatra. Ale zmiana zawodu była jej decyzją - dokonała wyboru w pełni świadoma tego, co zostawia i co ją czeka. Przynajmniej decyzje, jakie teraz podejmowała, nie miały tak dramatycznych konsekwencji.

Mimo to tutaj także musiała podejmować ich mnóstwo. Jej głównym za-

daniem, jako zastępcy dyrektora AmeriCare do spraw medycznych, było rozpatrywanie budzących wątpliwości wniosków o finansowanie opieki medycznej. Początkowo wydawało jej się to czarno-białe: albo określone usługi były objęte ubezpieczeniem, albo nie. Teraz jednak, po dwóch latach pracy, Morgan dostrzegła coraz więcej odcieni szarości. W przypadku jej siostry nie miało to znaczenia. Jennifer była ubezpieczona w AmeriCare i Morgan zamierzała zrobić wszystko, by wszelkie wydatki na opiekę nad Jen i jej dziećmi zostały w pełni pokryte przez firmę.

Doktor Brad Hawkins szedł do sali porodowej, kiedy przy windach na czwartym piętrze natknął się na Meg Erhardt. Na twarzy Meg nie było charakterystycznego dla niej ciepłego uśmiechu, a w kącikach oczu uwidaczały się cienkie, głębokie zmarszczki.

- Długi dzień w pracy, panno Meggie? - spytał. - Wyglądasz na zmęczoną.

- Raczej długa noc - odparła. - Słyszałeś o Nicku Giancoli?

- O tym dziecku, któremu sztucznie natleniano krew?

- Tak. Zmarł w nocy, pod koniec mojej zmiany. Brad nie posiadał się ze zdumienia. Dotąd był tak pochłonięty opieką nad pacjentami, że nie słyszał jeszcze plotek krążących po szpitalu.

- W wyniku natleniania?

- Nie, i to właśnie jest najdziwniejsze. Odbyło się to tak jak w poprzednich przypadkach - niedotlenienie, potem zanik oddechu i zatrzymanie akcji serca.

- Boże. Reanimacja nic nie dała? Meg pokręciła głową.

- Próbowaliśmy przez godzinę. Bez skutku.

- Który to już taki przypadek?

- Trzeci - odparła z rezygnacją. - W mniej więcej czterotygodniowych odstępach. Inny przebieg choroby, ale na końcu taki sam obraz kliniczny.

Przed dwoma miesiącami Brad przyjął poród noworodka, który od razu trafił na oddział intensywnej terapii. Niedługo potem, z niewiadomych przyczyn, dziecko zmarło z powodu nagłego zatrzymania akcji serca i płuc.

- Tak jak było z tą małą dwa miesiące temu? - spytał.

- Prawie identycznie.

- Co powiedział Harrington? - Harrington był ordynatorem neonatologii.

- Nie ma pojęcia, co się stało. Może coś wyjdzie w czasie sekcji, ale to raczej mało prawdopodobne. Przepraszam, ale muszę już lecieć. Zadzwoń do mnie, dobrze?

Brad stał z założonymi rękami, pogrążony w myślach, wpatrzony w zamykające się drzwi windy. Choć osobiście nie zajmował się matką Nickiego Giancoli, w czasie narodzin dziecka przebywał w sali porodowej, wezwany na błyskawiczną konsultację. Choć bez wątpienia była śmiertelnie przerażona, powitała go ciepłym uśmiechem.

Przez czterdzieści minut Brad i drugi lekarz niepokoiili się nieregularną akcją serca nie narodzonego dziecka. Wreszcie Donna wydała na świat chłopca. Dopiero po stwierdzeniu u małego Nicholasa wad wrodzonych stało się jasne, co powodowało zaburzenia w rytmie serca.

Przez kilka ostatnich tygodni Brad zaglądał na oddział intensywnej terapii noworodków kilka razy dziennie, by sprawdzić, co z małym. Zauważył ze smutkiem, że młodzi państwo Giancola byli coraz bardziej przygnębieni i zaczęli unikać spojrzeń lekarzy, obawiając się nawet pytać o stan synka. Jednak mimo wszystkich nękających go przypadłości Nickie radził sobie niezwykle dzielnie. Jego zgon był równie zaskakujący jak śmierć tamtych dwojga dzieci i równie demoralizujący dla personelu szpitala.

## ROZDZIAŁ 3

O jedenastej przed południem Jennifer skręciła swoim volvo kombi na szeroki, półkolisty podjazd przed siedzibą AmeriCare. Jen namówiła siostrę, by ta towarzyszyła jej w czasie pierwszej wizyty u doktora Hawkinsa. Kiedy samochód się zatrzymał, Morgan wybiegła z budynku. Jen powiodła wzrokiem za siostrą. Trzydziestoletnia Morgan, o urodzie Nicole Kidman, była wysoka, smukła i pełna życia. Miała rozpuszczone włosy, które zawsze unosiły się na wietrze niczym rdzawoczerwone jesienne liście. Szła sprężystym krokiem, nie za szybko, nie za wolno.

- Bardzo ładna bryka, siostrzyczko - powiedziała Morgan, wsiadając od strony pasażera. Przejechała dłonią po obitej skórą desce rozdzielczej. - Richard dał się namówić na taki wydatek z uwagi na bezpieczeństwo twoje i dzieci?

Jennifer skinęła głową.

- Jego Biblią jest "Raport konsumenta". Ten model dostał bardzo dobre oceny. Ma niezłego kopa i wygląda nawet trochę sportowo, nie sądzisz?

- Idealny dla matki bliźniąt.

- No coś ty, nie jest aż taki zły! Zresztą priorytety się zmieniają, kiedy się zakłada rodzinę. Sama to zrozumiesz, gdy któregoś dnia zajdziesz w ciążę.

Morgan uśmiechnęła się.

- Dzięki, wierzę ci na słowo.

W drodze gawędziły o wszystkim i o niczym, jak to siostry, ale Morgan była rozkojarzona. Tego ranka na jej biurko trafił raport dotyczący kolejnego zgonu na oddziale intensywnej terapii noworodków w Szpitalu Uniwersyteckim. Morgan знаła Nicka Giancoleę; osobiście wyraziła zgodę na pokrycie kosztów sztucznego natleniania krwi. Okoliczności i przyczyna śmierci nie były jeszcze dokładnie znane. Morgan przekonała siostrę, że wysyła ją do dobrego szpitala, a tu okazuje się, że w ciągu trzech miesięcy miały w nim miejsce trzy zagadkowe zgony. Przydałoby się dyskretnie zapytać tego Hawkinsa, co jest grane.

Jego gabinet mieścił się w przestronnym, parterowym biurze, w którym urzędowało wielu pracowników szpitala. Jen zaparkowała wóz i obie siostry weszły do dużej pustej poczekalni. Najwyraźniej Jennifer była pierwszą i jedyną pacjentką umówioną na tę godzinę. Po zapisaniu się w rejestracji dostała do wypełnienia standardowe formularze dotyczące ubezpieczenia i stanu zdrowia. Usiadła obok Morgan, zajętej przeglądaniem magazynu "People".

- Jest już? - spytała, unosząc głowę.



- Podobno tak. Dobrze, że przyszliśmy trochę wcześniej.

W tej chwili otworzyły się drzwi przy stanowisku rejestratorki i do poczekalni wszedł mężczyzna w białym kitlu. Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu był szczupły i dobrze zbudowany. Rozpięty kitel i widoczna pod nim koszula w kratę świadczyły o jego upodobaniu do luźnego stylu bycia. Uśmiechnął się przelotnie do kobiet w poczekalni i podszedł do dużego akwarium w kącie pomieszczenia.

Otworzywszy pojemnik z karmą dla ryb, wsypał sporą jej ilość do wody, wpatrując się w opadające jak śnieg ziarenka.

- Pizza! - krzyknął, i z uśmiechem zastukał delikatnie w szybę. - Bierzcie i jedzcie! - Kolorowe ryby przecinały wodę, rzucając się łapczywie na pokarm.

Siostry popatrzyły po sobie niepewnie. Morgan wzruszyła ramionami.

- Ostatnimi czasy niektórzy lekarze są bardzo wyluzowani - szepnęła. - Żeby pacjenci czuli się pewniej. - W głębi duszy jednak zastanawiała się, czy ten lekarz ma choć tyle rozumu co jego rybki.

Doktor Hawkins uśmiechnął się głupkowato do Morgan i Jennifer, po czym ruszył ku drzwiom gabinetu.

- Biedactwa nie poradziłyby sobie beze mnie - rzucił przez ramię.

Zanim zamknął za sobą drzwi, rejestratorka wychyliła się ze swojego stanowiska i oznajmiła, że pan doktor właśnie zaczął dyżur. Morgan i Jen weszły do jasno oświetlonego gabinetu, w którego kątach stały donice z dracenami i innymi roślinami. Brad siedział za biurkiem z drewna tekowego. Na widok dwóch kobiet wchodzących do gabinetu pospiesznie wrzucił jakieś pismo na półkę za swoimi plecami. Potem wstał i podał rękę tej, która była w widocznej ciąży. Jennifer przedstawiła mu swoją siostrę.

- To Morgan Robinson - powiedziała Jen z nutą dumy w głosie. - Doktor Robinson.

- Chyba nie miałem przyjemności pani poznać - powiedział z uśmiechem. - Na pewno pamiętałbym. Jest pani lekarką?

- Tak - odparła Morgan z niezwykłym dla niej skrepowaniem. - Nie spotkaliśmy się osobiście, ale wiele o panu słyszałam.

- Naprawdę? Coś wartego powtórzenia?

- Tylko i wyłącznie. Pracuję w AmeriCare.

- Ach, tak - powiedział powoli, mrużąc oczy. Morgan po raz kolejny uprzytomniła sobie, że praca w zarządzaniu ochroną zdrowia czyni ją pariasem w

środowisku lekarskim. Większość lekarzy nie odnosiła się przychylnie do systemu finansowania opieki zdrowotnej! Mimo to Morgan uważała, że nie zasługuje na tak chłodne traktowanie. Poczula niechęć do Hawkinsa. Miała ochotę jakoś mu się odgryźć. Najpierw wygłupia się przy akwarium, a potem zadziera nosa. Postanowiła jednak powściągnąć nerwy, przynajmniej na razie. W końcu ten człowiek będzie zajmował się jej siostrą. Odchyliła się na oparcie krzesła i postanowiła nic nie mówić. I dobrze zrobiła. Przez piętnaście minut Brad rozmawiał z Morgan, zadając szczegółowe, inteligentnie formułowane pytania. Jego swobodny styl uspokajał rozmówcę; wyglądało na to, że Jennifer dobrze się przy nim czuje.

Morgan rozejrzała się po gabinecie. Wystrój pokoju był gustowny, a na ścianach wisały wszelkie wymagane dyplomy. Jej wzrok padł na pismo, które Brad w takim pośpiechu odłożył na półkę. Nosiło tytuł "Au naturel", na okładce widniała naga kobieta wchodząca na palcach w morskie fale. Dobry Boże, pomyślała Morgan. Pan doktor jest nudystą.

Wyżej znajdowała się półka ze zdjęciami. Kilka z nich przedstawiało ładnego chłopca na przestrzeni lat, od małego berbecia po mniej więcej sześciolatka. Obok stała fotografia pięknej kobiety w stroju jeździeckim, uśmiechającej się do obiektywu. Morgan doszła do wniosku, że to żona doktora Hawkinsa. Dziwne. W aktach personalnych zapisano, że jest wdowcem. Zerknęła ukradkiem na jego dłoń. Na serdecznym palcu nosił obrączkę.

Brad odłożył długopis.

- No, to by było tyle. Teraz zrobimy badanie ogólne i ultrasonografie. Potem wrócimy tutaj i zobaczymy, czy uda nam się uzgodnić harmonogram wizyt. - Zwrócił się do Morgan. - Będzie nam pani towarzyszyć, pani doktor?

Morgan chciała zapewnić Jennifer trochę prywatności.

- Mogłabym tu zaczekać?

- Oczywiście. Zaraz wrócimy.

Przez następne piętnaście minut Morgan wierciła się niespokojnie. Nie wiedziała, co ją tak rozdrażniło. Wyczuwała w głosie Hawkinsa pewną złośliwość, ale nie pomniejszało to jego fachowości. Mimo chłopięcej nonszalancji sprawiał wrażenie profesjonalisty.

Jennifer wróciła z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Wiem już, jakiej są płci! - oznajmiła radośnie. Morgan była rozbawiona, widząc uszczęśliwioną siostrę.

- Jakiej, jeśli wolno zapytać?

- Chłopiec i dziewczynka! Fantastycznie, prawda?

- Wspaniale, Jen.

- Może najpierw zrobimy badanie krwi, a potem porozmawiamy? - przerwał im Hawkins. Wcisnął guzik interkomu i przez chwilę rozmawiał z pielęgniarką. Po kilku sekundach ubrana na białą kobietą wyprowadziła Jennifer z gabinetu.

- Wszystko w porządku, doktorze Hawkins?

- Właściwie tak. Doktor Robinson, zajmuje się pani zarządzaniem ochroną zdrowia, ale czy wie pani cokolwiek o bliźniętach? Przeszyła go wściekłym wzrokiem.

- Może i siedzę za biurkiem, ale to nie znaczy, że jestem prowincjonalnym głupkiem!

Na jego twarzy pojawił się, delikatnie mówiąc, chłodny uśmiech.

- Przepraszam. Rzecz w tym, że ostatnimi czasy ludzie z pani branży strasznie zależą mi za skórę. Nie wątpię, że miała pani do czynienia z bliźniętami.

- Wystarczy - powiedziała, biorąc głęboki oddech dla uspokojenia nerwów. - Zanim przeszłam do AmeriCare, pracowałam jako pediatra. I mów mi Morgan, dobrze?

Uśmiech Hawkinsa stał się trochę cieplejszy.

- Zgodę. A ja jestem Brad. Wracając do tematu, dziecko B, to znaczy chłopiec, jest dość małe. Nie sądzę, żeby można było już mówić o zaburzeniach wzrostu, ale ledwo ledwo mieści się w normie, więc trzeba go będzie bacznie obserwować. Poza tym ciśnienie skurczowe twojej siostry jest trochę za wysokie, powyżej stu trzydziestu.

- Czy to może oznaczać zahamowanie wzrostu i stan przedrzucawkowy? - spytała Morgan.

- Nie, nie - odparł Brad. - Przynajmniej na razie. Ale jak zapewne pamiętasz, prawdopodobieństwo takich zaburzeń zwiększa się w ciążach mnogich, więc lepiej, żebym miał oko na twoją siostrę. Byłoby dobrze, gdyby przychodziła do mnie raz w tygodniu.

Morgan z zadowoleniem skinęła głową.

- Zanim wróci Jen, chciałabym pana... to znaczy ciebie o coś zapytać. Chodzi o oddział intensywnej terapii noworodków w Szpitalu Uniwersyteckim. Ani w prasie, ani w telewizji nie było żadnej wzmianki o śmierci tych dwóch noworodków, ale trafiły do mnie raporty na ten temat. Jeszcze nie wspomniałam o tym Jennifer, ale podobno miał miejsce trzeci zgon. Muszę więc zapytać: czy wszystko jest w porządku?

Czy jest coś, czym powinniśmy się niepokoić?

Życzliwy uśmiech zniknął z twarzy Brada. W jego zmrużonych oczach czaił się niepokój.

- Co wiesz o tych zgonach?

- Tyle, że wszystkie miały miejsce na oddziale intensywnej terapii. Co się dzieje? Sądząc po twojej minie, coś jest nie w porządku.

Brad odwrócił wzrok i odetchnął głęboko. Atrakcyjna kobieta siedząca po drugiej stronie biurka była bystra. Czy inni ludzie spoza szpitala wyciągnęli podobne wnioski jak ona? Wstał, podszedł do okna i przez chwilę w zamyśleniu bawił się zasłonami.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, czy mamy jakiś kłopot, czy nie. I byłbym wdzięczny, gdyby to, co powiem, zostało między nami.

- Zgoda.

- Oficjalnie - zaczął - nie ma żadnego problemu. To tylko pech. Dzieci z oddziału intensywnej terapii umierają od czasu do czasu, prawda? W końcu to nie jest zwykła porodówka. Ale mówiąc nie całkiem oficjalnie, w nocy przejrzałem karty tych trzech dzieciaków. Do późna przyjmowałem poród i nie miałem co zrobić z wolnym czasem.

-No i...?

- Na pierwszy rzut oka - powiedział - te przypadki właściwie nie były do siebie podobne. Dwie dziewczynki i chłopiec, Nicholas. Pierwsze dziecko było po prostu wcześniakiem, urodzonym w dwudziestym szóstym tygodniu ciąży. Pierwszy miesiąc był ciężki, ale wyglądało na to, że wszystko dobrze się skończy, rozumiesz?

Morgan skinęła głową.

- Druga dziewczynka urodziła się z listeriozą w trzydziestym drugim tygodniu ciąży.

- Widzę, że przygotowałaś się do tej rozmowy - powiedział Brad. Morgan wzruszyła ramionami.

- Staram się, jak mogę.

- Następny był Nickie - Brad podjął przerwana opowieść. Opisał stan dziecka i przebieg leczenia. Morgan знаła większość podawanych przez niego informacji. - Jednak w pewnym sensie wszystkie trzy przypadki były identyczne, przynajmniej jeśli chodzi o okoliczności zgonu.

- To znaczy?

- To znaczy, że we wszystkich przypadkach sytuacja rozwijała się identycznie. Po pierwsze, dzieci przebrnęły przez poważny kryzys - podawano im antybiotyki, operowano, prowadzono sztuczne natlenianie krwi, czasami nawet stosowano wszystkie te metody łącznie. Po drugie, stan noworodków był w miarę ustabilizowany. Po trzecie, prawdopodobnie czekał je jeszcze kilkumiesięczny pobyt na oddziale intensywnej terapii, bo musiały przebywać pod stałą opieką. No i po czwarte, kiedy czujność pielęgniarek zaczynała słabnąć, stan dzieci ulegał gwałtownemu pogorszeniu. Wszystkie umarły w ciągu jednej, dwóch godzin.

- Jaka była przyczyna zgonu?

- Ach - powiedział, unosząc palec - to właśnie jest najbardziej interesujące. Według notatek pielęgniarek na początku następowało gwałtowne, silne niedotlenienie. Nasylenie tlenem poniżej dziewięćdziesięciu, zmniejszające się z każdą sekundą.

Morgan zmarszczyła brwi.

- Czop zatorowy?

- Przyszło im to do głowy, ale nie potrafiły tego udowodnić. Żadnych śladów niedrożności czy martwicy. Te nieszczęsne dzieciaki po prostu umierały na ich oczach. Wszystkie zaczynały sinieć, a potem następowało zatrzymanie akcji serca. Próby reanimacji nie dawały efektu.

- To nie było zapalenie płuc, awaria sprzętu czy pomyłka w dozowaniu leku?

- Nie, nic z ich rzeczy. Wykluczono też kilkanaście innych, bardziej wymyślnych hipotez.

- No to co było przyczyną zgonu?

Brad podszedł do biurka, oparł się na nim łokciami i nachylił ku Morgan.

- Oto jest pytanie.

Unosząc głowę, Morgan wyczytała w jego twarzy niepokój.

- Mam nadzieję, że się mylę, ale czy może to oznaczać początek epidemii?

- Prawdę mówiąc, na razie nikt nie wie, co się dzieje. Ale ponieważ z dwojgiem ze zmarłych dzieciaków miałem do czynienia osobiście, martwię się jak cholera.

Po powrocie do swojego gabinetu Morgan spojrzała na biurko i jęknęła na widok piętrzących się na nim papierów. Rozpoczynając studia medyczne, nie spodziewała się, że tak właśnie potoczy się jej kariera. Cóż, mogła za to winić wyłącznie siebie. Westchnąwszy cicho, usiadła i zaczęła przeglądać pocztę.

“Czy winę za wzrost kosztów opieki nad wcześniakami ponosi chory system finansowania ochrony zdrowia?” - głosił nagłówek artykułu wyciętego z jednej z gazet. Odłożyła go na bok. “Szpitale z Karoliny Południowej walczą o wcześniaki wysokiego ryzyka” - obwieszczało inne pismo. Morgan podzieliła wycinki na trzy kupki: do przeczytania jeszcze dziś, do przejrzenia w przyszłości i do wyrzucenia. Kiedy skończyła, wzięła się do studiowania korespondencji wewnętrznej. Na wierzchu leżały akta Giancoli.

Dowiedziawszy się o śmierci Nickiego, Morgan poprosiła Janice, swoją sekretarkę, o przyniesienie jego teczek. Teraz, po rozmowie z doktorem Hawkinsem, chciała jeszcze raz przestudiować zawarte w niej dokumenty. Usiadła wygodnie w fotelu i zaczęła czytać wszystko po kolei, traktując wszelkie dane jak kawałki klinicznej układanki. Na czwartej stronie zwróciła jej uwagę pewna notatka.

Z rosnącym niedowierzaniem przeczytała ją kilka razy. Z jej treści wynikało, że wniosek lekarza państwa Giancola o przeszczepienie dziecku płuca został odrzucony przez AmeriCare. Morgan była wściekła. To ona załatwiła zgodę na sfinansowanie natleniania krwi i spodziewała się, że następne prośby w tej sprawie również zostaną rozpatrzone pozytywnie. Pod notatką podpisał się dyrektor do spraw medycznych, dr Martin Hunt.

Morgan zerwała się zza biurka i popędziła do Hunta, kipiąc z wściekłości. Przemaszerowała obok jego sekretarki i bez zapowiedzi wpadła do gabinetu. Hunt rozmawiał przez telefon. Nie zważając na to, Morgan od razu przeszła do *rzeczy*.

- Dlaczego nie wyraziłeś zgody na przeszczep płuca Giancoli? Hunt zakrył dłonią mikrofon.

- Poczekaj chwilę, Morgan. Właśnie...

- To nie może czekać! - warknęła, patrząc na niego błyszczącymi od gniewu oczami. Zaciśnęła pięści.

- Zaraz oddzwonię - powiedział Hunt i odłożył słuchawkę. - No dobrze, Morgan. Jakaż to sprawa jest tak pilna, by...

- Przeszczep płuca małemu Giancoli! Widziałam notatkę z twoim podpisem, z której wynika, że to ty odrzuciłeś prośbę o sfinansowanie tej operacji! Hunt spojrzał jej w oczy.

- Owszem. Jeszcze ani razu nie wyraziliśmy zgody na taki zabieg, więc nie bardzo rozumiem, czemu miałbym ustanawiać precedens za setki tysięcy dolarów?

- Chryste, Marty, jak mogłeś? - W jej głosie brzmiała rozpacz. - Ten biedny dzieciak bez przeszczepu nie miał szans na przeżycie!

- To sprawa dyskusyjna. Przecież on i tak umarł, nie słyszałaś? Na długo przed ewentualnym zabiegiem.

Morgan opadła na krzesło przed jego biurkiem.

- Tak, słyszałam o tym. Chodzi o to... ten dzieciak był wyjątkowy. Miał za sobą udane sztuczne natlenianie krwi...

- Któremu ja byłem przeciwny, co zapewne pamiętasz. Jak się okazuje, miałem rację. Takie przypadki rzadko kończą się szczęśliwie.

- No i co z tego? - spytała Morgan. - Tylko dlatego, że coś jest niezwykle, trudne albo bardzo drogie, mamy to automatycznie odrzucać? Hunt zmarszczył brwi.

- Co w ciebie wstąpiło? Nie jesteśmy instytucją charytatywną. AmeriCare to biznes, a my zajmujemy się zarządzaniem opieką zdrowotną. Na litość boską, przecież jeśli nie będziemy kontrolować kosztów procedur eksperymentalnych, to bardzo szybko zbankrutujemy! Chcesz, żeby do tego doszło?

Morgan westchnęła.

- Nie, po prostu to dziecko było takie bezbronne...

- Posłuchaj mnie. Pracując tutaj, nie możesz sobie pozwolić na sentymenty. W pewnym sensie wszystkie te dzieciaki są bezbronne. Wiem, że byłaś pediatrą, ale na litość boską, nie zabawiaj się w Matkę Teresę. Narobisz sobie tylko jeszcze więcej kłopotów.

Morgan zmrużyła oczy.

- Jak to: "więcej"?

- Jesteś dobrą pracownicą, Morgan, ale zarząd polecił mi, żebym miał cię na oku. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wyraziłaś zgodę na pewne wydatki, które przekraczają granice rozsądku. Na Boga, przecież nie pracujesz w próżni. Kiedy zbyt hojnie szafujesz pieniędzmi firmy, ściągasz na siebie uwagę. Zaczynasz być postrzegana jako frajerka o gołęmbim sercu.

- A co w tym złego? Myślałam, że mamy być wrażliwi na problemy zwykłych ludzi.

- Nieprawda. Mamy być praktyczni. A jeśli ty inaczej się na to zapatrujesz, jestem przekonany, że zarząd bez trudu znajdzie kogoś, kto nie podziela twoich wątpliwości.

Nieco przygaszona, ale wciąż zirytowana, Morgan wyszła od Hunta, nieświadoma tego, że szef wpatruje się w nią przenikliwym wzrokiem.

Kiedy wróciła do swojego gabinetu, Janice uniosła brwi, jakby chciała zapytać "i co teraz?", po czym weszła za nią do środka. Od pewnego czasu Morgan zwierzała jej się z wszelkich zmartwień; więc i tym razem zwróciła się do niej.

- Mam już potąd ich skąpstwa - powiedziała Morgan, przystawiając dłoń do podbródka. - Pewnego pięknego dnia powiem im, gdzie sobie mogą wsadzić tę ich wspaniałą firmę. To dziecko potrzebowało przeszczepu, koniec, kropka. Szlag mnie trafia.

- Wiesz, Morgan, na czym polega twój problem? - spytała Janice. - Masz zbyt wielkie serce jak na tę branżę. Doktor Hunt ma rację. Tu nie chodzi o medycynę, tylko o pieniądze.

- Może i tak, ale gdyby choć na chwilę zapomnieć o finansach, ja też mam rację.

- No to lepiej się pilnuj. W tym biznesie ten, kto ma rację, szybko traci posadę.

Personel oddziału intensywnej terapii noworodków miał zbyt wiele spraw na głowie, by rozpamiętywać tragedię Giancoli. Opieka nad noworodkami wymagała od wszystkich ogromnego wysiłku i poświęcenia. Po upływie dwóch tygodni śmierć Nicholasa była już odległym wspomnieniem. Personel skupił uwagę na dopiero co przyjętych bliźniętach.

Zostały przywiezione helikopterem ze szpitala w South Shore, gdzie przyszły na świat. Lekarz, który przyjmował poród, wiedział, że jego pacjentka nosi bliźnięta, i nawet zastanawiał się, czy nie byłby wskazany poród siłami natury, mimo iż rozwiązanie nastąpiło przedwcześnie. Jednak gdy po upływie dłuższego czasu główka pierwszego z bliźniąt w ogóle nie zstąpiła do kanału rodnego, przeprowadzono cesarskie cięcie. W czasie zabiegu lekarze poznali przyczynę komplikacji: dzieci były zrośnięte miednicami.

Na szczęście, urodziły się żywe i mimo drobnej budowy początkowo były w dobrym stanie. Jednak żaden z pracowników szpitala nie widział do tej pory bliźniąt syjamskich, a tym bardziej nie opiekował się nimi. Dlatego błyskawicznie podjęto decyzję, że dzieci zostaną przetransportowane do Szpitala Uniwersyteckiego.

Zaraz po ich przybyciu lekarze zrobili wstępne prześwietlenie. Z zastosowaniem bardziej wyrafinowanych technik obrazowania, jak ultrasonografia czy tomografia komputerowa, trzeba było zaczekać do przyjścia radiologów z porannej



zmiany. Zdjęcia rentgenowskie wykazały, że bliźnięta są zrosnięte kością miedniczną. Jednak poza małą wysepką na grzebieniu biodrowym, wyglądało, że mają niewiele wspólnych kości.

Dzieci leżały naprzeciw siebie pod niewielkim kątem. Duży, rozciągnięty płat skóry łączył ich brzuchy. Za jego pośrednictwem z pewnością zrastały się fragmenty ich krwiociągów; najprawdopodobniej także niektóre narządy były wspólne, ale żeby mieć pewność, koniecznie należało wykonać bardziej szczegółowe badania. Na szczęście, problem na pewno nie dotyczył serca ani płuc. Niestety, nie kwestia wspólnych narządów była w tej chwili najważniejsza.

Większe znaczenie miał fakt, że bliźnięta były wcześniakami. Urodziły się po trzydziestu trzech tygodniach ciąży, a więc przed terminem. W przypadku większości noworodków nie miałyby to wielkiego znaczenia, jednak u bliźniąt wszelkie, wydawałoby się drobne problemy, przybierały poważne rozmiary, a u bliźniąt dotkniętych wadami rozwojowymi sytuacja stawała się jeszcze trudniejsza. Godzinę po przywiezieniu na oddział u dzieci wystąpiła ostra niewydolność oddechowa.

Intubowanie obojga naraz okazało się prawdziwym technicznym wyzwaniem. Samo wprowadzenie rurek było stosunkowo łatwe, ale ustawienie dwóch respiratorów tak blisko siebie sprawiło personelowi mnóstwo kłopotów. Wreszcie, dzięki odrobinie improwizacji, wszystkie trudności zostały przezwyciężone. Minęło jednak kilka godzin, zanim natlenowanie bliźniąt osiągnęło zadowalający poziom. A to był dopiero początek.

Personel oddziału intensywnej terapii noworodków szybko zrozumiał, że dzieci czeka długie, złożone leczenie. Całe szczęście, że z bliźniętami syjamskimi zrosniętymi miednicami było stosunkowo niewiele kłopotów. Można je było o wiele łatwiej rozdzielić niż dzieci połączone głowami czy piersiami, dla których taki zabieg mógłby skończyć się śmiercią. Jednak cóż z tego, że sama operacja rokowała spore nadzieje na sukces, skoro nie wiadomo było, czy w ogóle do niej dojdzie. Małe, źle rozwinięte noworodki przywiezione z South Shore ciągle były w stanie krytycznym. Musi upłynąć wiele tygodni, a może nawet miesięcy, zanim można będzie spróbować je rozdzielić.

Rozpoczęło się długie czuwanie.

Dla Neldy Nieves, matki bliźniąt, czuwanie okazało się zdecydowanie za długie. Zawsze denerwowała się, gdy ktoś jej pilnował, a kiedy się denerwowała, nie potrafiła zebrać myśli. Dwudziestoczteroletnia Nelda była jedną z wielu milionów nielegalnych

imigrantów, którzy przekroczyli Rio Grandę w latach dziewięćdziesiątych. W czasie podróży na północ wiele wycierpiała, a największym ciosem była dla niej śmierć dwóch bliskich przyjaciółek. Nelda była osobą głęboko wierzącą, trwającą w przekonaniu, że człowiek sam sprowadza na siebie nieszczęścia albo przez swoje czyny, albo przez niewłaściwe wychowanie. Była pewna, że jej przyjaciółki umarły, bo sypiały z ich przewodnikiem, El Coyote. Tak chciał Bóg.

Postanowiła więc, że nie pozwoli, by i ją spotkało coś takiego. Dlatego też była roztropna, ostrożna i na ogół unikała ekscesów. Po długiej tułaczce trafiła do Nowego Jorku, gdzie po kilku miesiącach zdobyła lewe papiery. Któregoś dnia obilo jej się o uszy, że szukają chętnych do pracy w fabryce na Long Island. Zarabiała tam nieźle, nikt jej o nic nie pytał, pracodawcy oferowali wiele dodatkowych korzyści, no a poza tym miała swój kąt w dzielnicy zamieszkaney przez Salwadorczyków. Wszystko było w porządku, dopóki nie poznała Arturo.

On też nielegalnie dostał się do Stanów. Miał gadane i był drobnym kanciarzem. Nelda wiedziała, że powinna trzymać się od niego z daleka, ale nie potrafiła oprzeć się jego promiennemu uśmiechowi i wesołym oczom. Obiecywał jej złote góry, a ona przez pewien czas mu wierzyła. Zostawił ją, kiedy była w czwartym miesiącu ciąży.

Nelda wiedziała, że to znak od Boga - by postępowała zgodnie z Jego nakazami i dała dziecku życie. Po kilku tygodniach uzalania się nad sobą poszła do znanego dobrze w jej środowisku lekarza. Kiedy dowiedziała się, że nosi w łonie gemelos, nie posiadała się z radości. Wierzyła, że los wreszcie się do niej uśmiechnął, aż do tej nocy, kiedy nastąpił poród. W tamtej chwili szczęście ją opuściło.

W czasie zabiegu była przytomna, dostała bowiem tylko znieczulenie miejscowe. Kiedy bliźnięta przyszły na świat, od razu wiedziała, że coś jest nie w porządku, choć personel nic jej nie powiedział. Początkowo, gdy zobaczyła dzieci, była głęboko wzruszona, jak każda matka. Kiedy jednak zostały odwinięte z koca, o mało co nie zemdląła z przerażenia.

To była *un maldicion*, kara za jej czyny. Od tamtej pory Nelda zamknęła się w sobie. Dochodząc do siebie w szpitalu, rozmawiała wyłącznie z księdzem. Była przekonana, że tylko przez pokutę może odzyskać łaskę Bożą - dlatego też musiała zniknąć i zostawić dzieci na łasce losu. W końcu były dziełem Szatana.

Jennifer Hartman od razu oswoiła się z myślą, że urodzi bliźnięta. Richard

Hartman natomiast długo nie mógł przyjąć do wiadomości, że będzie miał nie jedno, a dwoje dzieci. Na ogół to Richard był w ich związku roz-ważniejszym partnerem. Dzielnie zniósł pogardę okazywaną mu przez Robinsonów i stał się głową swojej własnej małej rodziny.

Jednak kiedy po wielu latach prób Jennifer wreszcie zaszła w ciążę, w jego uporządkowany świat wdarła się prawdziwa burza. Miał wrażenie, że stracił kontrolę nad własnym życiem. Minał miesiąc, zanim w pełni uprzytomnił sobie, że zostanie ojcem, i musiało upłynąć kolejne trzydzieści dni, żeby zaczął się z tego cieszyć. Jednak kiedy Jennifer powiedziała mu o bliźniętach, znowu stracił panowanie nad sobą.

Z byle powodu zaczynał wzywać imię Boga.

Jezu Chryste! - mamrotał, chodząc po małym domu, bijąc się otwartą dłonią w czoło.

- Jezu Chryste, jeszcze w tym tygodniu musimy wystawić dom na sprzedaż, bo inaczej nie zdążymy przed porodem znaleźć mieszkania z dwiema sypialniami!

- Uspokój się - powiedziała mu żona. - Dziś rano dzwonił do mnie facet z agencji nieruchomości. Trzyma rękę na pulsie.

- Nic nie rozumiesz! - upierał się Richard. - W tej chwili popyt na mieszkania przewyższa podaż! Jeśli nie wpłacimy odpowiednio wysokiej pierwszej raty, za żadne skarby nie załapiemy się na jakikolwiek porządny dom!

Jennifer z politowaniem pokiwała głową i uśmiechnęła się.

- Rozumiem z tego tyle, że fakt, iż zaszłam w ciążę, zmienił mojego obdarzonego zmysłem praktycznym męża w paranoicznego pedanta. Kupno domu, sprzedaż domu, czym tu się podniecać? Przecież to wcale nie jest takie ważne.

- Ale...

Jennifer wstała i uciszyła go pocałunkiem w policzek.

- Chodźmy. Ty postawisz mi kolację, a ja ci opowiem o dwóch kilogramach, które przybyły mi w tym tygodniu.

- Dwa kilo? - powiedział, waląc się dłonią w czoło. - Jezu Chryste!

Nazywało się to eufemistycznie "czasem poświęconym dziecku" czy "umacnianiem więzi rodzinnych", ale dla Brada chwile spędzane z synem Michaeliem były czymś nieporównanie ważniejszym. Nie potrzebował zachęty ani przymusu, by szukać jego towarzystwa. Mikey był nie tylko wiernym odbiciem swojej matki, ale i dobrym kumplem. Choć miał zaledwie osiem lat, już stawał się prawdziwym

indywidualistą o osobowości opartej na wrodzonej ciekawości świata. Teraz, kiedy wybierali się na pierwszy wspólny rejs, Brad zastanawiał się, jakie nowe wyzwania czekają go w miarę dorastania Michaela.

Brad nauczył się żeglować na ostatnim roku studiów w Yale i bardzo szybko stało się to jego pasją. Miał na nią niewiele czasu; w trakcie wieloletniego stażu rzadko znajdował choćby kilka godzin dla siebie. Marzył o tym, by pewnego dnia przepłynąć swoją łodzią ocean, a nawet wyruszyć w podróż dookoła świata. Jednak na obecnym etapie kariery zawodowej, pracując na pełnym etacie w szpitalu, nie mógł sobie na to pozwolić.

Choć bynajmniej nie był człowiekiem zamożnym, mądrze gospodarował pieniędzmi. Po sześciu latach praktyki zgromadził pewne oszczędności. Oprócz syna nie miał nikogo, z kim mógłby się nimi dzielić. Teściowie nie żyli, a sam Brad był jedynym dzieckiem od dawna rozwiedzionej kobiety, mieszkającej na osiedlu emerytów na Florydzie.

Poprzedniej jesieni Brad postanowił zaszaleć. Wpłacił pierwszą ratę za vectora 12.5, trzynastometrową żaglówkę. Łódź odebrał pół roku później i teraz, w sobotni poranek przed Dniem Pamięci, miał odbyć nią pierwszy rejs.

- Wszystko gotowe, synu? - zapytał.

- Jesteś pewien, że zdążymy przed pierwszą wrócić do domu? - odpowiedział pytaniem Mike.

- Oczywiście. A co właściwie ma być o pierwszej?

- Taki program na Discovery. O ufoludkach.

- Zdążymy - zapewnił go Brad. - Nie chcę, żebyś to przegapił. Może którejś nocy wyjdziemy na dwór i pooglądamy konstelacje? Mówię ci, nie ma to jak widok gwiazd nad wodą. Co ty na to?

- Chętnie.

Michael był zafascynowany wszystkim, co miało związek z kosmosem. Przeczytał niezliczoną ilość książek o astronomii i co niedziela podkreślał w programie telewizyjnym na następny tydzień interesujące go pozycje. Te, które były nadawane zbyt późno, nagrywał na wideo. Już jako mały brzdąc Mikey wiedział wszystko o kometach, działalności NASA, programie kosmicznym i teoriach dotyczących powstania wszechświata. Brad nie miał pojęcia, skąd u syna wzięły się te zainteresowania, ale starał się je podsycać.

Łódź była zacumowana przy molo, na przystani w Stony Brook. Brad pomógł

Mike'owi wejść na pokład, po czym włączył zasilanie i sprawdził poziom paliwa oraz stan przyrządów elektronicznych. Kiedy okazało się, że wszystko jest w porządku, zapalił silnik i pokazał Mike'owi, jak odwiązać cumy od kołków. Wkrótce potem sunęli już po wodzie na północ, w stronę cieśniny Long Island.

Był piękny wiosenny poranek. Promienie słońca odbijały się od pstrych drzew rosnących na brzegu. Wiał stały północno-zachodni wiatr. Kiedy łódź wypłynęła na otwartą wodę, Brad przywołał syna do siebie i pokazał mu, jak trzymać ster. Michael, przepełniony dumą, szybko zapalił się do nowego zadania. Wiatr rozwiewał mu proste jasne włosy.

Patrząc na syna, Brad poczuł ukłucie w sercu. Objął go ramieniem. Mikey podniósł wzrok na ojca.

- Tato, wszystko w porządku?

- Tak - odparł Brad łagodnym tonem. - Żałuję tylko, że nie ma tu twojej mamy.

## ROZDZIAŁ 4

Na drugi tydzień czerwca zaplanowano publikację rocznego raportu AmeriCare i krążyły słuchy, że będzie on wręcz niewiarygodnie korzystny. Pora była po temu odpowiednia. W ciągu poprzednich dwunastu miesięcy w firmie panował prawdziwy chaos. AmeriCare, jeszcze nie tak dawno wschodząca gwiazda Wall Street, padła ofiarą kryzysu finansowego. Początkowo firma prowadziła działalność tylko w Nowym Jorku, ale już dwa lata później, dzięki niezbyt wysokim składkom i zręcznemu marketingowi, zdobyła sobie klientów na całym północnym wschodzie Stanów. Cena akcji w ciągu kilku miesięcy skoczyła z dziewięciu do sześćdziesięciu dolarów. Wszystkie najważniejsze fundusze inwestycyjne włączały je do swoich portfeli. Jednak po kilku latach tłustych nadeszły lata chude, głównie dlatego, że dyrektorzy do spraw medycznych zgadzali się na finansowanie zbyt wielu nietypowych lub kosztownych zabiegów. AmeriCare przyjęła na siebie za dużo zobowiązań, na pokrycie których miała za mało funduszy.

Pierwszymi ofiarami stali się lekarze, którzy po kilka miesięcy, a czasami nawet rok, musieli czekać na zakontraktowane wynagrodzenie. Zarząd z dnia na dzień przestał wyrażać zgodę na finansowanie usług do tej pory objętych ubezpieczeniem; rozrastała się biurokracja, a liczba skierowań na specjalistyczne zabiegi gwałtownie spadała. Pod wpływem krytycznych wypowiedzi w mediach klienci rezygnowali z usług AmeriCare, a przez to zmniejszyły się dochody spółki. Jak należało się spodziewać, w wyniku tego fundusze inwestycyjne zaczęły się na gwałt pozbywać akcji AmeriCare i ich cena spadła na łeb, na szyję.

Wprowadzono wiele tymczasowych środków zaradczych, ale to nie wystarczyło. Mnożyły się zwolnienia pracowników i narady kryzysowe. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że jeśli nie uda się zatrzymać - a nawet odwrócić - spadku liczby klientów, firma nadal będzie tracić udział w rynku aż do kompletnego bankructwa. Trzeba było coś zrobić, i to szybko.

I nagle, kiedy wydawało się, że gorzej już być nie może, w głównej siedzibie firmy powiało optymizmem. Najpierw pojawiły się plotki, że firma wychodzi na swoje, a nawet odnotowuje niewielki zysk. Po raz pierwszy od wielu miesięcy pracownicy zaczęli się uśmiechać. Mówiło się, że do zarządu weszli nowi ludzie i niektóre z ich propozycji już wydawały owoce. Zmiany w stylu i filozofii zarządzania były zauważalne na wszystkich poziomach hierarchii firmy.

Morgan zwróciła na to uwagę w zimie, kiedy na jej biurko zaczęły trafiać

notatki dotyczące poszerzonego wachlarza usług oferowanych przez AmeriCare. Najwyraźniej ktoś doszedł do wniosku, że dobrym sposobem na zwiększenie liczby klientów jest zabieganie o nich, a nie odrzucanie. Firma zajęła się ubezpieczaniem kobiet w ciąży, czego wcześniej unikała. Wśród pracowników rozprawdzono dyrektywę zarządu, zapowiadającą nie tylko pokrywanie kosztów rutynowych zabiegów ginekologiczno-położniczych, ale i wejście na obszary niezagospodarowane przez większość pozostałych firm z tej branży: leczenie zaawansowanej bezpłodności, sztuczne zapłodnienia i aborcje między czwartym a szóstym miesiącem.

Morgan była mile zaskoczona. Przez osiemnaście miesięcy miała z zarządem na pieńku z powodu takich właśnie wydatków. Miała już dosyć odrzucania wniosków o finansowanie zabiegów takich, jak na przykład eksperymentalna operacja, potrzebna brutalnie zgwałconej kobiecie, zapłodnienie in vitro pacjentki naprawdę tego potrzebującej czy aborcja na prośbę dziewczyny, która po czterech i pół miesiącach ciąży dowiedziała się, że jej dziecko ma zespół Downa. Lekarze, co prawda, nadal musieli zgłaszać wnioski o finansowanie tego rodzaju usług, ale, o dziwo, Morgan od niedawna mogła opiniować je pozytywnie. Trochę ją to dziwiło, ale w sumie była zadowolona. Nadal wywierano na nią naciski, by odmawiała finansowania innych, bardziej skomplikowanych zabiegów, jak to było w przypadku Nicka Giancoli, ale, jak by na to nie patrzeć, zmiany w AmeriCare okazały się zdecydowanie korzystne dla ciężarnych kobiet.

Na ten dzień zwołano specjalną konferencję. Na podwyższeniu dla mówcy stał rozpromieniony prezes firmy, Daniel Morrison. Wysoki i dystyngowany, przemawiał dźwięcznym barytonem i emanował autorytetem. Ten były duchowny dawno temu opuścił Kościół, by zająć się administracją szpitali. Po uzyskaniu MBA na Uniwersytecie Columbia zainteresował się zarządzaniem ochroną zdrowia. Ambicje Morrisona przewyższało jedynie poczucie własnej wartości.

Morgan spóźniła się na konferencję i Morrison zawiesił na chwilę głos, by posłać jej gniewne spojrzenie. Nie przejęła się tym. Zawsze uważała Morrisona za moralizatora i bufona.

- ...kiedy już wszyscy zajmiecie miejsca, będziemy mogli przejść do interesujących nas spraw - mówił. - Będę się streszczał. Przed każdym z was leży kopia wstępnej wersji dorocznego raportu, który pierwszego sierpnia udostępniemy opinii publicznej. Jesteśmy z niego bardzo, ale to bardzo zadowoleni, zwłaszcza z kwartału kończącego się trzynastego maja. Dam wam teraz chwilę na zapoznanie się z

nim.

Raport rzeczywiście wyglądał na wstępny; składał się z kilkunastu spiętych kartek. Morgan wiedziała, że oficjalna wersja, która zostanie opublikowana za kilka tygodni, będzie miała błyszczącą okładkę, a w środku znajdą się kolorowe zdjęcia. Wyglądało na to, że zarząd pragnie jak najszybciej obwieścić światu swój sukces. Morgan przerzuciła kartki. Sumy przychodów, dochodu netto i zysków z akcji zostały zamieszczone na dole ostatniej strony.

Morgan nie wierzyła własnym oczom. Po wielu miesiącach strat finansowych firma nagle wyszła na prostą. Wszystko wskazywało na to, że nastąpił i wzrost dochodów, i spadek wydatków. To był naprawdę nieoczekiwany zwrot.

- A teraz - ciągnął Morrison - pragnę przedstawić wam człowieka, który jest w największym stopniu odpowiedzialny za ten cud. Wielu z was już go poznało, ale dla tych, którzy nie mieli tej przyjemności... Hugh, mógłbyś się nam pokazać?

Przy wtórze pojedynczych oklasków u szczytu stołu podniósł się mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat. Morgan rozpoznała go od razu. Doktor Hugh Britten był znanym na całym świecie ekonomistą. Nieco podobny do Billa Gatesa, Britten był wielokrotnie nagradzany teoretykiem, uważany za doskonały materiał na kandydata do Nagrody Nobla. Morgan słyszała, że został członkiem zarządu, ale do tej pory była przekonana, iż służył wyłącznie za kwiatek do kożucha.

- Prawdopodobnie nikt inny nie zrobił tyle dla naszej firmy co doktor Hugh Britten. Większość z was zna go jako profesora ekonomii na uniwersytecie, ale nie wszyscy wiedzą, że od prawie roku jest naszym doradcą. Jego propozycje w ogromnym stopniu przyczyniły się do naszych ostatnich sukcesów. Muszę przyznać, że początkowo wzbraniałem się przed ich przyjęciem, ale teraz jestem więcej niż szczęśliwy, że mogę przyznać się do błędu. Doktorze Britten, może zechce pan powiedzieć parę słów?

Britten z zawstydzonym uśmiechem wysłuchał pochwał pod swoim adresem. Jego falujące brązowe włosy były niemal tak samo zaniedbane jak beżowa marynarka, którą miał na sobie. Powoli rozejrzał się po twarzach zebranych, zatrzymując wzrok na Morgan.

- Właściwie to nie sędzę, żebym miał aż taki wpływ na to, co się stało - powiedział skromnie. - Chciałbym jednak podziękować Danowi za te ciepłe słowa. Jestem również wdzięczny zarządowi firmy za to, że wykazał skłonność do kompromisu. Moje propozycje w gruncie rzeczy opierały się na prostych zasadach



ekonomii, na bilansie podaży i popytu. W pewnych obszarach istniało zapotrzebowanie na usługi, które AmeriCare mogła zapewnić. A wy wszyscy, w waszych działach, umożliwiliście wprowadzenie moich propozycji w życie. I za to wam dziękuję. - Z tymi słowy usiadł.

A więc to ty stoisz za tymi zmianami, pomyślała Morgan. Może źle oceniłam tego wymoczkę?

Wykłady dla studentów medycyny na Uniwersytecie Stanowym w Stony Brook często odbywały się w salach osiemnastopiętrowego wieżowca ze szkła i betonu, znanego jako Ośrodek Nauk Medycznych. Był późny poranek i właśnie kończyły się zajęcia jednej z grup. Brad spojrzął na zegarek, wyłączając projektor.

- No i to by było wszystko - powiedział do grupy studentów. - Z tych zajęć powinniście zapamiętać przede wszystkim to, że tak naprawdę poczyniliśmy niewielkie postępy w diagnozowaniu i prowadzeniu przedwczesnego porodu. Zachorowalność i śmiertelność z tym związane utrzymują się na bardzo wysokim poziomie, podobnie jak koszty. Pojawiają się, co prawda, pewne stosunkowo obiecujące rozwiązania tego problemu, jak choćby badanie poziomu estriolu w ślinie, ale wciąż pozostaje on wyzwaniem dla medycyny.

Włączył się biper Brada. Sprawdził numer: 4050 - to oznaczało salę porodową. Spojrzął na swoich słuchaczy. Około stu studentów trzeciego roku medycyny, siedzących we wznoszących się ku końcowi sali rzędach ław, patrzyło nań wyczekująco.

- Obawiam się, że będziemy musieli ograniczyć się do jednego pytania. - Wskazał studenta, który zgłosił się pierwszy.

- Wiem, że to trochę nie na temat - zaczął student - ale jakie jest pańskie zdanie na temat ostatnich zgonów na oddziale intensywnej terapii noworodków? Pytaliśmy o to doktora Harringtona, ale niewiele nam powiedział.

- Doktor Harrington jest w tej sprawie najbardziej kompetentną osobą - powiedział Brad, zaskoczony pytaniem - ale nie może jeszcze powiedzieć nic konkretnego, podobnie jak ja. Teraz jednak przepraszam państwa, bo muszę już iść...

Do Szpitala Uniwersyteckiego przysyłały pacjentów rozmaite stowarzyszone z nim kliniki, włącznie z tą, która znajdowała się w Riverhead. W okolicy mieszkali głównie ubodzy ludzie, korzystający z ubezpieczenia Medicaid. W klinice w Riverhead

leczyli się także imigranci zatrudnieni na farmach, głównie Latynosi.

Wśród nich była Milagros Hernandez. Dwudziestoczteroletnia kobieta z Hondurasu spodziewała się trzeciego dziecka. Choć zbliżał się termin rozwiązania, nie przestała pracować jako sprzątaczką, pozostawiając dzieci pod opieką rodziny. Lekarze z kliniki polecieli jej, by przyjechała do nich, gdy tylko poczuje skurcze, bo ma już kilkucentymetrowe rozwarcie. Milagros jednak była kobietą ze wszech miar uczciwą i zawsze starała się sumiennie wypełniać wszelkie powierzane jej zadania. Dlatego, kiedy poczuła bóle, zaczęła do końca swojej zmiany, zanim wybrała się do szpitala. Poza tym, myślała, lekarze z kliniki to mężczyźni, a ona miała już za sobą kilka fałszywych alarmów. Postanowiła zaufać swojej intuicji.

Brad szybko wyszedł z sali, pojechał windą na ósme piętro i korytarzem łączącym budynki przeszedł do szpitala. Na jego widok pielęgniarka, wyraźnie podekscytowana, wskazała palcem drzwi jednej z trzech sal.

- W trójce, doktorze Hawkins.

Brad przedarł się przez grupę ludzi wychodzących na korytarz. W poprzek materaca, z rozłożonymi rękami, leżała rodząca kobieta. Jej cienka kwiecista sukienka była podciągnięta do piersi, odsłaniając brzuch. Kobieta jęczała głośno i parła z całej siły, nie panując już nad odruchami. Miała zamknięte oczy, zaciśnięte zęby i była zlane potem. Wokół niej krzątał się zaaferowany personel medyczny.

Pielęgniarka próbowała zacisnąć mankiet na nadgarstku prawej ręki pacjentki. Po drugiej stronie stażystka nieporadnie nakładała kobiecie opaskę uciskową, usiłując znaleźć żyłę, do której można by wprowadzić kroplówkę. Do brzucha pacjentki były przymocowane dwa białe paski połączone z monitorem stanu płodu. Wokół wily się inne przewody, nie spełniające swoich funkcji, albo dlatego że były źle podłączone, albo z powodu mimowolnych ruchów rodzącej kobiety, albo z obydwu tych przyczyn jednocześnie. Przed pacjentką stała wyraźnie wystraszona lekarka.

- Co pani tu ma, doktor Chang? - spytał Brad.

- Doktorze Hawkins, dzięki Bogu, że pan tu jest! Tuż przed tym, jak pana wezwaliśmy, pękły błony płodowe i zdaje się, że ułożenie dziecka jest pośladowe!

Jakby na podkreślenie tych słów, pacjentka jęknęła i zaczęła przeć. Z jej pochwy trysnął strumień przejrzystego płynu, po czym wyłoniła się mała stopka. Jedna z pielęgniarek wstrzymała oddech.

- Cholera - mruknęła Chang.

Brad spojrział na blednącą gwałtownie lekarkę.

- Z iloma takimi przypadkami miałaś do czynienia, Mei Mei?

- Było ich kilka - powiedziała z wahaniem. - Ale ani jeden na żywo. Nie powinniśmy jej przenieść na porodówkę?

- Oczywiście, zrobimy to, kiedy będziemy mieli trochę czasu. Co o niej wiemy?

- *Ay, Dios mio* - jęknęła kobieta.

- Pani Hernandez jest pacjentką stowarzyszonej z nami kliniki - powiedziała Chang. - Wiek: dwadzieścia cztery lata, czwarta ciąża, dwie donoszone, mniej więcej trzydziesty dziewiąty tydzień, żadnych komplikacji. Nie spodziewaliśmy się, że ją nam przysła. Skurcze zaczęły się mniej więcej godzinę temu; kiedy przywieźli ją tutaj, miała już dziewięciocentymetrowe rozwarcie. Ledwie położyliśmy ją do łóżka, nastąpiło pęknięcie błon płodowych.

- Wezwałaś anestezjologa i pediatrów?

- Już tu idą.

Dwie pielęgniarki szybko odblokowały koła wózka, ale zanim zdążyły pchnąć go do wyjścia, pacjentkę chwycił następny skurcz. Kobieta wykrzywiła twarz i znów zaczęła przeć. Niemal od razu obok wystającej stopki pojawiła się druga, a zaraz wyłoniły się obie nóżki aż do kolan.

- No to porodówkę możemy sobie wybić z głowy - powiedział spokojnie Brad, wyjmując paczkę sterylnych rękawic. - Poród nastąpi za minutę, dwie. I odpuść sobie tą kroplówkę - rzucił do stażystki. - Przeżyje i bez niej. Teraz ściągniemy rodzącą na krawędź łóżka i będziemy udawać, że przyjmujemy normalny poród.

Trzeba było czterech osób, żeby ułożyć panią Hernandez w odpowiedniej pozycji na brzegu materaca. Z jej piersi wyrwał się następny głośny jęk.

- No dobra, Mei Mei - powiedział Brad. - Rób, co do ciebie należy.

- Ale... co właściwie mam robić?

Brad uprzytomnił sobie, że Chang, co zrozumiałe, jest zdenerwowana; na szczęście nie wpadła w panikę.

- Najważniejsze - powiedział - żeby na razie nie robić nic. Jeśli będziesz się za bardzo spieszyć, może wyniknąć z tego więcej szkody niż pożytku. Niech dziecko wyjdzie samo aż po biodra, dobrze? To nie potrwa długo.

Wszystkie instrumenty były już gotowe. Brad rozłożył sterylny niebieski ręcznik i zamoczył go w miednicy. Kiedy do pomieszczenia wpadł pediatra i z miejsca zaczął zadawać pytania, doktor Hawkins spokojnie uniósł rękę, nakazując milczenie. Jedna z pielęgniarek otarła wilgotne czoło pacjentki. Po kilku sekundach nastąpił

kolejny skurcz. Brad wziął doktor Chang za rękę i ustawił ją między nogami rodzącej kobiety.

Nie musieli długo czekać. Dziecko było zwrócone buzią w dół. Kiedy pani Hernandez zaczęła przec, oczom lekarzy ukazała się dolna część pośladków, a potem organy płciowe noworodka. Była to dziewczynka.

- Do dzieła, doktor Chang - powiedział Brad, podając jej jednorazowy sterylny ręcznik. - Proszę chwycić dziecko tuż pod udami i pociągnąć w dół. Delikatnie.

Lekarka wykonała polecenie. Noworodek wysuwał się powoli, ale bez żadnych trudności. Brad chwycił palcami wylaniającą się pępowinę i wyciągał ją, centymetr po centymetrze. Chang tymczasem odbierała noworodka; wkrótce ujrzeli jego plecki.

- Dobrze, dobrze - powiedział Brad - na to właśnie czekaliśmy. Kiedy tylko zobaczysz pachy, obróć tułów o dziewięćdziesiąt stopni, żeby wyciągnąć ramię.

- W którą stronę?

- Wszystko jedno. Sama zdecyduj.

Lekarka obróciła tors dziecka w lewo, wykręcając jego lewe ramię pod kością łonową matki. Po chwili wyłonił się staw barkowy. Brad owinął brzuch noworodka wilgotnym ręcznikiem i delikatnie uniósł dziecko.

- Mam - powiedział. - Chwyć małą za ramię i pociągnij do siebie. Doktor Chang wsunęła dwa palce pod miednicę pacjentki, szukając rączki dziecka. Wymacawszy ją, wykonała polecenie Brada.

- Znakomicie - powiedział. - A teraz znowu złap ją za biodra i powoli obróć o sto osiemdziesiąt stopni, żeby wyciągnąć drugie ramię.

Brad spokojnie, krok po kroku, prowadził Chang przez resztę porodu. Wkrótce z pochwy wyłoniła się głowa dziecka i doktor położyła nowo narodzoną dziewczynkę na brzuchu matki. Następnie odsunęła się, by inni mogli oczyścić gardło noworodka i zawiązać pępowinę. Chang spojrzała na Hawkinsa przez ramię, uśmiechając się szeroko.

- Dziękuję, doktorze. Pod koniec było już łatwiej, ale bez pana nie poradziłabym sobie.

- Następnym razem będziesz musiała, więc zapamiętaj wszystko, co tu robiliśmy. - Brad ściągnął rękawice, poklepał ją po plecach i wyszedł z sali.

Doktor Chang, wciąż rozpromieniona, odprowadziła go wzrokiem. Sama obecność Hawkinsa dodawała jej pewności siebie. Podobnie zresztą myślała o nim większość młodych lekarzy. Wszyscy chcieliby w przyszłości być takimi położnikami

jak on.

- Wybij to sobie z głowy - powiedział doktor Schubert do słuchawki. - Nie ma mowy, żebym zgodził się na coś takiego!

- Arnoldzie, wysłuchaj mnie - uspokajał go adwokat. - Albo się zgodzisz, albo sprawa trafi do arbitrażu, a nie masz żadnych szans na wygraną. Radzę ci, żebyś ustąpił i poszedł na ugode.

- Na Boga, kiedy to się skończy? Skąd mogę mieć pewność, że za miesiąc nie zażąda więcej?

- To wykluczone. Jeśli się zgodzisz, gwarantuję ci co najmniej trzy lata spokoju. Schubert westchnął, przeczesując palcami siwiejące włosy.

- No dobrze, skoro tak uważasz... Ale chcę mieć wszystko na piśmie, dobrze? - Odłożył słuchawkę ze złością.

Ta kobieta obdzierała go ze skóry! Tak to przynajmniej odczuwał, chociaż, szczerze mówiąc, ciągle miał dużo pieniędzy. Myślał, że w ciągu siedemnastu lat małżeństwa zdążył ją dobrze poznać. A jednak się pomylił. Żyli w separacji zaledwie pół roku, a już musiał bulić jej i dzieciakom dziesięć patoli alimentów, i jeszcze było tej suce mało! Za co on płacił swojemu adwokatowi?

Do gabinetu zajrzała pielęgniarka, wymachując kartką papieru.

- Przyszły wyniki badań Cutrone.

Schubert wziął kartkę i przesunął po niej wzrokiem. Przed tygodniem przeprowadził punkcję płynu owodniowego u Alyssy Cutrone, dwudziestopięcioletniej matki dwojga dzieci. Została do niego skierowana z powodu stwierdzonego podwyższonego poziomu AFP. Podwyższona zawartość alfa-fetoproteiny we krwi mogła świadczyć o wadach rozwojowych płodu, w tym o zespole Downa; nawet po uwzględnieniu wagi, wieku ciążowego i faktu wystąpienia ciąży mnogiej, poziom tego związku u Cutrone był za wysoki. Jedyнным sposobem stwierdzenia, czy rzeczywiście u płodów występowały wady rozwojowe, była amniopunkcja.

Wykonanie takiego badania na bliźniętach nie było łatwe. Żeby się udało, dzieci musiały znajdować się w oddzielnych pęcherzach płatowych - jak to zwykle bywało - aby mieć pewność, że każdy z nich zawiera wody płodowe tylko jednego dziecka. Po pobraniu próbki należało dołożyć wszelkich starań, by nie wymieszać jej z próbką wód z drugiego pęcherza.

Dlatego też podczas punkcji Schubert zachował wymagane środki ostrożności.

Za pomocą ultrasonografu obejrzał obydwaj płody i ustalił ich dokładne położenie, a po nakłuciu pierwszego pęcherza wprowadził do niego niebieski barwnik, by upewnić się, że płyn nie przedostaje się do drugiego. Na podstawie badania ultrasonograficznego stwierdził, że dziecko "A", dziewczynka, leży głową do dołu; ułożenie dziecka "B", prawdopodobnie chłopca, było pośladkowe. Jednak przesłany Schubertowi raport z wynikami badań próbek był zaskakujący.

Według analizy jeden z płodów rzeczywiście posiadał dwudziesty pierwszy chromosom, co oznaczało, że jest dotknięty zespołem Downa. Okazało się jednak, że oboje dzieci to dziewczynki. Najwyraźniej podczas badania zaszła jakaś pomyłka. Stanowiło to pewne utrudnienie, ale niezbyt duże. Według raportu z laboratorium, znajdujące się na dole dziecko "A" miało zespół Downa. To właśnie "A" Schubert badał jako pierwsze i w pęcherzu płodowym powinny zostać resztki barwnika. Byłoby jeszcze łatwiej, gdyby płody nie zmieniły położenia. Schubert, wciąż poirytowany rozmową telefoniczną, wziął raport i wstał zza biurka.

Pacjentka czekała w pokoju badań numer jeden. Po rozmowie ze swoim adwokatem Schubert nie musiał się wysilać, by przywołać na twarz posępną minę. Od razu przeszedł do rzeczy. Uniósł trzymaną w dłoni kartkę.

- Obawiam się, że nie mam dobrych wiadomości, Alysso. Przerażona kobieta uniosła dłonie ku szyi.

- To znaczy?

- Nie będę owijał w bawełnę. Wygląda na to, że jedno z dzieci ma zespół Downa.

- O mój Boże. - Jej drżący głos przeszedł w szept. - Które?

- To, które jest niżej, ułożone głową w dół. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Och, nie, tylko nie dziewczynka! - Miała już dwóch synów.

- Prawdę mówiąc, według wyników analiz to dziewczynki. Kobieta otarła oczy, zaskoczona.

- A przecież mówił pan, że...

- Tak, myśleliśmy, że "B" jest chłopcem, ale czasami zdarzają się takie pomyłki przy sonografii. To, co wygląda na mosznę, może być w rzeczywistości spuchniętymi wargami sromowymi. - Postukał palcem w kartkę. - Badania laboratoryjne są prawie w stu procentach pewne.

- Czy to możliwe, że popełniono jakiś błąd?

- No cóż, zawsze istnieje taka możliwość, ale odkąd sięgam pamięcią,

laboratorium jeszcze nigdy się nie pomyliło. Skoro wyniki badań wskazują, że dziecko ma trisomię, to nie można tego podawać w wątpliwość. - Zawiesił głos, patrząc jej w twarz. - Chcesz, żebym zadzwonił do twojego męża? Alyssa zrezygnowana pokręciła głową.

- Nie, ja... my już o tym rozmawialiśmy. Co teraz będzie?

- Jest kilka możliwości. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale jednym z powodów, dla których inni lekarze kierują pacjentki takie jak ty do mnie, jest fakt, że jestem specjalistą od selekcji płodów. Wiesz, na czym to polega?

- Coś o tym słyszałam, ale...

- Mówiąc krótko - tłumaczył Schubert - jest to zabieg pozwalający kobietom w ciąży mnogiej usunąć jeden lub większą liczbę płodów. Słyszałaś o dzieciach z próbówki, prawda? Początkowo selekcję stosowano w przypadkach komplikacji po zapłodnieniu i/i vitro, gdy kobietom wszczepiano cztery, pięć czy sześć płodów i nieoczekiwanie wszystkie razem zaczynały się rozwijać. Tego rodzaju ciąży mogą sprawiać matkom wielkie trudności. Takie kobiety jak ta, która niedawno urodziła zdrowe siedmioraczki, są wyjątkami. W ogromnej większości przypadków tego typu występują powikłania mogące zagrozić życiu wszystkich dzieci, na przykład przedwczesny poród.

Alyssa nic nie powiedziała, patrzyła tylko na niego, przygnębiona.

- Zabieg ten jest także skuteczny w przypadku bliźniąt - powiedział. - Chcesz, żebym powiedział ci, jak to wygląda? Potrząsnęła przecząco głową.

- Niech pan robi, co uzna za konieczne.

- Czyli chcesz, żebym wykonał zabieg?

Jej podbródek zaczął drżeć. Po chwili pokiwała głową. Następnie spojrzała Schubertowi w oczy.

- Myśli pan, że podjęłam właściwą decyzję? Skinął głową.

- Alyso, na twoim miejscu postąpiłbym tak samo.

Wiedział, że w normalnych okolicznościach powinien powiedzieć jej o zagrożeniach i korzyściach związanych z zabiegiem, potencjalnych powikłaniach i alternatywnych sposobach leczenia. Jednak Arnold Schubert konsekwentnie zmierzał do celu. Cierpiał na chroniczny brak pieniędzy, a płacono mu za to, by pomagał przychodzącym doń kobietom podjąć taką decyzję, jaką przed chwilą podjęła Alyssa.

W odróżnieniu od Morgan, swojej szwagierki, Richard Hartman nie miał

pojęcia, co u kobiety w ciąży jest normalne, a co nie. Nie powstrzymało go to przed wypowiedzianiem na głos swoich spostrzeżeń.

- Jak na siódmy miesiąc jesteś strasznie gruba - powiedział, patrząc na żonę.

- Dzięki.

Zawsze lubił patrzeć, jak Jennifer wkłada pończochy. Teraz jednak kostki jej kształtnych nóg były opuchnięte, a twarz wydawała się obrzmiała, zwłaszcza wokół oczu. Jeszcze bardziej imponująco prezentował się okrągły brzuch; Jennifer wyglądała, jakby lada dzień miała rodzić.

- Jesteś pewna, że nie schowało się gdzieś tam trzecie dziecko?

- Ha, ha, bardzo śmieszne. - Pociągnęła łyk wody mineralnej Evian. - Boże, ciągle mi się chce pić. Będę musiała spytać lekarza, co to znaczy.

- Kiedy masz następną wizytę?

- Jutro. Ciekawe, czy powie coś o mojej wadze.

- A ile ci przybyło?

- Och, mniej więcej trzy kilo w dwa dni.

- Trzy kilo? - Richard zerwał się i uderzył dłonią w czoło. - Jezu Chryste, teraz to już naprawdę potrzebujemy większego domu!

Mała grupka studentów skupiła się wokół ordynatora oddziału neonatologii. Wieść o zrosniętych bliźniętach obiegła szpital lotem błyskawicy. Jeszcze nikt nie widział czegoś takiego. Choć oficjalnie wstęp na oddział intensywnej terapii noworodków miał tylko jego personel, ostatnio kręcili się po nim najprzeróżniejsi pracownicy szpitala, pragnący na własne oczy zobaczyć syjamskie dziwadła.

Doktor Albert Harrington odsunął się, by zrobić pani technik miejsce do pracy. Była całkiem dobra w swoim fachu, jak na kogoś, kto zdobył wykształcenie za granicą. Pochodziła z Haiti i mówiła ze śpiewnym, rytmicznym akcentem. Pracowała w szpitalu od sześciu miesięcy. Teraz ustawiła wentylator, przygotowując się do ekstubacji.

Oddychanie przez plastikową rurkę w gardle to nic przyjemnego, bez względu na wiek chorego; dlatego też dzieci Neldy Nieves aż do tej pory były pod działaniem lekkich środków uspokajających, by oszczędzić im stresu. Dochodząc do siebie, zaczęły się wiercić i otwierać oczy. Ich delikatne rysy twarzy i ciemne błyszczące oczy wskazywały na to, że będą ładnymi dziećmi. Leżały zwrócone twarzami do siebie, tak, że pierwsze, co zobaczyły po przebudzeniu, były ich lustrzane odbicia. Nad nimi



górowała niewyraźna plama złożona z dużych, ubranych na biało kształtów.

- Jak przyjęli to ich rodzice? - spytał jeden ze studentów.

- Dobre pytanie - powiedział Harrington. - Matka jest samotna. Była ubezpieczona i w czasie ciąży zapewniono jej dobrą opiekę. Urodziła przez cesarskie cięcie w jednym ze szpitali w South Shore, a dzieci zostały przewiezione tutaj. Jednak z niewiadomych przyczyn po wypisaniu ze szpitala zniknęła. Pielęgniarki twierdziły, że sprawiała wrażenie dość wystraszonej. Od tamtej pory nie udało się jej odszukać.

- Co się stanie, jeśli jej nie znajdziecie?

- Niestety - powiedział Harrington - czasami zdarzają się takie sytuacje. Wówczas zostaje wyznaczony opiekun i dzieci trafiają pod nadzór stanu.

- Dlaczego nazywa się braćmi "syjamskimi"? - spytał inny student.

- Prawdę mówiąc, pierwszy udokumentowany przypadek tego typu dotyczył dzieci, w których żyłach płynęła krew w trzech czwartych chińska i tylko w jednej czwartej syjamska - powiedział Harrington. - Autorem tego określenia jest P.T. Barnum, który w ten właśnie sposób nazwał Enga i Changa Bun-kerów, będących przez trzydzieści lat jedną z atrakcji jego cyrku. Byli, jak to się fachowo określa, bliźniętami thoracopagus, połączonymi klatką piersiową. Bracia Nieves są zrośnięci biodrem, dlatego nazywa się ich ischiopagus. Jednak prawdopodobnie ten płat tkanki brzusznej łączy także część narządów. Po przeprowadzeniu ekstubacji, czym właśnie zajmuje się pani technik, przeprowadzimy skan CAT, aby sprawdzić, jak to dokładnie wygląda.

- Czy można je rozdzielić?

- Przypuszczalnie tak - powiedział Harrington. - Jeśli dzieci mają wspólną tylko tkankę jelit i wątroby, operacja nie będzie zbyt skomplikowana i prawdopodobieństwo powodzenia jest dość wysokie. Jednak nieprędko do niej dojdzie. Dzieci powinny trochę przybrać na wadze, a ich stan musi być ustabilizowany. Czekają nas też sporo papierkowej roboty. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, spodziewam się, że chirurdzy będą mogli przystąpić do zabiegu za parę miesięcy, powiedzmy, pod koniec września.

Technik wyjęła rurki od respiratora. Wkrótce, dzięki pomocy i zachętom pielęgniarek, dzieci zaczęły oddychać same. Harrington i towarzyszący mu studenci oglądali je przez chwilę, po czym podeszli do sąsiedniego inkubatora. Obchód trwał jeszcze czterdzieści pięć minut; po jego zakończeniu grupa opuściła oddział intensywnej terapii noworodków i ruszyła do najbliższej windy.

Po chwili na korytarz wybiegła wyraźnie wzburzona pielęgniarka i zaczęła przyzywać Harringtona. W tej samej chwili z głośników popłynęło ogłoszenie o zatrzymaniu akcji serca u któregoś z pacjentów na oddziale dopiero co opuszczonym przez doktora i jego studentów.

- To bliźnięta Nieves! - krzyknęła pielęgniarka.

Harrington natychmiast wbiegł z powrotem na oddział intensywnej terapii noworodków. Jednak jego wysiłki na nic się zdały. Po pięćdziesięciu minutach zaniechano rozpaczliwych prób reanimacji. Bliźnięta zostały uznane za zmarłe.

Od pół roku Schubert czuł się w klinice jak w urzędzie ziemskim. Oprócz własnych przyjmował pacjentki podsyłane mu przez innych lekarzy, a także przez niektóre firmy ubezpieczeniowe. Przed trzema laty odbył dwutygodniową

praktykę w nowojorskim szpitalu Mount Sinai. Półtora roku później opublikował na ten temat pracę, która zyskała spore uznanie.

Pracę ułatwi Schubertowi wydany w 1998 roku raport Specjalnej Stanowej Komisji do spraw Życia i Prawa. Wśród jego wniosków znalazł się i taki, by specjaliści od leczenia bezpłodności wstrzymywali się od stosowania technik powodujących ciężę mnogie, a gdyby to nie poskutkowało, lekarze powinni informować pacjentki o celowości usunięcia jednego lub większej liczby "nadprogramowych" płodów.

Schubert nie ograniczał się do prowadzenia selekcji płodów; w jego klinice dokonywano też aborcji między szóstym a dwudziestym czwartym tygodniem ciąży - wykonywanie zabiegu w późniejszym okresie było prawnie zabronione. Schubert specjalizował się w usuwaniu ciąży między trzynastym a dwudziestym czwartym tygodniem. Większość lekarzy unikała tego typu zabiegów, bo były skomplikowane i dość nieprzyjemne. Dla Schuberta zaś stanowiły główne źródło dochodów.

Tego ranka, o dziesiątej, do kliniki przyjechała Alyssa Cutrone z mężem. Była w dwudziestym tygodniu ciąży. W tym trudnym dla siebie momencie liczyła na to, że lekarz otoczy ją szczególną opieką. Jednak w poczekalni oprócz niej było już kilka innych, wyraźnie zdenerwowanych pacjentek, Rejestratorka wręczyła Alyssie formularze do wypełnienia, a potem pobrano jej próbki krwi i moczu. Jeszcze krótkie spotkanie z psychologiem, po czym rozpoczęło się czekanie.

Wreszcie kilka minut po jedenastej Alyssa została zaprowadzona do szatni, gdzie przebrała się w koszulę. Następnie skierowano ją do gabinetu zabiegowego. W oczach laika, takiego jak Alyssa, wyglądał jak mała sala operacyjna z silną lampą u

góry, wyposażonym w strzemiona stołem zabiegowym, ustawionym na środku, przenośnym ultrasonografem i szafkami ze stali nierdzewnej. Po chwili zjawił się doktor Schubert z szerokim uśmiechem na twarzy, wybitnie niestosownym w tej sytuacji. Towarzyszyła mu pielęgniarka.

Poprosił Alysę, by położyła się na stole. Mimo że blat był owinięty ligniną, kobieta poczuła pod plecami chłód i zadygotała. Pielęgniarka przysunęła ultrasonograf i przykryła brzuch Alyssy sterylnymi ręcznikami.

- Jak zapewne wytłumaczyła ci pani psycholog - powiedział Schubert - najpierw zrobimy ultrasonografie, a potem zastrzyk.

- Właściwie to nic mi nie wytłumaczyła.

- No to ja ci powiem - ciągnął lekarz. - Jak zapewne pamiętasz, płód, którym się zajmujemy, położony jest w dolnej części macicy. To ten z zespołem Downa.

Alyssa skinęła głową i zamknęła oczy. Zwróciła uwagę na to, że doktor Schubert bardzo się stara, by mówić "płód", a nie "dziecko". Nie chciała go jednak poprawiać. W tej chwili pragnęła tylko, by już było po wszystkim.

- Za pomocą ultrasonografu upewnimy się, że nic się nie zmieniło, a potem zrobimy zastrzyk. Zastosujemy chlorek potasu, zgoda? Czy spodziewał się, że ona zaprotestuje?

- Dobrze. - Poczula na skórze chłodny dotyk rozprawianego żelu.

- Zakładam sterylną pokrywkę sondy, by nie doszło do zakażenia - powiedział. - Zaczynam skan. Chwileczkę...

Schubert wbił wzrok w obraz, który pojawił się na monitorze. Człowiek z jego doświadczeniem nie miał trudności z rozróżnieniem bliźniąt, mimo że widoczne były części ciała obu płodów. Jednak po chwili zmarszczył brwi. Bliźnięta nie były w tym samym położeniu co poprzednio.

Kiedy wykonywał punkcję, jeden z płodów był zwrócony głową do szyjki macicy, a drugi pośladkami. Teraz jednak bliźniaczka "B" odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i leżała obok siostry. Obydwa płody ustawione były głową w dół. Dziecko widoczne po lewej stronie monitora znajdowało się nieco niżej, tak jak w ubiegłym tygodniu. Schubert uznał, że to jest płód "A". Spojrzał na pielęgniarkę. Wcześniej powiedział jej, co powinna zobaczyć na monitorze, patrzyła więc na niego pytająco.

- Nie ma powodu do niepokoju - powiedział, wskazując wolną ręką monitor. - To jest płód z zespołem Downa. Alysę uderzyła zmiana jego tonu.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście. Sprawdzamy tylko ustawienie płodów. Postaraj się nie ruszać podczas zastrzyku.

Schubert przygotował strzykawkę ze stężonym chlorkiem potasu, po czym wziął się do pracy. Znieczulił miejsce nakłucia lidokainą, po czym ostrożnie wprowadził dziesięciocentymetrową igłę do jamy owodni. Mierzył w szybko bijące serce płodu. Zręcznie przebił igłą klatkę piersiową i osierdzie dziecka, po czym wyciągnął mandryn. Do wnętrza wpłynęło kilka centymetrów sześciennych krwi płodowej. Schubert szybko połączył igłę z wypełnioną płynem strzykawką i wcisnął tłok.

Razem z pielęgniarką obserwował monitor, zasłonięty przed Alyssa. Widoczne na ekranie serce biło jeszcze przez kilka sekund. Nagle wstrząsnął nim gwałtowny skurcz, który przeszedł w rozpaczliwe trzepotanie. Nie minął ułamek sekundy, a serce znieruchomiało. Schubert zdjął ręczniki z brzucha pacjentki.

- No i po bólu, Alyssso. Jej podbródek drżał.

- Czy... czy dziecko...

- Teraz tym się nie przejmuj - przerwał jej. - Już po wszystkim. Myśl o tym, które jest zdrowe.

Kobieta zerwała się. Pragnęła natychmiast stąd wyjść. Nie mogła powstrzymać łez.

- I to wszystko? - wykrztusiła. - Ot tak, moje dziecko...

- Alyssso, proszę cię - powiedział Schubert. - Nie zrobiłbym tego bez twojej zgody. Wierz mi, to było najlepsze wyjście. Wytarła oczy.

- I co teraz?

- Teraz wrócisz do domu i przez resztę dnia będziesz odpoczywać. A potem pozostanie ci tylko czekać na poród. Płód, którym się zajęliśmy, przestanie rosnąć i może nawet zostać wchłonięty.

- Ale drugiemu dziecku nic nie będzie, prawda?

- Najprawdopodobniej. To znaczy, istnieje pewne niebezpieczeństwo pęknięcia błon, a nawet przedwczesnego porodu, ale bardzo niewielkie. Pielęgniarka zaprowadzi cię do przebieralni.

Schubert patrzył, jak jego pacjentka niepewnie podnosi się ze stołu, załamana, ale zdrowa i cała. Kobiety zawsze bardzo przeżywały coś takiego i wcale go to nie dziwiło. Nie mógł jednak zaprzętać sobie tym głowy. Taki miał fach i w tym, co robił,

był dobry.

## ROZDZIAŁ 5

Na wpół uśpiona Morgan usłyszała dzwonek telefonu, jakby dobiegał z drugiego końca tunelu. Bezwiednie podniosła słuchawkę i wymamrotała "halo", zanim uświadomiła sobie, że popełnia błąd. Spojrzawszy przymrużonymi oczami na podświetlaną tarczę stojącego przy łóżku zegara, zauważyła, że jest wpół do dwunastej w nocy.

Jeszcze nie w pełni rozbudzona, czekała, aż ktoś się odezwie. W słuchawce jednak panowała cisza. Morgan natychmiast otrzeźwiała i podparła się na łokciu. Idiotka ze mnie, pomyślała. Przecież specjalnie po to kupiła automatyczną sekretarkę, żeby unikać takich sytuacji. Mimo że jej numer był zastrzeżony, Morgan, podobnie jak wiele samotnych kobiet, często padała ofiarą żartownisiów. Automatyczna sekretarka miała być dodatkowym zabezpieczeniem. Serce Morgan zaczęło bić szybciej. Wpatrzona szeroko otwartymi oczami w mrok, starała się zachować spokój.

- Halo? - powtórzyła.

- Doktor Robinson? - usłyszała nieznany jej męski głos.

- Kto mówi?

- Hugh Britten. Przepraszam, że przeszkadzam. Jakoś nie mogę przyjąć do wiadomości faktu, że nie wszyscy są nocnymi markami jak ja.

- Hugh Britten - powtórzyła powoli Morgan. - Doktor Britten z AmeriCare?

- We własnej osobie. Wiesz, rzadko używam tytułu naukowego. Ludzie biorą mnie za lekarza, a przecież jestem ekonomistą. Mów mi Hugh.

Morgan przywołała w pamięci jego twarz - niemodne okulary w rogowych oprawkach, lekko zmierzwione włosy.

- Nie ma sprawy, Hugh, ale jest dość późno. Coś się stało w pracy?

- Właściwie - ciągnął - dzwonię w sprawie osobistej. Zwróciłem na ciebie uwagę w czasie zebrania w sali konferencyjnej. Byłaś ubrana w szary żakiet i różową bluzkę, prawda?

Chodziły słuchy, że Britten, choć ekscentryk, był dobrze sytuowany, genialny i do wzięcia. Nie miało to jakiegokolwiek znaczenia dla Morgan, ten facet zdecydowanie nie był w jej typie. Nie mogła jednak pozwolić sobie na obcesowe traktowanie człowieka posiadającego tak duże wpływy w jej firmie.

- Masz dobrą pamięć - powiedziała.

- Tak... rozmawiałem o tobie z paroma osobami, Morgan. Nie masz nic przeciw temu, że będę ci mówił po imieniu? Nie chciałem być wścibski, ale jesteś atrakcyjną

kobietą i dowiedziałem się, że jesteś wolna. Pomyślałem sobie, że może chciałabyś gdzieś się ze mną wybrać. Na kawę, powiedzmy, albo na drinka.

Nie mogła uwierzyć, że ten facet próbuje ją poderwać.

- Już, w tej chwili? Pytasz mnie o to, czy chcę wstać z łóżka o tak nieprzyzwoitej porze, żeby pójść na drinka?

- Czy to dla ciebie kłopotliwe?

- Hugh, ja... Nie, teraz to raczej wykluczone. Naprawdę mi pochlebiasz, ale... wolałabym porozmawiać z tobą, kiedy nie będę tak śpiąca. Dlatego, gdyby przyszło ci do głowy znowu do mnie zadzwonić, zrób to w godzinach pracy, dobrze? - Pożegnała się i odłożyła słuchawkę, niepewna, czy traktując Brittena tak oschle, oddała mu przysługę czy też popełniła ogromny błąd.

Następnego ranka Morgan siedziała w swoim gabinecie i wyglądała przez okno, niecierpliwie stukając długopisem w biurko. Od pewnego czasu nie było w jej życiu żadnego mężczyzny. Po nocnej rozmowie z doktorem Brittenem nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie z doktorem Hawkinsem.

- Morgan, to nie w twoim stylu - powiedziała Jennifer. - Powiedziałaś mi, że pójdziesz tam ze mną, a zwykle dotrzymujesz obietnic.

- Wiem, Jen. Chodzi o to, że siedzę zagrzebana po szyję w papierach. Nie mogłabyś pójść tam beze mnie? Zajrzałabym do ciebie później.

- Proszę - błagała jej siostra. - Nie czuję się dzisiaj zbyt dobrze. Morgan wyczuła w głosie Jennifer niepokój. To było do niej niepodobne.

- O co chodzi?

- Jestem gruba jak krowa. Wiesz, ile przybrałam na wadze?

- Jesteś większa od lodówki?

- Trzydzieści kilo! Czuję się jak jakiś cholerny sterowiec! W tym tempie, zanim urodzę, dobrnę do pięćdziesięciu kilogramów! Nie mieszczę się w swoje ciuchy, buty zrobiły się na mnie za ciasne i głowę mam jak chomik! Nie chcę się uskarżać, ale coś jest nie tak.

To prawda, pomyślała Morgan. Wiedziała, że matki bliźniąt często mają problemy z obrzękiem, ale na ogół nie aż takie.

- Kiedy masz spotkanie z lekarzem?

- Za dwadzieścia minut.

- Dobrze. Zaraz po ciebie przyjadę.

Piętnaście minut później, na autostradzie, Morgan kątem oka obserwowала siostrę. Nie widziała jej od prawie dwóch tygodni. Jen już wtedy była dość masywna, ale teraz wydawała się wręcz napuchnięta.

- Jak ciśnienie krwi?

- W zeszłym tygodniu doktor mówił, że mogłoby być niższe, ale mieści się w normie.

- Czy wspominał coś o toksemii?

Jen obrzuciła ją zaniepokojonym wzrokiem.

- Myślisz, że choruję na coś takiego? Świetnie! Czy to zaszkodzi dzieciom?

- Nie jestem ginekologiem. Będziesz musiała zapytać o to swojego lekarza.

Pół godziny później Morgan siedziała już w poczekalni przed gabinetem Brada, na przemian przeglądając jakieś pismo i wpatrując się tępo w akwarium. Postanowiła tym razem nie towarzyszyć siostrze podczas badań. Jen była dorosła i powinna sama sobie radzić. Na dźwięk otwieranych drzwi gabinetu Morgan odwróciła się. Brad przywołał ją gestem ręki.

- Mogę panią na chwilę prosić, doktor Robinson?

- Oczywiście. - Weszła za nim do gabinetu. - Czy z Jen coś jest nie w porządku?

- Pani siostra ma stan przedrzucawkowy - powiedział Brad. - Jej ciśnienie wynosi sto czterdzieści na dziewięćdziesiąt, pojawił się widoczny obrzęk, a w moczu jest białko.

Morgan powoli pokiwała głową.

- Czy to duży powód do niepokoju?

- Na razie nie. Stan przedrzucawkowy może przebiegać w sposób łagodny lub ostry. W przypadku ostrego przebiegu musielibyśmy jak najszybciej doprowadzić do porodu. Przy łagodnym zazwyczaj gramy na zwłokę. Przez "grę na zwłokę" rozumiem odpoczynek - ciągnął Brad - dużo odpoczynku. Niektórzy lekarze woleliby umieścić pani siostrę w szpitalu, ale moim zdaniem w domu też jej będzie dobrze. Próbowałem skontaktować się z mężem Jennifer, ale jest zajęty. Dlatego zwróciłem się do pani.

- Chce pan, żebym pomagała jej odpoczywać?

- Doktor Robinson, proszę. Wiem, że zajmuje się pani zarządzaniem ochroną zdrowia, ale nie może być pani aż tak naiwna.

Morgan najeżyła się. Jej policzki zapłonęły żywym ogniem, ale spojrzenie było lodowate.

- Naiwna?



- Nie powinienem tego pani nawet tłumaczyć. Może, pracując w wieży z kości słoniowej, zapomniała pani o podstawowych rzeczach. Chryste, każdy choć trochę znający się na swoim fachu lekarz powinien zdawać sobie sprawę, jak ważny jest odpoczynek dla kobiety w takim stanie.

- Boże, co za bezczelność! - wybuchnęła. - Co? Niby jestem niekompetentna? To chce pan powiedzieć?

Brad drgnął niespokojnie pod jej przenikliwym spojrzeniem.

- Przepraszam. Ma pani rację. Cały ten system finansowania opieki zdrowotnej strasznie działa mi na nerwy i czasami mówię rzeczy, których nie powinienem. - Uśmiechnął się przepraszająco.

Morgan westchnęła.

- Dobrze, dobrze, zapomnijmy o tym. Jak mogę pomóc?

- Powiem pani, w czym rzecz. Kiedy zalecam odpoczynek, chodzi mi o to, że pacjentka ma leżeć w łóżku i wstawać tylko do toalety, rozumie pani? Na ogół, o dziwo, zostają źle zrozumiane. Bez względu na to, jak jasno się wyrażam, przeciętna pacjentka myśli sobie, że nic się nie stanie, jeśli ugotuje mężowi kolację lub wyskoczy do sklepu, wystarczy że resztę dnia spędzi w łóżku. Nie dociera do niej, że nawet kilka minut na nogach może zniweczyć wszelkie korzyści z odpoczynku. Dlatego muszę szukać pomocy członków rodziny. To oni pilnują przestrzegania moich zaleceń.

Morgan wyczytała w jego oczach autentyczną troskę i szczerą. Nieco udobruchana, pokiwała głową.

- Mogę i ja to robić. Jak długo moja siostra ma odpoczywać w domu?

- Dam jej, powiedzmy, dziewięćdziesiąt sześć godzin. Potem obejrzą ją i sprawdzę ogólny stan. Jeśli nie nastąpi poprawa, skieruję pani siostrę do szpitala.

Morgan skinęła głową.

- Rozmawiał pan z nią o tym wszystkim?

- Tak, ale liczę na panią i pani szwagra.

- Damy sobie z nią radę - zapewniła go Morgan, wstając.

- Doktor Robinson? Jeszcze jedna sprawa. Nie wiem, czy słyszała pani o tym, ale właśnie mieliśmy kolejny zgon na oddziale intensywnej terapii noworodków.

Morgan zatrzymała się, zaskoczona.

- Nie, nic nie słyszałam. To bardzo przykre.

- Będzie jeszcze gorzej, kiedy trafi to do prasy. Dyrekcja szpitala próbowała tego uniknąć, ale o całej sprawie dowiedział się jakiś dziennikarz. Jutro wszystko

będzie opisane na pierwszych stronach gazet.

- Czy było tak samo jak w pozostałych przypadkach?

- Dokładnie. - Zawiesił głos. - Wie pani, tak sobie pomyślałem, że moglibyśmy w spokoju porozmawiać o tej sprawie. Może razem udałoby się nam coś wymyślić.

Morgan spojrzała na zegarek.

- To interesująca propozycja, ale muszę wracać do pracy. Może znajdę trochę czasu...

- Nie miałem na myśli spotkania w godzinach pracy - przerwał jej. - Kończy pani o piątej, prawda?

Po nocnej rozmowie z Brittenem była aż za bardzo czujna.

- Chyba pana nie rozumiem.

- Chodzi mi o to, że mógłbym po panią przyjechać i znaleźlibyśmy jakieś ustronne miejsce do rozmowy. Morgan prychnęła cicho.

- Nie sądzę, doktorze Hawkins. Wyglądał na autentycznie zdumionego.

- Dlaczego? Wydawało mi się, że interesuje się pani tą sprawą?

- Interesuję się, owszem, ale nie jestem głupia. - Spojrzała znacząco na jego dłoń. - Nosi pan obrączkę, a na ścianie gabinetu wiszą rodzinne fotografie.

Brad popatrzył na swoją obrączkę. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Cóż, może jestem staroświecki... moja żona umarła sześć lat temu. Morgan ponownie się zaczerwieniła.

- Teraz czuję się jak idiotka. Dobrze, może być o piątej. I nie zapomnij, że masz zwracać się do mnie po imieniu.

Początkowo Alyssa Cutrone myślała, że zrobiła siusiu. Majtki miała mokre, a po jej udach spływała jakaś ciepła ciecz. Kiedy poszła do łazienki, okazało się, że to krew.

Alyssa była przerażona. Niewiele wiedziała o przebiegu ciąży i gdy występowały u niej jakieś niepokojące objawy, musiała polegać na zapewnieniach innych, że wszystko jest w porządku. Jednak krwotok nie wróżył nic dobrego. Przerażona, zadzwoniła do męża, ale ten już wyszedł z pracy. Skontaktowała się więc z doktorem Schubertem, który kazał jej natychmiast przyjechać do szpitala.

Mimo to postanowiła poczekać na męża. Wkrótce chwyciły ją skurcze, które nasiliły się w drodze do Szpitala Uniwersyteckiego. Kiedy szła z parkingu do budynku szpitala i potem, podczas jazdy windą na siódme piętro, mąż musiał ją

podtrzymywać, by nie zginała się wół z bólu.

Schubert przygotował się na jej przyjęcie i pielęgniarki z porodówki od razu zaprowadziły Alyssę na salę. Po sprawdzeniu czynności życiowych płodu wezwały jednego z lekarzy. Badanie wykazało, że krew wydobywała się z szyjki macicy, która była już rozwarta na kilka centymetrów.

Alyssa rodziła.

Lekarz nic nie powiedział. Niech Schubert sam przekaze jej tę wiadomość. Alyssa nie mogła znieść bólu, ale jeszcze gorszy był ogarniający ją strach. Pielęgniarki podłączyły kroplówkę i podały pacjentce demerol, który trochę pomógł.

Przyszedł Schubert, w żółtym fartuchu narzuconym na ubranie. Uśmiechał się od ucha do ucha.

- Wygląda na to, że sprawy idą naprzód nieco szybciej, niż się spodziewaliśmy - powiedział. Włożył rękawicę i przeprowadził ostrożne badanie przez pochwę. - To dobry znak. Pozbędziesz się niepotrzebnego płodu i nie będziesz musiała więcej się nim przejmować.

- Czy ona rodzi? - spytał mąż Alyssy.

- Cóż, i tak, i nie - odparł Schubert. - Organizm usuwa płód "A". Potem szyjka macicy prawdopodobnie zaciśnie się z powrotem.

- Prawdopodobnie? A jeśli sienie zaciśnie? - spytała Alyssa. - Czy mogę stracić oboje dzieci?

- To raczej wykluczone. Na razie odpocznij sobie i nie przejmuj się tym. - Wyszedł z sali. Uśmiech ani na chwilę nie zniknął mu z twarzy.

Alyssa denerwowała się. Choć Schubert cieszył się znakomitą reputacją, był najbardziej zarozumiałym człowiekiem, jakiego знаła. Jeszcze trochę, a powiedziałaby jej, żeby nie przemęczała swojej główki myśleniem.

Tymczasem przed salą Schubert wyjaśnił wezwanemu lekarzowi, że choć płód jest mały, Alyssa prawdopodobnie ma przed sobą cztery do pięciu godzin porodu. Zatrószcz się o wygodę pacjentki, powiedział. Daj jej tyle demerolu, żeby była spokojna.

Jednak organizm rodzącej nie zastosował się do zapewnień Schuberta. Mimo zaaplikowanej Alyssie potężnej dawki demerolu szyjka macicy była w pełni rozwarta, a błony się wybrzuszały. Natychmiast wezwano Schuberta, ale pan doktor miał na głowie pacjentów. Powiedział tylko, że przyjdzie, kiedy będzie mógł. "Na razie podawajcie jej środki uspokajające i, gdyby było trzeba, odbierzcie dziecko". Ledwie

odłożył słuchawkę, a pęcherz płodowy Alyssy pękł. Obecny na miejscu lekarz przeprowadził błyskawiczne badanie i wymacał wysuwającą się główkę płodu. Spojrzał na ściekający mu po palcach płyn owodniowy.

To dziwne, pomyślał. Zdaje się, że Schubert mówił, iż powinien być zabarwiony na niebiesko?

Pielęgniarki przeniosły Alyssę na nosze i zawiozły ją do sali porodowej. Wezwały lekarza z neonatologii, ponieważ wewnętrzne przepisy wymagały, by pediatra był obecny przy wszystkich porodach bez względu na wiek ciążowy czy żywotność płodu. Po kilku minutach nieco oziębiała Alyssa leżała już z nogami w strzemionach, przygotowana do porodu. Jej mąż - w kitlu, masce i czapce - kręcił się niespokojnie przy anestezjologu, który podawał pacjentce tlen przez nos. Wszyscy nerwowo chodzili w kółko, czekając na Schuberta.

Półprzytomna Alyssa zaczęła przeć w niekontrolowanym odruchu. Lekarz przysunął do siebie stolik instrumentacyjny, czekając na to, co nieuniknione. Wkrótce wargi sromowe pacjentki wybrzuszyły się i spomiędzy nich wyłoniło się częściowo czoło płodu. Wysuwało się powoli, dwa milimetry do przodu, milimetr do tyłu. Potem nastąpiło kolejne pchnięcie i wynurzyła się cała głowa, a zaraz za nią ciało płodu.

Lekarz ostrożnie odciął pępowinę. Przekazał bezwładne, pozbawione życia ciało lekarzowi z neonatologii, który położył je na plecach na materacu leczniczym. Osluchanie stetoskopem małej piersi było tylko formalnością. Serce nie biło. Lekarz uważnie przyjrzał się martwemu dziecku.

Tymczasem ginekolog czekał na wydalenie łożyska. Rozmyślał gorączkowo. Miał nadzieję, że łożyska obydwu płodów nie są połączone, bo mogłoby się to tragicznie skończyć dla dziecka "B". Wiedział też, że przydałoby się podać pacjentce dożylnie leki wstrzymujące poród, ponieważ przy szeroko otwartej szyjce macicy drugiemu dziecku groziło poważne niebezpieczeństwo. Ale decyzję tę powinien podjąć lekarz prowadzący.

Minutę później ginekologa przywołał lekarz z neonatologii. Spojrzeli na martwy płód. Neonatolog zaczął coś szeptać. Wskazał pewne punkty na dłoniach płodu, twarzy i szyi. Kiedy obydwaj przyglądali się ciału, do sali wszedł doktor Schubert.

Tryskał entuzjazmem, niestosownym w tej sytuacji.

- Wszystko w porządku? - spytał. Alyssa spojrzała na niego tępo, a jej mąż nie odezwał się. Zanim doktor zdążył cokolwiek dodać, ginekolog przywołał go do siebie.

- No i jak poszło? - spytał Schubert. Ginekolog ostrożnie dobierał słowa.  
- Wydaje mi się, że mamy pewien problem, doktorze Schubert.  
- O czym ty mówisz?  
- Jego zdaniem - powiedział, wskazując ruchem głowy lekarza z neonatologii - to dziecko nie ma zespołu Downa. Wygląda na to, że usunął pan nie ten płód, co trzeba.

W hrabstwie Suffolk podejmowano wszelkie możliwe działania, by odnaleźć rodziny zmarłych, po których ciała nikt się nie zgłaszał, zwłaszcza gdy chodziło o zmarłe dzieci. Jednak skrupulatne poszukiwania pani Nieves nie przyniosły rezultatów. Dlatego też sprawa trafiła do władz hrabstwa. Gdyby w ciągu trzydziestu dni nie odnaleziono rodziny, ciało miało zostać wysłane do Washington Pines w celu przeprowadzenia kremacji. Do tego czasu bliźnięta Nieves powinny leżeć w kostnicy Szpitala Uniwersyteckiego.

Wieczorem, tego samego dnia, kiedy Alyssa zaczęła rodzić, w kostnicy rozblęsnęło światło i do środka wszedł mężczyzna z dużą torbą z logo firmy Nike. Otworzył chłodnię. Wcześniej wypełnił wszystkie niezbędne papiery, datując je na dwadzieścia sześć dni naprzód, by w razie czego mieć dowód, że ciała zostały przewiezione do krematorium. Mężczyzna wyciągnął z chłodni półkę z nierdzewnej stali i zabrał worek, w którym leżały bliźnięta. Wepchnął go do torby, którą przewiesił przez ramię. Następnie zgasił światło, zamknął drzwi i wyszedł.

W chłodnych podziemnych korytarzach mężczyzna od czasu do czasu mijał różnych ludzi, ale nikt nie zwrócił uwagi na jego bagaż. Opuścił szpital wyjściem dla personelu i przeszedł przez podziemny garaż, kierując się ku parkingowi, gdzie stał jego dodge. Wrzuciwszy bagaż na tylne siedzenie, mężczyzna wsiadł do wozu i wkrótce jechał już autostradą na wschód.

Dom mężczyzny znajdował się na Long Island, między Manorville a Mattituck. Przed kilkoma laty kupił zaniedbaną, dwuakrową parcelę, na zalesionym obszarze daleko od szosy. Stał na niej walący się dom i równie zniszczona stodoła, której przegniłe drewniane ściany nie były malowane ani odnawiane od dziesiątków lat.

Po czterdziestu minutach jazdy autostradą mężczyzna musiał jeszcze przez pewien czas kluczyć wyboistymi drogami, by dotrzeć do stojącego na odludziu domu. Zabrał torbę z tylnego siedzenia, po czym skierował się do stodoły i otworzył wrota. Budynek tylko z pozoru popadał w ruinę; choć z zewnątrz wyglądał, jakby jeden

podmuch wiatru mógł go znieść z powierzchni ziemi, to w środku był wzmocniony stalowymi wspornikami. Ściany, choć chropowate i niewykończone, wydawały się dość solidne i nadawały wnętrzu surowy wygląd.

Mężczyzna otworzył ciężki zamek, zamknął drzwi za sobą i włączył światło. W pokoju nie było okien. Skąpany w bladym, zimnym świetle jarzeńówek, robił niesamowite wrażenie. W kącie stał żelazny czarny kocioł. Na ścianie przy drzwiach wisiały półki; na jednej z nich stała skrzynka z chrząszczami. Najbardziej niezwykle jednak było to, co wisiało na pozostałych trzech ścianach.

Jedną z nich pokrywały szkielety zwierzęce w najprzeróżniejszych pozycjach, od spoczynku, przez lot, po atak. Były tu szkielety fok i hipopotamów, dzikich psów i kotów, drapieżnych ptaków oraz gadów. Każdy z nich został uchwycony jakby w naturalnej pozie.

Szkielety na pozostałych dwóch ścianach łatwiej dało się rozpoznać; były to bowiem szkielety ludzkie, tworzące coś na kształt makabrycznej scenki rodzajowej. Dwa z nich, ustawione twarzą w twarz, zdawały się prowadzić ożywioną rozmowę. Jeden z "rozmówców" wskazywał trzeciego, który wyglądał tak, jakby gonił czwartego i tak dalej. Ułożone w makabryczny fryz szkielety miały najrozmaitsze rozmiary, od małych dzieci po zgarbionych starców.

Mężczyzna postawił torbę na stole ze stali nierdzewnej i wygrzebał z niej worek z ciałami. Rozsunąwszy suwak, wyjął zimne zwłoki braci Nieves. Na ich piersiach były widoczne sine ślady po nieudanym masażu serca. Mężczyzna napełnił kocioł gorącą wodą i ustawił termostat na temperaturę tuż poniżej punktu wrzenia. Czekając, aż woda się zagrzeje, bez cienia emocji wypatroszył bliźnięta. Kiedy woda zaczęła się gotować, wrzucił do niej pozbawione narządów wewnętrznych zwłoki.

Minie dwanaście godzin, zanim skóra, ciało i mięśnie oddzielią się od kości. Po zakończeniu wytapiania to, co zostanie z bliźnięt Nieves, będzie nierozpoznawalne.

A wtedy chrząszcze znów będą się mogły najeść do woli.

## ROZDZIAŁ 6

Z uwagi na spotkanie z Bradem Morgan dziękowała losowi, że tego dnia ubrała się tak, jak się ubrała. Rano przewodniczyła zebraniu personelu AmeriCare i w związku z tym postanowiła wyglądać jak kobieta sukcesu: włożyła ciemnoszary dwurzędowy kostium. Choć nie był to odpowiedni strój na podwieczorek, powiedziała sobie, że przecież nie idzie na randkę.

Miała mieszane uczucia co do tego spotkania. Brad pokazał już, że potrafi być i czarujący, i irytujący. Jednak w głębi duszy Morgan musiała przyznać, że nie miałyby nic przeciwko temu, by zaprosił ją na randkę. Właściwie nie była pewna, jak by zareagowała. Wielu kobietom mógł się spodobać jego młodzieńczy wdzięk, ale ona wolała bardziej doświadczonych mężczyzn. I choć nie można mu było zarzucić braku profesjonalizmu, jego wygląpy z rybkami wydały jej się infantylne, no i nie wiedziała, co sądzić o piśmie dla nudystów, które trzymał w swoim gabinecie.

Poza tym Brad chyba żywi uprzedzenia do ludzi pracujących w systemie ubezpieczeń zdrowotnych. O miejscu pracy Morgan wyrażał się z jednoznaczną wrogością. Im więcej o tym myślała, tym większego nabierała przekonania, że gdyby zdecydowali się być razem, czekałoby ich wiele trudnych chwil.

Spóźniła się na spotkanie. Radisson nie był daleko, ale korki na drogach sprawiły, że na miejsce dotarła dopiero o wpół do szóstej. Zostawiwszy nissana na parkingu, wbiegła do holu budynku i wjechała ruchomymi schodami na piętro, gdzie mieścił się bar.

Brad czekał na nią w środku. Swobodnie ubrany, miał na sobie blezer, narzucony na rozpiętą pod szyją koszulę. Jego ogorzała cera i mocno zarysowana szczęka świadczyły o tym, że spędza wiele czasu na świeżym powietrzu. Kiedy wstał na jej powitanie, Morgan zauważyła, że jest od niej nieco wyższy.

- Cieszę się, że mogłaś przyjść. Napijesz się czegoś?
- Co zamówiłeś dla siebie? - spytała.
- Mrożoną herbatę.
- Może być.

Brad skinął ręką na kelnerkę, wskazał swoją prawie pustą szklankę i uniósł dwa palce. Następnie usiadł, a Morgan zajęła miejsce naprzeciw niego. Pianista grał stary utwór Franka Sinatry.

- Pracujesz niedaleko stąd, prawda? - zagaił Brad.
- Kilkaset metrów. Dziesięć minut drogi, kiedy nie ma korków. Zanim

przejdziemy do rzeczy, doktorze Hawkins...

- Brad.

- Brad. - Uśmiechnęła się. - Chciałabym przeprosić za to, co mówiłam w twoim gabinecie. Cóż, widać jestem z natury podejrzliwa wobec żonatych mężczyzn.

- Przykre doświadczenia?

- Można tak powiedzieć. Sparzyłam się tyle razy, że wolałabym o tym nie pamiętać. Nie wiem, co takiego dzieje się z mężczyznami po ślubie, że zaczynają ich pociągać samotne kobiety.

- Nigdy nie wyszłaś za mąż?

- Raz niewiele brakowało - powiedziała. - Wtedy mieszkałam w mieście. Pewnie było to jednym z powodów, dla których przeprowadziłam się tutaj.

Kelnerka przyniosła zamówione napoje. Brad pociągnął duży łyk herbaty.

- A jakie były inne powody?

- Właściwie sama nie wiem. Widzisz, tam prowadziłam prywatną praktykę...

- Poważnie? - przerwał jej. - Jak można zrezygnować z czegoś takiego? Po co ktoś tak inteligentny jak ty miałby się marnować w firmie ubezpieczeniowej?

Morgan podniosła wzrok znad szklanki i spojrzała na niego ze złością. Właśnie takie złośliwe, krzywdzące uwagi najbardziej ją wkurzały. Mimo to postanowiła zachować spokój.

- Po pierwsze, w grupie byłam na samym dole piramidy, pracowałam szesnaście godzin dziennie, siedem dni w tygodniu.

- W jakiej grupie?

- Na East Side, z siedzibą na Uniwersytecie Cornella - powiedziała. - Po tym jak skończyłam staż w szpitalu Beth Israel, tak bardzo chciałam otworzyć własną praktykę, że od razu do nich dołączyłam. Grupa składała się z sześciu dość szeroko znanych osób i pochlebiało mi to, że zwrócili się do mnie z propozycją. Większość z nich jednak była starsza ode mnie. Dlatego harowałam jak wół.

- Musiało ci być ciężko.

- Szczerze mówiąc, nie chodziło tylko o godziny pracy - powiedziała. - Z takiego czy innego powodu do praktyki trafiało dużo poważnie chorych dzieci, w tym wiele prosto z onkologii. Kilkoro z nich zmarło, wszystkie na moich oczach. Trochę to mną wstrząsnęło. Straciłam pewność siebie. Potem związałam się z pewnym mężczyzną i... no cóż, po długich rozmyślaniach nad własnym życiem uznałam, że muszę nieco ochłonąć. - Przypatrywała mu się podejrzliwie. - Dlaczego się uśmiechasz?



- Miło jest wiedzieć, że jednak znam się na ludziach - powiedział. - Od razu miałem wrażenie, że mogłabyś się nadawać na prawdziwego lekarza. Morgan w obronnym geście skrzyżowała ręce na piersi.

- Ja jestem prawdziwym lekarzem. Czemu właściwie tak bardzo nienawidzisz firm ubezpieczeniowych?

- To nie moja wina, tylko ich - powiedział, spokojnie sącząc herbatę. Ludzie, którzy zarządzają takimi firmami jak twoja, myślą, że wszystko d się zredukować do ekonomii. Które koszty można by ograniczyć, które wnioski odrzucić, ile papierów do wypełnienia wcisnąć pacjentom do gardła, żeby wreszcie machnęli ręką i zrezygnowali z takiego czy innego zabiegu. I to ma być ułatwienie dostępu do ochrony zdrowia? |

- Przykro mi, że miałeś przykre doświadczenia, ale co to ma wspólnego ze mną?

- Pewnie nic. Jednak jesteś od zarządzania, a nie wydaje mi się, żeby ludziom takim jak ty działa się krzywda. I to nie my, lekarze, cierpimy najbardziej.

Weź na przykład twoją siostrę. Chciałbym jej zrobić kilka bardzo specjalistycznych analiz krwi, ale zgadnij, kto nie chce za nie zapłacić? AmeriCare. Twierdzą, że użyteczność tych zabiegów nie została przekonująco udowodniona, więc nie wyrażają zgody na ich przeprowadzenie. I to ma być ochrona zdrowia? A gdyby od jednej z tych analiz zależało jej życie? Czy wtedy opłaciłoby się ją przeprowadzić? Jak już mówiłem, w ostatecznym rozrachunku to pacjenci wychodzą na tym najgorzej. Morgan lekko klasnęła w dłonie.

- Kierują tobą bardzo szlachetne odczucia, ale słuchając cię, mam wrażenie, że uważasz mnie za uczestnika jakiegoś gigantycznego spisku.

- Jeśli tak to zrozumiałeś - powiedział wzruszając ramionami - to przepraszam. Po prostu moje doświadczenia z firmami ubezpieczeniowymi nie są zbyt dobre. Słuchaj, Morgan, AmeriCare nie zasługuje na ciebie. Myślałaś o tym, żeby wrócić do medycyny klinicznej?

W jej oczach pojawił się smutek.

- Czasami tęsknię do mojej dawnej pracy. Dobrze się czułam wśród dzieci. Jednak kiedy sobie przypomnę ten ciągły stres i wszystkie tragedie, których byłam świadkiem, to od razu opuszcza mnie nostalgia. Zresztą, kto wie? Może kiedyś znowu tym się zajmę. A ty?

- Kocham swoją pracę - powiedział. - Na początku, kiedy tu przyjechałem, wcale tak nie było. Miałem mnóstwo spraw na głowie. Po pierwsze, Mikey był jeszcze

małym dzieckiem...

- Mówisz o chłopcu ze zdjęć w twoim gabinecie? Skinął głową.

- Teraz ma osiem lat i jest z nim trochę kłopotów.

- A ta kobieta?

Miejsce uśmiechu na jego twarzy zajął wyraz głębokiego smutku.

- To moja żona, Danielle. Zginęła w idiotycznym wypadku.

- Tak mi przykro.

- Dzięki. - Odwrócił wzrok i westchnął, niepewny, czy nie za bardzo 1 się rozczuła. - To dziwne, ale choć minęło już tyle czasu, ciągle wydaje mi 1 się, że zdarzyło się to niedawno. Michael miał wtedy dwa lata.

- Było ci wtedy ciężko, prawda?

- Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo. Po śmierci żony zatrudniłem gosposię, która miała opiekować się Michaeliem, a sam rzuciłem się w wir pracy. Dwudziestoczterogodzinna harówka to było to. Początkowo przyjmowałem wezwania nawet wtedy, kiedy nie musiałem, byle nie zostawać sam na sam z myślami.

- Praca, praca i jeszcze raz praca?

- No, nie całkiem - powiedział. - Wolny czas, choć mam go niewiele, spędzam z moim synem. Ostatnio bywam z nim coraz częściej... - Zawiesił głos. - Ale nie o tym chciałem z tobą rozmawiać. Ciekaw jestem, co myślisz o tych zgonach na oddziale intensywnej terapii noworodków.

- A czemu sądzisz, że w ogóle wiem cokolwiek na ten temat?

- Jestem na bieżąco z tym, co dzieje się na porodówce. - odparł po chwili milczenia. - Obejrzałem karty zmarłych dzieci i jedno wiem na pewno: dzieje się coś dziwnego.

Morgan zmrużyła oczy.

- To znaczy?

- Kiedy cztery noworodki, których stan się poprawia, nagle dają za wygraną i umierają, to nie może być zwykły zbieg okoliczności. Jak dotąd jedyną wspólną cechą łączącą te dzieci jest to, że były wasze.

Morgan zmarszczyła brwi.

- Nasze?

- Wszystkie zostały ubezpieczone przez AmeriCare. Morgan nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

- Na litość boską, co ty sugerujesz?

- Nic, po prostu stwierdzam fakt. Jak myślisz, jakie jest prawdopodobieństwo wystąpienia takiej zbieżności?

Morgan odwróciła się, oburzona. Wiedziała, że troje ze zmarłych dzieci było ubezpieczonych w jej firmie, ale uznała to za zbieg okoliczności. Nie miała pojęcia, że opiekę nad czwartym także finansowała AmeriCare. Mimo to niedorzecznością było sugerowanie, że firma ubezpieczeniowa może mieć coś wspólnego z serią niewyjaśnionych zgonów w szpitalu.

- Chyba nie podoba mi się to, do czego zmierzasz.

- Ja do niczego nie zmierzam. Po prostu mówię, że twoja firma była ich ubezpieczycielem.

- Brad, bądź poważny. Wiem, że nienawidzisz systemu finansowania ochrony zdrowia, ale czy naprawdę myślisz, że firma ubezpieczeniowa mogłaby... zniżyć się do czegoś tak... to, o czym mówisz, byłoby zbrodnią.

Wzruszył ramionami.

- Ja niczego nie myślę. Po prostu szukam odpowiedzi.

- Ale jakie firma miałyby z tego korzyści oprócz finansowych?

- O, właśnie - powiedział, wyciągając palec w jej stronę.

- Myślisz, że w grę wchodził motyw finansowy? - Sugestie Brada były coraz bardziej absurdalne. Morgan spojrzała na niego z powątpiewaniem. - Bzdura!

- Tak sądzisz? Pamiętasz tę Nigeryjkę, która jakiś czas temu urodziła w Houston ośmioraczki? Całkowity koszt opieki nad nią i dziećmi przekroczył milion dolarów. Myślisz, że firmy ubezpieczeniowe nie przejmują się takimi wydatkami?

- To co innego.

- Niekoniecznie. Przeprowadźmy pewne obliczenia, dobrze? - powiedział. - Weź na przykład te bliźnięta syjamskie. Ich stan był stabilny. Gdyby przez miesiąc albo dwa nic się nie zmieniło, można by je rozdzielić. Powiedz mi jednak, ile tak na oko wynoszą koszty miesięcznego pobytu noworodka na oddziale intensywnej terapii? W przybliżeniu.

- Mniej więcej sto tysięcy, ale...

- Dobrze - ciągnął. - Teraz pomnóż to przez liczbę miesięcy, które dzieci spędziłyby na oddziale intensywnej terapii, potem dorzuć do tego kilkutygodniowy pobyt na zwykłym oddziale dla noworodków. Dodaj koszty wszystkich konsultacji, wynagrodzenia chirurgów i wydatki na dziesiątki skomplikowanych badań laboratoryjnych. W sumie wyniesie to około pół miliona dolarów. - Zaczekał, aż

znaczenie jego słów dotrze do Morgan.

- To największa bzdura, jaką w życiu słyszałam!

- Chcesz być lojalna wobec firmy? Czyżbym pomylił się w obliczeniach?

Powiedz, w końcu to ty jesteś specjalistką od finansów.

- Liczby może i się zgadzają, ale rozumowanie jest nielogiczne. Wiesz, zaczynam czuć się urażona, jeszcze trochę, a wstanę i wyjdę! Sugerujesz, że...

- Jak już mówiłem, niczego nie sugeruję.

- No dobrze - powiedziała ze złością. - To, o czym mówisz, nie może dziać się samo czy być dziełem przypadku. Ktoś musiałby za tym stać! To byłaby zbrodnia! - Brad tylko patrzył na nią w milczeniu. - Nie możesz mówić serio!

- Może rzeczywiście posunąłem się trochę za daleko - powiedział wreszcie, nie mogąc znieść jej przenikliwego wzroku - ale chciałem usłyszeć, co myśli o tym ktoś, kto został przeszkolony przez speców od finansów ochrony zdrowia.

- Że co, proszę?

- Daruj sobie to święte oburzenie. Zachowaj je dla jakiegoś naiwnego lekarza, któremu wmówiono, że zarządzana ochrona zdrowia to ratunek dla medycyny. Może nie chcesz tego przyznać, ale doskonale wiesz, że to, co mówię, ma sens.

- Boże - powiedziała z obrzydzeniem - ależ z ciebie arogancki, podejrzliwy typ.

- Niech ci będzie - odparł. - Jeśli już skończyłaś się wściekać, możesz wyświadczyć nam obojgu przysługę. Wiem, że to nie będzie dla ciebie łatwe, bo chodzi o ludzi, dla których pracujesz, ale miej oczy i uszy otwarte na to, co się dzieje w AmeriCare, dobrze? Na litość boską, umierają niewinne dzieci! Jeśli dowiesz się czegoś, daj mi znać, zgoda?

Dłonie Morgan zacisnęły się w pięści.

- Chcesz, żebym szpiegowała ludzi, dla których pracuję? Westchnął dramatycznie.

- Jezu, czy aż tak trudno skłonić cię do samodzielnego myślenia? Morgan zerwała się z miejsca, z trudem powstrzymując narastającą wściekłość.

- Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić tę swoją bzdurną teorię - powiedziała, wychodząc szybko z zatłoczonego baru.

Najbardziej zaskakującym dla Jennifer efektem ubocznym ciąży była jej nasilona zmysłowość. Zachwycała się zmianami zachodzącymi w jej ciele - jego krągłościami, a nawet ciężarem. Wraz z tym nasilił się też popęd płciowy. Mimo

przybierania na wadze, napuchniętych kostek i braku kondycji często była podniecona, i to o najdziwniejszych porach. Czasami wręcz wstydziła się tego, jak bardzo jest wilgotna.

Richard zazwyczaj z entuzjazmem to wykorzystywał. Jego żona pragnęła uprawiać seks o wiele częściej niż dotychczas, wliczając w to także miesiąc miodowy. Co więcej, chciała się kochać w najdziwniejszych miejscach, jak choćby na podłodze salonu czy w wannie. Bywało, że robili to dwa, trzy razy dziennie. Po raz pierwszy w swoim życiu Jennifer Hartman doświadczyła kilku orgazmów podczas jednego stosunku. Gdyby nie pewne dręczące go obawy, Richard mógłby pomyśleć, że jest w niebie.

Choć nie przepuścił żadnej z nader licznych ostatnich okazji, w głębi duszy bał się zrobić krzywdę żonie albo nie narodzonym dzieciom. W efekcie zrobił się dość ostrożny. Nie miał kłopotów ze wzwozem czy osiągnięciem orgazmu, ale całkowicie zniknęła jego pewność siebie w łóżku. W czasie stosunku leżał bez ruchu i czekał cierpliwie, aż żona wszystkim się zajmie. Jennifer właściwie nie miała nic przeciw temu. Na nowo odkryła swobodę seksualną. Z zadowoleniem przejęła inicjatywę. Dlatego też, gdy pozycja misjonarska stała się nieosiągalna, Jennifer dosiadała męża od góry, z boku albo odwrócona tyłem przywierała do niego. On musiał tylko utrzymywać erekcję.

Po jednej z takich romantycznych kulminacji długiego dnia Jennifer i Richard leżeli wtuleni w siebie niczym dwie łyżeczki. Richard, trzymający żonę w objęciach, powoli zapadał w sen. Po chwili Jennifer lekko trąciła go w żebra.

- Richard? Richard, nie śpisz? - Zanim zdążył odpowiedzieć, usiadła na łóżku. Odrzuciła koc i spojrzała na materac. - Chyba coś się dzieje. Richard otworzył zaspane oczy.

- Co mówisz?

- Coś się ze mnie leje.

- Hę? Gdzie?

- To chyba wody płodowe.

Richard natychmiast otrzeźwiał i wyskoczył z łóżka.

- Jezu Chryste!

Szybko wykręcił numer doktora Hawkinsa, ale uzyskał połączenie z centralą. Telefonistka powiedziała, że tej nocy Brad nie ma dyżuru. Richard został przełączony do innego lekarza, który polecił mu przywieźć żonę do szpitala. Po pięciu minutach

byli już w drodze. Jennifer wzięła ze sobą kilka ręczników i co rusz musiała je zmieniać, bo błyskawicznie przesiąkały.

Zostawili wóz pod szpitalem, weszli do budynku przez salę pogotowia i wjechali windą na siódme piętro. Lekarz, który rozmawiał z nimi przez telefon, już tam był i zajmował się dwiema innymi rodzącymi pacjentkami. Poleciał pielęgniarkom, by zaprowadziły Jen do izby przyjęć; tam została rozebrana, włożono jej koszulę, sprawdzono czynności życiowe płodu i podłączono do urządzenia monitorującego. Po chwili przyszedł lekarz i przedstawił się.

Miał ze sobą akta Jennifer, wiedział więc, że pacjentka nosi w łonie bliźnięta. Akcja serc obu płodów była w normie i, na szczęście, nie występowały skurcze macicy. Nic nie zapowiadało rychłego porodu. Lekarz zrobił ultrasonografis. Pierwsze dziecko, dziewczynka, tkwiła ułożona głową do przodu, a chłopiec odwrotnie. Sądząc z tego, co pokazywał monitor, z dziećmi wszystko było w porządku. Na koniec lekarz przeprowadził badanie wziernikowe.

- Wody płodowe są klarowne - powiedział - a szyjka wygląda na zamkniętą. To dobry znak. Lepiej, żeby pani jeszcze nie zaczynała rodzić. Na razie podłączymy kroplówkę i podamy pani antybiotyki, żeby zapobiec zakażeniu. Później weźmie pani coś na uspokojenie.

- A co potem? - spytał Richard.

- Potem - powiedział lekarz - będziemy czekać. Brad rozpoczął obchód o siódmej rano. Podszedł do łóżka Jen, obudził ją, delikatnie ściskając przez pościel jej duży palec u nogi.

- Dobrze ci się spało? - spytał. Richard chrapał donośnie na dostawionym do łóżka fotelu.

- Och, dzień dobry - powiedziała, mrugając. - Trochę. Nie jest mi zbyt wygodnie z tymi wszystkimi przewodami. No i ciągle się ze mnie leje. Ile tego we mnie jest?

- Więcej, niż się ludziom wydaje. Przez pewien czas będzie lało się trochę mniej, ale płyn bez przerwy jest wytwarzany na nowo. Powiem teraz, co cię czeka. - Usiadł na łóżku.

- Czy z dziećmi jest wszystko w porządku? - spytała.

- Jak na razie tak. Pewnie wiesz, że największe ryzyko wiąże się z przedwczesnym porodem. Wolelibyśmy, żebyś jeszcze nie zaczynała rodzić, ale czasami macica miewa swoje kaprysy. Na wszelki wypadek podaliśmy ci trochę sterydów, żeby

wzmocnić płuca dzieci, gdyby jednak postanowiły jak najszybciej przyjść na świat.

- A jeśli zacznę rodzić? Czy nie ma leku, który mógłby to powstrzymać?

- Cóż, i tak, i nie. Owszem, są pewne leki, ale być może pojawią się powody, dla których wolelibyśmy ich nie stosować. Trzeba wziąć pod uwagę wiele czynników, często ujawniających się w ostatniej chwili. Mam nadzieję, że poród nie nastąpi za szybko. Gdyby to ode mnie zależało, wołałbym, żebyś urodziła najwcześniej w trzydziestym drugim tygodniu.

- Trzydziestym drugim? Przecież to za miesiąc! - Spojrzała na niego wyczekująco, ale Brad tylko skinął głową. - I do tego czasu mam leżeć w szpitalu?

- Zostaniesz tu mniej więcej dwadzieścia cztery godziny i jeśli wszystko dobrze pójdzie, przeniesiemy cię na oddział przedporodowy. Tam będziesz miała większą swobodę. Ale ponieważ nosisz bliźnięta, błony płodowe pękły, a twoje ciśnienie pozostawia wiele do życzenia, będziemy mieć cię na oku.

Jennifer próbowała ogarnąć to wszystko. W milczeniu odwróciła głowę i westchnęła.

Brad wstał.

- Wrócę tu później. Czy do tego czasu mogę coś dla ciebie zrobić?

- Tak - odparła. - Nie podłączyli mi jeszcze telefonu. Mógłby pan zadzwonić do mojej siostry i wytłumaczyć jej, o co chodzi, jak lekarz lekarzowi?

- Niezwykłe - powiedział Britten. - Wprost zachwycające. To przekracza wszelkie moje wyobrażenia.

- Ładne, nie? - powiedział. Mężczyzna uśmiechnął się.

- "Ładne" to nieodpowiednie słowo. Raczej "unikatowe". Czy wiadomo ci o istnieniu innych egzemplarzy?

- Wiem, że jeden jest w Hamburgu - odparł mężczyzna. - Też bracia syjamscy, tyle że chyba inaczej zrosnięci. Podobno coś takiego mają także w Hongkongu.

- W Hongkongu jest wszystko. Ale Hamburg...? Pewnie któryś z nazi-stów przywiózł sobie pamiątkę z obozu koncentracyjnego. To znacząco zmniejszyłoby wartość takiego egzemplarza.

- Taki okaz jest bardzo rzadki - powiedział mężczyzna. - Bezcenny. - Miał długie palce artysty i silne dłonie z wystającymi ścięgnami i schludnie przyciętymi paznokciami. Przez chwilę poprawiał coś w swoim dziele.

Szkielety bliźniąt Nieves były ustawione naprzeciw siebie, w pozycji przypominającej rzeźbę Romulusa i Remusa. Dwucentymetrowa cienka kość łączyła

ich grzebienie biodrowe. Jedno z bliźniąt podnosiło kościstą rękę, by wskazać coś w oddali, a czaszka drugiego zwrócona była w tamtym kierunku, z lekko opuszczoną dolną szczęką, jakby otwierała usta. Szkielety wyglądały niesamowicie, jak żywe, choć zastygłe w bezruchu.

- Bezcenny? - zdziwił się Britten. - Nonsens. Wszystko ma swoją cenę. I coś mi mówi, że wezwałeś mnie tu, by o tym właśnie porozmawiać.

Spotkali się w stodole będącej "pracownią" mężczyzny. Britten był kolekcjonerem i od kilku lat znał go jako dostawcę. Niecałe pół roku wcześniej kupił od niego wspaniałe szkielet młodej kobiety. Zazwyczaj umawiali się na neutralnym terenie, ale tego dnia mężczyzna powiedział Brittenowi, by przyjechał do niego, twierdząc, że ma coś wyjątkowego.

- Chyba za wcześnie na rozmowę o cenie - ciągnął dostawca. - Ten okaz powinien konserwować się jeszcze co najmniej miesiąc.

- Dobrze, dobrze. Będę go konserwował tak długo, jak to konieczne. Ile za niego chcesz?

- Za coś tak wartościowego nie mogę wziąć mniej niż sto tysięcy.

- Przyjechałem tu, żeby negocjować, a nie dać się zgwałcić - powiedział Britten. Po chwili dorzucił: - Daję dwadzieścia pięć. Mężczyzna z irytacją pokręcił głową.

- Drugiego takiego nie znajdzie pan na całej półkuli.

Padła kolejna propozycja, potem kontrpropozycja, aż wreszcie po kilku minutach mężczyźni dogadali się co do ceny. Potem, zadowoleni, uścisnęli sobie dłonie.

Każdy dostał to, czego chciał.



## ROZDZIAŁ 7

Afryka Wschodnia, 1980

Kiedy zorientowano się, że roztocza są w konopiach indyjskich, było już za późno. *Cannabis sativa* odgrywała coraz większą rolę w rytuałach młodych mężczyzn. Nie zawsze tak było. Zgodnie z wieloletnią tradycją plemiona z Afryki Wschodniej oszczędnie stosowały narkotyki w swoich ceremoniach; niestety, młode pokolenie poznało uroki marihuany i koki. W okolicach Nairobi panowały korzystne warunki do uprawy konopi indyjskich, zwłaszcza pośród wzgórz, gdzie klimat był dość łagodny. Coraz więcej młodych Kenijczyków zażywało narkotyki.

Jeden z nich, wysoki, silny dziewiętnastolatek imieniem Makkede, pierwszy odnalazł kryjówkę. Znajdowała się w połowie drogi na szczyt góry, w kępie akacji, pod brezentową płachtą. Kiedy Makkede uniósł ją, w nozdrza uderzył go znajomy, stęchły zapach. Pod płachtą leżało kilka zasuszonych bel kenijskiej marihuany - cenny skarb, który albo został zgubiony, albo porzucony. W kryjówce było coś jeszcze. Pod brezentem leżały rozkładające się ludzkie zwłoki, przykryte poszarpanymi ubraniami i skrawkami schnącej skóry.

Później koledzy Makkede doszli do wniosku, że było to ciało ofiary morderstwa albo samobójcy zamieszanego w handel narkotykami. Sam Makkede

nie zastanawiał się nad tym. Tak się ucieszył ze swojego znaleziska, że postanowił od razu to uczcić. Nie zważając na leżące w pobliżu zwłoki, przygotował sobie wielkiego skręta i zapalił. Po dziesięciu minutach, kiedy dołączyli do niego kumple, był już nieźle zakrecony.

Po następnych dziesięciu minutach zaczęło mu brakować powietrza. Chwycił go duszności, a wargi przybrały makabrycznie błydy odcień. Makkede, przerażony, zaczął łapczywie chwytać powietrze i szeroko otwartymi oczami patrzył błagalnie na swoich kolegów. Ci jednak nie mogli nic zrobić. Bezradnie przyglądali się, jak Makkede pada na ziemię. Z jego gardła dobył się chrapliwy bulgot. Po chwili na wargach chłopca pojawiła się różowa piana, a ręce zaczęły gwałtownie dygotać. Po kilku sekundach Makkede skonał.

Początkowo mówiło się, że chłopiec zginął w wyniku czarów albo że padł ofiarą *thalu*, czyli kłątwy. Kiedy usunięto jego ciało i gnijące zwłoki, policja pobrała z miejsca ich odnalezienia wiele próbek, a w okolicy zaroilo się od śledczych. Minął prawie miesiąc, zanim ta zagadkowa sprawa została wyjaśniona, a nie udałooby się to, gdyby

szczęśliwym trafem nie zainteresował się nią doktor Richard Fielding.

Fielding, jeden z najbardziej znanych entomologów na świecie, wziął sobie roczny urlop z Cambridge. Był ekspertem od arachnideae, kategorii organizmów obejmującej między innymi pająki. Od dłuższego czasu podróżował po Afryce Wschodniej i badał tamtejsze pajęczaki. Był z wizytą u znajomego biologa z Uniwersytetu w Nairobi, kiedy do tamtejszego laboratorium trafiła podejrzana marihuana. Policja wysłała ekspertom naukowym z całej Kenii zawinięte w plastik próbki odnalezionego narkotyku, licząc na to, że uda im się wyodrębnić toksyczną substancję, która spowodowała śmierć Makkede. Szczęśliwym zrzędzeniem losu biolog poprosił Fieldinga o pomoc przy analizie produktu.

Ale to, co odkrył Fielding, miało pozostać tajemnicą przez niemal dwadzieścia lat.

Brad na prośbę Jennifer skontaktował się z Morgan i powiedział jej, jaka jest sytuacja. Sprawiała wrażenie autentycznie wdzięcznej za to, że do niej zadzwonił, i nie wspomniała ani słowem o ich nieprzyjemnym rozstaniu. Podziękowała mu i zanim odłożyła słuchawkę, powiedziała, że w drodze do pracy zajrzy do szpitala.

Brad poszedł na pospiesznie zwołane zebranie, które miało się odbyć w sali konferencyjnej obok porodówki. Był przedstawicielem oddziału położniczego. Zjawili się tam także członkowie personelu pediatrii, pielęgniarki, pracownicy administracji i oddziału chorób zakaźnych.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, doktor Harrington podniósł aktualne wydanie "Newsday". Na pierwszej stronie widniał nagłówek: "Niewyjaśnione zgony na oddziale intensywnej terapii". Artykuł opisywał cztery zagadkowe przypadki ze Szpitala Uniwersyteckiego. Zawierał same ogólniki, ponieważ szczegóły wciąż pozostawały nieznane. Autor, jak należało się spodziewać, uderzył w dramatyczną nutę, przeprowadził nawet wywiady z rodzicami zmarłych dzieci. Tematem przewodnim artykułu były wątpliwości co do bezpieczeństwa noworodków na oddziale intensywnej terapii w Szpitalu Uniwersyteckim.

- Jak zapewne się domyślacie - powiedział Harrington - centrala jest zasypywana pytaniami dziennikarzy i zaniepokojonych rodziców. Stanowy departament zdrowia wszczął wstępne dochodzenie i możemy spodziewać się wizyty członków Połączonej Komisji Certyfikacji Szpitali. Niektórzy z pracowników pańskiego oddziału - tu spojrzał na Brada - twierdzą, że pacjenci proszą ich o

przeniesienie. Czy to prawda?

- Trochę za wcześnie, żeby to potwierdzić - powiedział Brad. - Pracownicy pełnoetatowi nic o tym nie słyszeli, ale domyślam się, że lekarze prywatni są pod sporą presją.

- Dziekan poprosił mnie, żebym pomógł mu przygotować oficjalną odpowiedź na ten artykuł. Chciałbym usłyszeć wasze sugestie. Meg?

- No cóż, na razie jedyną diagnozą, jaką można postawić, to zespół nagłej śmierci niemowląt - powiedziała Meg Erhardt. - Ale z tego, co wiemy, żadne z tych dzieci nie miało objawów zaburzeń sercowych, elektrokardiogram nic nie wykazał.

- Nie wystąpiła arytmia? - spytał Harrington.

- W żadnym z tych czterech przypadków. Wszystkie dzieci były podłączone do monitorów i dokładnie obejrzelśmy ich wskazania. Nic takiego nie wystąpiło.

- A kawa? - spytał Brad. - Pewne badania wskazują na istnienie związku między przyjmowaniem dużych ilości kofeiny przez matkę przed porodem a zespołem nagłej śmierci niemowląt.

- Pytaliśmy matki o to - odparła Meg. - To fałszywy trop.

- A narkotyki albo jakieś zarazki? - spytał Harrington, zwracając się do przedstawiciela oddziału chorób zakaźnych.

- Wszystkie analizy moczu i wydzielin dały wynik negatywny, zarówno pod względem zawartości bakterii, jak i wirusów. Ślina, krew, mocz, wszystko zostało dokładnie przebadane. Nie wyrosło na nich nic niezwykłego. Nic nie wskazuje na wystąpienie daleko posuniętej posocznicy, zresztą, tak czy inaczej, taką diagnozę wykluczał obraz kliniczny choroby.

- To prawda - przyznał Harrington. - Wygląda to raczej na jakiś pierwotny proces płucny, nagłe, gwałtowne niedotlenienie, a potem zgon.

- Czy przeprowadzono sekcję zwłok któregoś z tych dzieci? - spytał Brad.

- Tylko jednego, tego, które zmarło jako drugie. Sekcja nie wykazała nic niezwykłego. - Harrington powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. - Chyba nie muszę wam mówić, jakiej wagi jest sprawa. Umarły dzieci pozostające pod naszą opieką i lepiej dla nas, żebyśmy się dowiedzieli, jak do tego doszło.

Przez następną godzinę uczestnicy zebrania zadawali pytania, spierali się i stawiali hipotezy. Mimo to po jego zakończeniu wiedzieli niewiele więcej niż na początku. Uzgodnili wydanie powściągliwego komunikatu uspokajającego opinię publiczną i zapewniającego, że badania nad sprawą są w toku. Jednak Brad Hawkins

nie mógł pozwolić, by śmierć tych dzieci pozostała niewyjaśniona. Musiał istnieć jakiś winowajca, jakiś powód.

Postanowił go znaleźć.

Kiedy Morgan wybrała się z wizytą do swojej siostry, po raz pierwszy od dwóch lat przestąpiła próg szpitala. Kiedy tylko weszła do przestronnego czteropiętrowego holu, opadły ją mieszane uczucia. Z jednej strony miała świadomość panującej tu ciężkiej, naładowanej emocjami atmosfery. Mali pacjenci Morgan umierali w szpitalach niewiele różniących się od uniwersyteckiego. Z drugiej strony pobyt w szpitalu przyprawiał wielu lekarzy o całkiem przyjemne uczucie mocy. Tylko tutaj mogli igrać z losem w walce o ludzkie życie. W duszy Morgan przeważyły pozytywne uczucia. Miło było znów znaleźć się w szpitalu.

Po wizycie u siostry Morgan miała jeszcze trochę wolnego czasu. Stojąc przy windzie, spojrzała w lewo i zauważyła wejście na oddział intensywnej terapii noworodków. Była ciekawa, co poczuje, gdy znów, jak przed laty, znajdzie się wśród noworodków. Pod wpływem impulsu postanowiła tam wejść.

Wszedłszy w automatycznie otwierane drzwi, zobaczyła przed sobą dużą poczekalnię dla rodzin. Była pusta. Morgan ruszyła w lewo biegnącym po łuku korytarzem i stanęła pod drzwiami oddziału intensywnej terapii. Wisiała na nich tabliczka: "Tylko dla personelu". Morgan bez wahania weszła do środka.

Po lewej stronie znajdował się pokój dla personelu. Morgan stanęła w drzwiach i zwróciła się do dwóch pielęgniarek stojących przy ekspresie do kawy.

- Przepraszam, nazywam się Robinson, jestem lekarzem pediatrą. Nie pracuję w tym szpitalu, ale przyszedłem w odwiedziny do siostry, która leży na porodówce. Czy mogłabym się tu rozejrzeć?

- Ależ oczywiście - powiedziała jedna z pielęgniarek. - Czy jest coś, co szczególnie chce pani zobaczyć?

- Nie, po prostu jestem ciekawa.

Pielęgniarki dały jej znak, że może wejść. Morgan powoli ruszyła przed siebie, oswajając się ze znajomymi widokami, odgłosami i zapachami: rozlegającym się tu i ówdzie sykiem respiratora, przytłumionym pikaniem monitora, ostrą wonią amoniaku i alkoholu.

Przechodząc obok pierwszych inkubatorów, patrzyła na leżące w nich "drobne" ciała. Wydawały się tak małe, tak bezbronne. Kiedy podeszła do trzeciego,

znieruchomiała. Leżało w nim dziecko ubrane tylko w pieluszkę. Jego lewa nóżka była spuchnięta i zniekształcona. Zdeformowana, błyszcząca masa przypominała barwę winne grono. Brzuch dziecka był rozdęty. Serce Morgan zaczęło bić szybciej i kolana ugięły się pod nią. Zwróciła się do przechodzącej obok pielęgniarki.

- Czy to wrodzony kostniakomięsak? - spytała, wskazując noworodka. Pielęgniarka skinęła głową.

- Nie ma jeszcze wyników biopsji, ale taka jest wstępna diagnoza.

- Nastąpiły już przerzuty, prawda?

- Na to wygląda. Boże, jakie to smutne.

Kiedy Morgan się odwróciła, opadły ją straszne wspomnienia i przez chwilę myślała, że zemdleje. Spłynęła na nią czarna rozpacz jak ciasno przylegający do ciała całun. Z trudem stawiając nogi, ruszyła do drzwi. Wytoczyła się na zewnątrz i oparła o ścianę korytarza, oddychając głęboko i wpatrując się nie-widzącymi oczami przed siebie. Tak była pochłonięta walką z nawiedzającymi ją przerażającymi obrazami, że prawie nie poczuła, gdy ktoś położył jej dłoń na ramieniu.

- Morgan? - usłyszała znajomy głos. - Morgan, dobrze się czujesz? Odwróciła się i zobaczyła Brada. Po kilku sekundach niepewnie pokiwała głową.

- Boże jedyny, jesteś blada jak prześcieradło. Co się stało? Wskazała głową automatyczne drzwi.

- Tam...

Morgan wyglądała jak uczennica szkoły pielęgniarskiej, która po raz pierwszy w życiu zobaczyła umierającego pacjenta. Brad delikatnie pogłaskał jej ramię.

- Nie martw się, wszyscy miewamy takie dni. Może powiesz mi, co czujesz? Nie wiadomo dlaczego, zrobiła to.

- Leży tam dziecko z kostniakomięsakiem. Wygląda strasznie, nastąpiły już przerzuty do żołądka i...

- I na ten widok przypomniał ci się jeden z twoich pacjentów? Jej głowa poruszyła się lekko w górę i w dół.

- Jeden z moich ostatnich pacjentów. To było okropne. Naprawdę walczyłam o życie tego dziecka i chyba trochę za bardzo się do niego przywiązałam. Nie chciałam tego przyznać, ale sprawa od początku była przesądzona. Dzieciak nie miał najmniejszych szans. Żył prawie miesiąc, a potem...

W ciągu następnych kilku minut Morgan opowiedziała Bradowi o tej tragedii. Choć robiła wszystko, by pomóc dziecku, jej wysiłki spełzły na niczym i skończyło się

to dla niej poważnym załamaniem. Był to jeden z przypadków, które skłoniły Morgan do porzucenia medycyny, przynajmniej na jakiś czas. Brad od czasu do czasu przerywał jej opowieść pytaniami, ale głównie słuchał. Wreszcie, kiedy Morgan wróciły siły i rumieńce, spojrzała na zegarek.

- Muszę już wracać do biura. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś. Przepraszam, jeśli gadałam jak jakaś idiotka z melodramatu.

- Nie musisz przepraszać. Wiesz, my, lekarze, jesteśmy swoimi największymi krytykami. Czasami zbyt wiele od siebie wymagamy. Próbujemy temu zaprzeczać, ale jesteśmy z krwi i kości, mamy prawdziwe uczucia i prawdziwe słabości. Trzeba dojrzeć, by się do tego przyznać.

Spojrzała w oczy, które jeszcze niedawno zdawały się patrzeć na nią z taką wrogością. Teraz wyzierało z nich współczucie. Morgan poczuła ciepło płynące z dłoni Brada, leżącej na jej ramieniu. Posłała mu słaby uśmiech, po czym odwróciła się i ruszyła do windy.

W drodze do pracy rozpamiętywała rozmowę z Bradem. Była zirytowana, że okazała słabość, i to w dodatku przy nim. I bez tego żywił wystarczająco dużą pogardę do wszystkich, którzy pracowali w ubezpieczeniach zdrowotnych. Z drugiej strony była w nim wrażliwość, jakiej Morgan od dawna nie zauważyła u żadnego mężczyzny. Może, pomijając jego nieuzasadnione uprzedzenia, Brad nie był aż tak zły.

Sekretarka powitała ją nieśmiałym uśmiechem, po czym kiwnęła głową w stronę gabinetu i wzruszyła ramionami. Morgan zrozumiała, że oznacza to wizytę nieproszonych gości. Jak się okazało, w środku czekali na nią doktor Martin Hunt i prezes firmy, Daniel Morrison. Morrison spojrzał na zegarek.

- Spóźniła się pani dziesięć minut, doktor Robinson.

- Nie wiedziałam, że wprowadzono zegarowe karty obecności.

- Nasza firma wymaga od swoich pracowników pełnego zaangażowania - ciągnął Morrison. - Zwłaszcza od tych, którzy zajmują wysokie stanowiska, tak jak pani.

- Przepraszam, odwiedziłam siostrę w szpitalu. Następnym razem bardziej się pospieszę.

- Właściwie to nie pani punktualność jest moim największym zmartwieniem - powiedział Morrison. - Bardziej niepokoją mnie takie działania jak to. - Rzucił na biurko jakąś kartkę.

Morgan wzięła ją do ręki. Była to kopia pisma wysłanego przez nią tuż przed

śmiercią Nickiego, w którym wyliczyła niekorzystne konsekwencje odrzucenia wniosku o sfinansowanie przeszczepu płuca choremu dziecku. Prosiła w nim o zmianę podejścia do klientów.

- I w czym problem?

Morrison spojrzał na Hunta, a następnie na Morgan.

- Problem w tym, pani doktor, że nie widzi pani żadnego problemu! Na Boga, nasi pracownicy nie piszą odwołań, robią to pacjenci! Pani ma być dla nich miła, rozpatrywać odwołania, czy to od pacjentów, czy od ich lekarzy, ale podejmować jednoznacznie odmowne decyzje. Tego właśnie od pani oczekujemy. - Zamilkł na ułamek sekundy. - Czy wyrażam się jasno?

Morgan nie była pewna, czy dobrze zrozumiała jego słowa, i zaczął ogarniać ją gniew.

- To znaczy, że chce pan, abym wodziła ich za nos?

- Morgan... - powiedział Hunt, przewracając oczami.

- Chcę, żeby postępowała pani zgodnie z wytycznymi! W AmeriCare obowiązują pewne przepisy, doktor Robinson - ciągnął Morrison. - Opracowuje je zarząd przy współpracy zatrudnionych w firmie lekarzy, takich jak pani. Wysłuchujemy ich rad, ale to my podejmujemy decyzje. I są to decyzje ostateczne. Nie potrzebujemy kogoś, kto robi zamieszanie i kwestionuje naszą politykę. Czy teraz wyrażam się jasno?

Morrison wbijał w nią lodowate spojrzenie. Morgan chciała mu się przeciwstawić, powiedzieć, że postępuje zgodnie ze swoim sumieniem i wykazać niesprawiedliwość obowiązujących w firmie przepisów. Wiedziała jednak, że jej argumenty nie trafią do tych ludzi. Oni wiedzieli swoje. Dotarło do niej, że ubezpieczenia zdrowotne to nic innego jak zwykły biznes, w którym liczą się wyniki finansowe i obowiązuje zasada "Niech diabli porwą pacjentów". Uświadomiła sobie, że nadszedł czas, by zmienić pracę.

- Tak, zdecydowanie - powiedziała przez zaciśnięte usta.

- To dobrze - skwitował Morrison, wstając. - Mam nadzieję, że się zrozumieliśmy.

Kiedy Morgan odprowadzała wzrokiem nieproszonych gości, przypomniły jej się gorzkie słowa Brada na temat AmeriCare. Wtedy uznała jego podejrzenia za absurd, ale w świetle nieprzejednanej postawy prezesa zaczęły wydawać jej się bardziej uzasadnione.

- Panie Morrison? - powiedziała.

- Co znowu? - warknął, odwracając się.

- Czy interesował się pan sprawą czterech zgonów na oddziale intensywnej terapii noworodków w Szpitalu Uniwersyteckim?

- Czytałem o tym w gazetach. A o co chodzi? Hunt posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie teraz i nie tutaj, Morgan. Nie dała się zastraszyć.

- Wiedział pan, że wszystkie te dzieci były ubezpieczone u nas? Morgan odniosła wrażenie, że Morrison wahał się przez ułamek sekundy, zanim odpowiedział. Jego głos był jednak spokojny, a z oczu bił chłód.

- Nie, nie wiedziałem. Przepraszam, ale muszę już iść...

Coś tu nie gra, pomyślała Morgan. Z każdego słowa Morrisona wycierała obłuda. Morgan zamknęła drzwi, usiadła za biurkiem, oparła brodę na dłoniach i zamyśliła się. Wyglądało na to, że jej poglądy nie są zgodne z poglądami szefa. Ale to nie wszystko. Zaczynała nabierać przekonania, że w firmie dzieje się coś dziwnego. I mogło się okazać, że jedynym prawdziwym sprzymierzeńcem Morgan jest, o ironio, Brad Hawkins.

Tego popołudnia Brad zajrzał na chwilę do szpitala. W pokoju Jennifer spotkał Morgan. Skinął jej głową na powitanie, po czym zajrzał do karty pacjentki.

- No, jest coraz lepiej - powiedział. - Jak się czujesz?

- Nieźle, ale tutaj się nie da odpocząć. Za duży hałas.

- To prawda. Miejmy nadzieję, że dzisiaj w nocy nie będzie tak dużego zamieszania, a jutro rano zamówimy ci trochę ciszy i spokoju.

- Jak wypadły moje badania? - powiedziała.

- Wyniki analiz laboratoryjnych są w normie. Badanie ultrasonograficzne wykazało spory wzrost od poprzedniego badania. Na razie myśl tylko o tym, żeby jak najwięcej leżeć. Gdzie twój mąż?

- Wymiękł - odparła Jennifer. - Nie lubi szpitali. Powiedziałam mu, żeby poszedł do pracy.

- No i dobrze - stwierdził Brad, odkładając kartę. - Dzisiejszej nocy będę w kontakcie z pielęgniarkami, a jutro z samego rana przyjdę do ciebie. Jeśli będziesz miała do mnie jakieś pytania, zawołaj dyżurną.

Kiedy opuścił pokój, Morgan wstała z krzesła i poszła za nim.

- Przepraszam, doktorze Hawkins?



- Co, już nie jestem "Brad"?

Wzięła go pod ramię i odprowadziła kawałek dalej.

- Zwróciłam się tak do ciebie z uwagi na moją siostrę. Wyobraża sobie Bóg wie co, kiedy przechodzę na "ty" z mężczyzną, którego nie znam przynajmniej od dwudziestu lat. W jakim ona naprawdę jest stanie? Czy jest coś, czego nie chciałeś przy niej powiedzieć?

- Przed tobą niczego nie da się ukryć, prawda?

- Niepokoi mnie jej ciśnienie.

- To prawda, jest trochę za wysokie. Na razie nie ma się czym przejmować, a odpoczynek jest najlepszym lekarstwem. Zadowolona?

- Tak, dzięki. Słuchaj, Brad. To, co się stało dziś rano...

- Przestań mnie przepraszać, Morgan. Powiedziałem, co naprawdę myślę.

- I o to mi właśnie chodzi - stwierdziła. - Chcę ci za to podziękować. Zawsze myślałam, że jestem twarda, ale to biedne dziecko... strasznie mnie poruszył ten widok.

- Dobrze, że cię spotkałem. Przynajmniej udowodniłaś, że masz serce.

- W odróżnieniu od reszty pracowników firm ubezpieczeniowych? Roześmiała się.

- No cóż, niełatwo rezygnuję ze swoich przekonań.

- Delikatnie mówiąc. A propos, masz mi jeszcze coś do powiedzenia? Na przykład na temat pewnego zebrania, w którym uczestniczyłeś dziś rano?

Zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Jakiego zebrania?

- Brad, nie kręć. Może powinniśmy wspólnie zastanowić się nad sprawą tych dzieci z oddziału intensywnej terapii?

- Wiesz co? - powiedział. - Przydałoby się nam trochę świeżego powietrza. Przyjadę po ciebie jutro rano i zabiorę w miejsce, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- Rożki gotowe, Mikey?

- Tak, tato.

Brad odwiązał cumę z rufy i rzucił ją na molo.

- No dobra, możesz już puścić. - Kiedy odbili od nabrzeża, zrećnie

manewrując przepustnicą i sterem, skierował łódź do kanału.

Morgan siedziała obok niego w kokpicie na rufie. Była wdzięczna Bradowi za zaproszenie. Nadeszła pora, by wyciągnąć rękę do zgody. Oboje byli uparci i nieskłonni do kompromisów, żalowali jednak wypowiedzianych bez zastanowienia ostrych słów. Poranny rejs był doskonałym sposobem na rozładowanie napięcia.

Co więcej, jak wspomniał Brad, im obojgu potrzebna była chwila odpoczynku. Sama Morgan uważała ten wspólny rejs nie tyle za "randkę", co za okazję, by dowiedzieć się czegoś więcej o zgonach na oddziale intensywnej terapii noworodków, porozmawiać trochę o swojej siostrze, a także odetchnąć świeżym powietrzem. Poza tym, skoro Brad wziął ze sobą syna, nie mogła to być randka.

Morgan nie знаła się na łodziach, ale vector prezentował się imponująco. Był szeroki, o wysmukłym kształcie, a pokłady z drewna tekowego kontrastowały z czarnym kadłubem z włókna szklanego. Morgan miała nadzieję, że od tej chwili wszelkie spory z Bradem pójdą w niepamięć.

Ośmioletni Michael był ładnym, żywym dzieckiem, jasnowłosym nicponiem o figlarnych niebieskich oczach. Morgan zauważyła, że jest bardzo podobny do matki, której zdjęcia widziała w gabinecie Brada. Od razu go polubiła i to z wzajemnością. Był wesoły, dociekliwy i po dziecięcemu zapalczywy.

- Wygląda, jakby wiedział wszystko o tej łodzi - powiedziała.

- Naprawdę? - spytał Brad z nutą dumy w głosie. - Dopiero trzeci raz z nim wpływam, ale chłopak ma naturę prawdziwego żeglarza. Morgan wahała się przez chwilę.

- A propos natury - powiedziała - od pewnego czasu chcę cię o coś spytać. Wiem, że to nie mój interes, ale w czasie pierwszej wizyty w twoim gabinecie zauważyłam, że czytałeś pismo dla nudystów. Chyba nie zamierzasz się zaraz rozebrać, co?

Brad spojrział na nią dziwnie, po czym wybuchnął śmiechem.

- To nie było moje pismo! Przysłała mi je jedna z moich bardziej napalonych pacjentek. Boże, wyobrażasz to sobie? Ginekolog-nudysta? Jakbym nie miał dość oglądania tych rzeczy na co dzień!

Morgan poczuła ulgę, ale nie dała tego po sobie poznać. Spojrzała w górę. W nocy nad okolicą przeszedł front atmosferyczny i na niebie wisiały tylko pojedyncze, niewielkie chmurki.

- Kiedy zacznie się prawdziwe żeglowanie?

- Gdy wpłyniemy na dobre do Cieśniny Long Island. Na kanale jest zbyt duży ruch.

- Jak długo masz tę łódź?

- Nieco ponad miesiąc - powiedział. - Sprawilem sobie prezent. Ma wszystko, co trzeba. GPS, autopilot, elektryczna winda kotwiczna, cokolwiek sobie zażyczysz. Nie będziemy potrzebowali tego wszystkiego, żeglując za dnia, ale w czasie długiego rejsu czy w nocy takie wyposażenie naprawdę się przydaje.

- Można spać na pokładzie?

- No pewnie. Jest miejsce dla sześciu osób. - Spojrzał na nią ukradkiem. Morgan Robinson była niezaprzeczalnie atrakcyjna. Miała jasną cerę, a jej rude włosy wymykały się spod opaski. Była ubrana w spodnie od dresu, bluzkę z dekoltem i białą koszulę z krótkim rękawem, a na ramiona narzuciła cienki skafander. Brad podał jej tubkę kremu do opalania.

- Może się posmarujesz? W taki dzień jak dzisiaj można się spiec na słońcu.

Diesel o mocy osiemdziesięciu dwóch koni mechanicznych pchał łódź naprzód, przez kanał. Za cyplem Brad skręcił na wschód. Michael beztróska biegał po pokładzie w kamizelce ratunkowej. Pół godziny po rozpoczęciu rejsu Brad oddał Morgan ster i wytłumaczył jej, jak utrzymać łódź na kursie dwa-siedemdziesiąt-pięć. Tymczasem on i jego syn poszli na dziób, by podnieść żagle. Wkrótce popychana wiatrem żaglówka osiągnęła prędkość dziesięciu węzłów. Brad wrócił na rufę.

Fale były teraz trochę większe, dziób łodzi podnosił się i opadał. Pragnąc ochronić oczy przed świecącym w twarz słońcem, Morgan włożyła ciemne okulary z polaryzowanymi szklami. Spojrzała na Brada, który wydawał się pewny siebie i całkowicie zrelaksowany.

- Ty naprawdę to lubisz, prawda?

- I to bardzo - potwierdził, kiwając głową. - Nie ma to jak otwarte morze. Człowiek widzi, jak słońce i wiatr współdziałają ze sobą. Nie wiem czemu, ale kiedy jestem tutaj, spływa na mnie jakieś wewnętrzne ukojenie. Żeglując, czuję się częścią wszechświata, mam świadomość istnienia jakiegoś kosmicznego ładu. Nie wiem, czy to, co mówię, ma jakiś sens?

- Przykro mi, że muszę cię sprowadzić na ziemię, ale czy widziałeś się dziś rano z moją siostrą?

- Tak, chwilę przed wyjściem. Ciśnienie w normie, samopoczucie dobre i nic nie zapowiada rychłego porodu. Kazałem ją przenieść na salę przedporodową.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że wytrzyma jeszcze miesiąc? - spytała Morgan.

- W najlepszym razie niewielkie. Przetrwiała pierwsze dwadzieścia cztery godziny, ale około siedemdziesięciu procent pacjentek w jej sytuacji rodzi w pierwszym tygodniu pobytu w szpitalu.

- Tak dużo?

- Niestety - powiedział. - Ale dobrą wiadomością jest to, że jeśli nie wywiąże się jakieś zakażenie, dzieci mają siedemdziesiąt pięć procent szans na przeżycie. Z każdym dniem ta wartość wzrasta.

Wciąż płynęli na wschód, mijając Port Jefferson i rzekę Wading. Podczas gdy Michael hasał po górnym i dolnym pokładzie, Brad uczył Morgan podstaw żeglowania. Okazała się pilną uczennicą i w lot chwyciła jego instrukcje. Kiedy dopłynęli do Shoreham, zmienili kurs, kierując się pod wiatr. We trójkę stanowili sprawną załogę.

- No i co ty na to? - spytał Brad. - Jesteś gotowa na porzucenie zarządzania ochroną zdrowia?

- Nie kuś. Gdyby każdy dzień był taki jak ten, kto chciałby wrócić za biurko?

- Dla prawdziwych marynarzy taki właśnie jest każdy dzień. Wszystko zależy od nastawienia.

- No właśnie, nastawienie - przypomniała sobie. - Może wreszcie powiesz mi, co zaszło na wczorajszym zebraniu?

- Czemu nie? - odparł. - Prawdę mówiąc, wiele hałasu o nic. Dziekan chciał, żeby przedstawiciele poszczególnych oddziałów wspólnie wypracowali oficjalny komunikat w odpowiedzi na artykuł opublikowany w jednej z gazet. No i zrobiliśmy to, chociaż pewnie nikogo nie przekonamy.

- Na co się zdecydowaliście?

- Och, jakieś tam komunały mające ukryć fakt, że właściwie nic nie wiemy. Coś w stylu "nie ma zagrożenia, sprawa jest wnikliwie badana". Inna sprawa, że to prawda.

Morgan zauważyła, że przez jego twarz przemknął cień.

- Nie jesteś z tego zadowolony, zgadza się?

- Po prostu irytuję się, kiedy czegoś nie wiem. Morgan, tam umierają dzieci. Wiesz, co tak naprawdę nie daje mi spokoju? Przeprowadzono sekcję zwłok tylko jednego ze zmarłych noworodków. Zdaję sobie sprawę, że w przypadkach

przypominających zespół nagłej śmierci niemowląt rzadko stwierdza się jakiegokolwiek zmiany patologiczne, ale jednak dobrze byłoby to sprawdzić, nie?

- Nie zaszkodziłoby, owszem - przytaknęła. - Coś mi mówi, że to właśnie zamierzasz zrobić.

- Moim zdaniem...

Przerwał mu sygnał bipera. W okienku pojawił się numer sali porodowej szpitala. Mimo że Brad wziął sobie wolne na weekend, polecił pielęgniarce kontaktować się z nim w określonych sytuacjach. Wyjął z kurtki komórkę, wystukał numer i przez chwilę rozmawiał z pielęgniarką. Na jego twarzy odmalował się niepokój.

- Chodzi o twoją siostrę - powiedział, wyłączając telefon. - Zdaje się, że zaczęła rodzić.

Brad zostawił syna w domu i szybko pojechał z Morgan do szpitala.

- Jak częste są skurcze? - spytała.

- Według pielęgniarki występujące cztery minuty. Powiedziałem, żeby nikt jej nie badał, dopóki nie zacznie przeć.

- Jeśli rzeczywiście zaczęła rodzić, będziesz mógł to jakoś powstrzymać?

- Nie. W niektórych szpitalach pacjentkom podaje się profilaktycznie tokolityki, leki wstrzymujące poród - powiedział. - Jednak jak dotąd nie ma dowodów na to, że podawanie ich pomaga pacjentkom takim jak twoja siostra. Antybiotyki, owszem. Sterydy także, a ona dostała i jedno, i drugie. Jednak w tym momencie, jeśli skurcze doprowadzą do porodu, tokoliza nic nie da.

Zostawili samochód na parkingu dla lekarzy i wjechali windą na porodówkę. Minęło czterdzieści minut od chwili, kiedy Brad został wezwany. Pielęgniarki skontaktowały się też z Richardem Hartmanem, który wybiegł z kręgielni w połowie meczu weekendowej ligi, by być przy swojej żonie. Blady stał w kącie sali porodowej.

Jennifer właśnie chwycił kolejny skurcz. Jęczała cicho, walcząc z silnym bólem. Ustawiony obok monitor wskazywał, że skurcze następują co trzy, cztery minuty. Kiedy minął kolejny, Brad wziął Jennifer za rękę.

- Świetnie, Jen. Wytrzymujesz jakoś?

- Nie, wcale nie. Jest do dupy, wie pan?

- Tak mówią - powiedział. Puścił jej rękę i włożył rękawicę. - Zobaczmy, co się dzieje, dobrze?

Ciało Jennifer było przykryte od pasa w dół. Brad pomógł jej unieść nogi, po czym włożył rękę pod pościel, by przeprowadzić badanie. Powoli, delikatnie wsuwał dłoń w głąb pochwy, zwracając uwagę na szyjkę macicy. Po dłuższej chwili wyjął rękę spod pościeli i wyrzucił rękawicę.

- Jest rozwarcie? - spytała Jennifer.

- Tak, mniej więcej czterocentymetrowe. Tyle się natrudziliśmy, a tu okazuje się, że twój organizm sam podjął za nas decyzję.

- O nie. Czy to znaczy, że rodzę?

- Na to wygląda - powiedział. - Posłuchaj mnie, Jen. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała. Nie możemy zatrzymać tego, co się dzieje...

- Ale...

- Słuchaj, na razie tylko słuchaj - powiedział uspokajającym tonem, poklepując jej dłoń. - Wiem, nie spodziewałaś się, że nastąpi to tak wcześnie, i nawet nie zdążyłaś zapisać się do szkoły rodzenia. Cóż, czasami wbrew naszym najlepszym intencjom, natura nie chce czekać. A to oznacza, że urodzisz dzisiaj.

Jennifer z wrażenia odebrało mowę. Brad spojrzał na Richarda, który powoli kręcił głową.

- Nie wzięłem kamery - wymamrotał.

- Nie przejmuj się - powiedział Brad. - Wszystko będzie dobrze. Poród nastąpi jedenaście tygodni przed terminem, ale serca dzieci są silne. Sterydy wzmocnią ich płuca, a antybiotyki powinny zapobiec infekcji. - Spojrzał na monitor. - Następnym skurcz?

Jennifer ścisnęła dłoń lekarza i skrzywiła się, a na jej czoło wystąpiły krople potu. Po czterdziestu pięciu sekundach ból minął i kobieta opadła bezwładnie na poduszkę.

- Pierwsze dziecko jest ułożone głową w dół - ciągnął Brad - a sądząc z rytmu serca, ułożenie dziecka B jest pośladkowe. Powiem wam, co myślę. Nie sędzę, żebyśmy mogli cokolwiek zyskać, zmuszając cię do kilkugodzinnego porodu, a poza tym mogłoby to okazać się ryzykowne dla malca będącego na górze. Lepiej będzie po prostu zrobić cesarskie cięcie. - Zawiesił głos i spojrzał na przyszłych rodziców. - Zgadza się?

Jennifer nerwowo popatrzyła na męża. Richard niepewnie wzruszył ramionami.

- Ty decyduj, Jen. Spojrzała na Brada.

- Kiedy pan to zrobi?

- Jak tylko dasz mi pozwolenie.

- Mam jedno pytanie - powiedziała.

- No?

- Czy może pan to zrobić tak, żebym potem mogła się pokazywać w kostiumie kąpielowym?

Czterdzieści minut później, po podpisaniu wszystkich papierów, zdezynfekowaniu skóry brzucha i podaniu miejscowego znieczulenia, wszystko było gotowe do zabiegu. Jennifer leżała na plecach, przechylona lekko na lewy bok. Jej brzuch został nakryty sterylnymi serwetami. Richard siedział przy głowie żony. Brad stał po lewej stronie pacjentki. Przed nim piętrzył się stos sterylnych rękawic.

- Wszyscy gotowi? - spytał anestezjologa, pielęgniarkę i dwóch pediatrów.

- Może zrobimy próbę skórną? - zapytał anestezjolog.

Brad skinął głową i uchwycił kleszczami skórę brzucha, sprawdzając skuteczność działania środka znieczulającego.

- W porządku - stwierdził.

Kiedy anestezjolog uniósł kciuk na znak, że można zaczynać, Brad wziął do ręki skalpel. Przy zabiegu miał mu pomagać młody, niedoświadczony lekarz oraz student medycyny. Choć na ogół pozwalał asystentom wykonać większą część pracy, tym razem postanowił rozpocząć operację osobiście. Najpierw wykonał nacięcie, przebijając ostrze skalpela powięź i otrzewną. Wkrótce jego oczom ukazała się lśniąca, nabrzmiąca macica.

Brad ostrożnie przeciął stwardniały mięsień maciczny. Kiedy powstała w ten sposób szpara rozszerzyła się, światło dzienne ujrzała główka dziecka A, o wilgotnych ciemnych włosach. Asystujący lekarz za pomocą wacika pobrał próbkę wydzielin. Potem Brad włożył rękę do macicy, ujął główkę dziecka w lewą dłoń i wyciągnął je ze szczeliny. Po oczyszczeniu gardła i zawiązaniu pępowiny, podał noworodka pediatrze i zajął się dzieckiem B.

- Błony nienaruszone - powiedział.

W odróżnieniu od pierwszego, drugi pęcherz płodowy nie pękł. Za pomocą kleszczyków Brad przerwał błonę. Płyn, który zaczął się wylewać z pęcherza, był niepokojąco gęsty i miał nieprzyjemny żółty kolor. Po wymacaniu nóg dziecka Brad odszukał jego piętki. Potem ostrożnie wydobył biodra, tors i głowę noworodka. Zaniepokoiło go to, że malec był zdecydowanie drobniejszy od siostry. Po odessaniu

gęstych wydzielin z gardła dziecka, Brad zawiązał pępowinę i podał chłopca drugiemu pediatrze.

Potem było już z górki. Po wyjęciu dzieci z macicy Brad pomógł asystentowi usunąć łożysko i zaszyć rozcięcia. Tymczasem pediatrzy i pielęgniarki zajmowali się noworodkami. Jennifer, naszprycowana środkami uspokajającymi, ale przytomna, zaczęła wypytywać o dzieci. Pediatrzy bez entuzjazmu zapewnili ją, że wszystko jest w porządku, i powiedzieli, by się trzymała. Brad zerknął kątem oka w ich stronę i zauważył, że "B" jest intubowany. To mu się nie spodobało.

Wkrótce oba inkubatory zostały przewiezione z sali operacyjnej na oddział intensywnej terapii noworodków. Po piętnastu minutach Brad zakończył operację, zszywając skórę klamrami ze stali nierdzewnej. Następnie zdjął maskę i rękawice, po czym uściśnął dłoń Richardowi i Jennifer, obiecując, że będzie ich na bieżąco informował o stanie dzieci. Ledwie wyszedł na korytarz, gdy wezwano go na oddział intensywnej terapii noworodków.

- Doktorze Hawkins - usłyszał - mamy kłopot z dzieckiem "B". Wygląda to na cholernie ostre zakażenie.



## ROZDZIAŁ 8

Richard towarzyszył żonie do sali pooperacyjnej, a Morgan poszła z Bradem na oddział intensywnej terapii noworodków. Za drzwiami zatrzymała się. Zauważyła, że wokół jej nowo narodzonego siostrzeńca panuje ogromne zamieszanie. Pielęgniarki, technicy i lekarze pracowali w skupieniu, podłączając kable, rurki i monitory. Wśród wszystkich tych ludzi dziecko wydawało się jeszcze drobniejsze niż w rzeczywistości. Brad co pewien czas wymieniał uwagi z jednym z lekarzy. Po dziesięciu minutach przywołał Morgan gestem ręki i razem wyszli na korytarz.

- Wygląda na to, że wywiązało się zakażenie paciorkowcem grupy B - powiedział.

- Paciorkowiec? Przecież Jen dostawała antybiotyki.

- To prawda, ale, jak sama wiesz, antybiotyki tylko zmniejszają ryzyko infekcji, nie eliminując go całkowicie. Wstępny test na obecność paciorkowca dał wynik pozytywny. Jeśli potwierdzą to dodatkowe analizy, wszystko stanie się jasne.

- Cudownie - powiedziała Morgan. - Nie wiem, jak jej o tym powiedzieć.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Jennifer odpoczywała w sali pooperacyjnej. Do środka znieczulającego dodano małą dawkę narkotyku, co nieco złagodziło jej niepokój. Richard siedział przy żonie, trzymając ją za rękę. Oboje nerwowo popatrzyli na Brada.

- Powiem wam, co wiemy na pewno - zaczął lekarz. - Wasza córeczka radzi sobie znakomicie. Oddycha samodzielnie, bez pomocy respiratora, podajemy jej tylko trochę tlenu. Jeszcze za wcześnie na prognozy, ale mam przeczucie, że nic jej nie będzie. Z waszym synkiem są pewne kłopoty.

Jen ścisnęła dłoń Richarda, ale nic nie powiedziała.

- Na razie - ciągnął Brad - wszystko wskazuje na to, że wystąpiło u niego zakażenie. Według wstępnej diagnozy jest to coś, co nazywa się wczesnym zakażeniem paciorkowcem grupy B.

- Nie rozumiem - powiedział Richard, marszcząc brwi. - Zdaje się, że czemuś takiemu miała zapobiec penicylina?

- To prawda. Niestety, nie zawsze jest w stu procentach skuteczna.

- Czy ten paciorkowiec jest groźny? - spytała Jen.

- Tego typu drobnoustroje spotykane są dość często - powiedział Brad. - Występują u dziesięciu do trzydziestu procent ciężarnych kobiet. Infekcja rzadko przechodzi na dzieci, ale kiedy to już się stanie, może stanowić dla nich duże

zagrożenie. Zwykle nie dzielimy bakterii na dobre i złe, ale gdybyśmy to robili, paciorkowiec grupy B byłby jednym z czarnych charakterów.

- Co złego może zrobić? - spytał Richard. - Czy to przez paciorkowca poumierają tamte dzieci?

- Nie, skądże. Następstwa zakażenia zależą od wielu czynników. Na ogół po odpowiedniej kuracji dzieci szybko dochodzą do siebie. Jeśli jednak coś pójdzie nie tak, taki paciorkowiec może wywołać posocznicę, zapalenie płuc i zapalenie opon mózgowych. W najgorszym przypadku zakażenie może nawet skończyć się śmiercią.

- O mój Boże - załkała Jennifer.

- Musicie pamiętać, że zwykle do tego nie dochodzi. Nasz oddział intensywnej terapii jest bardzo dobrze wyposażony i personel robi wszystko, żeby pomóc waszemu dziecku. Jedna z pielęgniarek niedługo przyjdzie z wami porozmawiać. Dlatego nie martwcie się na zapas i trzymajcie się dzielnie, dobrze?

Brad wyszedł z sali pooperacyjnej i skierował kroki do pokoju pielęgniarek, by dokończyć wypełnianie karty. Po chwili dołączyła do niego Morgan. Wyglądała na wzburzoną.

- Nie uważasz, że trochę przesadziłeś? - spytała. - Moja siostra dopiero co przeszła poważną operację. Nie wydaje mi się, żeby trzeba było od razu zarzucać ją przygnębiającymi faktami.

- Nie lubię mówić ludziom o możliwych powikłaniach, ale nie potrafię postępować inaczej. Prawda jest taka, że na tym etapie rozwoju duża część dzieci choruje, a około piętnastu procent z nich umiera. Jesteś pediatrą i dobrze o tym wiesz. Jeśli znasz lepszy sposób przedstawienia tego faktu, chętnie posłucham.

Brad Hawkins był typem pracoholika, dla którego praca jest przyjemnością. Choć w niedzielę nie miał dyżuru, zajrzał do swoich pacjentów. Wziął ze sobą syna. Michael znał już szpital jak własną kieszeń.

- Dzień dobry, doktorze Hawkins - rozległ się głęboki głos, kiedy ojciec i syn szli jednym z rzadziej uczęszczanych szpitalnych korytarzy.

Brad odwrócił się i zobaczył nadchodzącego wysokiego czarnoskórego mężczyznę, z szerokim uśmiechem na ustach.

- Cześć, Nbele - powiedział i uściśnął dłoń mężczyzny. - Co nowego i ciekawego słychać?

- Po staremu, panie doktorze. Czy to ten sam młody człowiek, którego w

zeszłym roku spotkałem na meczu futbolu?

- Ten sam. Michael, przywitaj się z Nbele.

- Cześć - powiedział jego syn. - Grasz w futbol? Nbele wybuchnął śmiechem.

- Nie taki jak wasz - odparł. Mówił z silnym akcentem. - Gram w piłkę nożną. A ty?

- Czasami. Nie jestem za dobry.

- Ściągnęli cię do pracy w niedzielę? - spytał Brad.

- Nie, nie, mam parę spraw do załatwienia. - Zwrócił się do Michaela. -

Któregoś dnia zagramy razem, co?

- Rozumie się.

Nbele, wciąż uśmiechnięty, pomachał im i poszedł w swoją stronę. Brad poprowadził syna w głąb korytarza.

- Czy ten pan jest lekarzem? - dopytywał się Michael.

- Nie, pracuje na patologii.

- Ma dziwne imię - powiedział chłopiec.

- Prawda? Pochodzi z Afryki i zna mnóstwo wspaniałych opowieści. Któregoś dnia musimy go zabrać ze sobą na łódź.

Dwadzieścia cztery godziny po usunięciu niewłaściwego dziecka do Arnolda Schuberta zadzwonił dyrektor oddziału położniczego i ginekologicznego, by zbesztać go w ostrych słowach za "największy błąd lekarski tej dekady". Uprowadził Schuberta, że incydent zostanie poruszony na następnym zebraniu komisji etycznej. Następny taki błąd zostanie ukarany automatycznym zawieszeniem.

Zdenerwowany Schubert odłożył słuchawkę. Nie został tak zmieszany z błotem od czasów szkoły średniej. Miał nadzieję, że ta sprawa nie zostanie opisana w prasie. Najgorsze, że prawdopodobnie zostanie pozwany do sądu.

Arnold Schubert żył w coraz większym stresie.

Morgan mieszkała na modnym osiedlu w Fort Salonga. Było kilka minut po dziewiątej i właśnie miała pojechać do szpitala, kiedy rozległ się dzwonek. Nie spodziewała się żadnych gości, ale w tak piękny niedzielny poranek zjawić się tu mógł każdy, od ekologa po ewangelistę. Uchyliła drzwi i wyjrzała przez szparę.

- Dzień dobry, doktor Robinson. Czy przyszedłem w nieodpowiednim momencie?

Morgan nie posiadała się ze zdumienia. To był Hugh Britten. Co on tu robił, do licha? Czyżby zostawił jej wiadomość, w której uprzedzał o swoim przybyciu, a ona nie zwróciła na nią uwagi?

- Doktorze Britten, ja... - Stała w drzwiach z otwartymi ustami.

- Właśnie byłem w tej okolicy - ciągnął Britten - i pomyślałem sobie, że może poszłaby pani ze mną na kawę. Albo śniadanie, co pani woli.

- Mieszka pan w pobliżu?

- Nie.

Wpatrywał się w nią tak samo jak na zebraniu zarządu, niczym zaciekawiony szczeniak. Mimo to Morgan czuła się nieswojo pod jego spojrzeniem. Britten miał na sobie niewiarygodnie niemodny strój, dziwną mieszanką ciuchów z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych: poliestrową koszulę z szerokim kołnierzem, wełnianą kamizelkę i obszerne spodnie w kratę. Jeśli ubranie było ilustracją zamiarów człowieka, Morgan nie miała pojęcia, czego się spodziewać.

- Moja siostra właśnie urodziła bliźnięta, doktorze Britten, i...

- Hugh.

Zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

- Hugh. Właśnie wybieram się do szpitala.

- Którego?

- Uniwersyteckiego.

- Chcesz, to cię podrzucę. - Machnął ręką w stronę swojego samochodu. - Moglibyśmy coś przekąsić w drodze powrotnej.

Morgan zauważyła zaparkowany przy krawężniku wspaniały samochód sportowo-terenowy marki Infiniti, ulubioną zabawkę yuppies.

- Prawdę mówiąc, trochę mi się spieszy. - Włączyła system alarmowy i wyszła z domu, zamykając za sobą drzwi. Potem wzięła Brittena za ramię i delikatnie odwróciła go o sto osiemdziesiąt stopni, kierując kroki do swojego samochodu. -I mam do załatwienia parę spraw osobistych. Dlatego muszę odmówić.

Britten zeszywniał.

- Morgan, bo pomyślę, że mnie unikasz.

- Posłuchaj, Hugh. Tak się nie robi. Nie można dzwonić do ludzi w środku nocy czy zjawiać się u nich bez zapowiedzi i oczekiwać, że nagle wszystko zostawiają.

Przeszył ją gniewnym spojrzeniem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jestem niewychowany, tak? Morgan zmusiła

się, by zachować cierpliwość. W końcu Britten był wschodzącą gwiazdą AmeriCare.

- Na razie chcę powiedzieć tylko tyle, że muszę już lecieć. - Zaczekała kilka sekund, by Britten wreszcie pojął aluzję, ale on stał jak wrośnięty w ziemię. Morgan wzruszyła ramionami. - Jak sobie chcesz. - Odwróciła się i ruszyła do swojego wozu.

- Na twoim miejscu byłbym bardzo ostrożny, Morgan - krzyknął do niej. - Mógłbym pomóc ci w twojej karierze. Ale jeśli dalej będziesz mnie tak traktować, mogę ci też zaszkodzić.

Morgan zatrzymała się w pół kroku. Dobry Boże, on jej groził! Czyżby myślał, że zdobędzie ją w ten sposób? Dłonie Morgan zacisnęły się w pięści. Już miała odwrócić się i powiedzieć mu, co o nim myśli, ale w porę ugryzła się w język. Gdyby mu naubliżała, mogłoby to okazać się pyrrusowym zwycięstwem.

Nie ulegało wątpliwości, że Britten byłby w stanie uprzykrzyć jej życie. A po niedawnej konfrontacji z Morrisonem i doktorem Huntera, mogła wylecieć z pracy w mgnieniu oka. Co prawda, postanowiła już, że odejdzie, ale na swoich warunkach. Lepiej będzie zachować zimną krew, przynajmniej na razie. Morgan opanowała się, odetchnęła głęboko i odwróciła się twarzą do Brittena. - Wiesz co? Wpadnij w południe, to pójdziemy na kawę, dobra?

Po rozstaniu z Morgan Britten pojechał do swojego gabinetu w AmeriCare. Musiał wyszperać pewne informacje. Choć oficjalnie był zatrudniony na pół etatu, zatroszczył się o przestronny i doskonale wyposażony gabinet. Wszedłszy do środka, włączył komputer i załogował się do systemu. Po wczytaniu danych personalnych Morgan Robinson zauważył, że jako swoją najbliższą krewną wpisała siostrę, Jennifer Hartman.

Palce Brittena błyskawicznie śmigały po klawiaturze. Wędrował po sieciach komputerowych, aż wreszcie dostał się do systemu informacyjnego Szpitala Uniwersyteckiego. Po kilku minutach na jego twarz wypłynął uśmiech. Jennifer Hartman rzeczywiście była pacjentką tej placówki. Niedawno urodziła bliźnięta, które obecnie leżały na oddziale intensywnej terapii noworodków. Po piętnastu minutach Britten wiedział już wszystko o trójce interesujących go pacjentów. Jeden z nich, nowo narodzony chłopiec, był w dość ciężkim stanie.

Poszli na lunch do Old Dock Inn. Choć restauracja była zatłoczona, udało im się znaleźć wolny stolik przy oknie, z widokiem na morze. Britten zamówił zestaw

krabów, a Morgan poprzestała na sałatce i kawie.

- Mam nadzieję, że twoja siostra czuje się dobrze? - spytał Britten.

- W takim stopniu, w jakim to możliwe. Jest jej naprawdę ciężko. Urodziła jedenaście tygodni przed terminem przez cesarskie cięcie. Jedno z jej dzieci jest w stanie krytycznym.

- Przykro mi to słyszeć. Co mu jest?

- Zakażenie paciorkowcem grupy B - powiedziała Morgan. - Wiesz, o co chodzi?

Britten uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Moja droga doktor Robinson - powiedział - choć nie jestem lekarzem, nic, co dzieje się w Szpitalu Uniwersyteckim, nie uchodzi mojej uwagi. Z wykształcenia jestem ekonomistą, ale wyspecjalizowałem się w ochronie zdrowia.

- Nie chciałam cię urazić, mówiąc...

- Trudno jest mnie urazić - ciągnął Britten. - Chociaż pewne uniwersyteckie szychy czasem próbowały. Wiesz, że w zeszłym roku byłem kandydatem na dyrektora całego stanowego systemu szkolnictwa wyższego?

- Nie - powiedziała Morgan. - Nie słyszałam o tym.

- Tak jak wszyscy - stwierdził Britten - i to było moim największym problemem. Okazało się, że moja nominacja została zgłoszona dla formalności. Członkowie zarządu dokonali wyboru już wcześniej i spodziewali się, że żaden z pozostałych kandydatów nie potraktuje tej propozycji poważnie. A ja właśnie tak ją potraktowałem.

Wypowiedział te słowa ze złością, a oczy zapłonęły mu nienawiścią. Morgan nie musiała być psychiatrą, by domyślić się, jak bardzo przeżył ten afront. Wyglądało na to, że doktor Britten nie zapomina doznanych krzywd.

- Musiało ci być ciężko - stwierdziła.

- Prawdę mówiąc, wyszło mi to na dobre. Dzięki temu wreszcie mogłem ustalić, co jest dla mnie naprawdę ważne. Uznałem, że najlepiej mi będzie w sektorze prywatnym i myślę, że potwierdziły to moje tegoroczne osiągnięcia w AmeriCare.

- Domyślałam się, że nie darzysz uczelnianych bonzów zbyt dużą sympatią. Uśmiechnął się.

- Niestety, nie.

- Skoro więc ustaliliśmy, co kryje się w duszy Hugh Brittena, może powiesz mi, czemu chciałeś się ze mną spotkać.

Britten zaczekał, aż kelnerka rozstawi naczynia i odejdzie od stolika.

- Czy to nie oczywiste? - spytał. Morgan spojrzała na niego dziwnie.

- Słucham?

- Spójrz na mnie, Morgan - powiedział. - Mam trzydzieści siedem lat i nie żywię złudzeń co do mojego wyglądu. Kobiety nie mdleją z zachwytu na mój widok. Jestem jednak dość dobrze uposażony i wielu ludzi przyznałoby, że mam przed sobą wspaniałą przyszłość. Wszystko osiągnąłem dzięki swojej inteligencji, konsekwencji w działaniu i bezkompromisowemu dążeniu do realizacji własnych celów. Jakkolwiek na to spojrzeć, jestem dobrą partią. - Zawiesił głos. - Może zastanowisz się nad tym?

- Nad czym mam się zastanawiać?

- Proszę, Morgan, nie bądź tępa. Nie chcę dłużej być sam. Już jakiś czas temu wpadłaś mi w oko. Z twoją urodą i osobowością i moim intelektem stanowilibyśmy niezrównaną parę, nie sądzisz?

Ucisk w żołądku Morgan rozchodził się na całe ciało, przyprawiając ją o mdłości. On jej pragnął. Patrząc na twarz Brittena, na której zagościł wyraz dziwnego rozmarzenia, Morgan doszła do wniosku, że jest on albo kompletnie pozbawionym wyczucia palantem, albo bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

## ROZDZIAŁ 9

Jeszcze przed rokiem rezydencją Arnolda Schuberta był wytworny, wielki dom w Head of the Harbor. Po separacji z żoną musiał zamienić go na skromne mieszkanie w St. James. I choć nie żył już w takim luksusie, do jakiego był przyzwyczajony, wciąż miał swoją muzykę i, co ważniejsze, wolność. Gdyby tylko, myślał, doszły do tego jeszcze pieniądze.

Miał nerwy napięte jak postronki. Szybko odwracane na jego widok spojrzenia świadczyły o tym, że wszyscy słyszeli o spartaczonej aborcji. Choć bał się, że zostanie z tego powodu pozwany do sądu, wydawało mu się, iż na razie proces jest jeszcze za wcześnie; pełnomocnik powoda musiał przecież zapoznać się z aktami medycznymi i uzyskać wstępne opinie biegłych, a to na ogół trwało co najmniej rok...

Srodze się jednak przeliczył. Poprzedniego dnia przyszedł do niego list polecony od adwokata Alyssy. "To nie jest nakaz", przeczytał Schubert. Ale z powodu "rażącego zaniedbania i braku kompetencji" państwo Cutrone zamierzali domagać się od niego dziesięciu milionów odszkodowania. List kończyła sugestia, by Schubert jak najszybciej skontaktował się ze swoją firmą ubezpieczeniową w sprawie ewentualnego pokrycia kosztów.

Następnego dnia, późnym popołudniem, wciąż zdenerwowany, siedział w salonie słuchając Verdiego, kiedy zadzwonił telefon. Doktor westchnął. Odkąd rozpoczęły się jego kłopoty małżeńskie, znów przyjmował więcej wezwań, bo potrzebował pieniędzy. Odbijało się to jednak niekorzystnie na jego zanikającym spokoju ducha. Niechętnie podniósł słuchawkę.

- Miło spędzasz niedzielę? - usłyszał. Schubert od razu rozpoznał ten głos.

- Tak, dziękuję. Jak dotąd jest spokój.

- Ach, samotność. Czasami każdy jej pragnie. Zaslugujesz na nią, jak najbardziej. To wiąże się z powodem, dla którego do ciebie dzwonię. No, teraz się nasłucham, pomyślał Schubert.

- To znaczy...

- To znaczy, że doskonale wywiązujesz się ze swoich obowiązków. Liczba aborcji, tak wczesnych, jak i późniejszych, wzrasta. Mamy już z tego pewne korzyści, ty zresztą też. Ale jeśli chcemy, żeby dalej tak było, musimy unikać błędów, prawda?

Schubert zeszywniał.

- O czym pan mówi?

- Jak to, nie wiesz? O niekompetencji! O łatwych do uniknięcia błędach, takich



jak choćby usunięcie niewłaściwego bliźniaka! W dodatku tego, któremu powinienesz być pomóc. Dobry Boże, człowieku, student pierwszego roku medycyny nie miałby takiej wpadki!

- Ja...

- Nie gadaj tyle! Rusz głową, na litość boską. Interes dobrze się rozwija, ale jeśli zaczniesz odwalać takie numery, wszyscy będziemy mieli kłopoty! Chwytasz, o czym mówię?

Schubert zrozumiał. Jego rozmówca słynął z fanatycznej surowości, która nie pozwalała mu tolerować błędów czy dawać ludziom drugiej szansy.

Następnego ranka po zakończeniu obchodu Brad poszedł do głównego patologa, Bernarda Kornheisera. Nie dawał mu spokoju fakt, że nie przeprowadzono sekcji zwłok zmarłych noworodków. We wszystkich przypadkach, w których przyczyna zgonu była nieznana, autopsja mogła rozwiać część wątpliwości. Jak się jednak okazało, sekcji poddano tylko jedno ze zmarłych dzieci. Nawet jeśli to nie Kornheiser ją przeprowadził, mógł przynajmniej obejrzeć z Bradem preparaty.

- Chodzi o małą Strickland, zgadza się? - spytał patolog. Brad skinął głową.

- Dziewczynkę z listeriozą. Kornheiser wyjął preparaty.

- Tę sekcję prowadziłem osobiście. Chudzinka. Wcześniak, co?

- Poród w trzydziestym drugim tygodniu.

W teczce z preparatami była schowana ostateczna diagnoza. Kornheiser rozłożył kartkę.

- Tysiąc siedemset osiemdziesiąt gramów. Była mocno wychudzona. Jej przypadek raczej nie wydał mi się niezwykły. Prawdę mówiąc, w chwili śmierci nie chorowała już ani na posocznicę, ani na zapalenie płuc.

- No to co ją zabiło? Kornheiser wzruszył ramionami.

- A co jest przyczyną zespołu nagłej śmierci niemowląt? Nie wiemy. Dzieciaki umierają bez żadnej widocznej przyczyny. W jej narządach były dostrzegalne typowe ślady zakażenia, ale nic niezwykłego. Interesują cię jakieś określone preparaty?

- Najbardziej chyba te z płuc.

Kornheiser powiódł palcem po szkiełkach umieszczonych w cienkiej, przypominającej książkę tekturowej teczce.

- Zobaczmy... a, tu jest. - Wyjął paznokciem kciuka jedno ze szkiełek i położył je na stoliku mikroskopu. Był to drogi model Zeissa, nowoczesny, z podwójnym

okularzem. Kornheiser ustawił ostrość. - Obejrzyj to sobie.

Brad pochylił się, obracając okular w swoją stronę. Przystawił do niego oczy i wyostrzył obraz, zastanawiając się, co na nim właściwie widać.

- Skąd dokładnie to pobrałeś?

- Z pęcherzyków płucnych. Zwróć uwagę na ustępujący stan zapalny. Tu i ówdzie widać jeszcze granulocyty eozynochłonne.

- To różowe to płyn surowiczy?

- Zgadza się.

- Sporo go, co? - powiedział Brad. - Pęcherzyki są nim wypełnione.

- Może jest go trochę więcej niż zwykle - przyznał Kornheiser. - Ale czasami dzieje się tak pod wpływem wstrząsu wywołanego masażem serca.

- Czy obrzęk i obecność granulocytów eozynochłonnych mogą świadczyć o wystąpieniu jakiejś reakcji alergicznej?

- Za dużo czytasz, Brad - powiedział patolog. - Z tego, co wiem, w żadnym z czterech przypadków nie było objawów alergii.

- No tak, ale... może spowodowała to jakaś toksyna, zatrucie?

- Nic na to nie wskazuje - powiedział Kornheiser. - Gdyby tak było, nastąpiłyby charakterystyczne uszkodzenia innych narządów, na przykład wątroby. Brad wyprostował się. Miał zmarszczone czoło.

- Mogę pożyczyć te szkiełka?

- Proszę bardzo. - Kornheiser podsunął mu teczkę. - Czego właściwie szukasz?

- Dowiem się, kiedy to znajdę.

Czterdziestoletni Simon Crandall był jednym z kustoszy działu entomologii Muzeum Przyrodniczego, znajdującego się na Manhattanie. Był także biologiem sądowym, specjalizującym się w antropologii i entomologii. W tej ostatniej dziedzinie cieszył się opinią eksperta, co w połączeniu z jego biegłością w medycynie sądowej czyniło go cenionym współpracownikiem policji. Ponadto, jako uznany antropolog, stał się specjalistą od identyfikacji kości. Crandall na ogół dyżurował w gabinecie w muzeum.

- Panie doktorze, przyszedł do pana oficer policji.

- Proszę go wpuścić.

Mężczyzna, który wszedł do gabinetu Crandalla, miał na sobie tani szary garnitur i trzymał w dłoni teczkę. Po okazaniu odznaki policyjnej przedstawił się jako

Kevin Riley.

- W czym mogę panu pomóc, detektywie?

- Mógłby pan to zidentyfikować, doktorze? - Riley wyjął z teczki dużą kość.

- Zobaczymy. - Crandall obrócił ją w dłoniach, przyglądając się przez lupę powierzchniom stawowym. - Skąd pan to ma?

- Ze sklepu w West Village o nazwie "Czaszki i inne drobiazgi".

- Jakiś nowy - powiedział Crandall. - Znam większość okolicznych kolekcjonerów kości, a o tym sklepie nie słyszałem.

- Działa dopiero od kilku tygodni. Właściciele ogłosili promocję. Według nich jest to kość udowa goryla. Obniżyli jej cenę z tysiąca do siedmiuset pięćdziesięciu dolarów.

- Że kość udowa, to się zgadzam. Tyle że ludzka. Kobiety. Zwykle schodzi za siedemdziesiąt pięć dolców.

- Chrzanisz pan.

- Jest pan nowy w tym biznesie, prawda, detektywie? - spytał Crandall.

- Aż tak to widać? Crandall uśmiechnął się.

- W ramach inicjacji udzielię panu krótkiej lekcji osteologii komercyjnej. - Oddał mu kość i odchylił się na obrotowym krześle, zakładając ręce za głowę.

- Kolekcjonowanie szkieletów - wyjaśnił - było ludzkim hobby od czasów starożytnych. Choć uważane za makabryczne i godne potępienia, zawsze znajdowało entuzjastów. Niewiele było przepisów odnoszących się bezpośrednio do zbieraczy kości - jak choćby zakaz sprzedaży i posiadania szczątków zagrożonych gatunków, na przykład goryla - a istniejące interpretowano w dowolny sposób. Praktycznie każdy mógł zostać kolekcjonerem.

W Stanach Zjednoczonych - ciągnął doktor Crandall - funkcjonowało około pięćdziesięciu sklepów "przyrodniczych" oferujących klientom szeroki asortyment towarów, jak choćby ludzkie kłykcie przysrodkowe kości ramiennej, kły rekina, czaszki zwierząt, kręgosłupy jaszczurek i ludzkie zęby. Mniej więcej dziesięć z nich to sklepy "tylko z kośćmi". To, co niegdyś było dziwnym hobby ranczerów z południowego zachodu, z czasem przerodziło się w światowy biznes. Prowadzona była sprzedaż wysyłkowa, handlowano za pośrednictwem Internetu, a także w ekskluzywnych butikach.

- Zajmują się tym normalni ludzie czy jacyś zboczeńcy? - spytał Riley.

- Normalni, tacy jak pan i ja. Kiedyś w takim handlu uczestniczyły głównie

muzea i studenci medycyny, ale teraz kolekcjonerzy są wszędzie. To kwitnący interes. Rynek rozwija się w błyskawicznym tempie. Ceny poszły gwałtownie w górę po tym, jak Indie, będące jednym z największych na świecie dostawców ludzkich kości, w 1986 roku zakazały ich eksportu. Czaszki zwierząt, zwłaszcza te egzotyczne, chodzą po jakieś sto tysięcy dolarów, a najlepsze ludzkie okazy bywają warte dziesięciokrotnie więcej. Coś naprawdę rzadkiego i niezwykłego może osiągnąć wartość kilku milionów. Z uwagi na wchodzące w grę wielkie pieniądze i brak uregulowań prawnych, biznes ten jest niestety podatny na oszustwa i wszelkiego rodzaju podejrzaną działalność.

Crandall pochylił się, uniósł brwi i spytał detektywa, czy ma jakieś pytania.

- Tak. Jak właściwie przygotowuje się te szkielety? To znaczy legalnie, tak jak dla uniwersytetów?

Crandall uśmiechnął się. Zawsze lubił obserwować miny swoich rozmówców, gdy opowiadał im o gotowaniu świeżych ludzkich zwłok i oczyszczaniu ich przez setki mięsożernych chrząszczy.

Zgodnie z jego przewidywaniami Riley pobladł, a jego grdyka skakała w górę i w dół.

- Robisz pan sobie jaja?

- Ależ skąd, detektywie. To jedna z makabrycznych tajemnic medycyny. Oficer nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby strasznie mu się spieszyło.

- Doceniam pańską cierpliwość, doktorze Crandall - powiedział nerwowo. - To dłubanie w kościach musi zabierać panu mnóstwo czasu. Crandall skinął głową.

- Wie pan, co mnie niepokoi, detektywie? Każde kultowe zjawisko ma swoich fanatyków. Nic, dosłownie nic, nie powstrzyma ich przed zdobyciem okazji, na którym im zależy.

Brad Hawkins był na nogach od czwartej nad ranem. Musiał podać oksytocynę jednej z rodzących pacjentek. Proces ten wymagał jego obecności aż do samego porodu. Często trwało to wiele godzin. O dziesiątej, gdy wciąż nie zanosilo się na rozwiązanie, Brad włożył fartuch zabezpieczający i poszedł do kafeterii. Ledwie usiadł, a dołączyła do niego Meg Erhardt.

Brad, atrakcyjny, inteligentny mężczyzna, przed którym rysowały się wspaniałe perspektywy, uważany był przez pielęgniarki za niezłą partię. Miał jedną wadę - do wszystkich odnosił się chłodno, z dystansem. Niektóre z dziewczyn uważały to za zwykłą zarozumiałość, ale Meg widziała w tym ból człowieka, który utracił kogoś,

kogo naprawdę kochał. Znała Brada od kilku lat. Czasami, kiedy opowiadała mu o swojej rodzinie, z jego oczu wycierał bezdenny smutek.

Ta bezbronność bardzo ujmowała Meg i między innymi z jej powodu próbowała go zdobyć. Była kobietą ambitną, świadomą swoich celów, a do tego bardzo atrakcyjną, i choć kilka razy towarzysko spotkała się z Bradem, jak dotąd nie udało jej się przełamać postawionych przezeń barier. Co nie zniechęcało Meg do dalszych prób.

- Słyszałeś o tym dziecku z North Shore? - spytała.

- Jakim dziecku?

- Noworodku, który zmarł w podobnych okolicznościach jak pozostałe dzieci.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj wieczorem - odparła. - Wcześniak, miał cztery tygodnie. Jego stan zaczął się poprawiać, kiedy nagle nastąpiła niewyjaśniona niewydolność naczyniowo-oddechowa. Powiedziała mi o tym koleżanka, która tam pracuje.

- Mam nadzieję, że to nie jest początek jakiejś dziwnej epidemii - powiedział Brad. - Wiesz, rzuciłem okiem na preparaty z sekcji małej Strickland i coś mi mówi, że wywiązało się u niej jakieś zatrucie, a może alergia.

- Dlaczego?

- Bo w jednym z preparatów zobaczyłem coś, co mogłoby na to wskazywać. - Zawiesił głos. - Wiesz, Meg, to, czego szukamy, to wspólny mianownik.

- Jak jakieś urządzenie, na przykład kroplówka?

- No właśnie - przytaknął. - Coś nieoczekiwanego, zwyczajnego, coś, co było używane we wszystkich przypadkach. Coś... - Urwał w pół zdania, z szeroko otwartymi ustami, i wbił wzrok w twarz Meg.

Przeraził ją cień, który przemknął mu przez twarz.

- Co się stało? - spytała.

- Ubezpieczenie zdrowotne - powiedział powoli. - Gdzie ten mały był ubezpieczony?

Następnego ranka krótki artykuł o kolejnym niewyjaśnionym zgonie noworodka pojawił się na piątej stronie "Newsday". Po przeczytaniu go Jennifer przeszedł dreszcz. Autor wspominał o czterech wcześniejszych przypadkach i wymijających oświadczeniach dyrekcji szpitala, rozważał możliwe przyczyny takiego splotu okoliczności i zastanawiał się, czy na pięciu ofiarach się skończy. I to właśnie ją

przerażało.

- Jak leci, Jen?

Uniósłszy głowę., zobaczyła Sarah Berków, uśmiechającą się do niej z otwartych drzwi. Obydwie rodziły tego samego dnia i leżały w tym samym pokoju aż do poprzedniego dnia, kiedy to Sarah została wypisana. Jednak jej dziecko wciąż pozostawało na oddziale intensywnej terapii ze względu na zaburzenia w oddychaniu.

Jennifer wskazała ręką gazetę.

- Czytałaś?

Sarah skinęła głową.

- Straszne, co?

- Straszna to za mało powiedziane. Gdybym wiedziała, że są jakieś problemy...

- Wiem, ale przecież dziennikarze zawsze przesadzają, więc może... -Zawiesiła głos. - Przecież ten szpital ma dobrą opinię. W każdym razie przyszedłam zobaczyć, co u Ellen, i na razie wszystko wydaje się w porządku. Pomyślałam, że przy okazji zajrzę do ciebie.

- Dzięki, Sarah. Fizycznie czuję się dobrze, ale emocjonalnie to zupełnie inna historia. Szczerze mówiąc, boję się o Benjamina.

- Cóż, możemy się pocieszać, że nie jesteśmy same - powiedziała Sarah.

Po jej wyjściu Jennifer szybko wstała, włożyła szlafrok i poszła na oddział intensywnej terapii. Była wściekła i ogarniało ją poczucie bezsilności. Dlaczego nikt nie powiedział jej o tym, co autor artykułu nazwał "zagadką Szpitala Uniwersyteckiego"? Gdyby wiedziała o tej sprawie, może wybrałaby innego lekarza i inny szpital. Pewnie nie miałyby to większego znaczenia, ale przynajmniej mogłaby żywić złudzenia, że choć w części panuje nad sytuacją.

Stan jej córki, Courtney, poprawiał się z godziny na godzinę. Oddychała bardzo dobrze jak na noworodka jej budowy, przyjmowała niewielkie ilości pokarmu i miała tylko lekką żółtaczkę. Pediatra powiedział, że są duże szanse na szybkie wyzdrowienie.

Z synkiem Jennifer, Benjaminem, było zupełnie inaczej. Leżał w inkubatorze numer 104, na środku oddziału. Wydawał się taki kruchy... Biała opaska przesłaniała mu wrażliwe oczka, a z materaca, na którym leżał, biła niebieska poświata. Z góry padał na niego blask podgrzewacza Air Shields, a oscylujący wentylator SensorMedics wtłaczał wilgotne powietrze do rurki dotchawiczej. Dziecko się nie ruszało. Było podłączone do dwóch kroplówek, zbiornika na mocz i wszelkiego rodzaju monitorów.

Kable czujnikowe rozchodziły się we wszystkie strony. Wśród całego tego oprzyrządowania Benjamin wyglądał jak obiekt jakiegoś eksperymentu, w którym więcej było elektroniki niż ciała.

Nikt nie powiedział Jennifer, czyjej syn będzie żył, a ona o to nie pytała. Właściwie nie chciała tego wiedzieć. Okrutne statystyki wskazywały, że dziecko urodzone dziesięć tygodni przed terminem, o bardzo niskiej masie urodzeniowej i z rozległą posocznicą miało w najlepszym razie pięćdziesiąt procent szans na przeżycie. Choć Ben pozostawał pod stałą opieką lekarską, okoliczności sprzysięły się przeciw niemu. Jennifer mogła tylko czekać i modlić się.

I to właśnie robiła. Nigdy nie należała do osób szczególnie religijnych, ale w tej sytuacji gotowa była zrobić wszystko, co mogłoby pomóc jej dziecku. Wsunęła palec w drobną, nieruchomą dłoń Bena i pomyślała, że skoro nie może wziąć go w ramiona, to przynajmniej taki kontakt fizyczny doda sił, jeśli nie jemu, to jej.

Modliła się do Boga i do Jezusa. Do Buddy i do Wielkiego Ducha. Modliła się o siłę woli dla siebie, o cud i o fachowy personel. Z największą jednak żarliwością błagała o jakikolwiek znak. W głębi duszy traciła nadzieję i nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma bez wsparcia.

## ROZDZIAŁ 10

Kilka dni po pierwszym spotkaniu z doktorem Crandallem detektyw Riley przekazał mu telefonicznie prośbę asystenta lekarza sądowego o przyjazd na miejsce zbrodni w celu oględzin zwłok. Jako oficjalny konsultant Biura Medycyny Sądowej i policji nowojorskiej Crandall, uznany entomolog i specjalista od kości, często był wzywany w charakterze eksperta.

Wszystkie niezbędne rzeczy trzymał w walizce, którą przechowywał w swoim gabinecie. Oprócz lupy i rękawic z lateksu była tam odzież ochronna, narzędzia chirurgiczne, mały pędzel, różne aspiratory owadów i zestaw składanych siatek. Kiedy przyjechał Riley, wszystko było już gotowe. Idąc w stronę nieoznakowanego samochodu policyjnego, Crandall spytał detektywa, dokąd pojadą.

- Na Staten Island - odparł Riley. - Niedaleko Great Kills. Istnieje podejrzenie, że to zwłoki córki Sala De Paolo, i trzeba ustalić czas zgonu.

- Tego z mafii?

- Zgadza się. Dziewiętnastoletnia dziewczyna zaginęła przed dziesięcioma dniami. Czytał pan o tym? Crandall pokręcił głową.

- Nie interesują mnie kroniki kryminalne.

- Chodzą słuchy, że chłopcy De Paolo próbują wkroczyć się do handlu kośćmi. Można na tym niezłe zarobić. Dlatego przydzielono mnie do tej sprawy. Jeśli okaże się, że to ciało małej De Paolo, niektórzy mogą uznać to zabójstwo za wynik wewnętrznych porachunków. - Zawiesił głos. - Niech mi pan coś powie, doktorze. Czemu właściwie zajął się pan entomologią sądową?

- Chyba z ciekawości zawodowej. Co pan wie o tym, co robię?

- Niewiele - przyznał Riley. - Zajmuję się tą sprawą dopiero od miesiąca.

- No to czeka pana tradycyjny dziesięciominutowy wykład dla początkujących. Istnieje kilka metod określania czasu zgonu. Pierwsza, histologiczna, opiera się na analizie próbek tkanki. Stosuje się też metody chemiczną i bakteriologiczną. W normalnych okolicznościach każdy dobry lekarz sądowy może ustalić czas zgonu przy wykorzystaniu wyłącznie tych trzech technik. Jednak zdarza się, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z ciałem, które leżało na dworze, poddane działaniu wysokiej temperatury, że trzeba uciec się do metody botanicznej albo zoologicznej. Ta ostatnia to moja działka.

- Zoologicznej?

- Badam faunę żerującą na zwłokach, głównie owady. Identyfikując gatunki w



różnych stadiach rozwoju, można uzyskać dość dokładne przybliżenie czasu zgonu.

W czasie jazdy Crandall dokładnie wyjaśnił swojemu słuchaczowi, co dzieje się ze zwłokami pozostawionymi na otwartym terenie.

- Na rozkładających się zwłokach żerują cztery różne kategorie owadów. Najpierw pojawiają się owady padlinożerne, jak na przykład muchy mięsne i ich larwy, a potem drapieżcy i pasożyty padlinożerców, a zwłaszcza *coleoptera*, czyli chrząszcze. Zwykle unikają one rywalizacji z muchami mięsnymi, obsiadając zwłoki w późniejszym stadium rozkładu. Następni w kolejności są wszystkożercy, jak osy i mrówki, a ostatnie przybywają pająki.

- Na początek - ciągnął Crandall - podobnie jak lekarze sądowi, dokonuję ogólnych oględzin ciała, by w przybliżeniu ustalić stopień rozkładu. Zależy on od temperatury otoczenia, pory roku, mikroklimatu, wilgotności oraz innych czynników środowiskowych, które muszą uwzględnić. Po uzyskaniu szczegółowych danych na miejscu odnalezienia zwłok i połączeniu ich z wynikami identyfikacji entomologicznej, zazwyczaj jestem w stanie określić w miarę dokładnie czas zgonu.

Przejechali przez most Verrazano-Narrows i po piętnastu minutach dotarli na miejsce. Zwłoki odnaleziono niecałe dziesięć metrów od brzegu zatoki Raritan. Riley zatrzymał wóz i razem z Crandallem ruszyli w stronę żółtej taśmy, którą ogrodzono miejsce zbrodni. Ofiara leżała na bagnistej równinie porośniętej trzinami i wysoką trawą. Od strony wody nadciągnął podmuch wiatru, niosący odór śmierci. Riley zgiął się wół i zwrócił śniadanie. Crandall podał mu kilka papierowych chusteczek.

- Powinienem był pana przed tym ostrzec - powiedział. - Chce pan maskę?

- A to coś da? - spytał Riley, blady i zdenerwowany.

- Raczej nie.

- To po co mi ona?

- Otóż to - powiedział Crandall. - Po pewnym czasie przyzwyczai się pan. Sądząc po tym smrodzie, zgon nastąpił od trzech do osiemnastu dni temu. Skoro jednak jest aż tak silny, założę się, że raczej wcześniej niż później. Da pan sobie radę?

- Spróbuję - odparł Riley słabym głosem.

Przeszli pod taśmą i ruszyli w kierunku wskazanym przez policjanta. Przez rozgarnięte sitowie wiodła wydeptana ścieżka. Szczątki spoczywały w zaroślach, kilka metrów dalej. Były to nagie zwłoki młodej kobiety, leżącej na boku z rękami nad głową, do której przylegały resztki długich jasnych włosów. Crandall pochylił się i otworzył walizkę, przyglądając się zwłokom.

Jedynie, co dało się stwierdzić na pewno, to że ofiara była człowiekiem. Nie miała oczu i warg. Choć była rasy białej, resztki odsłoniętej skóry prawie całkowicie szerniały. Tkanki zaczynały się kurczyć i w miarę wydostawania się wewnętrznych gazów ciało zapadało się. Tu i ówdzie, zwłaszcza w okolicach twarzy, spod skóry wyłaniały się kości.

Nie zważając na smród, Crandall wyjął lupę i dokładnie obejrzał głowę ofiary. W nozdrzach roiło się od oślizłych pędraków, a w oczodołach wiły się żółtawe larwy. Crandall pomyślał, że przy takiej temperaturze i wilgotności po dziesięciu dniach powinno ich być więcej. Wyciągnął pincetę i kilka butelek z płynem. Przez następne dziesięć minut ostrożnie chwycił owady różnych gatunków, uśmiercał je w czterochlorku węgla, po czym konserwował w alkoholu etylowym.

Po zakończeniu pracy Crandall schował wszystkie narzędzia na miejsce, zamknął walizkę i podszedł do detektywa Rileya, który wycofał się pod samą taśmę oznaczającą miejsce zbrodni. Kilka minut później byli już na autostradzie.

Po powrocie do swojego gabinetu Crandall przeprowadził makroskopową i mikroskopową analizę odnalezionych owadów, robiąc przy tym szczegółowe notatki. Zajęło mu to dwie godziny. Najliczniej reprezentowanymi gatunkami były *creophilus* i jego larwy, *gamasidae*, pasożytnicze osy *ptomaphila*; mniej natomiast było larw much mięsnych i *trichoptera*. Na podstawie przeprowadzonych badań Simon Crandall doszedł do wniosku, że ofiara zginęła przed trzynastoma dniami.

Jeśli zatem De Paolo widziano przed dziesięcioma dniami, nie mogły to być jej zwłoki. Policja musiała kontynuować poszukiwania córki gangstera.

- Naprawdę niepokoję się o nią - powiedziała Morgan. - Bez przerwy siedzi na oddziale intensywnej terapii i wpatruje się w inkubator Bena.

- Jak każda matka martwi się o swoje dziecko - stwierdził Brad. - One wszystkie tak się zachowują. Każdego dnia widzę je w szpitalu.

- Brad, nie o to chodzi. Jennifer prawie w ogóle nie bywa w domu i nie sypia. Nie widziałam, żeby coś jadła. To chyba nie jest zdrowe, prawda?

Brad uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że tylko matka mogła okazywać tak żarliwą troskę i takie oddanie. W oczach innych było to ogromne poświęcenie graniczące z obłądkiem.

- Dobrze, porozmawiam z nią. Szczerze mówiąc, nie liczyłbym na to, że cokolwiek się zmieni, dopóki Ben nie zostanie odłączony od respiratora.

- A kiedy to nastąpi? Wzruszył ramionami.

- Poczekamy, zobaczymy.

Obydwoje sączyli kawę. Ich spotkania w szpitalnej kafeterii stały się codziennym rytuałem. Już nie skakali sobie do oczu, jak to jeszcze do niedawna bywało. Dobrze się ze sobą czuli, rozmawiając przy kawie, choć na razie ich znajomość pozostawała czysto zawodowa.

Minęło kilka dni od wypisania Jennifer ze szpitala. Bardzo szybko doszła do siebie. Chciała, co prawda, zostać tu, by być blisko swoich dzieci, ale nawet jej siostra, w końcu osoba dość wpływowa w AmeriCare, nie mogła załatwić jej finansowania nieuzasadnionego pobytu w szpitalu. A ponieważ Morgan rzadko udawało się zastać Jennifer w domu, często zaglądała na oddział intensywnej terapii noworodków przed pracą albo w przerwie na lunch, by dowiedzieć się o stan dzieci.

- Jak tam, stary dobry Hugh próbował się z tobą kontaktować? - spytał Brad.

- Od kilku dni nie. - Morgan wcześniej powiedziała mu o nocnym telefonie od Brittena i jego zaskakującej porannej wizycie. - Jestem pewna, że wielu kobietom pochlebiłoby jego zainteresowanie, ale... słyszałaś, że w zeszłym roku kandydował na dyrektora stanowego systemu szkolnictwa wyższego?

- Tak. Przez kilka tygodni o niczym innym nie mówiło się na uniwerku. - Uniósł na nią wzrok znad kubka z kawą. - Posłuchasz mojej rady? Trzymaj się z dala od tego typu, Morgan. Mówi się o nim, że kiedy się czegoś uczepli, jest nieustępliwy jak pirania. Myślę, że czeka na okazję, by zemścić się na władzach uczelni, a potrafi być naprawdę bezwzględny.

Morgan odwróciła się, próbując ukryć ogarniający ją niepokój. Nie wspomniała Bradowi o e-mailu od Brittena ani o telefonach, których nie odbierała. Żyć podejrzania, to jedno; ale uzyskać ich potwierdzenie, to zupełnie co innego.

Afryka Wschodnia, 1981

Najpierw wypatroszył brązową kozę.

Zwierzęta były kluczem do zrozumienia bożej woli. Bogini Ngai wyrażała ją przez ślady pozostawione przez nie na pastwiskach albo - jeśli człowiekowi się spieszyło - przez ich wnętrza. A jemu w tej chwili się spieszyło.

Jako syn *mindumugu*, czyli szamana, był odpowiedzialny i za siebie, i za swój lud. Zanim skończył dwadzieścia lat, zaczął się kształcić na strażnika przyrody i

studiować biologię. Koniecznie musiał uniknąć skandalu, a grzechem było pokalenie dobrego imienia plemienia. Tragiczny los Makkede ściągnął na jego lud zainteresowanie policji, a syn szamana wpadł w tarapaty przez swoją słabość do konopi indyjskich. Chodziły słuchy, że policja chce go aresztować. Musiał podjąć jakieś działania, ale najpierw należało sprawdzić rozmiary zagrożenia. A do tego potrzebne mu były kozy.

Był przystojnym, wysokim mężczyzną o wąskim nosie. Przerwał na chwilę długą wspinaczkę, rozkoszując się słabym wieczornym powiewem płynącym w górę zbocza. To naprawdę była boża ziemia, a on miał na niej swój dom. Patrząc w dal, zobaczył pasmo wyciosanych z granitu gór, *Ildonyo Ogol*, spowitych cierniami i akacjami. W dole, naprzeciwko rozpadliny, po kres horyzontu rozciągała się równina Serengeti, obfitująca w antylopy gnu, kongoni, impala i zebry. Mężczyzna odetchnął głęboko i ruszył w dalszą drogę, ciągnąc kozy za sobą.

Na polanie przywiązał je do pala i rozpałił ogień. Przez następną godzinę kopał w ziemi głęboką dziurę, którą następnie wyłożył liśćmi bananowca. Potem zczekał, aż zapadnie zmrok i na niebie rozbłysną gwiazdy. W końcu wstał i odśpiewał błogosławieństwo. Zwilżając liście wodą z tykwy, posypał je świętym prochem z butelki z kości słoniowej.

Nadszedł czas.

Rzuciwszy okiem na niebo, wyjął nóż z pochwy i podszedł do białej kozy. Jednym płynnym ruchem ręki rozciął jej nos i wtarł w ranę sproszkowane wapno. Następnie odwiązał zwierzę od pala i, krwawiące, oprowadził wokół jamy, pozostawiając czerwony ślad. Potem to samo zrobił z brązową kozą, tyle że okrążając jamę, szedł w odwrotnym kierunku.

W nocnym powietrzu unosił się zapach mimoz. Odłożywszy nóż, mężczyzna zaczął dusić brązową kozę, aż bezwładnie opadła na ziemię. Kiedy opalizujące ślepia zwierzęcia zamgliły się, rozplatał mu brzuch za pomocą pangi. Następnie wyszarpnął lśniące, wilgotne wnętrzości na suchą ziemię. Zwierzę było już w agonii, gdy wreszcie poderżnął mu gardło. Zabiwszy w podobny sposób białą kozę, zaciągnął parujące wnętrzości do jamy. Wrzucił je do środka, po czym przykucnął, by odczytać z nich przyszłość.

Zmrużył w skupieniu oczy. Wnętrzości prawidłowo zarżniętego ofiarnego zwierzęcia mogły wiele powiedzieć. Dobry *mindumugu* potrafił czytać w nich jak w książce. W blasku ognia mężczyzna z uwagą przyglądał się stygnącej masie,

przebijając patykiem śliskie zwoje, szukając odpowiedzi na nurtujące go pytania. W końcu pojął, że policja rzeczywiście go ściga i aresztowanie jest tylko kwestią czasu. Mężczyzna podniósł się. Najwyższa pora opuścić ziemię przodków.

Z nadejściem świtu na niebie pojawią się krążące sępy. Zwabione wonią krwi i cuchnących trzewi marabuty zaczną krążyć wśród truchła, z których w innych okolicznościach można by spreparować okazałe szkielety. Wtedy jednak jego już tu nie będzie. Mężczyzna ruszył w dół wzgórza przy głośnych dźwiękach nocnej symfonii *fisi, hien*.

## ROZDZIAŁ 11

Główny hol siedziby AmeriCare wyglądał imponująco. Okna sięgały od podłogi po sufit, a ściany były wyłożone włoskim marmurem. Wszystko to razem tworzyło wrażenie potęgi i za każdym razem, gdy Morgan wchodziła do budynku, wstępowały w nią nowe siły. Miało to jednak swoją cenę. Było nią odhumanizowanie miejsca pracy i chłód, który dawał się we znaki wszystkim pracownikom.

Winna temu była nie tylko architektura. Wkrótce po rozpoczęciu pracy w AmeriCare Morgan uświadomiła sobie, że niemal we wszystkich firmach tego typu panuje atmosfera podszytej chciwością nerwowości, przejawiająca się w bezustannym odrzucaniu wniosków klientów i ciągłych wysiłkach na rzecz ograniczenia kosztów działalności. Początkowo, gdy przechodziła przez hol, uśmiechała się i witała ze wszystkimi. Jednak strażnik nigdy nie zdobył się w odpowiedzi na nic więcej niż ponury pomruk, a inni pracownicy byli równie zamknięci w sobie. Po pewnym czasie Morgan zrezygnowała z prób nawiązania z nimi kontaktu.

Jednym z nielicznych wyjątków była jej sekretarka, Janice. Ta pełna życia, towarzyska blondynka zawsze miała dla swojej szefowej uśmiech i ciepłe słowo. Janice była w wieku Jennifer i Morgan traktowała ją bardziej jak siostrę niż podwładną.

- Co u twojej siostry, Morgan? A u siostrzeńca? - spytała Janice.

- Obydwoje ledwo się trzymają - powiedziała. - Życie Bena wisi na włosku, a Jen sama sobie szkodzi. Przyszło coś do mnie?

- Przyniosłam akta, o które prosiłaś. Leżą na twoim biurku. Aha, szukał cię doktor Hunt.

- A czego on chce?

- Nie powiedział, ale słowo daję, ciarki mnie przechodzą na jego widok.

Morgan wiedziała, co Janice ma na myśli. Martin Hunt, którego poznała podczas wstępnej rozmowy kwalifikacyjnej, wydawał się ulepiony z innej gliny niż pozostali kierownicy. W odróżnieniu od nadętych bufonów pokroju Daniela Morrisona doktor Hunt odznaczał się życzliwością, która wydawała się tu zdecydowanie nie na miejscu. Prawdę mówiąc, to właśnie dzięki niemu Morgan postanowiła wziąć tę pracę.

Swoje łagodne usposobienie po części zawdzięczał wykształceniu medycznemu. Od początku lat osiemdziesiątych programy studiów medycznych stopniowo były przystosowywane do wymogów społeczeństwa coraz bardziej nastawionego na

konsumpcję. Gdy wcześniej kładziono nacisk przede wszystkim na leczenie i analizę poszczególnych przypadków, nagle większą uwagę poczęto zwracać na zagadnienia etyczne, profilaktykę i komunikację między pacjentem a lekarzem, wymagającą od tego ostatniego zrównoważonej osobowości i umiejętności słuchania. Ważne było to, by młodych lekarzy przestano uważać za "panów doktorów", a raczej widziano w nich godnych zaufania doradców. Hunt zaczął studia u progu tej nowej ery i Morgan zawsze miała wrażenie, że był nadzwyczaj pilnym studentem.

Jednak w odróżnieniu od niej Martin Hunt nie podjął pracy w swoim fachu. Dziesięć lat starszy od Morgan, żonaty, z dwójką prawie dorosłych dzieci, uległ presji finansowej. W dynamicznie rozwijającej się branży ubezpieczeń zdrowotnych powstało wiele atrakcyjnych miejsc pracy i zaraz po odbyciu rocznego stażu Hunt zajął się administracją ochrony zdrowia. Mimo nieco skostniałej organizacji firmy szybko znalazł w niej swoje miejsce.

Doktor Hunt stał się dla Morgan pośrednikiem między nią a kierownictwem. Jednak różnił się od niej tym, że praktycznie nie miał żadnego doświadczenia w pracy z chorymi i nie znał związanych z tym emocji i bólu. Choć dał się lubić, nie wiedział, czym jest współczucie. Początkowo Morgan myślała, że jakoś będzie mogła to znieść, ale w miarę upływu czasu coraz bardziej ją to drażniło.

Przeniosła wzrok z komputera na teczkę leżącą na biurku. Zawierała kopię karty chorobowej dziecka, które zmarło w Szpitalu Uniwersyteckim North Shore. Przebieg wypadków był zatrważająco znajomy: poważnie chore dziecko, którego stan mimo początkowych powikłań powoli zaczynał się poprawiać, nagle umierało. Nastąpił spadek nasycenia tlenem, co doprowadziło do zapaści sercowo-naczyniowej. Licząca sobie zaledwie trzy dni dziewczynka, doznała rozległych oparzeń trzeciego stopnia w pożarze domu. W ciągu następnego miesiąca przeszła całą serię zabiegów i przeszczepów skóry, w czasie których doszło do niewydolności nerek. Jednak dzięki troskliwej opiece personelu mała powoli zaczynała wychodzić na prostą. Jej stan ustabilizował się i wyglądało na to, że po paru miesiącach na oddziale intensywnej terapii będzie można ją wypisać ze szpitala. I nagle umarła.

Po plecach Morgan przeszedł dreszcz. Zawód, który wykonywała, wymagał od niej znajdowania odpowiedzi, a w tym przypadku żadnych nie było. Co gorsza, to dziecko, tak jak pozostałe, zostało ubezpieczone w AmeriCare. Przypomniały jej się uwagi Brada na temat prawdopodobieństwa wystąpienia takiej zbieżności; czy fakt, że AmeriCare ubezpieczała wszystkie dzieci, które ostatnio zmarły na oddziale

intensywnej terapii mogły być zbiegiem okoliczności? Choć Morgan zawsze była sceptyczką, musiała przyznać, że to raczej niemożliwe.

Siedziała ze wzrokiem wbitym w monitor komputera, analizując prognozy finansowe firmy. Choć bronila się przed myślą, że pieniądze mogły mieć coś wspólnego ze śmiercią dzieci, była ciekawa, jak te tragiczne wydarzenia odbiły się na dochodach AmeriCare. Za pomocą wydruku z księgowości Szpitala Uniwersyteckiego Morgan zestawiała koszty opieki nad trójką dzieci zmarłych na oddziale intensywnej terapii. Następnie wcisnęła kilka klawiszy i przeprowadziła odpowiednie obliczenia. Przeciętnie każde dziecko kosztowało firmę sto siedemnaście tysięcy dolarów miesięcznie. Jeśli tę samą sumę odnieść do noworodków numer cztery i pięć i przyjąć, że musiałyby one spędzić na oddziale jeszcze co najmniej trzy miesiące, AmeriCare zaoszczędziła na ich śmierci półtora miliona dolarów.

Morgan wyduła wargi. Jak na branżę ubezpieczeń zdrowotnych nie była to zawrotna suma, ale nie była też błaha. Drobne oszczędności poczynione tu i ówdzie mogły znacząco odmienić losy firmy. Byłoby to w zgodzie z dążeniami zarządu do ograniczenia kosztów. Jakie jeszcze zmiany wprowadziła AmeriCare, by wyjść na swoje, zmiany, których pomysłodawcą był Hugh Britten?

Rozległo się buczenie interkomu i Janice poinformowała ją, że znowu przyszedł doktor Hunt. Morgan wyłączyła program komputerowy i wstała, gdy w drzwiach stanął jej szef.

- Co słyhać, Morgan? - spytał. - Nad czym tak ślęczysz?

- Nad tym, co zwykle, Marty. Roszczenia, upoważnienia i tak dalej. Chcesz czegoś, czy tylko przyszedłeś mnie skontrolować?

- Coś w tym stylu. Morgan, wiesz, że jestem twoim przyjacielem. Wstawiłbym się za tobą, gdyby inni się od ciebie odwrócili. Chcę się tylko upewnić, czy nie robisz sobie kłopotów.

- Oczywiście, że nie - powiedziała z uśmiechem. - Najważniejsze jest dobro zespołu.

- Słusznie. Liczę na ciebie, Morgan. Nie zawieź mnie.

Kiedy wyszedł, Morgan znów zasiadła przy komputerze. Włączyła wykaz przypadków z dziedziny endokrynologii reprodukcyjnej z ostatnich trzech miesięcy. Według wewnętrznych firmowych statystyk, dzięki agresywnemu marketingowi liczba pacjentek leczących się na bezpłodność znacząco wzrosła. Nie zwiększyły się jednak związane z tym wydatki. Klientki zniechęcano do stosowania wszelkich niepewnych i



kosztownych kuracji, polecając w zamian urzędowo zaakceptowane metody leczenia. Kosztowne techniki reprodukcyjne zostały kontraktowo odstąpione jednej grupie dostawców usług po zadziwiająco niskiej cenie. Jeśli chodzi o położnictwo, liczba porodów rosła, ale, co ciekawe, zwiększała się także liczba aborcji, i to w stopniu przewyższającym współczynnik urodzeń.

Morgan skoncentrowała się na cyfrach. Wzrastała liczba wszystkich rodzajów aborcji, nie tylko wykonywanych między czwartym a szóstym miesiącem, jak należałoby się spodziewać. Najwięcej zabiegów wykonywał doktor Arnold Schubert, którego kontrakt nie wiadomo dlaczego opiewał na bardzo niskie stawki. Morgan postanowiła zachować ten fakt w pamięci i szybko podliczyła koszty wszystkich przeprowadzonych aborcji w porównaniu z kosztami porodów. Wyniki były zaskakujące. Za normalny poród, wliczając opłaty za lekarza, laboratorium, koszty znieczulenia i samego pobytu w szpitalu, firma płaciła przeszło pięć tysięcy dolarów. Aborcja kosztowała ją co najwyżej pięćset. W ciągu roku AmeriCare mogła dzięki temu zaoszczędzić mnóstwo pieniędzy.

Morgan wydrukowała to wszystko i schowała kartkę do szuflady. Czuli się tak, jakby zasłona spadła jej z oczu, a jednocześnie ogarnął ją niesmak. Liczby nie kłamały - dlatego też, podobnie jak Brad, Morgan zaczynała wierzyć, że zbiegi okoliczności są niemożliwe, zwłaszcza gdy w grę wchodzi pieniądze.

I choć chciałaby, nie mogła zaprzeczyć, że z każdą chwilą nabierała coraz silniejszego przekonania, iż źródłem dobrej kondycji finansowej jej pracodawcy jest ludzkie cierpienie.

Dynamiczny rozwój prywatnej praktyki Arnolda Schuberta był rezultatem pomysłowych działań marketingowych. On jeden dał kolorowe ogłoszenie na całą stronę w książce telefonicznej, zamieszczone w trzech działach: "Aborcje", "Kliniki" oraz "Lekarze i chirurdzy". Nieważne, że w związku z tym co miesiąc do rachunku dopłacał kilka tysięcy dolarów. Zwiększone dochody pokrywały z nawiązką wszelkie wydatki.

Ogłaszał swoje usługi także w gazetach, tygodnikach i prasie lokalnej. Kupował czas antenowy w stacjach radiowych słuchanych przede wszystkim przez kobiety w wieku od osiemnastu do trzydziestu czterech lat. Jednak chyba najlepszym jego posunięciem było zwrócenie się bezpośrednio do lekarzy. Rozesłał broszury promocyjne do gabinetów na Long Island, podkreślając fachowość swojego personelu

i ciepłą atmosferę panującą w klinice. Ponadto zareklamował swoje usługi wszystkim klientkom AmeriCare.

Największą przeszkodą utrudniającą Schubertowi wykonywanie pracy był jego perfekcjonizm. Chciał, by każda operacja przebiegała bez najmniejszych zakłóceń. Załamywał się nawet wtedy, gdy liczba powikłań mieściła się w normie - w przypadku wczesnych aborcji był to jeden procent wszystkich zabiegów. Oznaczało to, że w ciągu przeciętnego tygodnia Schubert przebijał jedną macicę, nie wykrywał jednej ciąży pozamacicznej albo musiał tamować obfity krwotok spowodowany niepełną aborcją. Inni lekarze prawdopodobnie umieli jakoś się z tym pogodzić, uznając to za konieczną cenę sukcesu, natomiast Schubert po takich wydarzeniach cierpiał na bezsenność. Był jednak człowiekiem, który rozpaczliwie potrzebował pacjentek i ich pieniędzy, i świadomość tego faktu przepelniała go nienawiścią do samego siebie.

Coraz gorzej znosił stres. Po długiej wewnętrznej walce wreszcie zadzwonił do swojego dobroczyńcy z AmeriCare.

- Myślę, że mam już dość - powiedział Schubert, po czym opowiedział o swoich porażkach, które nie dawały mu spokoju. - Wiem, jak bardzo pan mi pomógł, ale wolalbym, żeby kto inny wziął na siebie ten ciężar.

- Rozumiem - wycedził powoli jego rozmówca. - Nachapałeś się, więc nie jesteśmy ci już potrzebni.

- Nie w tym rzecz - powiedział Schubert. - Jestem wdzięczny za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Tylko że ja... nie jestem pewien, jak długo jeszcze mógł znosić stres.

- A teraz ty mnie posłuchaj - syknął głos w słuchawce. - Umowa to umowa i mam prawo oczekiwać, że w pełni dotrzymasz jej warunków! Za ciężko pracowałem, żebyś ty teraz nagle zaczynał trząść portkami. Lepiej nie zapominaj, co musisz zrobić, bo cały świat się dowie, co już zrobiłeś!

Początkowo mężczyzna nie był pewny, czemu postanowił wywieźć roztocza z Afryki. Właściwie kierowało nim tylko niejasne przeczucie, że kiedyś mogą mu się przydać. Było to dla niego pewnym wyzwaniem, choć niezbyt wielkim. Jako potomek bogatego *mindumugu* był kimś więcej niż tylko zwykłym członkiem plemienia. Miał po swojej stronie i pieniądze, i mądrość wielu pokoleń. W wieku dwudziestu lat był studentem biologii i kształcił się na strażnika przyrody. Niestety, liczne konflikty z prawem zmusiły go w końcu do opuszczenia ziemi przodków.

Długotrwałe przechowywanie roztoczy było stosunkowo łatwe. Podobno kilka gatunków potrafiło przeżyć przeszło sto lat na niewielkiej ilości konopi indyjskich. Potrzebne było tylko odpowiednie połączenie wilgotności, ciepła i ciemności. Większy kłopot sprawiło mu wwiezienie roślin do Stanów Zjednoczonych, ale rozwiązał ten problem, korzystając z rzadko używanej przecinki leśnej biegnącej przez kanadyjsko-amerykańską granicę. Kiedy wreszcie kupił sobie ziemię, ukrył konopie w zaplombowanej komórce w piwnicy. Potem wystarczyło raz w roku dodawać więcej podkładu, by rośliny mogły rosnąć, i od czasu do czasu je spryskiwać.

Nie można było podchodzić do tego z nonszalancją. Mężczyzna widział na własne oczy, co roztocza zrobiły z Makkede, i nie miał zamiaru podzielić jego losu. Zawsze, gdy miał z nimi do czynienia, podejmował wszystkie niezbędne środki ostrożności, dorzucając kilka być może niepotrzebnych: wkładał kombinezon na ogół wykorzystywany w przypadku powstania zagrożenia biologicznego, stosowane w przemyśle chemicznym maski gazowe, a także przygotował specjalne pomieszczenie, w którym mógł kontrolować przepływ powietrza. Choć jego prywatne laboratorium stanowiło zagrożenie dla środowiska, nie powstydzilby się go żaden uniwersytet.

Przed wyjazdem z Afryki mężczyzna przeczytał kopię raportu z sekcji zwłok Makkede. W Ameryce na bieżąco czytał wszystkie prace na temat entomologii i jak dotąd wyglądało na to, że nikt nie sięgnął do najwyraźniej zapomnianych prac doktora Fieldinga. Mężczyzna zdawał sobie jednak sprawę, że wszystkie jego wysiłki pójdą na marne, jeśli nie będzie mógł okresowo sprawdzać skuteczności roztoczy. Wiedział, że nie jest wykluczone, iż mimo korzystnych warunków rozwoju z upływem lat mogą stracić swoje zabójcze właściwości. Dlatego musiał co pewien czas przeprowadzać eksperymenty.

Jako że drugim hobby mężczyzny było kolekcjonowanie zwierzęcych szkieletów, przygotowywanie badań nie sprawiało mu większych trudności. Człowiek o jego powiązaniach i reputacji bez trudu zdobywał niezbędne zwierzęta. Aby urzeczywistnić swoje zamiary, potrzebował żywych okazów. Pierwszym był makak.

Mężczyzna wszedł do hermetycznie zamkniętego pomieszczenia, włożył kombinezon i wsadził zwierzę do klatki. Makak od razu zaczął rozdzierająco piszczeć, jakby spodziewał się, jaki los go czeka. Mężczyzna nakrył klatkę przezroczystą plastikową płachtą, przez którą przeciągnął rurkę nargili.

Następnie zapalił małą ilość zanieczyszczonej marihuany, zaczekał, aż zacznie się tlić i skierował prąd powietrza do rurki. Wiedział, że choć część roztoczy zginie w

żarze, inne uniosą się wraz z dymem.

Mężczyzna patrzył przez gogle na wpływające do klatki białe smugi. Zgodnie z jego oczekiwaniami mała wpadła w szal. Z wilgotniejącymi oczami, zaczęła skakać jak obłąkana między prętami klatki. Po kilku minutach stopniowo uspokajała się pod wpływem oparów marihuany. Jej powieki opadły, osunęła się bezwładnie na podłogę klatki i zaczęła leniwie bawić się swoimi genitaliami.

Przez kilka następnych minut makak onanizował się z zadowoleniem. Potem roztocza zaatakowały jego płuca. Mała zaczęła się krztusić, a jej pysk wykrzywił się w grymasie. Przez chwilę skakała po klatce, piszcząc rozpaczliwie i szukając drogi ucieczki. W nosie miała gęsty śluz, a na pysku różową pianę. Wargi makaka przybrały szaroniebieski odcień, jego pierś unosiła się i opadała w gwałtownym rytmie. Męki zwierzęcia nie trwały długo. Po chwili osunęło się na bok i jego ślepia stanęły w ślup.

Wyniki eksperymentów na innych zwierzętach były identyczne. Roztocza wywoływały gwałtowną reakcję u wszystkich kręgowców płucodysznych, zarówno młodych, jak i starych, choć najsilniej działały na ssaki naczelne. Mężczyzna co dwanaście miesięcy powtarzał czynności, które na własny użytek określał badaniem efektywności. Roztocza wciąż były równie zabójcze jak wtedy, gdy w Afryce po raz pierwszy na własne oczy zobaczył, co potrafią zrobić z człowiekiem.

Wprowadzanie roztoczy do płuc noworodków okazało się nieco większym wyzwaniem, ponieważ trzeba było zrobić to tak, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Mężczyzna przede wszystkim potrzebował skutecznego środka przenoszenia. Głowił się nad tym kilka miesięcy, by w końcu uznać, że najlepszy sprzęt przez cały ten czas miał przed oczami. Pracując w szpitalu, mężczyzna miał nieograniczony dostęp do respiratorów, wystarczyło więc tylko trochę w nich podłubać.

W respiratorach i wentylatorach było mnóstwo rurek, przez które płynął gaz. Sercem każdego urządzenia był elektrycznie sterowany tłok albo pompa mieszkowa, połączona z komputerem w celu uzyskania optymalnej skuteczności. Pompa tłoczyła wilgotne powietrze, w razie potrzeby wzbogacane w tlen. Rurki różnych rozmiarów biegły od urządzenia do pacjenta. Nimi właśnie zainteresował się mężczyzna.

Wyjął zasuszone liście z torebek herbaty i na ich miejsce wsypał zanieczyszczoną marihuanę. Następnie zwinął torebki w skrety i zakleił je z pietyzmem. Były na tyle cienkie, by zmieścić się w rurce respiratora pod dolnym filtrem. Kiedy tłoczone przez pompę powietrze uderzy w zawiniątko, roztocza wydostaną się z niego i podmuch poniesie je w stronę potencjalnej ofiary.

Pozostawało jeszcze przetestować tę technikę. Mężczyzna przeprowadził eksperyment na poddanej tracheotomii kozie. Przywiązał ją do kija, podłączył respirator i uruchomił go. Następnie odsunął się na bezpieczną odległość. Kozka zdechła piętnaście minut po zaczerpnięciu pierwszego łyku zanieczyszczonego marihuaną powietrza. Mężczyzna był gotów. Nie miał wątpliwości, że opracowany przez niego sposób będzie równie skuteczny, gdy zastosuje go wobec ludzi.

Po zakończeniu eksperymentów nadeszła pora, by uczcić sukces. Mężczyzna pozbył się szczątków kozki i posprzątał pokój. Od dwudziestu lat palił trawę i nic tak nie koło jego nerwów i nie dawało takiej przyjemności jak haust THC, tetrahydrokanabinolu. Zrobił sobie grubego skręta, zapalił i zaciągnął się głęboko. W ciągu kilku sekund cząsteczki THC zaczęły się wiązać z receptorami w podwzgórzku, w cudowny sposób modyfikując proces uwalniania dopaminy i serotoniny. Zmysły mężczyzny przeszły metamorfozę; błogo uśmiechnięty, odchylił się na oparcie fotela i uległ ogarniającej go euforii.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego trwający od dziesiątków lat zwyczaj wypalania dwóch skrętów dziennie może przysporzyć mu kłopotów. Nie dość, że nie potrafił przyznać się przed sobą, iż jest uzależniony, to jeszcze wmawiał sobie, że zasługuje na chwilę ucieczki od stresu związanego z pracą. Pozostawało jednak faktem, że jego nałóg był niebezpieczną skazą na skądinąd silnym charakterze. Już raz narobił sobie przez to kłopotów.

## ROZDZIAŁ 12

Kiedy Brad Hawkins kupował dom, wiedział, że wymaga on natychmiastowego remontu. Przez następne pięć lat tym właśnie się zajmował. Dwudziestopięcioletni dom mimo skromnych rozmiarów i równie skromnej konstrukcji, bezustannie wymagał takich czy innych napraw. Ponieważ Brad nie należał do osób towarzyskich, weekendy na ogół spędzał albo tu, albo na swojej łodzi. Tym razem jednak, po raz pierwszy od dobrych kilku lat, zaprosił do siebie gości.

W miejscowym sklepie znalazł przeceniony grill marki Weber oraz elektryczny palnik. Brad uwielbiał gotować i uznał, że pizza z grilla i świeże ryby powinny zaspokoić wymagania wszystkich gości. Poprosił sprzedawcę, by pokroił tuńczyka i makrelę na grube steki, które on sam następnie podzielił na prostokątne kostki. Pokrył je warstwą zasuszonych wodorostów, posypał ziarnem sezamowym, po czym upiekł na silnym ogniu. Następnie pokroił kostki na cienkie plasterki i podał z imbirowo-sojowym sosem na liściach sałaty. Goście byli pod wrażeniem.

- Gdzie się nauczyłeś tajników wschodniej kuchni? - spytała Morgan.

- Samo przyszło - odparł. - Nie trzeba się dużo napracować, a Michaelowi takie jedzenie odpowiada.

- Jest przepyszne, doktorze Hawkins - powiedział Nbele. - Bardzo delikatne mięso. Przypomina w smaku ryby z jeziora Turkana, w moich rodzinnych stronach.

- A gdzie to jest, Nbele? - spytała Morgan.

- We Wschodniej Afryce Równikowej. W Kenii.

- Masz tu jakąś rodzinę? - pytała dalej.

- Kuzyna. I jeszcze siostrę w Montrealu. Reszta rodziny została w Afryce.

- Gdzieś w pobliżu Wielkiego Rowu? - spytał Michael.

- Bardzo blisko - odparł Nbele. - Niewielu Amerykanów słyszało o tym miejscu.

- Wiesz, że w zeszłym roku wylądowali tam kosmici?

- Nie - powiedział Nbele. - Gdzie to wyczytałeś?

- W serwisie wiadomości o UFO na Yahoo. Jest tam dużo fajnych rzeczy.

Nbele uśmiechnął się.

- Kiedy byłem mały, widywaliśmy kosmitów na okrągło

- Naprawdę?

- Och, tak. Pojawiali się w górach, nocą. Niektórzy myśleli, że to wielkie ptaki, jak sępy. Ale inni wierzyli, że to przybysze z innego świata.

- Nbele - powiedział Brad ostrzegawczym tonem. - Mikey ci wierzy.

- Aleja mówię prawdę, doktorze. Mój lud mówi, że to bogowie, którzy odwiedzają nas od stuleci. - Otarł usta serwetką. - Chodź, Mikey. Pogramy w piłkę. Powiem ci wszystko, co wiem.

Brad patrzył w milczeniu, jak jego syn zrywa się od stołu i prowadzi Nbele do ogródka.

- Jak w historii o zaczarowanym flecie. Wystarczy, że powiesz "kosmici", i wszędzie za tobą pójdzie. Ten dzieciak czasami mnie niepokoi.

- Nie próbuj poskramiać wyobraźni Mikeya, Brad. Nie ma w jego zachowaniu niczego niezwykłego. Dzieci w takim wieku są z natury ciekawe wszystkiego.

- Słowa godne pediatry. A propos, masz jakieś nowe pomysły w związku ze śmiercią noworodków i twoim pracodawcą?

Morgan z pewnymi oporami powiedziała mu, co wynikało z przeprowadzonej przez nią analizy sytuacji finansowej firmy: że choć AmeriCare rzeczywiście mogła dzięki śmierci ciężko chorych noworodków zaoszczędzić pewną sumę pieniędzy, to bładła ona w porównaniu z tym, co firma zyskiwała na wzroście liczby aborcji.

- Znasz doktora Schuberta? - spytała.

- Jasne, znam Arniego - odparł. - Typ samotnika, ale ciężko pracuje.

- Czy wydaje ci się zdolny do, jakby to nazwać, podbijania liczby aborcji? Powiedzmy, kosztem porodów terminowych?

Brad powoli uniósł brwi.

- Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Schubert jest dość dziwny. Właściwie nikt go tak naprawdę nie zna. Podobno była żona zdziera z niego kupę forsy.

- Czyli przydałoby mu się trochę więcej pieniędzy?

- Jak nam wszystkim. - Skończywszy jeść, Brad odsunął talerz. - Dowiedziałaś się czegoś jeszcze?

- W komputerze szukałam przypadków podobnych do tych, które nas interesują - powiedziała. - Stanowe Biuro Demograficzne prowadzi rejestr zgonów. Udało mi się załogować do ich bazy danych i przejrzeć archiwa. Wygląda na to, że więcej takich przypadków nie odnotowali.

- Morgan, wejdz ze mną na chwilę do domu. Chcę ci coś pokazać. - Zaprowadził ją do małego gabinetu sąsiadującego z sypialnią. Na biurku stał mikroskop. Brad wyjął z tekturowej teczki szkiełko, położył je pod obiektywem, powiększył obraz dziesięć razy i przywołał Morgan gestem ręki. - Zobacz.

Przyłożyła oczy do okularów i ustawiła ostrość.

- Co to właściwie jest? Zawsze miałam problemy z anatomią patologiczną.

- Ja też. To próbka pobrana od zmarłego dziecka, które jako jedyne poddano sekcji zwłok.

Morgan uważnie oglądała preparat, przesuając go wolno po stoliku mikroskopu.

- Tkanka płucna?

- Brawo. Widzisz coś niezwykłego?

- Cóż, wygląda to trochę jak astma. Kiedy pracowałam w szpitalu, miałam sporo do czynienia z chorobami płuc. Widoczny duży obrzęk, mnóstwo śluzu.

- Kornheiser stwierdził, że mogło to być następstwem masażu serca - powiedział Brad.

- No cóż, to on jest ekspertem. Pamiętam, że podobnie wyglądały wycinki pobrane od dzieci z anafilaksją - powiedziała, mając na myśli silną alergiczną reakcję na obce białko.

- Te dzieci były chyba na to za małe, nie sądzisz? - spytał Brad. - Może był to jakiś alergen, z którym weszły w kontakt po raz pierwszy? Widzisz te wszystkie granulocyty eozynochłonne?

Morgan włączyła silne wzmacnianie obrazu.

- Tak, rzeczywiście. Interesująca hipoteza. Masz na myśli jakiś konkretny alergen?

- Tu mnie zagięłaś. Widzisz coś jeszcze?

Morgan powoli przesunęła wzrokiem po preparacie.

- Nie, ja... co to, artefakt?

Brad pochylił się i spojrział w okular. Na samym brzegu szkiełka widoczne było coś, co wyglądało jak mały owad w ogromnym powiększeniu. Przypominał wesz.

- Nie wiem. Czegóż takiego raczej nie widzi się w drogach oddechowych. Jezu, myślisz, że doktor Kornheiser ma wszy?

Morgan parsknęła śmiechem. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, gdy Brad odstawił mikroskop i wyprowadził ją na dwór. Okazało się, że doktor Hawkins jest obdarzony poczuciem humoru. Czują na ramieniu dotyk jego dłoni i sprawiało jej to przyjemność.

Najbardziej niezwykłą cechą kolekcji szkieletów Hugh Brittena była jej różnorodność. Choć nie gardził kośćcami zwierząt, zdecydowanie bardziej



interesowali go ludzie. Najbardziej dumny był ze zgromadzonych przez siebie dziwadła, a zwłaszcza swojego ostatniego zakupu - bliźniąt Nieves. Mimo to uważał swoją kolekcję za niepełną. Zawsze istniał jeszcze ten jeden eksponat, którego mu brakowało, im bardziej niezwykły, tym lepszy. W tej chwili Britten poszukiwał dziecka, które byłoby praktycznie pozbawione głowy.

Chodziło o płód z anencefalią, czyli taki, któremu brakowało większej części mózgu, co uniemożliwiało odpowiednie wykształcenie się czaszki. Z niewiadomych przyczyn ten najważniejszy narząd nie rozwijał się; pozostawał tylko prymitywny pień. Cierpiące na tę przypadłość dzieci były pozbawione górnej części czaszki, miały tylko źle rozwiniętą żuchwę. W głowie wielkości pięści tkwiło dwoje groteskowo wybałuszonych oczu, przypominających ślepią flądry. Ofiary tej strasznej choroby, pozbawione kory mózgu, żyły nie dłużej niż kilka dni.

Największym problemem dla Brittena było odnalezienie żywego okazu. Dzięki rozwojowi technik diagnozy prenatalnej na świat przychodziło niewiele dzieci z anencefalią. Szerokie zastosowanie badań alfafetoproteiny w surowicy krwi matki i ultrasonografia umożliwiały wczesne wykrycie takich powikłań jak anencefalią, co pozwalało na usunięcie chorych płodów. Rzadko zdarzało się, by w takim przypadku kobiety chciały donosić ciążę. Dzieci z anencefalią na ogół rodziły się tylko wtedy, gdy ich matki odmawiały badań prenatalnych. Jeśli Britten chciał dodać jedno z nich do swojej kolekcji, musiał odszukać taką właśnie pacjentkę.

Okazało się to zaskakująco łatwe. AmeriCare była liderem w dziedzinie komputeryzacji leczenia ambulatoryjnego. Zaraz po przyjęciu oferowanego mu stanowiska Britten zasugerował, aby firma stworzyła komputerową bazę danych wszystkich pacjentek leczących się na bezpłodność. Kliniki położnicze miały od tej pory przysyłać wszelkie uzyskane informacje do centralnego komputera AmeriCare. Teoretycznie, dzięki szybkiemu rozpoznaniu możliwych do przeoczenia problemów, menedżerowie mogli interweniować, chcąc zredukować koszty. Wystarczyło, że Britten wpisał kluczowe słowo "anencefalią". Resztę zrobił za niego komputer.

Cierpliwość Britteifa została wynagrodzona. Virginia Ryan z Yonkers w stanie Nowy Jork była w trzydziestym piątym tygodniu ciąży, kiedy u jej dziecka rozpoznano anencefalię. Personel kliniki wprowadził diagnozę do sieci, a stamtąd wyłowił ją komputer Brittena. Kolekcjoner nie posiadał się z radości. Natychmiast polecił sekretarce, by zadzwoniła do gabinetu ginekologa tej Ryan i dowiedziała się, jakie są jej zamiary.

Kierowniczka kliniki ucieszyła się, że wreszcie może z kimś o tym porozmawiać. Pacjentka, o którą chodziło, była bardzo kłopotliwa; jej lekarz bał się, że zostanie przez nią porwany do sądu. Otóż pani Ryan wywodziła się z rodu irlandzkich katolików, zwolenników licznych rodzin, a co za tym idzie, nieprzejednanych przeciwników aborcji. Wrodzone wady, ich zdaniem, były wyrazem woli bożej. Jedna z sióstr pacjentki miała dziecko z zespołem Downa. Wszystko to sprawiło, że trzydziestosześcioletnia pani Ryan, matka piątki zdrowych dzieci, odmówiła zgody na wszelkie badania prenatalne. Problem został wykryty dopiero wtedy, gdy lekarz, zaniepokojony faktem, że nie może wymacać głowy dziecka, uparł się że zrobi ultrasonografie. Wynik badania był jednoznaczny.

Początkowo pani Ryan zareagowała na tę wiadomość z całkowitą obojętnością. Stwierdziła, że takie rzeczy się zdarzają i że urodzi jeszcze niejedno dziecko. Zamierzała poczekać do porodu, a potem żyć dalej.

Zdaniem Brittena najlepiej byłoby, gdyby zdecydowała się na aborcję. Jednak przepisy obowiązujące w stanie Nowy Jork zabraniały usuwania tak dalece zaawansowanej ciąży. Britten sprawdził dane na temat rodziny. Ryanowie łącznie zarabiali trzydzieści tysięcy dolarów rocznie, nie zaliczali się zatem do ludzi bogatych. W tych czasach pieniądze przemawiały do wszystkich; Hugh Britten postanowił więc przemówić niezwykle przekonująco.

Podając się za jednego z dyrektorów AmeriCare do spraw medycznych, zadzwonił do państwa Hyan, by powiadomić ich o rozterkach firmy. AmeriCare, powiedział, zrobi dla pani Ryan wszystko, co się da; miał na uwadze przede wszystkim jej dobro. Potem skłamał, twierdząc, że przedyskutował sytuację z jej ginekologiem. Razem uznali, że najkorzystniej będzie doprowadzić do natychmiastowego porodu. Nie, ciągnął, to nie aborcja. Pani Ryan była na to w zbyt zaawansowanej ciąży. Najlepszym rozwiązaniem będzie wywołanie porodu. Żeby choć trochę złagodzić ból państwa Ryan, firma gotowa jest wypłacić im pięć tysięcy dolarów, jeśli szybko podejmą decyzję. Obiecał, że zadzwoni znowu tego samego dnia.

Reakcja Ryanów była taka, jak należało oczekiwać. Skoro to nie aborcja, to oboje gotowi są postąpić zgodnie z zaleceniami lekarzy. Wiedzieli, że niezbadane są wyroki boskie. Co muszą zrobić, dokąd pójść i kiedy dostaną pieniądze? Britten powiedział, że da im znać.

Teraz musiał znaleźć odpowiednią osobę do tego zadania. Lekarza, który jest profesjonalistą i potrafi działać przy zachowaniu całkowitej dyskrecji.

Musiał to być ktoś, kto będzie potrafił utrzymać język za zębami, ktoś, kto ma wobec Brittena dług wdzięczności.

Pora skontaktować się z doktorem Schubertem.

Schubert nie miał już ochoty rozmawiać ze swoim łącznikiem z Ameri-Care - człowiekiem, który podrzucał mu kolejne pacjentki, który wyciągał go z finansowej opresji. Jak należało się spodziewać, usłyszawszy jego głos w słuchawce, był, delikatnie mówiąc, rozdrażniony.

- Doktorze Schubert, w czasie naszej ostatniej rozmowy trochę mnie poniosło - zaczął Britten. - Chciałbym skorzystać z okazji, by pana przeprosić. Wszyscy żyjemy w ciągłym stresie. Wie pan, przemyślałem to, co pan mówił.

Schubert słuchał tych słów z narastającą podejrzliwością. Wydawało się niemożliwe, by coś takiego mówił ten sam wunderkind z AmeriCare, z którym do tej pory miał do czynienia.

- Zaczyna pan rozumieć mój punkt widzenia?

- Do pewnego stopnia. Jeśli chodziło panu o to, że chce pan ograniczyć swoją działalność, to rozumiem doskonale. Teraz, kiedy dzięki panu program tak doskonale się rozwija, łatwe powinno być przerwienie części obowiązków i dochodów na innych lekarzy. Oczywiście, nie będzie już tak, jak wtedy, kiedy miałem do czynienia tylko z panem. Poza tym nadal liczę na pana, jeśli chodzi o ogólny nadzór i kierownictwo. Jednak co się tyczy pańskich obowiązków, myślę, że możemy zacząć je przekazywać innym dostawcom.

- Rozumiem - powiedział Schubert, który tak naprawdę nic nie rozumiał. Britten był bezwzględny i z pewnością nie zrezygnowałby tak łatwo z dokonania zemsty. - A finanse...?

- Nadal będę oczekiwał od pana jak największej skuteczności. Jako dowód, że działałem w dobrej wierze, proponuję, byśmy kontynuowali naszą współpracę na dotychczasowych warunkach.

- Jest pan bardzo hojny. - Zawiesił głos. - A co z moimi starymi aktami personalnymi?

- Kiedy wszystko zostanie załatwione, otrzyma pan ich oryginały. Na nic mi się już nie przydadzą. Jest jednak jeszcze jedna sprawa. Coś w rodzaju drobnej przysługi.

Zaczyna się, pomyślał Schubert.

- To znaczy...?

Britten pokrótce nakreślił swoje zamiary wobec pani Ryan. Mówił szybko,

uprzedzając zastrzeżenia Schuberta. Kiedy wyczuł, że doktor zamierza odmówić, sięgnął po marchewkę.

- Proszę to uznać za nagrodę - stwierdził. - Na znak wdzięczności. - Pomoc Schuberta w tej sprawie miała być warta dziesięć tysięcy dolarów gotówką.

- To dużo pieniędzy - powiedział powoli Schubert. - Ale nie rozumiem, dlaczego pan się w to angażuje.

- To wewnętrzna sprawa AmeriCare - odparł wymijająco Britten. - Powiedzmy, że jest to ważne dla finansów firmy.

Tak jawne kłamstwo od razu wzbudziło podejrzenia Schuberta. Ugryzł się jednak w język i nic nie powiedział. To, o co prosił go ten człowiek, było niesłychane. Teoretycznie rzeczywiście można by to nazwać sztucznie wywołanym przedwczesnym porodem. Jednak wiele aspektów tej sprawy - jej tajność, wykonanie zabiegu w klinice zamiast w szpitalu, sfalszowanie dokumentów - było nielegalnych, a co najmniej półlegalnych. Co więcej, Schubert ani trochę nie ufał Brittenowi. Cóż z tego, skoro ten człowiek miał go w garści. A poza tym trudno było przepuścić okazję zarobienia takich pieniędzy.

Wbrew temu, co podpowiadał mu rozsądek, Arnold Schubert zgodził się.

Mimo niepokoju dręczącego jej matkę, Courtney Hartman, urodzona przed jedenastoma dniami, była silnym i pełnym życia dzieckiem. Pałaszowała odżywkę aż miło. Jak większość noworodków początkowo straciła trochę na wadze, ale miała tak dobry apetyt, że szybko przybył jej prawie cały kilogram. Większość nowoczesnych urządzeń, w które wyposażony był oddział intensywnej terapii noworodków, nie była jej już do niczego potrzebna.

Jej brat Benjamin wciąż jednak przeżywał trudne chwile. Był podłączony do wszystkich dostępnych urządzeń podtrzymujących życie. Nie przybierał na wadze. Błady i drobny, ważył około tysiąca gramów. Leczenie ciężkiego zakażenia paciorkowcem to długi i skomplikowany proces. Choć było jeszcze za wcześnie, by mieć co do tego absolutną pewność, stan chłopca ulegał jednak pewnej poprawie.

Ostatnie zdjęcia rentgenowskie wykazały, że jego drogi oddechowe zaczynają się udrażniać. Pozostały jeszcze ślady zapalenia płuc, ale były one mniej wyraźne niż do tej pory. Ustawienia wentylatora zostały zmodyfikowane. Choć płuca dziecka były osłabione, wyglądało na to, że potrzeba im mniej tlenu niż do tej pory. Była to dobra wiadomość i pielęgniarki starały się zarazić swoim optymizmem Jennifer Hartman.

Niestety, to im się nie udało.

Jennifer wciąż panicznie bała się o Benjaminą, a także o Courtney, mimo że dziewczynka miała się świetnie. Wyobraźnia podsuwała młodej matce obraz złowrogiej chmury wiszącej nad oddziałem intensywnej terapii. Jennifer nie mogła odetchnąć, dopóki jej dzieci nie zostaną wypisane ze szpitala. Nie ją jedną dręczył taki strach. Od śmierci bliźniąt Nieves i publikacji artykułu na ten temat zaniepokojone matki i ojcowie bezustannie krążyli pod drzwiami oddziału. Rodzice mogli odwiedzać dzieci o każdej porze dnia i nocy, dlatego też korytarze na siódmym piętrze były bez przerwy wypełnione grupkami ludzi, przeżywających prawdziwe katusze.

Mijając ich, Jennifer kiwała im głową w milczeniu. Jediną osobą, której zwierzała się ze swoich obaw, była Sarah Berków. Codzienne czuwanie jej także dawało się we znaki. Oczy Sarah były podkrążone od braku snu.

- Nie wiem, jak długo to jeszcze wytrzymam, Jen. Kiedy wreszcie dowiedzą się, co spowodowało śmierć tych dzieci?

Jennifer wiele razy zadawała sobie w duchu to samo pytanie i nie znała na nie odpowiedzi.

- Co nowego u Ellen? - spytała.

Sarah wzruszyła ramionami i pokręciła smutno głową. ip

- Szczerze mówiąc, sama nie wiem. Podobno jest z nią już lepiej, ale muszę wierzyć lekarzom na słowo. Jak myślisz, można im ufać? Chyba straciłam już resztki obiektywizmu. A ty?

- Próbuję im wierzyć. Dzisiaj powiedzieli mi, że stan Bena uległ poprawie.

Jennifer nie dawało spokoju to, co wyczytała w gazetach. Dręczyły ją koszmary, w których jej syna zabierały ze sobą anioły albo po prostu przestawał oddychać, powoli sztywniejąc na swoim izolowanym materacu. Wręcz obsesyjnie bała się, że Ben wkrótce umrze, i wciąż niepokoiła się o Courtney. Z każdym dniem Jennifer spędzała coraz więcej czasu nad inkubatorami swoich dzieci.

Przeczucie nadciągającej katastrofy krępowало jej ruchy niczym całun. Kiedy szła do swojego syna, powoli sunąc nogami po posadzce, wyglądała jak osoba cierpiąca na chorobę Parkinsona. Włosy miała potargane, a na twarzy ani śladu makijażu. Pracownicy szpitala czuli się nieco zakłopotani na widok Jennifer i unikali jej wzroku. Zamiast tego obserwowali jaz ukosa. Jennifer podeszła do inkubatora.

- Cześć, mój mały - powiedziała machinalnie.

Powoli pochyliła się, niczym żółw wyłaniający się ze skorupy, i obejrzała synka.

Był taki bezbronny... Leżał nieruchomo w białej pieluszcze i białych ochraniaczach na oczy, z jego gardła wychodziła rurka dotchawicza, a do małych bladych rączek miał podłączone kroplówki. Benjamin wcale się nie poruszał. Jennifer pochyliła się jeszcze bardziej, słysząc bicie własnego serca. Respirator rytmicznie rozprężał się ze stłumionym szumem i delikatna pierś Bena unosiła się. Ale poza tym...

Jennifer uniosła drżący palec i powoli przysunęła go do skóry swojego syna. Poczula na zimnej ręce ciepły strumień światła lampy. Po chwili wahania dotknęła małego uda dziecka. Ben nawet nie drgnął. Jennifer poczuła ucisk w gardle. Musiała zebrać wszystkie siły, by zdobyć się na muśnięcie palcem jego dłoni. Ku jej zaskoczeniu paluszki dziecka powoli zacisnęły się na nim.

Wzruszenie ścisnęło Jennifer za serce. Łzy napłynęły jej do oczu, a podbródek zaczął dygotać. Co kilka sekund dłoń dziecka zaciskała się odruchowo na jej palcu. Dla Jen było to najcudowniejsze uczucie na świecie. Och, jakże chciała wziąć swojego syna w ramiona i przytulić do piersi! Stała nad jego inkubatorem przez dziesięć minut, z wilgotnymi oczami, pragnąc, by nigdy nie ustał ciepły dotyk małej rączki Bena. W końcu jednak musiała wyjść. Niechętnie zabrała palec i pochyliła się do ucha dziecka.

- Kocham cię, mały.

Kiedy ruszyła do wyjścia, powróciła dręcząca ją depresja. Jennifer co chwila oglądała się przez ramię, jakby lękała się, że zobaczy pusty inkubator. Wszyscy, którzy ją widzieli, kręcili głowami ze współczuciem.

Rodzina, lekarze i pielęgniarki robili wszystko, co w ich mocy, by dodać jej otuchy. Obejmowali ją i powtarzali najbardziej optymistyczne informacje. Kiedy to nie dawało efektu, odwoływali się do jej rozsądku. Do Jennifer nic jednak nie docierało. Stała pod drzwiami oddziału intensywnej terapii, nieruchoma jak posąg, wymizerowana i otepliała, wpatrzona w swojego syna.

- Morgan, unikasz mnie.

Zaskoczona, obróciła się na pięcie. Zza na wpół przymkniętych drzwi wyłonił się Britten, z zarozumiałym uśmieszkiem na ustach. Założywszy ręce na piersi, zrobił krok do przodu.

- Hugh - wykrztusiła Morgan.

- Wolałbym nie być zmuszony do tego, żeby na ciebie polować - ciągnął. - Chciałbym łączyć biznes z przyjemnością, rozumiesz? Wydzwaniam do ciebie bez przerwy i ciągle słyszę tę cholerną maszynę. Nie dostałaś moich wiadomości?

- Hugh, już o tym rozmawialiśmy.

- Tak, ale być może nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem wytrwały. Długotrwały związek jest jak umowa w interesach, a ja uznałem twój a pierwszą reakcją za otwarcie negocjacji.

Morgan pokręciła głową.

- Wtedy, w czasie lunchu, mówiłam najzupełniej poważnie. Bardzo mi schlebia twoja propozycja, ale ja nie zamierzam angażować się w żaden związek, długotrwały czy inny.

Z jego twarzy nie zniknął uśmiech.

- W miarę upływu czasu zmienisz zdanie. Myślę sobie, że...

- Być może masz niewielkie doświadczenie w stosunkach z płcią przeciwną, Hugh, ale ostatnimi czasy jest tak, że gdy kobieta mówi "nie", to właśnie to ma na myśli. Nie jest to jakiś sygnał, przejaw kokieterii, nie doszukuj się w tym drugiego dna. "Nie" to "nie". Prościej tego nie potrafię wytłumaczyć.

- Rozumiem. - Zacisnął wargi w wąską kreskę, a mięśnie żuchwy zaczęły mu drżeć. - To twoje ostatnie słowo? Nie ma szans, żebyś zmieniła zdanie?

- Przykro mi.

- No cóż. W takim razie, zjedźmy dziś razem kolację, by uczcić nasz niedoszły związek.

Wbrew sobie Morgan wybuchnęła śmiechem.

- Boże, "wytrwały" to nieodpowiednie słowo! Czego potrzeba, żeby dotarło do ciebie to, co mówię? Słownik mam ci przynieść czy jak? - Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Lubisz się ze mnie naigrawać, Morgan? Bawić się moim kosztem? Zwykle staram się nie wykorzystywać swojej pozycji, ale zrobię to, jeśli inaczej nie uda mi się ciebie przekonać.

Morgan szła dalej w milczeniu.

- Weźmy na przykład twoją siostrę.

Morgan zatrzymała się w pół kroku. Ogarnął ją przenikliwy chłód. Rozdarta między strachem a wściekłością, odwróciła się powoli.

- Grozisz mi, Hugh?

- Droga Morgan - powiedział z obłudnym uśmiechem, unosząc ręce w pojednawczym geście. - Próbuję tylko cię przekonać, że mam poważne zamiary. Zamierzam nadal się z tobą spotykać i żeby to osiągnąć, wykorzystam wszystko, co się

da. Twoją pracę, a nawet rodzinę. Jeśli uważasz ubezpieczenie twojej siostry za kartę przetargową, niech tak będzie.

Do Morgan dotarło, że przegrała. Britten był dziecinny i próżny, ale posiadał też ogromne wpływy. Ona sama miała już dość pracy w ubezpieczeniach zdrowotnych i jej odejście było kwestią czasu, ale rodzina... Legalnie czy nie, Britten mógł doprowadzić do rozwiązania umowy z Hartmanami.

Nawet kilka minut sam na sam z nim będzie potworną męką, ale nie da się tego uniknąć. Morgan spojrzała na niego z kamienną twarzą, usiłując zwalczyć pokusę zaciśnięcia zębów. Dopóki dzieci Jennifer były w szpitalu, nie mogła sobie pozwolić na obrażanie Brittena.

- Dobrze, Hugh, wygrałeś. Gdzie chcesz zjeść tę kolację?

Po kilku minutach, umówiwszy się z Brittenem na spotkanie, Morgan odwróciła się i wyszła z gabinetu. Ledwie zrobiła kilka kroków, wpadła na swoją sekretarkę. Janice najwyraźniej słyszała całą rozmowę.

- Jak długo tu stoisz? - spytała Morgan.

- Wystarczająco - odparła Janice sarkastycznym tonem. - Gdzieżbym śmiała przeszkodzić w narodzinach tak obiecującego romansu. Morgan pokręciła głową i westchnęła.

- Przyparł mnie do muru, Jan. Chryste, mam dość tego wszystkiego! Cokolwiek zrobię, będę żałowała.

- Na litość boską, Morgan, przecież nie musisz od razu wskakiwać mu do łóżka. Przynajmniej na razie. Może chce tylko zabrać cię na kolację.

- Nie, to nie jest zwykła randka. - Powiedziała jej o uciążliwych zalotach Brittena. - Wiesz, im dłużej się nad tym zastanawiam, tym większą mam ochotę oskarżyć go o molestowanie seksualne!

- To nie jest dobry pomysł - pokręciła głową Janice. - Przynajmniej jeśli chcesz zachować pracę. Doktor Hunt i bez tego ma cię na oku. Poza tym musisz pamiętać o siostrze. Głowa do góry, szefowo. Coś wymyślisz.

Trzydziestoletnia Melissa Alexander miała wkrótce rodzić. Pewna siebie i inteligentna, była zagorzałą feministką. Kiedy zaczęła odwiedzać ginekologa, nie mogła pogodzić się z tym, że profesję tę zdominowali mężczyźni. Uważała, że nikt tak nie potrafiłby zrozumieć jej dolegliwości jak kobieta. Odnalazła więc kilka pań zatrudnionych w tym zawodzie, ale one też nie sprostaly jej wysokim wymaganiom.



Doszło do tego, że zmieniała lekarzy tak często, jak niektóre kobiety zmieniają fryzury.

Mimo to Melissa gorąco pragnęła mieć dziecko. Nie przejmowała się tym, że jest niezamężna; małżeństwo nie zaliczało się do jej priorytetów. Jednak wszelkie próby poczęcia zakończyły się fiaskiem. Fakt ten wprowadził chaos do jej dotychczas skrupulatnie uporządkowanego życia. Melissa, kobieta zdeterminowana, próbowała rozwiązać problem własnej bezpłodności zgodnie z zasadami logiki, ale uniemożliwił jej to ubezpieczyciel. Firma AmeriCare zdawała się stawiać pacjentkom leczącym się na bezpłodność wszelkie możliwe przeszkody. I nagle, przed rokiem, to się zmieniło.

Melissa miała kłopoty z zajściem w ciążę, ponieważ cierpiała na endo-metriozę. Część lekarzy nazywała ją "osobowością endometriotyczną" - co oznaczało, że jej stan fizyczny łączył się z nerwowym, burzliwym i kapryśnym usposobieniem. Pacjenci tego rodzaju byli na ogół odcytani w kwestiach medycznych. Zadawali niezliczone pytania, żądali ścisłych wyjaśnień i przeciągali wizyty w nieskończoność, co czyniło ich niemiłe widzianymi gośćmi. Większość lekarzy uważała ich za upierdliwych nudziarzy.

Melissa w końcu zaszła w ciążę przy pomocy specjalisty od bezpłodności ze Szpitala Uniwersyteckiego, ale nie poszła do poleconego przezeń ginekologa. Zamiast tego sama zaczęła szukać właściwego lekarza. Początkowo nie mogła znaleźć żadnego człowieka czy grupy ludzi, z którą czułaby się dobrze: zbyt wielu mężczyzn, za dużo urzędzeń, za małe zainteresowanie. Dopiero w piątym miesiącu ciąży przypadkowo znalazła lecznicę, która jej odpowiadała.

Znajdowała się ona w podmiejskiej robotniczej dzielnicy. Pracowało w niej trzech lekarzy i dwie pielęgniarki położne. To właśnie one najbardziej ją zaintrygowały. Melissa nie wiedziała, że taki układ odpowiada AmeriCare, bo koszty zakontraktowanych usług położniczych były niskie w porównaniu z wydatkami na pobyt w szpitalu.

Umawiając się na pierwszą rozmowę, nie mogła wyzbyć się pewnej dozy sceptycyzmu. Chciała się przede wszystkim dowiedzieć, czy w filozofii położnych jest coś, co mogłoby jej nie odpowiadać. Kiedy jednak poznała jedną z nich osobiście, była pod tak dużym wrażeniem, że od razu się do niej zapisała.

Położna miała sześćdziesiąt parę lat. Była bardzo spokojna i cierpliwa, a do tego więcej słuchała, niż mówiła, co Melissie odpowiadało. Kobieta wyjaśniła jej, że u niej rodzi się po ludzku, bez żadnych urzędzeń; niech natura sama zrobi to, co do niej należy. Melissa nie posiadała się ze szczęścia. Jedynym minusem było to, że lecznica

stosowała zasadę "współkierownictwa", co oznaczało, że pacjentki musiały przed porodem odbyć dodatkową konsultację z jednym z lekarzy.

Było ich troje, w tym młoda kobieta zatrudniona tu od niedawno. To właśnie do niej zwróciła się Melissa. Lekarka okazała się stosunkowo sympatyczna, choć nie miała w sobie tyle ciepła co dwie doświadczone położne. Przez resztę ciąży Melissa Alexander spotykała się już tylko z nimi. To one przyjmowały większość porodów - lekarze wkraczali do akcji tylko w razie wystąpienia jakichś powikłań czy nagłych wypadków. Melissa nie sądziła, by coś takiego mogło jej grozić.

Britten przyjechał po Morgan o dziewiątej. Kolację zjedli w restauracji serwującej modną ostatnio *nouvelle cuisine*, a Britten zachowywał się jak należy, starając się odgrywać rolę jowialnego zalotnika. Za to uprzejmość Morgan była sztuczna, a jedzenie wydawało jej się pozbawione smaku. Uśmiechała się bez wyrazu, gdy Britten zarzucał ją kolejnymi, coraz bardziej nieudanymi żartami. Czy tego chciała, czy nie, musiała podtrzymywać jego dobry nastrój. W rękach tego człowieka spoczywał los jej siostrzeńca. Jednak kiedy po kolacji Britten zaprosił ją do siebie, uznała, że ma już tego dosyć, i zaczęła się wykręcać z wymuszonym słodkim uśmiechem na ustach.

- No, Morgan, nie daj się prosić - nie ustępował Britten - nie jestem aż tak straszny. Wejdiesz na kilka minut, a potem odwożę cię do domu. Bardzo chciałbym ci coś pokazać.

- A cóż to takiego?

Położył palec na ustach i mrugnął porozumiewawczo.

- Gdybym ci powiedział, nie byłoby niespodzianki, prawda?

Kiedy podczas kolacji musiała udawać zainteresowaną jego wynurzeniami, przed oczami miała rozdzierający serce obraz chudziutkiego, drobniutkiego siostrzeńca, leżącego z zasłoniętymi oczami wśród labiryntu przewodów i desperacko walczącego z zakażeniem. Przez wzgląd na małego Benjamina musiała spełniać zachcianki Brittena.

Morgan westchnęła i skinęła głową, wmawiając sobie, że tacy mózgowcy jak on na ogół bywają nieszkodliwi.

- Jasne. Kilka minut nie zrobi mi różnicy.

W drodze do domu Brittena jego irytujący entuzjazm stał się wręcz nie do zniesienia. Morgan była ciekawa, czy jest na tym świecie jakakolwiek kobieta, która

mogłaby znieść jego zachowanie. Nic dziwnego, że musiał się tak starać, by umówić się na randkę. Ten wieczór przerodził się w istną torturę. Jednak prawdziwy szok Morgan przeżyła, przestąpiwszy próg domu Brittena.

Nie wierzyła własnym oczom. Podłogi i ściany były przykryte zwierzęcymi skórami - zebry, lwa i niedźwiedzia, a także innych gatunków, których Morgan nie rozpoznała na pierwszy rzut oka. Z szeroko otwartymi ustami ruszyła przed siebie niczym ćma przyciągana przez blask płomienia. Wystarczył j eden rzut oka na wystrój tego domu, by przekonać się, jak wielkim ekscentrykiem jest jego właściciel.

- No i co ty na to? - spytał. Morgan nie wiedziała, co powiedzieć.

- To... interesujące, Hugh. Bardzo oryginalne.

- Dziękuję. Jestem dumny z tego, jak się urządziłem. Chodź, pokażę ci resztę domu.

Na prawo od holu głównego znajdował się nieduży pokój. Na ścianie wisiały rogi wszelkich kształtów i rozmiarów. Niektóre były przymocowane do drewnianych płyt, inne tkwiły w czaszkach, a pozostałe w wypchanych zwierzęcych łbach.

- Wyglądają jak żywe, co?

- Można tak powiedzieć - odparła Morgan. - Czy wszystkie są prawdziwe?

- No pewnie. Niektóre są bezcenne.

Dom Brittena był ogromny. Morgan niepewnie wyszła w ślad za gospodarzem na mroczny korytarz, który okazał się wąskim, krętym labiryntem. Jedynym źródłem światła były schowane we wnękach lampy, z których wypływały słabe promienie, rzucające blade plamy na ściany. Na początku korytarza ściany były nagie, nieozdobione. Kiedy Morgan skręciła za Brittenem za róg, jej wzrok padł na słabo oświetlony krąg. To, co tam zobaczyła, zaparło jej dech w piersi.

W słabo jarzącym się blasku światła leżały dwie z mumifikowane głowy. Brązową skórę twarzy przecinały głębokie bruzdy, a powieki były zszyte grubymi czarnymi niciami. W przekłutych wargach tkwiły pionowo ustawione drewniane szpikulce. Głowy wisiały na łańcuszkach z małych muszelek. Morgan odwróciła się i spojrzała z przerażeniem na Brittena. Jego twarz promieniała zachwytem.

- Wspaniale, prawda?

Morgan nie mogła znaleźć słów, by wyrazić to, co czuje.

- Ja... ty zbierasz takie rzeczy?

- Ależ oczywiście. Wszystkie są niezwykle, niektóre nawet absolutnie jedyne w swoim rodzaju. Te należały do Maorysów. Chodź.

Morgan ruszyła na uginających się nogach za Brittenem i po chwili jej zdumionym oczom ukazała się imponująca kolekcja ludzkich szkieletów. Otworzyła szeroko usta, przerażona i zafascynowana zarazem, jak to bywa ze świadkami tragicznego wypadku samochodowego, którzy wbrew sobie nie mogą odejść z miejsca katastrofy.

Kolekcja Brittena była bardziej artystyczna niż anatomiczna. Szkielety wisiały w pozach przywodzących na myśl figury zatrzymane w tańcu. Wydawało się, że gdzieś w górze czuwa niewidzialny mistrz marionetek, który zaraz pociągnie za sznurki i rozpocznie makabryczne przedstawienie. Tym, co uderzyło Morgan w tej groteskowej wystawie, była anatomiczna osobliwość szkieletów.

Każdy kolejny eksponat wykazywał coraz więcej oznak wadliwego rozwoju czy deformacji. Dwa karły były szczipione ze sobą jak podpórki na książce. Przypomniawszy sobie zajęcia z embriologii, Morgan rozpoznała, że krzywe nogi i wystające piszczele następnego szkieletu są efektem krzywicy. Inny miał zniekształconą w wyniku syfilisu czaszkę, która wydawała się dziwnie kwadratowa. Głowy kilku okazów były rozdęte i kruche - objaw wodogłowia. Wystawa ta mogłaby z powodzeniem znaleźć się w cyrku P.T. Barnuma. Morgan pokręciła głową z niedowierzaniem. Nie pojmowała, jak ktoś mógł się szczycić posiadaniem tak makabrycznej kolekcji.

- Jeszcze nigdy nie widziałas czegoś takiego, prawda? - spytał Britten, rozpluwając się w uśmiechu.

- Nie - odparła, zbyt wstrząśnięta, by oddać słowami swoje uczucia. - Czy to wszystko, czy masz tego więcej?

- Na razie wszystko. W tej chwili próbuję zdobyć anencefalika.

- Ale po co, Hugh? Co ci to daje?

- Nie uważasz, że to inspirujące, a nawet metafizyczne?

- Dla mnie - powiedziała Morgan - to kolekcja ludzkiego cierpienia.

- Nonsens! - prychnął Britten. - Taki zbiór jak ten nie ma nic wspólnego z cierpieniem! Moim zdaniem wszystko, co tu zgromadziłem, daje nam poczucie więzi z naszym człowieczeństwem. Na przykład wystarczyłoby, żeby kawałek jednego z naszych chromosomów znalazł się w nieodpowiednim miejscu albo żeby nasze matki zjadły coś zamiast czegoś innego - powiedział, wskazując szerokim gestem ścianę - a ty i ja moglibyśmy sami tu trafić! Te eksponaty przypominają nam, kim w rzeczywistości jesteśmy, Morgan, i czym czasami się stajemy. To ogniwo łączące nas z

przeszłością, z historią ewolucji człowieka. Takie deformacje ukazujące tylko nasze ograniczenia, ale także ogromny potencjał, nie sądzisz?

Morgan uważała jego argument za równie groteskowy jak cała ta kolekcja. Ten zawiły sposób rozumowania, w którym logika przeplatała się z szaleństwem, w pełni pasował do tego człowieka. Zdawała sobie jednak sprawę, że to nie jest właściwa pora, by zwracać mu uwagę, iż jego hobby jest wytworem chorego umysłu.

- Czemu mi to wszystko pokazujesz?

Britten podszedł do niej z obrzydliwie słodkim uśmiechem i wziął ją za rękę.

- Bo, moja najdroższa Morgan, chcę się tym wszystkim z tobą podzielić. Jesteś pierwszą osobą, która widziała całą moją kolekcję. Nie chcę mieć przed tobą żadnych tajemnic. Skoro mamy być razem, pragnę, żebyś wiedziała o mnie wszystko. I stała się częścią mojego życia.

Z wyrazem infantylnego rozmarzenia na twarzy Britten przyciągnął Morgan do siebie.

Odepchnęła go z obrzydzeniem.

- Przestań! Mówiłeś o kilku minutach, czas minął. Odwieź mnie do domu. Britten przytrzymał ją za nadgarstek,

- Sama nie wiesz, co mówisz. Czy nie wyrażałem się jasno? Chcę, żebyśmy byli partnerami, w tym i we wszystkim!

- Jesteś chory! - Wyrwała rękę z jego uścisku i poszła szybkim krokiem w głąb krętego korytarza. - Zamówię taksówkę.

Britten ruszył za nią, wołając, by zaczekała. Morgan zerwała się do biegu. Na samą myśl, że mógłby ją dotykać, czuła głęboką odrazę. Ten człowiek był nie tylko odpychający, ale i niezrównoważony psychicznie. Musiała stąd uciec.

Biegnąc krętym korytarzem, wpadła na szkielety bliźniąt syjamskich. Runęły z hukiem na podłogę i łącząca je kość biodrowa pękła na pół. Dalej były jakieś drzwi. W chwili, gdy Morgan chwyciła klamkę, Britten złapał ją za ramiona.

- Na litość boską, poczekaj!

Ale Morgan wyrwała mu się i wpadła do następnego pomieszczenia, rozpaczliwie pragnąc uciec od tego człowieka i jego obrzydliwej kolekcji.

- Nic nie rozumiesz! - krzyczał Britten.

Morgan doskonale wszystko rozumiała. Britten, geniusz czy szarlatan, był zadurzonym w niej psychopata. Pragnął ją zdobyć, perswazją czy siłą, jak kolejny okaz do swojej chorej kolekcji.

Britten skoczył na nią, pragnąc ją powstrzymać, przemówić jej do rozsądku. Morgan wykonała zwinny unik. Jej prześladowca stracił równowagę i rąbnął głowę w metalowe biurko. Osunął się bezwładnie na podłogę, jakby uszło z niego powietrze.

Słyszając odgłos padającego ciała Morgan zatrzymała się w pół kroku. Obejrzała się i zobaczyła leżącego nieruchomo Brittena. Z głębokiej rany na czole płynęła krew, zalewająca mu oko. Pierś nieprzytomnego unosiła się i opadała w głębokim oddechu.

Chciała uciekać, ale obudził się w niej lekarz. Po chwili wahania, uklękła i obejrzała ranę Brittena. Rozcięcie wyglądało poważnie, ale kość była cała. Morgan wzięła z biurka serwetkę i przycisnęła ją do rany. Krwotok ustał tylko na chwilę. Prawdopodobnie bez szwów się nie obejdzie. Sprawdziła puls na szyi Brittena; był mocny i równy. Wstała. Wszystko wskazywało na to, że oprócz głębokiego rozcięcia i lekkiego wstrząsu mózgu nic mu nie jest.

Morgan podniosła słuchawkę i zadzwoniła po pogotowie. Britten powinien trafić do szpitala. Kiedy rozmawiała z telefonistką, jej wzrok padł na jakieś papiery leżące na biurku. Po chwili zorientowała się, czemu wyglądają tak znajomo, i przeszył ją przenikliwy chłód.

Odłożyła słuchawkę i wzięła papiery do ręki. Były to kopie danych, które Morgan ściągnęła z komputera, informacje na temat oszczędności poczynionych ostatnio przez AmeriCare. Albo Britten znał hasło, jakim się posługiwała, i dostał się do jej komputera, albo włamał się do jej gabinetu. Obserwował ją i prawdopodobnie wiedział o wszystkim, co robiła.

Morgan poczuła się, jakby ktoś pogwałcił jej prywatność. Zadzwoniła po taksówkę, wyniknęła się z domu Brittena i uciekła.

## ROZDZIAŁ 13

Morgan nie chciała być sama. Przed oczami miała makabryczne szkielety, płasające jak marionetki z najgorszego koszmaru. Niepewna, dokąd pojechać o tak późnej porze, w końcu podała kierowcy adres Brada.

Kiedy dotarła na miejsce, była pierwsza w nocy. Wiedziała, że podejmuje ryzyko. Jej pierwsze spotkania z Bradem były tak przesyczone wzajemną niechęcią, że w tamtym okresie za nic w świecie nie zwróciłyby się do niego o pomoc. Jednak w tej chwili widziała w nim człowieka, na którym można polegać. Oby tylko nie miał jej za złe tego, że zjawia się u niego o tak późnej porze.

Nie miał. Kiedy zobaczył przerażoną minę Morgan, odruchowo objął ją i delikatnie poprowadził do mieszkania.

- Co się stało? - spytał, przekonany, że coś złego musiało spotkać jej siostrę albo któreś z dzieci.

Morgan niechętnie wyrwała się z jego ramion i padła na stojącą obok kanapę. Dopiero teraz, kiedy czuła się bezpieczna, dotarło do niej, co przeżyła w domu Brittena. Jej zaciśnięte wargi wykrzywiły się w dół, a wstrzymywane do tej pory łzy popłynęły szerokim strumieniem po twarzy, rozmazując makijaż.

Morgan opowiedziała Bradowi o wszystkim, od zawołanych grózb Brittena, dotyczących jej posady, aż po rozmowę z Janice na temat molestowania seksualnego. Opisała przerażającą kolekcję szkieletów i mrzonki Brittena o jego wspólnej z nią, Morgan, przyszłości. Brad trzymał ją za rękę i słuchał, nie przerywając. Kiedy skończyła, otarła oczy, a on delikatnie pogładził ją po włosach.

- Wiedziałem, że coś jest z nim nie w porządku - powiedział ze złością - ale nie domyślałem się, że aż tak.

- Myślisz, że powinnam zadzwonić na policję?

- Skoro nie zamierzasz oskarżyć go o molestowanie, to niewiele ci to pomoże. Poza tym, co byś powiedziała? Że facet próbował cię złapać, upadł i uderzył się w głowę? Że ściągnął pliki z twojego komputera? Zresztą nie wiadomo, jak by zareagował, gdybyś wmieszała w to policję.

- No to co powinnam zrobić? Brad odetchnął głęboko.

- Na razie nie rób nic. Niech mu założą szwy, niech on sam zastanowi się nad tym, co się stało. Zepchnij go do obrony. Weź sobie dzień, dwa wolnego. Czy facet jest wariatem, czy nie, być może zrozumie, że zachował się jak idiota. Kto wie, może cię nawet przeprosi.

Morgan skinęła niepewnie głową i uśmiechnęła się.

- Dzięki, że mnie wysłuchałeś. Właściwie nie jestem pewna, czemu tu przyjechałam, ale dobrze, że to zrobiłam. - Zrobiło jej się zimno. - Wiesz, boję się sama wracać do domu. Nie chciałabym sprawiać kłopotu czy się narzucać, ale czy mogłabym przespać się u ciebie, na tej kanapie? - To żaden kłopot. Obok sypialni Michaela jest pokój gościnny. Chodź, dam ci świeżą pościel.

Zaprowadził ją do małego, ale wygodnego pokoju. Morgan była wyczerpana, jednak w jej głowie wciąż kłębiły się setki myśli. Wiedziała, że minie dużo czasu, zanim uda się jej zasnąć.

Rozebrała się, pozostając w samej bieliźnie. Wolałaby spać nago, ale uznała, że lepiej będzie mieć coś na sobie na wypadek, gdyby do pokoju wszedł Michael. Z ciekawości otworzyła garderobę. Powietrze wypełniło się wonnym zapachem drzewa cedrowego. Morgan weszła do środka i włączyła światło. Wisiały tam damskie ubrania, prawdopodobnie należące do żony Brada.

Morgan przypomniała sobie zdjęcie ładnej kobiety, które widziała w jego gabinecie. Przez kilka sekund myślała o niej. Brad prawie nic nie mówił o swojej żonie i teraz, Morgan czuła się jak intruz. Lękliwie przebierała w ubraniach dotąd, aż znalazła znoszoną flanelową koszulę nocną. W nadziei, że Brad nie będzie miał jej tego za złe, włożyła ją, zrzuciwszy bieliznę. Po kilku minutach leżała już w łóżku. Wkrótce zasnęła.

Brad, jak zawsze, obudził się o szóstej. Zaczął myśleć o Morgan. Mimo nieufności, jaką początkowo żywili do siebie, uprzytomnił sobie, że czuje się przy niej coraz lepiej. Co więcej, Morgan budziła w nim od dawna uspięte uczucia. Żadna z kobiet, które miał okazję poznać ostatnimi czasy, nie rozpaliała jego wyobraźni tak jak ona. Kilka minut później zapukał do jej pokoju, pragnąc zaprosić ją na śniadanie.

Nie usłyszał odpowiedzi. Brad przekręcił gałkę i uchylił drzwi.

- Morgan? - powiedział cicho. - Morgan, wstałaś już? - Otworzył drzwi szerzej i wszedł na palcach do środka. Słabe promyki światła dziennego przedzierały się przez zaciągnięte zasłony. Brad wszedł w półmrok, zamykając za sobą drzwi.

Dostrzegł niewyraźny zarys głowy na poduszce i pasma włosów spływających na prześcieradło. Rozsunął lekko zasłony, wpuszczając więcej światła. Morgan wciąż spała kamiennym snem.

Leżała na plecach, z kocem ściągniętym do bioder. Było w niej coś, co obudziło w duszy Brada dziwną tęsknotę. Przyjrzawszy się Morgan dokładniej, zauważył, że ma



na sobie jedną ze starych koszul nocnych jego żony. Stłumił budzący się w nim smutek i powoli usiadł na skraju łóżka. Dotknął czoła Morgan, odruchowo odgarniając kilka kosmyków.

Otworzyła oczy. Zobaczyła go niewyraźnie, jak przez sen. Nieuczesane włosy opadały mu na uszy, a poły szlafroka były rozchylone aż do pasa. Wydał jej się zaskakująco pociągający. Wciąż nie w pełni rozbudzona, uległa ogarniającemu ją pożądaniu. Bezwiednie uniosła ręce i objęła go za szyję.

W wypełniającym pokój bladym świetle twarz Brada powoli zbliżyła się ku niej. Ich usta delikatnie złączyły się w aksamitnej pieśczocie. Lekko rozchylone wargi Morgan były gorące i suche. Brad muskał je ustami, wędrując to w jedną, to w drugą stronę. Był zaskoczony tym, jak ciepła jest jej skóra. Po chwili Morgan dotknęła językiem jego ust i Brad poczuł, że jakaś siła zaczyna budzić się w nim do życia.

Powoli przesunął wargi w dół, by spocząć na szyi, w miejscu, gdzie czuć było szybkie bicie pulsu. Morgan jęknęła cicho i przywarła do Brada, miotana wzrastającym pożądaniem. Wsunęła ręce pod koc i podciągnęła koszulę nocną. Brad dostrzegł w słabym świetle zagłębienie o kształcie litery V w lekko piegowanej skórze. Jakież to irlandzkie, pomyślał. Im niżej, tym większe były brązowe plamki, łączące się w wysepki o nieregularnych kształtach. Dłoń Brada powoli zsunęła się w dół. Wtedy Morgan chwyciła jego rękę i położyła ją na swojej piersi, mocno zaciskając.

Jej oddech stał się głębszy. Brad spojrzał Morgan w oczy i zobaczył w nich pożądanie. Ujął jej pierś w dłoń i kiedy musnął kciukiem otoczkę sutka, brodawka natychmiast zeszywniała. Morgan, splatając palce, pospiesznie złapała go za głowę i przyciągnęła do swojej piersi. Brad przez chwilę muskał wargami stwardniały sutek, zataczając językiem kręgi wokół brodawki. Potem zacisnął usta na jej piersi i przez kilka sekund ssał ją zadowoleniem.

Morgan jęknęła. Puściła szyję Brada i zsunęła szlafrok z ramion mężczyzny. Pragnąc przywrzeć do jego nagiej piersi, wbiła mu palce w plecy.

Kiedy spleli się w uścisku, Morgan wygięła plecy w łuk i gwałtownie przywarła do Brada.

Zręcznymi ruchami ciała przesunęła go między swoje nogi. Czując dotyk materiału bokserek, niecierpliwie wcisnęła palce pod elastyczną gumkę, po czym je ściągnęła. Następnie chwyciła go za biodra, zatapiając paznokcie w umięśnionych pośladkach.

Brad był już mocno podniecony i Morgan poczuła, jak wsuwa się między jej

nogi, by zaraz się wycofać. Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Było w nich napięcie, ale i odrobina niepewności.

- Czy...? - zaczął.

- Nie przejmuj się - szepnęła, uciszając go pocałunkiem. - Wzięłam pigułkę. - Przyciągnęła jego głowę z powrotem do piersi.

Bradowi udzieliło się pożądanie Morgan. Kiedy zaczęła wykonywać pod nim płynne, rytmiczne ruchy, podniecenie Brada sięgnęło zenitu. Pragnął jej. Zaczął napierać biodrami i wsunął rękę między jej nogi. Morgan odsunęła dłoń.

- Nie - powiedziała. - Ja to zrobię.

Kiedy poczuł dotyk jej ciepłych palców, nie mógł powstrzymać się od chrapliwego jęku. Wprowadziła go w siebie. Była nieopisanie mokra, miękka i gładka. Nogi kobiety objęły go w talii, a ich ciała rozpoczęły wolny, namiętny taniec. Kołysali się synchronicznie, przyspieszając w miarę, jak rosło pożądanie.

Brad całował ją po szyi, ramionach, piersiach. Wkrótce oboje przestali panować nad trawiącą ich namiętnością. Doszli razem na szczyt, po czym w cudownej eksplozji wzbili się jeszcze wyżej. Wreszcie, mokry od potu i rozdygotany, Brad delikatnie opadł na Morgan, dotykając policzkiem jej twarzy.

Po chwili wyśliznął się z niej i przewrócił na bok, z ręką na piersiach Morgan. Dotknął czubkami palców jej ust.

- Nie chciałem, żeby do tego doszło - powiedział.

- O Boże - odparła z udawanym oburzeniem. - Tylko nie mów, że jesteś nosicielem HIV.

- Nie, nie jestem. - Zawiesił na chwilę głos. - A ty?

- A skąd. Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że żałujesz? Uśmiechnął się.

- A jak myślisz?

- Myślę - powiedziała - że te twoje skrupuły będą cię kiedyś drogo kosztować.

Pocałował ją delikatnie w usta.

- Muszę wstać, Morgan, zrobić Mikeyowi śniadanie, a potem iść na obchód. Pogadamy, kiedy wrócę.

Kiedy wstawał z łóżka i wychodził z pokoju, Morgan z zadowoleniem odprowadzała go wzrokiem.

Nieco później, tego samego ranka, Hugh Britten wszedł do swojego gabinetu w siedzibie AmeriCare. Miał podbite oko i zszytą ranę na czole. Martin Hunt spotkał go

na korytarzu i zapytał, co się stało, ale Britten nie odpowiedział. Nie odzywał się do nikogo i było oczywiste, że czuje się jeszcze gorzej, niż wygląda. Podeszedł do biurka i włączył komputer. Załogował się do systemu informacyjnego Szpitala Uniwersyteckiego i ściągnął najświeższe dane na temat Benjamin Hartmana. Ku jego zdumieniu wyglądało na to, że mały najgorzej ma już za sobą. Wbrew wszelkim przewidywaniom dziecko nie tylko dzielnie się trzymało, ale jego stan nawet uległ poprawie.

Britten uśmiechnął się. Przeprowadził w pamięci szybkie obliczenia. Mały Hartman będzie musiał spędzić na oddziale intensywnej terapii jeszcze co najmniej dwa miesiące. Przy obecnych stawkach kosztowałyby to AmeriCare nie mniej niż ćwierć miliona dolarów. Britten wydał wargi i potrząsnął głową. Nie, do tego nie można dopuścić.

Morgan postanowiła posłuchać rady Brada i wziąć sobie kilka dni urlopu. Nie miała ochoty znów stanąć twarzą w twarz z Hugh Brittenem. Zresztą chciała побыć w domu Brada, napawając się wspomnieniem ich porannego zbliżenia. Pragnęła się zrelaksować, wczuć w atmosferę jego domu, zastanowić nad przyszłością. Wczesnym przedpołudniem wreszcie wyszła i wróciła do domu. Potem pojechała do szpitala.

Pod oddziałem intensywnej terapii noworodków Morgan zobaczyła Sa-rah Berków, która podbiegła do niej z szerokim uśmiechem na twarzy i powiedziała, że jej córeczka ma się zdecydowanie lepiej. Jennifer natomiast wyglądała jeszcze gorzej niż ostatnio. Oczy miała zapadnięte i podkrążone z wyczerpania i braku snu. Pożółkłe twarówki pokrywała sieć małych czerwonych żyłek. Osłabiona i przygarbiona Jennifer wyglądała, jakby schudła o kilkanaście kilo.

Ani na chwilę nie opuszczała jej myśl, że małemu Benowi stanie się coś strasznego. Nie trafiały do niej żadne argumenty. A ponieważ stan chłopczyka zaczął się lekko poprawiać, obsesja Jen budziła niepokój.

- Jen, no co ty - powiedziała Morgan. - Nie pomożesz swoim dzieciom, zmieniając się w zombi.

W chrapliwym głosie Jennifer brzmiała nerwowość.

- Staram się, Morgan. Robię wszystko, co mogę. Wiem, że poświęcam Courtney za mało czasu, ale... jeśli ja nie będę pilnować Bena, to kto?

- Richard. Pielęgniarki. Ja. Nie możesz sterczeć przy nim od świtu do nocy.

- Muszę, nie rozumiesz tego?

- Dlaczego? - nie ustępowała Morgan. - Powiedz dlaczego!

- Wiem, że to niedorzecznie brzmi, ale jestem pewna, że jeśli nie będę go pilnować przez cały czas, stanie mu się coś złego tak jak tamtym dzieciom.

- Och, Jen, Jen - westchnęła Morgan. - Masz całkowitą rację, to brzmi niedorzecznie. Żyjesz w ciągłym stresie i przez to jesteś przewrażliwiona. Posłuchaj mnie. W tym szpitalu jest lekarz, którego zadaniem jest słuchanie pacjentów. To psychiatra, ale w sumie fajny facet. Polubisz go. Ma gabinet na dole i mówi, że chętnie się z tobą spotka, kiedy tylko zechcesz. Błagam.

- Nie podpuszczaj mnie - powiedziała Jen, uśmiechając się słabo. - Obiecuję, że do niego pójde, kiedy tylko zabiorę Bena do domu.

Morgan pokręciła głową i sfrustrowana odeszła korytarzem. Choć była lekarką, nie mogła pomóc własnej siostrze.

Doktor Schubert poczynił specjalne przygotowania do operacji pani Ryan. By zapewnić dyskrecję, ustalił porę zabiegu na wczesny wieczór, po godzinach pracy kliniki. Przewidywał, że potrwa on dwanaście godzin. Wziął ze sobą tylko jedną asystentkę, osobę godną zaufania, która pracowała z nim od lat. Reszta personelu nie musiała nic wiedzieć.

Ryanowie przyjechali do kliniki w pełnej napięcia ciszy. Byli zbyt poruszeni, by rozmawiać. Oczy pani Ryan wypełniały się łzami. Wiedziała, że postępuje słusznie, ale bardzo związała się emocjonalnie ze swoim nienarodzonym dzieckiem.

Przyjechali o siódmej. Schubert nie miał zbyt wielkiej ochoty na wyłuszczenie szczegółów zabiegu; na szczęście Ryanowie nie zadawali wielu pytań. Poprosił pacjentkę o podpisanie zgody na przedwczesny poród. Potem, kiedy przebrała się w fartuch, wprowadził ją do pokoju zabiegowego i poprosił o położenie na stole zabiegowym. Kiedy wsunęła nogi w strzemiona, odsłonił za pomocą wziernika szyjkę macicy. Była fioletowoszara, napuchnięta, co było efektem ciąży i pięciu poprzednich porodów. Schubert stwierdził, że rozwarcie jest już prawie centymetrowe. Zwilżył je jodyną, po czym chwycił przednią wargę instrumentem podobnym do widelca.

Na stole obok leżało kilka zawiniętych w plastik paczek. Każda zawierała brązową, podobną do gałązki listownicę, długą na osiem centymetrów i szeroką na trzydzieści do sześćdziesięciu milimetrów. Schubert odwinął jedną z nich, chwycił w długie kleszcze i ostrożnie wprowadził do szyjki macicy. Listownicę są higroskopijne - wchłaniają wilgoć. W ciągu następnych kilku godzin staną się trzykrotnie szersze,

doprowadzając do rozwarcia szyjki. Schubert wprowadził ich sześć.

Następnie wypemil plastikowy aplikator dużą ilością żelu prostaglandynowego i umieścił czubek pod szyjką macicy. Prostaglandyna miała spowodować skurcze macicy. Wcisnąwszy tłok, wprowadził trzydzieści gramów żelu do górnej części pochwy. Dolną natomiast zabezpieczył gazą, po czym ostrożnie wyjął wziernik i polecił pani Ryan, by usiadła.

Ponieważ prostaglandyna mogła też wywołać gwałtowne mdłości, biegunkę i gorączkę, Schubert dał pacjentce tylenol, a także środek przeciwdrgawkowy i przeciwwymiotny. Następnie zaprowadził ją do sali pooperacyjnej i polecił, by się położyła. Podłączył kroplówkę, po czym zaaplikował pani Ryan mieszankę silnego narkotyku i środka uspokajającego. Wkrótce kobieta zaczęła głośno chrapać. Wtedy Schubert wprowadził do kroplówki oksytocynę, lek wzmagający skurcze macicy. Teraz pozostawało tylko czekać.

Asystentka doktora zaprowadziła pana Ryana do sali pooperacyjnej, by mógł być przy żonie. Po zakończeniu przygotowań Schubert poszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Następne kilka godzin zamierzał poświęcić zaległościom w lekturze. Gdyby poczuł zmęczenie, miał tu wygodną kanapę. Włączył lampkę i wziął się do roboty.

O dziesiątej pani Ryan była już w pełnej fazie porodu. Listownice napęczniały do rozmiaru papierosów. Schubert usunął je i wyrzucił do kosza. Ku jego zadowoleniu szyjka macicy była już rozwarta na pięć centymetrów, a błony wyrzuszały się. Doktor uznał, że najlepiej będzie poczekać, aż same pękną. Podał pani Ryan następną dawkę środków uspokajających, po czym wrócił do gabinetu, by się zdrzemnąć. Asystentka miała go wezwać, gdyby coś się działo.

Ledwie zasnął, rozległo się pukanie do drzwi. Schubert spojrzał na zegarek. Było kilka minut po północy. W sali pooperacyjnej pani Ryan stękała ciężko; choć nieprzytomna, zaczynała już przeć. Wieloletnie doświadczenie podpowiedziało Schubertowi, że takie jęki towarzyszą końcowej fazie porodu. Przeprowadziwszy szybkie badanie, stwierdził, że nastąpiło pełne rozwarcie, a błony są napięte i cienkie. Kiedy ich dotknął, pękły.

Na nosze chlusnęła ciepła, żółtawa ciecz, która wypełniła powietrze lekko alkalicznym fetorem. Nie wyjmując palców z pochwy, Schubert wymacał miękką masę - pośladki płodu. Dziecko było ustawione miednicą do szyjki macicy. Zaraz po wydobyciu pośladków i bioder wyłoni się klatka piersiowa, a potem głowa - choć w

tym wypadku było to niewłaściwe określenie, ponieważ głowa jako taka nie istniała. Schubert przez chwilę przyglądał się, jak pacjentka prze, po czym zerknął kątem oka na jej męża.

- Jest pan pewien, że chce pan przy tym być, panie Ryan?

- Byłem przy narodzinach wszystkich naszych dzieci. Myślę, że żona chciałaby, abym i teraz jej nie zostawił.

- W czasie poprzednich porodów była przytomna, prawda? - zapytał Schubert.

- Zwykle mąż zostaje na sali po to, by dzielić z żoną radość z narodzin dziecka. Ale pańska żona jest nieprzytomna. A ja nie jestem pewien, czy powinien pan to oglądać.

Pan Ryan odwrócił się, zamyślony. Po chwili skinął głową.

- Dobrze, to pan jest lekarzem. Pójdę do poczekalni. Proszę dać mi znać, kiedy już będzie po wszystkim.

Kiedy Ryan wyszedł, Schubert wziął się na dobre do pracy. Włożył jednorazowy fartuch chirurgiczny, przesunął pacjentkę na krawędź noszy i umieścił jej nogi w strzemionach. Pani Ryan parla nieustannie, ulegając niekontrolowanemu odruchowi pod wpływem nacisku pośladków płodu na podstawę miednicy. Na oczach Schuberta jej krocze zaczęło się wybrzuszać. Po chwili wargi sromowe rozwarły się.

Schubert zobaczył, że płód jest płci żeńskiej. Postanowił na razie nic nie robić, pozwalając, by dziecko rodziło się samo. Z odbytu płodu wypłynęła galaterowata bryła ciemnozielonej smółki. Wkrótce pośladki w całości wyłoniły się z pochwy. Schubert wziął ręcznik i chwycił dziecko za biodra. Nie zawracając sobie głowy zdolnością płodu do życia, pociągnął go mocno do siebie. Nie minęła minuta, a dziecko było już w jego rękach.

Nie patrząc na dziewczynkę, Schubert zawinął ją w koc. Następnie umieścił zawiniątko na wyraźnie zmniejszonym brzuchu pani Ryan i odciął pępowinę. Potem zaniósł dziecko do drugiego pokoju i położył na stole do badań, czekając by natura zrobiła, co do niej należy. Musiał jeszcze wydobyć łożysko. Bez pośpiechu wrócił do swojej pacjentki. Po piętnastu minutach łożysko wreszcie zostało wydalone. Schubert zawinął je i wrzucił do pojemnika z odpadkami. Potem dość niechętnie przeszedł z powrotem do pokoju badań.

Zwlekał tak długo, ponieważ wiedział, że dzieci z anencefalią na ogół nie umierają szybko. Schubert nie miał jednak czasu ani ochoty czekać. Rozwinął koc, by sprawdzić, czy serce płodu bije. W chwili, gdy odkrył ramiona dziecka, oczom Schuberta ukazała się mała, zniekształcona pozostałość głowy.

Ku jego irytacji dziecko jeszcze żyło. Wilgotne, wyłupiaste oczy patrzyły w górę jakby w dwóch kierunkach jednocześnie. Fioletowe, łukowate wargi wydymały się w odruchu ssania. Dziecko co pewien czas sapało jak ryba wyjęta z wody. Schubert założył stetoskop i z obrzydzeniem osłuchiwał serce płodu. Puls był bardzo wolny, ale słyszalny. Nie można było stwierdzić, jak długo jeszcze noworodek będzie się męczyć.

Schubert był przygotowany na taką ewentualność. Już wcześniej przygotował strzykawkę z dziesięcioma centymetrami sześciennymi stężonego chlorku potasu; teraz sięgnął po nią bez wahania. Nie było potrzeby stosowania środka odkażającego. Schubert przystawił czubek igły do piersi dziecka, po czym wbił ją prosto w serce. Szybko wcisnął tłok, następnie płynnym ruchem wyjął pustą strzykawkę i jeszcze raz osłuchiwał dziecko stetoskopem.

Po niecałych dziesięciu sekundach bicie serca ustało. Wtedy Schubert zawinął ciało w koc i wrócił do pani Ryan. Wciąż poddana działaniu środków uspokajających, chrapała głośno, gdy on oglądał jej macicę. Kiedy upewnił się, że odpowiednio się obkurczyła, a krwotok poporodowy jest niewielki, uznał, że nadszedł czas, by pokazać martwe dziecko ojcu.

Schubert miał zamiar wywołać u pana Ryana wstrząs, który skłoniłby go do zerwania wszelkich więzi emocjonalnych, jakie mogły łączyć go z nienarodzonym dzieckiem. Podniósł martwe dziecko i poszedł do poczekalni. Nakazawszy gestem ręki, by pan Ryan nie wstawał, Schubert bezceremonialnie wręczył mu wciąż ciepłe zawiniątko. Ryan wziął je, spojrzał i wstrzymał oddech.

Krew natychmiast odpłynęła z twarzy mężczyzny. Jego szczęka opadła, a wargi szeroko rozwarły się z przerażenia. Przez chwilę Schubert bał się, że Ryan zemdleje. W końcu jednak opanował się i podniósł wzrok na doktora.

- Pokazał pan to mojej żonie?

- Jeszcze nie - powiedział Schubert. - Ciągłe śpi.

- Czy ona musi to zobaczyć? Jest silną kobietą, ale, mój Boże... to może być ponad jej siły.

Na taką właśnie reakcję liczył Schubert.

- Nie, nie musi. Jeśli pan chce, mogę się wszystkim zająć. W tego typu sytuacjach na ogół poddajemy ciało kremacji. Potem oczywiście oddamy państwu prochy, żebyście mogli je pochować.

Ryan pokiwał głową. Oddał zawiniątko Schubertowi.

- Byłbym wdzięczny. Mógłby pan ochrzcić dziecko? To wiele by dla nas

znaczyło.

- Ależ oczywiście.

- Kiedy obudzi się moja żona?

- Och, za kilka godzin. Nie ma sensu, żeby pan czekał. Może pojedzie pan na jakiś czas do domu? Zadzwonimy, kiedy będzie gotowa do opuszczenia kliniki.

Schubert nie miał zamiaru udzielać dziecku chrztu. Po wyjściu Ryana podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Jego rozmówca powiedział, że będzie mógł przyjechać dopiero za parę godzin. Schubert raz jeszcze zajrzał do pacjentki, po czym położył się na kanapie w gabinecie. Podobnie jak wielu położników, posiadał sztukę zasypiania nawet w najbardziej niezwykłych okolicznościach, wkrótce zapadł więc w drzemkę.

O czwartej rano zadzwonił domofon. Schubert wstał i osobiście otworzył drzwi. Nie powiedziano mu, kto przyjdzie. Mężczyzna, z którym rozmawiał przez telefon, mówił z nieznanym mu cudzoziemskim akcentem. Jednak Schubert nie spodziewał się wysokiego chudego Murzyna. Twarz mężczyzny wydawała się nieco koścista i zwiędła, ale z całej jego postaci biła jakaś trudno uchwytna moc. Schubert wpatrywał się w niego w milczeniu.

- Pan jesteś doktor Schubert? - spytał wreszcie mężczyzna.

- Tak, a pan?

- Mam coś dla pana. - Podał Schubertowi litrowy słoje z czymś, co wyglądało na prochy. - Niech pana głowa nie boli, nikt się nie pozna, że nie są ludzkie. Zdaje się, że pan też ma coś dla mnie?

Schubert skinął głową i wziął słoje.

- Proszę za mną. - Zaprowadził swojego gościa do pokoju badań, omijając salę pooperacyjną, w której była pani Ryan i jego asystentka. To, po co przyszedł mężczyzna, leżało na stole zabiegowni. Murzyn odwinął koc i spojrzał na twarz martwej dziewczynki. Na jego obliczu pojawił się szeroki uśmiech, odsłaniając błyszczące białe zęby.

- Wspaniałe - powiedział z nieskrywaną radością. - Jeszcze nigdy takiego nie widziałem.

Schubert zdenerwował się.

- Weź to stąd w cholerę!

Mężczyzna skrupulatnie zawiązał dziecko w koc, wsunął je pod pachę i bez słowa wyszedł z gabinetu. Czekало go mnóstwo pracy. Oprócz spreparowania okazu miał także przygotować kolejną partię roztoczy. No cóż, w końcu właśnie za to mu tak



dobrze płacili.

Jennifer wyglądała tak, jakby była na krawędzi załamania psychicznego. Choć personel szpitala pilnował, by od czasu do czasu uciniała sobie krótkie drzemki, od wielu dni nikt nie widział jej pogrążonej we śnie. Snuła się po korytarzach jak w letargu, patrząc zapadniętymi, zamglonymi oczami prosto przed siebie.

Personel oddziału intensywnej terapii zazwyczaj ciepło przyjmował świeżo upieczonych rodziców, do jego obowiązków należała wszak opieka nad całą rodziną. Szkopuł w tym, że Hartmanowie nie byli jedynymi ludźmi odwiedzającymi swoje dzieci. Niektórzy z pozostałych gości zaczęli skarżyć się na dziwnie wyglądającą kobietę kręcącą się po oddziale. W końcu doktor Harrington wyprowadził Jennifer na korytarz.

- To poważna sprawa, Jennifer - powiedział. - Tak naprawdę nie obchodzi mnie, co mówią inni. Z drugiej strony wyglądasz, jakbyś padała z nóg...

- Ja...

- Daj mi dokończyć - ciągnął. - Wszyscy martwimy się o ciebie, ale musimy mieć na uwadze dobro przebywających tu dzieci. Gdybyś się potknęła czy wywróciła inkubator, nikt ci tego nie wybaczy. Sama nie potrafiłabyś sobie tego wybaczyć.

- Nie upadnę.

- Pewnie nie, ale czy możesz podejmować takie ryzyko? Bo my nie. Słuchaj, rozmawiałem już z twoim mężem i on zgodził się ze mną. Przepraszam, że jestem tak stanowczy, ale musisz trochę odpocząć. Dlatego poleciłem pielęgniarkom, by nie wpuszczały cię tu przed jedenastą. A ja sugeruję, abyś poszła na noc do domu.

- Pan nic nie rozumie - nie ustępowała Jennifer.

- Może i nie, ale będzie tak, jak powiedziałem. A teraz idź już. Twój synek ma się coraz lepiej, a pielęgniarki nie spuszczają go z oczu.

Jennifer spojrzała z rozpaczą w stronę inkubatora Benjamina, po czym pokręciła głową i wcisnęła guzik przywołujący windę. Zjechała do szpitalnego holu i powlokła się w stronę wygodnych foteli pod salą przyjęć. Zwalila się ciężko na jeden z nich i westchnęła. Spojrzała na zegar, ciekawa, jak szybko będzie jej mijał czas. Nie śmiała zamknąć oczu, ale była tak zmęczona, że wkrótce powieki same stały się potwornie ciężkie. Nie minęło kilka sekund, a już spała twardym snem.

Po kilku godzinach technik została wezwana od obsługi respiratora. Przywieziono jeden z niedawno naprawionych wentylatorów i można go było na nowo

zainstalować. Z oddziału intensywnej terapii noworodków przyszła prośba o udzielenie pomocy jednemu z dzieci. Technik była tym zaskoczona; przecież tak czy inaczej miała o dziesiątej przyjść do Benjaminu Hartmana. Nieważne, pomyślała. Skoro urządzenie zostało naprawione, to nie ma problemu.

Tymczasem w holu Jennifer zerwała się ze snu. Nie chciała w ogóle zasypiać. Zamrugła, podniosła się i spojrzała na zegar. Dziesiąta piętnaście. Nagle opadły ją złe przeczucia. Pomyślała o swoim synu. Benjamin!

Coś było nie w porządku; czuła to. Dlaczego dała się nakłonić do odpoczynku? Śmiertelnie przerażona, podbiegła do windy. Raz za razem gorączkowo wciskała guzik ze strzałką skierowaną w górę. Minęła aż minuta, zanim drzwi kabiny się otworzyły, a następne sześćdziesiąt sekund upłynęło, zanim rozgorączkowana kobieta dotarła na oddział intensywnej terapii. Kiedy wpadła w drzwi, zobaczyła grupę ludzi zgromadzonych wokół inkubatora Benjaminu. Pielęgniarka robiła dziecku masaż serca.

Krzyk, zbolący krzyk cierpienia wezbrał w piersi Jennifer, zanim dostrzegła, co się dzieje. Jedna z pielęgniarek podbiegła do niej, przytrzymała i próbowała wyprowadzić z sali. Ale choć Jennifer miała nogi jak z ołowiu, usiłowała się wyrwać i podbiec do inkubatora, w którym leżało nieruchome, poszarzałe ciało Benjaminu.

## ROZDZIAŁ 14

Czterdzieści pięć kilometrów na wschód od Szpitala Uniwersyteckiego pod wielkim czarnym kotłem palił się ogień. Oderwało się już wystarczająco dużo skóry, by ciało dziecka z anencefalią opadło na dno. Mężczyzna zamieszał wywar dużym drewnianym wiosłem i szkielet wypłynął na powierzchnię; tu kawałki gąbczastej skóry i tkanki odczepiły się od kości i podryfowały do krawędzi kotła. Mężczyzna wygarnął je wraz z nagromadzonym tłuszczem. Wygotowaną skórę i tłuste ochłapy wrzucił do wiadra, które następnie wyniósł na zewnątrz.

Poszedł z nim sto metrów w głąb lasu, gdzie znajdowała się jama. Na dźwięk kroków mężczyzny z ziemi poderwało się stado wron, które kracząc i skrzecząc, obsiadły gałęzie pobliskich drzew. Kiedy wylał odpady do jamy i zniknął, ptaki natychmiast rzuciły się w dół, walcząc zażarcie o najsmakowitsze kąski.

Kiedy gotowanie zostało zakończone, mężczyzna zgasił ogień i wyjął lśniący szkielet. Przez następne kilka godzin suszył go nad papierowymi serwetkami, od czasu do czasu zmieniając je i obracając kości, by szybciej schły.

Niezwykły okaz zaintrygował go. Przed gotowaniem najbardziej charakterystyczną cechą głowy stanowiły wyłupiaste oczy, podobne do żabich. Teraz jednak została tylko połowa czaszki; małe wyrostki sutkowate, spłaszczona potylica, pełna szczęka dolna oraz zniekształcona szczęka górna.

Kiedy szkielet był już całkowicie suchy, przyszła pora na chrząszcze.

Biorąc do ręki skrzynkę, w której były przechowywane, mężczyzna czuł, jak się ruszają. Wiedziały, co je czeka. Polakierowany pojemnik wibrował w szaleńczym rytmie. Kiedy mężczyzna wreszcie podniósł wieczko, chrząszcze wyrwały się ze swojego więzienia.

Węch wskazał im drogę. Setki małych, stłoczonych stworzeń wyglądały jak wielki kleks o falujących krawędziach. Nagle cała ich masa runęła naprzód, przetaczając się przez stalowy blat. Kiedy tylko owady dotarły do szkieletu, ruszyły w górę, przemykając po nagich kościach w poszukiwaniu ścięgien i chrząstek.

Podczas gdy chrząszcze jadły, mężczyzna poszedł do drugiego pokoju. Miał za sobą długi, pracowity dzień i był przekonany, że zasłużył na nagrodę. Zagłębiając się w fotelu, wyjął swój zapas marihuany i zapalił skręta. Wciągnąwszy do płuc pierwszy haust dymu, zamknął oczy i poczuł się szczęśliwy.

Obiecał doktorowi Brittenowi, że dostarczy okaz przed północą. Niecałą godzinę później, porządnie nabuzowany, wrócił do swojej pracowni. Chrząszcze

zrobiły, co do nich należało, pozostawiając lśniący, nieskazitelnie czysty szkielet. Mężczyzna zwabił je z powrotem do skrzynki za pomocą kawałka świeżego mięsa. Następnie schował szkielet do małej, wyłożonej filcem trumny.

Chwiejąc się nieco, zaniósł ją do furgonetki i ułożył na podłodze przy tylnych drzwiach. Siadł za kierownicą, wcisnął gaz i ruszył nieuczęszczaną polną drogą w stronę autostrady. W nocy widział dość słabo, więc przez cały czas mrużył zaczerwienione oczy. Kiedy zjechał na Expressway, włączył radio i przy wtórze jazzu zaczął nucić dziecięce piosenki. Mimo że był naćpany, zachował dość przytomności umysłu, by nie przekraczać prędkości stu kilometrów na godzinę.

Jechał prawym pasem. Długa, prosta jezdnia autostrady uspiła jego i tak osłabioną czujność. Kiedy mijał zjazd numer pięćdziesiąt osiem, jego oczom ukazał się strumień samochodów, co zmusiło go do skrętu w lewo. Nie był na to przygotowany. Wcisnął pedał gazu, ale zrobił to za późno.

Wpadł na samochód jadący przed nim. Choć zderzenie nie było silne, wystarczyło, by furgonetka skreśliła z piskiem opon. Na szczęście, nie uderzył w nią żaden z nadjeżdżających samochodów. Wóz obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, po czym zjechał tyłem z prawego pobocza, zatrzymując się na słupku.

Tylne drzwi otworzyły się na oścież i mała trumna wystrzeliła w powietrze. Kierowca furgonetki, choć wciąż nieco otepiały, szybko zebrał myśli. Samochód, z którym się zderzył, zjeżdżał na pobocze sto metrów dalej; obok niego pojawiło się kilka innych. Mężczyzna nie mógł wpaść w ręce policji. Już raz miał kłopoty z powodu narkotyków. Bez wahania wcisnął gaz do dechy i pomknął autostradą przed siebie, pozostawiając za sobą wirujący kłęb kurzu i małą trumnę.

To wszystko działo się w błyskawicznym tempie; świadkowie wypadku przede wszystkim byli zadowoleni, że nic im się nie stało. Nikt nie zapisał numeru rejestracyjnego furgonetki. Nikt też nie zauważył wyłożonej filcem trumny. Dopiero godzinę później policjant dosłownie wpadł na małą skrzynkę.

W żółtym świetle latarki podrapane, zbite gwoździami deski wyglądały na nieuszkodzone, ale trumna była otwarta. Policjant powoli omiół promieniem światła mały biały szkielet, który wypadł na ziemię. Na pierwszy rzut oka wydawało mu się, że to szczątki małpy. Kiedy jednak pochylił się i obejrzał znalezisko dokładniej, nabral przekonania, że to szkielet ludzki. Gdy policjant wreszcie się wyprostował, ręce dygotały mu jak w febrze.

Skontaktował się z posterunkiem i opisał to, co zobaczył. Nakazano mu

wszystko zapakować i przywieźć. Policjant wykonał polecenie, pamiętając o tym, by wcześniej włożyć rękawice z lateksu. Kiedy zostawił swoje znalezisko na posterunku numer cztery, była północ. Niepewny, co z tym fantem zrobić, dyżurny sierżant zadzwonił do lekarza sądowego.

Następnego dnia wczesnym rankiem przyjechał jeden z wyższych rangą śledczych z Biura Medycyny Sądowej hrabstwa Suffolk. Dokładnie obejrzał kości. Doszedł do wniosku, że to szkielet człowieka, prawdopodobnie dotkniętego jakąś wadą wrodzoną. Zbity z tropu, zadzwonił do biura w Hauppauge i skonsultował się z biurem okręgowego lekarza sądowego; polecono mu przywieźć makabryczne znalezisko. Śledczy złożył podpis na odpowiednim formularzu i zawiązał szkielet w sterylny plastik.

Godzinę później asystent okręgowego lekarza sądowego pochylił się nad stołem z nierdzewnej stali. Drobnny szkielet był świeży i bardzo młody. Żadnych śladów starzenia się. Na podstawie całkowitej masy, wzrostu i stopnia skostnienia kości długich można było zaryzykować stwierdzenie, że jest to szkielet noworodka płci żeńskiej, a może nawet płodu z ostatniego trymestru ciąży. Ktoś włożył wiele wysiłku w jego spreparowanie.

Jeszcze większą niespodzianką był niezwykle kształt głowy. Początkowo lekarz myślał, że czaszka została rozcięta, a jej pokrywa usunięta. Jednak przy bliższych oględzinach zauważył, że to wada wrodzona. Ponieważ lekarz nie znał się na embriologii, musiał zajrzeć do odpowiedniego podręcznika. Ilustracje jednoznacznie dowodziły, że noworodek cierpiał na anencefalię.

Lekarz założył szkła powiększające i dokładnie obejrzał niezwykle strukturę kostną. Nigdy jeszcze nie widział anencefalika. Zaintrygowany, wodził wzrokiem po kościach twarzoczaszki, potem po kości skroniowej, a następnie, świecąc sobie małą latarką zajrzał do przewodu słuchowego. Tam coś zwróciło jego uwagę. Jakiś mały obiekt utkwiał w przewodzie słuchowym wewnętrznym. Lekarz wyjął to coś pincetką i podstawił pod światło.

Przypominało to jakiegoś owada. Może był to kleszcz? Stworzenie nie żyło, ale rozkład jeszcze nie nastąpił. Mężczyzna położył je na szkiełku i wsunął pod obiektyw mikroskopu. Był to jakiś niezwykle owad, na pancerzyku miał wzorek, jakiego lekarz sądowy jeszcze nigdy nie widział. Po godzinie, kiedy przyjechał jego przełożony, razem obejrzelili dziwne stworzenie.

- To chyba chrząszcz - stwierdził naczelny lekarz sądowy.

- Chrząszcz? A skąd się wziął w przewodzie usznym dziecka z anencefalią?

- Nie wiem. Może wlaźł do środka, kiedy szkielet leżał na ziemi. Wiele gatunków chrząszczy żywi się padliną. Może dostał się tam, zanim szkielet trafił do trumny, kto wie?

Jego podwładny kręcił głową.

- Co to za człowiek, który wozi ze sobą szkielet anencefalika?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Ale jeśli chodzi o owady, znam kogoś, kto o nich dużo wie. - Poszedł do swojego gabinetu, by sprawdzić numer telefonu doktora Simona Crandalla.

Jennifer musiano zaaplikować środek uspokajający. W chwili, gdy przyjechali do niej Richard i Morgan, nieszczęśliwa matka, która na przemian zawodziła albo coś bełkotała, była właśnie badana przez psychiatrę. Nie ulegało wątpliwości, że jest na krawędzi załamania psychicznego. Wreszcie lek zaczął działać i Morgan zawiozła Jennifer i Richarda do domu.

Richard był jak otępiały. Personel oddziału intensywnej terapii zapewniał go, że Ben ma się coraz lepiej, ale on nie do końca w to wierzył. Jego najgorsze koszmary spełniły się. Do tej pory myślał, że obsesja Jennifer to objaw poważnych zaburzeń psychiki. Okazało się jednak, że to ona miała rację.

Wyczerpanie i lek uspokajający sprawiły, że Jen padała z nóg. Morgan pomogła Richardowi zanieść ją do łóżka. Następnie skłoniła go do szczerzej

rozmowy. Po godzinie suto zraszanych łzami wynurzeń i on miał dosyć. Wsunął się do łóżka obok żony. Morgan poszła do salonu i resztę nocy spędziła na kanapie.

Spało jej się fatalnie. Mniej więcej co godzina wstawała i nadśluchiwała głosu swojej siostry. W dodatku niepokoiła się o siostrzenicę, Courtney, mimo że dziewczynka pozostawała pod fachową opieką pielęgniarek z oddziału intensywnej terapii. Była w bardzo dobrym stanie, ale ważyła tylko półtora kilograma, musiała więc zostać w szpitalu do czasu, aż przybędzie jej jeszcze pół. Kiedy Morgan wreszcie zapadła w sen, nawiedził ją koszmar, w którym ścigał ją Hugh Britten. Dygotała na całym ciele i rzucała się po kanapie, aż w końcu się obudziła. Było wpół do siódmej.

Morgan szwendała się bez celu po mieszkaniu aż do dziewiątej, kiedy to jej siostra wreszcie się ocknęła. Jennifer, przepełniona rozpaczą, odmówiła przyjęcia leków i nie chciała wstać z łóżka. Morgan uznała, że najlepiej będzie dać jej odpocząć.

Kiedy przekonała się, iż Richard wystarczająco panuje nad sytuacją, pojechała do szpitala.

Minęły dwa dni od poranka spędzonego z Bradem. W tym czasie przysłał jej róże i dwa razy dzwonił, ale Morgan nie było wtedy w domu. Wciąż delektując się ciepłym posmakiem ich miłości, pragnęła jak najszybciej znów go zobaczyć. Kiedy tylko dorwała się w szpitalu do telefonu, zadzwoniła do niego. Brad przekazał jej przez pielęgniarkę wiadomość, że niedługo przyjdzie do kafeterii. Morgan zamówiła kawę i zajęła miejsce. Po dziesięciu minutach Brad nachylił się nad nią i musnął ustami jej policzek, po czym wziął ją za rękę i usiadł.

- Przykro mi z powodu twojego siostrzeńca - powiedział. - Kiedy usłyszałem o tym, co się stało, ciebie już nie było w szpitalu.

- Dzięki. Tak czy inaczej, niewiele mógłbyś zrobić.

- Jak ona to zniosła?

- Nie najlepiej - odparła Morgan. - Mam nadzieję, że gorzej niż ostatniej nocy już nie będzie. Jen jest silna. Powinna z tego wyjść.

- Dostałaś kwiaty ode mnie?

Morgan skinęła głową i jej twarz się rozpromieniła.

- Są piękne, Brad. Dzięki za gościnność, jaką mi ostatnio okazałeś.

- Musiałem ci jakoś pomóc. Zawsze jesteś u mnie mile widzianym gościem, Morgan. - Zawiesił głos i zmarszczył brwi. - Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o ludziach z władz stanowych.

- A co się znowu stało?

- Wczoraj zjawiała się u nas inspekcja - powiedział. - Jeszcze przed śmiercią Benjamina. Pewnie to było nieuniknione. Kiedy dzieci umierają w szpitalu, ktoś w końcu musi złożyć skargę.

- Na jakiej podstawie? Oglądaliśmy karty tamtych dzieci. Nie było żadnych niedopatrzeń ze strony personelu.

- Owszem, i jeśli chodziłoby tylko o jedno czy dwójkę dzieci, nie mielibyśmy takich kłopotów. Ale departament zdrowia szuka wszelkiego rodzaju podejrzanych zbieżności. Kiedy urzędnicy dowiadują się o trzech czy czterech zgonach, które nastąpiły w identycznych okolicznościach, od razu zaczynają działać.

- Co w najgorszym przypadku może się zdarzyć? - spytała.

- Szpital może stracić certyfikat. Albo departament zdrowia odetnie fundusze MediCaid i MediCare. Jeśli do tego dojdzie, to po herbacie.

- Pewnie słyszałeś, że zgon Bena nastąpił w takich samych okolicznościach jak pozostałe.

- Tak - powiedział. - Zdaję sobie sprawę, że to nieodpowiednia pora na poruszanie takich spraw, ale czy rodzice zgodziliby się na przeprowadzenie sekcji zwłok dziecka?

- Boże, sekcja zwłok... Czy ten biedny dzieciak nie wycierpiał już dosyć za życia? Chciałbyś go jeszcze pokroić na kawałki?

- Morgan, nie mów tak. Przecież wiesz, że w sekcji nie o to chodzi.

- Jak bardzo to dla ciebie ważne?

- Wydaje mi się, że nie mamy nic do stracenia. - Wzruszył ramiona-

- A nuż coś znajdziemy...?

Morgan rozmyślała nad tym przez chwilę, po czym skinęła głową.

- Oby. Szkoda tylko, że nic nie wykryto u pozostałych dzieci. Może Benjamin by jeszcze żył. Dobrze - powiedziała. - Porozmawiam z nimi. Brad spojrzał na zegarek.

- Muszę wracać na oddział. Jak tam, widziałas się z Hugh?

- Nie - odparła. - Wiesz, zaczynam nabierać przekonania, że miałeś rację. Może wreszcie zrozumiał, co chciałam mu powiedzieć.

Simon Crandall właśnie pracował, kiedy nadeszła przesyłka ekspresowa. Szybko otworzył paczkę wielkości listu; jak się okazało, zawierała małą kopertę z przezroczystego plastiku. Przeczytał dołączony do niej list od lekarza sądowego z Long Island, po czym wyjął pincetą kawałek papieru wielkości paznokcia stanowiący tło dla małego owada.

Był to chrząszcz, przedstawiciel rzędu Coleoptera. Crandalla uderzyło jego piękno. Był lśniący i czarny, z purpurowym paskiem przecinającym pancerzyk i wyraźnymi zielonymi plamami mającymi odstraszać potencjalnych napastników. Simon nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek widział coś takiego.

Niemal na pewno był to chrząszcz padlinożerny, ale z jakiej rodziny? Łączył w sobie cechy Silphidae, Staphylindae i Carabidae. Posługując się zainstalowanym w mikroskopie nikonem, Simon zrobił kilka zdjęć, po czym zajrzał do kilku książek. Po piętnastu minutach miał parę hipotez, ale żadnej jednoznacznej odpowiedzi.

Crandall podejrzewał, że najlepiej będzie szukać jej za granicą. Brytyjczycy skrupulatnie katalogowali wszystkie owady zamieszkujące ich dawne imperium. Po półgodzinie, głównie dzięki brytyjskim stronom internetowym i księdze pod tytułem



“Chrząszcze kontynentu afrykańskiego”, Simon znalazł to, czego szukał.

Był to bardzo rzadki chrząszcz, pochodzący ze Wschodniej Afryki Równikowej. Nigdy nie widziano go poza tym obszarem. Znany jako *Silphia Necrophila Tanzaniensis*, miał dość niezwykłą dietę. W zależności od etapu rozwoju jego pożywienie stanowiły rozkładające się miękkie tkanki, gnój albo larwy. Z punktu widzenia ekologii był całkiem przydatny. Crandall ściągnął i wydrukował wszystkie informacje.

Nie wiedział, co o tym myśleć. Chrząszcze były bardzo wymagające, jeśli chodzi o pokarm. Te, które żyły w określonym klimacie, źle znosiły przeprowadzkę. *Silphae*, przyzwyczajone do afrykańskich tropików, raczej nie mogłyby dobrze się rozwijać w łagodnym klimacie wschodnich Stanów Zjednoczonych.

W takim razie, co jeden z nich robił w małym szkielecie znalezionym przy Long Island Expressway?

Ktoś musiał podjąć decyzję, co zrobić z ciałem Benjamina. Morgan obiecała Bradowi, że poprosi Hartmanów o zgodę na sekcję zwłok. Richard był w szpitalu przy córce, a Jennifer nie ruszała się z łóżka.

Leżała na boku, wpatrując się pustym wzrokiem w ścianę. Włosy opadały na poduszkę w posklejanych strąkach. Wyglądała, jakby nie myła się od dobrych kilku dni. Na stoliku przy łóżku leżał sandwich w zatłuszczonym opakowaniu z napisem “Burger King”. Jennifer miała nieobecny wyraz twarzy. Morgan usiadła na łóżku i odgarnęła siostrze włosy z czoła.

- Musisz coś zjeść, mała.

- Nic nie muszę.

- A Courtney? - spytała Morgan. - Nie zatroszczysz się o nią?

- Nie obchodzi mnie to. Nic mnie nie obchodzi.

- Do cholery, ale mnie obchodzi! - wybuchnęła Morgan, ale po chwili się opanowała. - Przepraszam. Nie chciałam na ciebie krzyczeć. Tyle że... jesteś moją młodszą siostrą i cokolwiek robiłam, zawsze miałam na uwadze twoje dobro. Czasami wstawiałam się za tobą, czasami wytykałam ci błędy. Na ogół jednak w końcu sama dochodziłaś do tego, co słuszne. A teraz... nie jesteś sobą.

- Nie rozumiesz, że cokolwiek zrobię, niczego to nie zmieni?

- Rozumiem tyle, że nie jesteś dziewczyną, którą do niedawna znałam P albo przynajmniej tak mi się wydawało. Na Boga, Jen, to, co spotkało ciebie i Richarda,

jest straszne, ale co się stało, to się nie odstanie! Gdzie się podziała ta wojowniczką, którą kiedyś była moja siostra? Nie możesz tak dalej żyć, leżąc całymi dniami w łóżku, nic nie jedząc i uzalając się nad sobą! Musisz pomyśleć o swojej córce! Jennifer zamknęła oczy.

- Nie próbuj budzić we mnie poczucia winy, Morgan. Jestem taka zmęczona.

Ręce Morgan drżały; ogarnął ją wielki niepokój.

- Coś ci powiem. Boję się, okropnie się boję, że coś złego może stać się Courtney. Zrobię wszystko, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, a Jennifer, którą kiedyś znałam, postąpiłaby tak samo.

Jej siostra nie odezwała się ani słowem.

- Na litość boską, Jen, przynajmniej daj się zawieźć do lekarza. Wiem, że w tej chwili jesteś w depresji, ale są leki, które mogłyby ci pomóc!

- Po co? Czy wrócą Benjaminowi życie?

- Nie, ale pomogą ci wstać z łóżka! Jeśli dalej będziesz tak się męczyć, nikomu w niczym nie pomożesz, a sobie tylko zaszkodzisz.

Jennifer znów nie odpowiedziała. Morgan ogarniał strach, smutek i bezsilność.

- Chcesz wiedzieć, czy zgodzę się na sekcję zwłok? - zapytała nagle Jennifer.

Morgan była zaskoczona. Skąd ona...? Zresztą, nie miało to znaczenia; może napomknął jej o tym Richard albo jakaś życzliwa pielęgniarka. A może Jennifer po prostu zgadła. Morgan była pewna, że jej siostra wini siebie za to, co się stało, ponieważ opuściła swoje dziecko. Jak wybić jej z głowy to przekonanie...?

- To ważne, Jen. Nie tylko dla Bena, ale i dla ciebie, dla twojego spokoju ducha. Mogłoby to pomóc też innym dzieciom. A w głębi duszy wiem, że i mnie wiele to da, ponieważ coś mi mówi, że kiedy dowiemy się, co naprawdę spotkało Benjaminą i pozostałe dzieci, odzyskam siostrzyczkę, którą znam i kocham.

Głos Jennifer był przytłumiony.

- Co za różnica? On nie żyje, zgadza się? Jeśli ktoś chce go kroić, mam to gdzieś.

Brad poprosił patologa, by go powiadomił, kiedy przystąpi do sekcji. Z niewiadomych przyczyn prośba ta dotarła do doktora Kornheisera dopiero wczesnym wieczorem. Brad właśnie jadł pizzę z Mikeyem, kiedy zapiszczał pager. Zostało mu za mało czasu, by zawieźć syna do domu, więc postanowił wziąć go ze sobą do szpitala.

Miał zamiar zostawić Michaela w bibliotece, ale na korytarzu natknęli się na

Nbele. Na widok chłopca postawny mężczyzna, jak zwykle, przywołał na twarz szeroki, promienny uśmiech.

- Witaj, młody przyjacielu! - krzyknął. - Czyżbyś przejechał taki kawał drogi po to, żeby ograć mnie w piłkę?

- Kiedy do mnie przyjdiesz? - spytał Michael.

- Przyjdę, przyjdę! - odparł ze śmiechem. - Muszę tylko poczekać na odpowiednią okazję!

- Nbele - zagaił Brad - mógłbym cię prosić o przysługę? - Powiedział mu o sekcji zwłok, w której chciał uczestniczyć. - Może zająłbyś czymś Mikeya?

- Ależ oczywiście, panie doktorze. Proszę się nie spieszyć, niech pan zadzwoni na mój pager, kiedy będzie po wszystkim. Chodź, Michael - powiedział Nbele, biorąc chłopca za rękę. - Pokażę ci coś ciekawego.

Kiedy Brad skierował kroki do kostnicy, Nbele zaprowadził Mikeya do swojego gabinetu. Na biurku leżał mały szkielet, który od razu wzbudził zainteresowanie chłopca.

- O rety - powiedział z ożywieniem. - Czy to ptak?

- Masz dobre oko - odparł Nbele. - To bardzo rzadki ptak z gór *Usambara* w Tanzanii.

- Gdzie to jest?

- Na wschodzie Afryki, niedaleko mojej ojczyzny. Ten ptak nazywa się *Narina trogon*. Chodź, pokażę ci.

Wyjął z szuflady biurka stare zdjęcie. Widniał na nim ptak przypominający dużą papugę, z krótkim żółtym dziobem, długimi szarymi piórami ogonowymi i ognistorudą piersią. Zielone pióra na grzbiecie błyszcząły jak szmaragdy. Michael wziął zdjęcie i wlepił w nie wzrok.

- Chciałbym mieć takiego.

- Niełatwo je znaleźć - powiedział Nbele. - Zazwyczaj widać je tylko o zmierzchu. Podobno latają w pobliżu cmentarzy; moi przodkowie wierzyli, że te ptaki zabierają dusze umarłych.

- Naprawdę mogłyby to robić?

- Opowiem ci pewną historię - odparł Nbele. Przez następne pół godziny raczył chłopca opowieściami o ptakach i zwierzętach, o duchach i kłótwach, o mindumugu i rytuałach. Roztaczał przed nim wizję Afryki w całej jej tajemniczej krasie, a Michael słuchał urzeczony. Kiedy jego ojciec wreszcie zadzwonił i powiedział, że pora wracać

do domu, puls Afryki mocno bił w głowie chłopca.

Brad miał nadzieję, że sekcja wykaże, co było bezpośrednią przyczyną zgonu Benjamina. W płucach dziecka wystąpiło przekrwienie i obrzęk, podobnie jak u jedyne go ze zmarłych wcześniej noworodków, którego poddano autopsji. Wynikało to z gwałtownego niedotlenienia, które poprzedziło śmierć; tak oczywisty objaw nie mógł stanowić przełomowego odkrycia. Po

zakończeniu oględzin patolog pobrał próbki tkanek, by przygotować z nich preparaty do obserwacji pod mikroskopem.

Tego wieczoru Brad zadzwonił do Morgan. Dźwięk jej głosu działał na niego niezwykle uspokajająco. Kontakt z nią, choć tylko telefoniczny, pomógł zdusić poczucie samotności, które ogarniało go, gdy nie było jej przy nim. Miał przed oczami włosy Morgan, jej twarz, ciało. Nie chciał podejmować pochopnych decyzji, ale wiedział, że chce z nią być. Doszedł do wniosku, że po sześciu latach jest wreszcie gotów poważnie z kimś się związać.

Morgan nie była zaskoczona faktem, że sekcja nic nie wykazała. W czasie wstępnego rozpoznania anatomicznego raczej nie można było wykryć przyczyny zgonu Bena. Morgan bardzo chciała obejrzeć preparaty tkankowe.

Nie wróciła jeszcze do pracy. Śmierć siostrzeńca i napastliwe zaloty Hugh Brittena wyczerpały ją emocjonalnie, sprawiając, że nie byłaby w stanie przesiedzieć ośmiu godzin za biurkiem. Następnego ranka Brad przyjechał po nią o siódmej. Na oddziale patologii zjawili się wcześniej, na długo przed Kornheiserem. Preparaty zostały przygotowane w nocy. Brad wziął je od technika i podszedł do mikroskopu z podwójną głowicą. Oboje przystawili oczy do okularów.

- No i co ty na to? - spytał Brad po chwili namysłu.

- Co, gramy w Jaki to narząd"? Hmmm... - Zawiesiła głos. - To tkanka płucna, zgadza się?

- Uhm.

- No cóż, po pierwsze, widoczny obrzęk. Jest sporo śluzu i rozległy stan zapalny. Czy na razie wszystko się zgadza?

Potem wymieniali się uwagami, oglądając kolejne preparaty, przełączając z mniejszego na większe powiększenie, od czasu do czasu stosując immersję olejową. Przede wszystkim uderzyło ich to, jak rozległy jest stan zapalny. Wydawało się, że jakaś nieznaną substancją wywołała gwałtowny wyciek płynów płucnych; naturalny odruch obronny zadziałał z taką mocą, że doprowadził do uduszenia ofiary. Ale co

spowodowało ten odruch? Jak dotąd wszystkie testy na obecność alergenu dały wynik negatywny, a żaden ze znanych bodźców nie mógł wywołać tak gwałtownej reakcji.

- Czekaj chwileczkę - powiedziała Morgan, wpatrując się w okular. - Co to, jakiś paproch?

Brad ustawił obiektyw tak, by interesujący go punkt znalazł się na środku obrazu, i ustawił ostrość. Było tam coś, co przypominało mikroskopijnego owada, podejrzenie podobnego do tego, którego Morgan wypatrzyła w preparacie z sekcji poprzedniego dziecka.

- Jezu - powiedział - następny. To rzeczywiście wygląda jak wesz. To pewnie czynnik skażający.

- Czynnik skażający? - zapytała Morgan. - Jak często znajduje się takie mikroskopijne czynniki skażające?

- Częściej, niż mogłoby się wydawać - dobiegł głos zza ich pleców. Oboje unieśli głowy i zobaczyli Berniego Kornheisera. Brad przedstawił go Morgan, po czym anatomopatolog obejrzał preparat.

- To tylko roztocz kurzu domowego - powiedział. - W takim powiększeniu wygląda dość imponująco, ale tak naprawdę jest bardzo mały. Siedem tysięcy takich zmieściłoby się na dziesięciocentówce.

- Skąd pan wie, że nie są czynnikiem skażającym? - spytała Morgan.

- Bo od czasu do czasu je dostrzegamy. Tak samo jak widzimy włosy, pyłki i przeróżne małe cząsteczki unoszące się w powietrzu, które przeraziłyby przeciętnego człowieka, gdyby wiedział o ich istnieniu.

- Czy to maleństwo mogłoby wywołać poważny stan zapalny? - spytał Brad.

- Właściwie nie. Takie roztocza są wszędzie. To małe pajęczaki, pobierające potrzebny do życia pokarm z ludzkich komórek skórnych. Wdychamy ich miliony każdego dnia, nawet tego nie zauważając.

- Czy one nie mają czegoś wspólnego z astmą? - nie ustępowała Morgan.

- Czasami. U ludzi na nią podatnych odchody roztoczy czy ich pancerzyki mogą wywołać silną reakcję alergiczną.

- Czy w tym przypadku nie mamy do czynienia właśnie z taką reakcją? - spytał Brad. - Opuchlizna, obrzęk, granulocyty eozynochłonne?

- No cóż, i tak, i nie - powiedział Kornheiser. - Tak, występują tu objawy reakcji alergicznej, ale nie spowodowały jej roztocza kurzu domowego. Brad i Morgan spojrzeli na siebie zamyśleni.

- Czy możliwe jest - powiedział Brad - by była to jakaś odmiana roztocza kurzu domowego? Inny gatunek, wywołujący silniejszą reakcję alergiczną?

- Wątpię - odparł anatomopatolog. - Nikt jeszcze nie opisał czegoś takiego.

- Ale to możliwe, prawda?

- Brad, Brad - powiedział Kornheiser pobłaźliwie. - Wszystko jest możliwe, ale musimy być realistami. Hawkins wzruszył ramionami.

- Mogę pożyczyć ten preparat?

Za drzwiami kostnicy Morgan spojrzała na niego pytająco.

- Co ty znowu knujesz?

- Może rzeczywiście trochę ponosi mnie fantazja - stwierdził. - Bernie pewnie ma rację, ale chcę pokazać ten preparat mojemu staremu kumpłowi.

- To dobrze - powiedziała z naciskiem. - Nie podoba mi się ten Kornheiser. Wydaje się, że ma to wszystko gdzieś. Coś mi mówi, Brad, że mamy mało czasu. Oboje wiemy, że jakieś cholerstwo zabiło te biedne dzieci. Jeśli nie dojdziemy, co to jest, boję się, że ten sam los może spotkać moją siostrzenicę Courtney i resztę maluchów z oddziału intensywnej terapii.

Zawiesiła głos.

- To nie wszystko, prawda? - spytał Brad. Morgan skinęła głową.

- Jennifer wini się za śmierć Benjamina. Staram się ze wszystkich sił, ale nie mogę jej tego wybić z głowy. Boję się nawet myśleć, co z nią będzie, jeśli nie dojdziemy prawdy.

## ROZDZIAŁ 15

Britten obiecał, że przerzuci część obowiązków Schuberta na innych dostawców, i słowa dotrzymał. Niecały tydzień po ich ostatniej rozmowie liczba pacjentek kierowanych przez AmeriCare do kliniki doktora Schuberta zmniejszyła się drastycznie. On sam nie miał nic przeciwko temu. Interes nadal kwitł, a stres był nieporównanie mniejszy. Co więcej, jeśli Britten nie kłamał, mówiąc o utrzymaniu dotychczasowych warunków finansowych, Schubert mógł liczyć na to, że wciąż będzie w stanie zaspokajać roszczenia byłej żony.

Arnold Schubert nie docenił jednak - bo nigdy w pełni nie potrafił docenić - fanatycznego perfekcjonizmu Hugh Brittena. Britten nie tolerował głupców i nie dopuszczał do tego, by cokolwiek przeszkodziło mu w wypełnieniu skrupulatnie przygotowanych planów. Wszystkie sprawy doprowadzał do końca. Nie zamierzał czynić dla Schuberta wyjątku.

Kiedy doktor wrócił do domu, przystąpił do swojego wieczornego rytuału. Oprócz opery, tym, co lubił najbardziej, była jego fajka i szkocka whisky. Włączywszy nową płytę z Traviatą w wykonaniu Teatro Alla Scala, nalał sobie setkę szkockiej i zasiadł w skórzanym fotelu. Odchylając się na oparcie, uniósł podnózek i wziął jedną z fajek ze swojej kolekcji. Była to jego ulubiona, z lulką z pianki morskiej. Następnie wyjął szczyptę wilgotnego prasowanego tytoniu z kosztownego pojemnika z drzewa cedrowego.

Schubert skręcił wilgotne, aromatyczne strzępki między kciukiem a palcem wskazującym, po czym uniósł je do nosa. Nie wiedzieć czemu, nie pachniały tak ładnie jak zwykle. Nieważne, musiał zapalić. Nabił fajkę tytoniem i potarł zapalką o pudełko. Potem wsunął ją do lulki i zaciągnął się głęboko. Wkrótce pokój wypełniły gęste kłęby wonnego dymu.

Zamykając oczy, Schubert zatopił się w muzyce. Miał nadzieję, że Britten na dobre zostawił go w spokoju. Coraz bardziej rozluźniony, powrócił myślami do swojego stażu przed trzydziestu laty i do potwornego błędu, jaki wówczas popełnił. Wtedy nie wydawało mu się to tak jednoznaczne. Był młodym, pełnym ideałów lekarzem na oddziale onkologii i szczerze wierzył, że postąpił słusznie.

Na oddział przywieziono kobietę w stanie śpiączki z dwoma nowotworami w zaawansowanym stadium. Wkrótce u pacjentki wywiązała się poważna infekcja, co uniemożliwiło odłączenie jej od respiratora. Początkowo rodzina odwiedzała ją codziennie; kiedy jednak stało się oczywiste, że sytuacja jest beznadziejna, wizyt było

coraz mniej. Z czasem nawet personel medyczny stracił zainteresowanie pacjentką. Wkrótce wyglądało na to, że wszyscy przestali się nią przejmować. Schubert postanowił wziąć sprawy w swoje ręce.

Podanie chorej śmiertelnej dawki insuliny nie sprawiło mu trudności. Wkrótce wszystkie objawy czynności życiowych zaczęły zanikać. O wiele więcej kłopotów Schubert miał z własnym sumieniem. Mimo że motywem jego czynu była zwykła ludzka litość, oładnęło nim silne poczucie winy, które skłoniło go do zapisania obciążających siebie uwag w karcie pacjentki. Jako że kobieta wkrótce potem zmarła, nikt nie zwrócił uwagi na te notatki - dopiero wiele lat później Hugh Britten przypadkiem odnalazł je w trakcie swoich badań. Od tamtej pory Schubert był człowiekiem napiętnowanym.

To już przeszłość, pomyślał Schubert. Dym i mocny alkohol przyjemnie uderzyły mu do głowy. Co pewien czas wciągał tytoniowe opary głęboko do płuc. Muzyka, dym i szkocka do spółki odpędziły wszystkie troski. Sprawy finansowe, problemy z żoną i Hugh Brittenem odeszły w niepamięć.

Zaczął się od łaskotania w gardle. Schubert otworzył oczy i odkaszlnął. Łaskotanie przerodziło się w drapanie. Doktor usiadł prosto i zakaszlał raz, potem drugi, bijąc się w pierś zaciśniętą pięścią. Miał wrażenie, że jakaś siła ściska mu płuca.

Nie mógł złapać tchu. Pomyślał, że łyk szkockiej mógłby pomóc, ale ręka dygotała mu tak silnie, iż z najwyższym trudem uniósł szklankę do ust. Próbował wstać, rozpaczliwie walcząc z dusznością. Podnosząc się na chwiejnych nogach, przewrócił stojak z fajkami. Chwycił palcami gardło, które było jak ściśnięte w imadle. Schubert zobaczył w lustrze swoją przerażająco bladą twarz. Na wargach miał krople śliny. Z szeroko otwartymi oczami i rozchyłonymi wargami Schubert, zataczając się, ruszył do drzwi.

Nagle nogi odmówiły mu posłuszeństwa i runął na podłogę, zaciskając dłonie na gardle, po czym ciężko przewrócił się na bok. Czuł się, jakby tonął, i próbował chwycić ustami powietrze. Z łaknących tlenu płuc dobył się dziwny bulgot. Bezradnie rozglądając się wokół, Arnold Schubert pomyślał, że nie może uwierzyć, iż spotkało go coś takiego. Była to jego ostatnia myśl.

Słodkie melodie Verdiego płynęły z głośników, niesłyszane przez nikogo, jeszcze przez dziewięćdziesiąt cztery minuty.

Brad poznał Simona Crandalla na Uniwersytecie Yale. Obydwaj robili



specjalizację z biologii. Od ukończenia studiów spotykali się kilka razy w roku

i utrzymywali stały kontakt za pośrednictwem poczty elektronicznej. Tej nocy Simon włączył swojego peceta i w skrzynce znalazł interesujący list od Brada. Jego stary druh zapowiedział, że przyśle mu pewien preparat do obejrzenia.

Paczka przyszła następnego ranka. Brad dołączył do preparatu informację na temat jego pochodzenia. Ten przypadek zaintrygował Crandalla. Znał wszystkie rodzaje owadów, które żerowały na zwłokach, ale niezwykle wydało mu się to, że jakiś mikroskopijny pasożyt mógł znaleźć się w organizmie jeszcze przed śmiercią.

Crandall obejrzał preparat w dużym powiększeniu pod swoim zeissem. Rzeczywiście, laik mógł pomyśleć, że to roztocz kurzu domowego ze względu na podobną wielkość i taki sam wygląd zewnętrzny. Jednak przy dokładniejszych oględzinach stawało się jasne, że to wykluczone. Układ odnóży był inny. Tajemniczy owad miał dziwne pokrywy skrzydłowe, a jego głowo-tułów był za mały. Jednak najbardziej zaintrygował Crandalla aparat gębowy: małe, podobne do obciążek szczęki były mocno wbite w ludzką komórkę nabłonkową. Simon dobrze wiedział, że roztocze kurzu domowego można uznać co najwyżej za pasożyty jedynie przez przypadek wpadające do dróg oddechowych i z nich uciekające.

Nie potrafił zidentyfikować tego owada. Widział go pierwszy raz w życiu. Pokazał preparat kilku innym kolegom, ale żaden z nich nie wiedział, co to jest. Nie było to zaskakujące, ponieważ na świecie istniały setki tysięcy pajęczaków, z czego większość pochodziła spoza Ameryki Północnej.

Simon zadzwonił do Brada, który opowiedział mu pokrótce o zgonach na oddziale intensywnej terapii i wyjaśnił, czemu zainteresował się tą sprawą. Potem przedstawił wnioski patologa z autopsji makro- i mikroskopowej.

- Myślisz, że to roztocz kurzu domowego? - spytał na koniec.

- Nie, i wszyscy moi współpracownicy zgadzają się ze mną. Niestety, nie jesteśmy pewni, co to właściwie jest. Będę musiał zadzwonić do paru osób. Jak pilna to sprawa?

- Bardzo - powiedział Brad. - Te dzieci umierają straszną śmiercią. Nikt nie wie, co jest tego przyczyną, i nie mamy żadnych wskazówek, oprócz tego roztocza. Potrzebujemy odpowiedzi, Simon, i to szybko. Do kogo chcesz zadzwonić?

- Do moich brytyjskich znajomych - odparł Crandall. - Chłopcy z Anglii uwielbiają te małe pajęczaki.

Simon odłożył słuchawkę i zaczął się zastanawiać, co się dzieje, do licha.

Najpierw prośba lekarza sądowego z Long Island o zidentyfikowanie rzadkiego gatunku chrząszcza, a teraz ten niezwykle roztocz. Choć obie sprawy nie musiały być ze sobą powiązane, zagadka pozostawała zagadką. Ciekawe, co powie o tym jego przyjaciel.

Następnego ranka odbył się pogrzeb Benjamina. Niebo było zachmurzone, szare i pośepne. Richard, Jennifer, Morgan i Brad jechali limuzyną za karawanem. Na szczęście media nie dowiedziały się jeszcze o następnym zgonie na oddziale intensywnej terapii Szpitala Uniwersyteckiego.

Kiedy orszak dotarł na cmentarz, padał deszcz. Zimna ulewa zaskoczyła żałobników i wszyscy byli przemoknięci do suchej nitki. Jennifer, z trudem trzymająca się na nogach, musiała wspierać się na mężu i siostrze, gdy we trójkę stanęli nad małym grobem. Jej włosy były posklejane w mokre strąki. Miała wychudzoną, bladą twarz, wyglądała prawie jak śmierć.

Na szczęście ceremonia była krótka. Po zamknięciu modlitewników wszyscy szybko pochowali się w stojących w pobliżu samochodach. Jennifer powlokła się sztywno z powrotem do limuzyny. Słowo "rozpacz" nie oddawało jej stanu, ona przekroczyła już bowiem granice rozpacz; odrętwiała i wyzuta z uczuć, koncentrowała się tylko na zaskakująco trudnej czynności, jaką było stawianie jednej nogi przed drugą.

Na Manhattanie deszcz przestał padać w południe. Doktor Crandall dokończył rozmowę, którą zaczął o ósmej rano. Najpierw skontaktował się ze znajomym z Oksfordu, który skierował go do Brytyjskiego Towarzystwa Entomologicznego i Przyrodniczego. Stamtąd został odesłany do Królewskiego Towarzystwa Entomologicznego w Londynie.

Sekretarz towarzystwa, niejaki doktor Colin Halstead, był entuzjastą Coleoptera, czyli chrząszczy. Opowiadał o nich z takim ożywieniem, że prawie nie dał Simonowi dojść do słowa. Czy wie pan, pytał Halstead, że Coleoptera są dominującą formą życia na ziemi i że jedna na pięć żywych istot to chrząszcz? Słyszał pan, że chrząszcze pojawiły się przed dinozaurami i że były czczone przez starożytnych Egipcjan?

Simon nie miał sumienia powiedzieć mu, że doskonale to wszystko wie. W końcu, po wysłuchaniu wywodów Anglika, zapytał o interesującą go sprawę.

- Hmm... to ciekawe - powiedział Halstead. - Rztocz, powiada pan? A cóż to

ma wspólnego z chrząszczami?

- Prawdopodobnie nie. Dzwonię, żeby spytać, czy mógłby pan skontaktować mnie z kimś, kto znałby się na co bardziej niezwykłych gatunkach.

- Ach, tak... Wie pan co, rzeczywiście mamy tu kogoś takiego. Syn Fieldinga, Neville. To bystry chłopak. Zadzwoń do niego i skontaktuję się z panem.

Crandall słyszał o Fieldingu. Richard Fielding, autor niezliczonych publikacji na temat owadów, był entomologiem z Cambridge, zmarłym prze kilkunastoma laty. Crandall nie wiedział natomiast, że Fielding miał któryś jest ekspertem od owadów, ale każda pomoc była mile widziana.

Następnego ranka o szóstej zadzwonił telefon. Wyrwany ze snu Simon podniósł słuchawkę, wymamrotał "słucham" i usłyszał męski głos, mówiący z brytyjskim akcentem.

- Proszę wybaczyć, że pana budzę - powiedział. - Mówi Neville Fielding z Cambridge. Zadzwoił do mnie Colin Halstead i powiedział, że ma pan pilną sprawę. Dlatego też pozwoliłem sobie zadzwonić o tak wczesnej porze.

- Dziękuję, to żaden kłopot - powiedział Simon. - Właśnie wstawałem. Znalazł pan coś?

- Och, tak. Rozmowa z Colinem pobudziła moją pamięć. Przypomniało mi się coś, co wiele lat temu usłyszałem od ojca, tuż przed jego śmiercią. Widzi pan, niedługo przedtem wrócił z rocznego pobytu w Afryce...

- Był w Afryce? Gdzie dokładnie?

- W okolicach Nairobi - odparł Fielding. - Studiowałem wtedy i przyjechałem do domu na wakacje. Pamiętam, że ojciec opowiadał o jakiś wyjątkowo drapieżnych roztoczach. Niestety, nie słuchałem go wówczas zbyt uważnie, ale przypomniałem sobie o tym w trakcie rozmowy z Colinem.

Simon usiadł na łóżku, zamyślony. Wschodnia Afryka. Zaledwie kilka dni temu zidentyfikował pochodzącego stamtąd niezwyklego chrząszcza, znalezionego wewnątrz szkieletu w hrabstwie Suffolk, a teraz dowiadywał się o jakimś roztoczu, również żyjącym w tamtym regionie. Zbieg okoliczności?

- Proszę mówić dalej, słucham. Czego się pan dowiedział?

- Ojciec prowadził dziennik, w którym zapisywał wszystkie swoje odkrycia. Nie został opublikowany, ale jest dość szczegółowy. Przejrzałem go dziś rano. Wydaje mi się, że kilka stron może pana zainteresować. Jeśli pan chce, mogę je skopiować i przesłać pocztą.

- Byłbym bardzo wdzięczny - powiedział Simon. Trawiła go ciekawość, czy roztocz odnaleziony przez Fieldinga seniora w Afryce przed kilkunastu laty był podobny do tego, który zakończył swój żywot w płucach noworodka na Long Island.

Morgan miała za dużo wolnego czasu i przez to była bardzo drażliwa. Nie potrafiła się w pełni odprężyć. Każdy jej dzień musiał być dokładnie zaplanowany. Dlatego, choć bała się spotkania z Hugh Brittenem, postanowiła wrócić do pracy.

Janice powitała ją ciepło. Na biurku w gabinecie leżał stos papierów. Morgan usiadła i zabrała się do lektury.

Mniej więcej po półgodzinie do gabinetu wniesiono kwiaty, wspaniałe letni bukiet. Morgan miała nadzieję, że to od Brada, ale kiedy otworzyła dołączoną do prezentu kopertę, jej serce wypełnił strach.

“Moja droga Morgan - czytała. - Proszę, przyjmij najszczerze wyrazy współczucia. Wiem, jak wielką tragedią jest dla Ciebie i Twojej rodziny śmierć siostrzeńca. Jestem pewien, że z formalnego punktu widzenia zrobiłaś wszystko, co w Twojej mocy. Los czasem bywa okrutny.

Zmieniając nieco ton mojego listu, chcę Cię przeprosić za moje dziecinne zachowanie. Musiałaś mnie wziąć za potwornego gbura! Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że uczucia, jakie wobec Ciebie żywię, wzięły górę nad taktem i wyczuciem. Mam nadzieję, że nie pomyślałaś sobie, iż w ten sposób traktuję wszystkie kobiety. Ufam, że niechęć, jaką być może czułaś w stosunku do mnie, stopniała z upływem czasu. Jestem pewien, że przemyślałaś wszystko, co powiedziałem, i wiem, że docenisz moją szczerość. Obiecuję, że wszystko Ci wynagrodzę przy naszym następnym spotkaniu. Twój Hugh”.

Morgan z obrzydzeniem upuściła list na biurko. Przez cały tydzień próbowała zapomnieć o Brittenie, przekonać samą siebie, że wszystko, co ją spotkało, to tylko kolejne nieprzyjemne doświadczenie. Gdy przez kilka dni nie próbował się z nią kontaktować, w końcu uwierzyła, że czas zaleczy wszystkie rany. Jak się okazało, Hugh Britten nie zamierzał do tego dopuścić.

Ależ ten nadęty osioł ma tupet! Czyżby naprawdę przypuszczał, że kwiaty i przeprosiny wystarczą? Nieraz już była obiektem westchnień niedojrzałych chłystków. Na ogół po prostu ich ignorowała; po pewnym czasie tracili zainteresowanie i dawali jej spokój. Obawiała się jednak, że tym razem ma do czynienia z czymś więcej niż tylko dziecinnym zadurzeniem. A jeśli zmieni się to w koszmar z Fatalnego

zauroczenia!

Zebrała odwagę. Drżącymi rękami podniosła słuchawkę i wykręciła numer Brittena. Nie zastała go. W centrali zdobyła numer, pod jakim dyżurował na uniwersytecie, ale tam też go nie było. Wściekła, ale nie zrażona niepowodzeniem, wysłała mu e-mail.

“Doktorze Britten. Wiele razy próbowałam przedstawić panu mój punkt widzenia, ale wygląda na to, że mi się nie udało. Nie jestem, i nigdy nie byłam w najmniejszym stopniu zainteresowana pańską osobą. Nalegam, by zostawił mnie pan w spokoju. Proszę nie dzwonić, nie pisać do mnie i nie przysyłać kwiatów. Proszę nie ingerować w moje życie prywatne. Wbrew temu, co pan myśli, nie czeka nas wspólna przyszłość. Jeśli nie przestanie mi pan zawracać głowy, pójdę na policję”.

Podpisała się krótko: “Dr Robinson”.

Po wysłaniu tej wiadomości Morgan próbowała rzucić się w wir papierkowej roboty, by zająć czymś umysł. Nie mogła jednak wymazać z pamięci widoku kwiatów i listu od Brittena. Wyrzuciła bukiet do śmieci, ale to nie pomogło. Około południa postanowiła pojechać do szpitala.

Courtney wciąż miała się dobrze. Jedyным powodem, dla którego dziewczynkę nadal trzymano na oddziale intensywnej terapii, była jej niedowaga; personel wolał nie wypisywać ze szpitala dziecka, które ważyło mniej niż dwa tysiące gramów. Morgan spojrzała na siostrzenicę i wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Courtney była ślicznym dzieckiem o delikatnych brązowych włosach, które przechodziły w rude. Jedyным uczuciem w sercu Morgan, które dorównywało mocą miłości do tej małej dziewczynki, był strach. Czy Courtney jest naprawdę bezpieczna? Skąd można to wiedzieć, skoro nikt nie miał pojęcia, co spowodowało śmierć pozostałych dzieci?

Po wyjściu z sali Morgan zaczęła szukać Brada. Chciała spytać go, czy już dowiedział się czegoś o tym mikroskopijnym robalu. Wydawało się, że jest to najlepszy, jeśli nie jedyny, trop. Mieli coraz mniej czasu.

Niestety, Morgan nie znalazła Brada i poszła do kafeterii sama. Wypiła jogurt i z pewnym ociąganiem wróciła do pracy.

Nie mogła się skupić. Czy Britten przeczytał już wiadomość od niej? Czy wreszcie weźmie sobie jej słowa do serca? Odsunęła papiery na bok i włączyła komputer.

Po wejściu do swojej skrzynki wypełnionej e-mailami z ostatniego tygodnia, zauważyła z przerażeniem, że ostami z nich przyszedł przed dwiema godzinami, a jego

nadawcą był Britten. Morgan niepewnie kliknęła myszą na jego nazwisko. Na widok słów "Najdroższa Morgan", serce zamarło jej w piersi.

"Wiem, że dni, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania, były dla Ciebie niezwykle ciężkie - przeczytała. - Wiem też, że kiedy piszesz, iż nie chcesz się ze mną widywać, przemawia przez Ciebie ból i gniew. Morgan, wierz mi, Twoje słowa są wyrazem stresu, wynikają z żalu po utracie siostrzeńca. Gdybym choć przez chwilę pomyślał, że wyrażasz swoje prawdziwe uczucia, z radością spełniłbym Tve życzenia. Jednak prawda jest taka, że próbujesz tylko zaprzeczyć temu, co oczywiste. Jestem bardzo spostrzegawczy i wiem, jakie uczucia żywisz wobec mnie, uczucia, które tak rozpaczliwie dusisz w sobie. Postanowiłem, że muszę Cię przekonać, jaka jest prawda. Dlatego nie mogę ustąpić. Jeśli mi się sprzeciwisz, pożałujesz. Zamierzam przyjść do Ciebie dziś wieczorem, o siódmej. Proszę, nie próbuj się przede mną ukrywać. Przez pewien czas może Ci się to udawać, ale będziesz tylko odwlekała to, co nieuniknione".

Krew zastygła w żyłach Morgan. Nie ulegało wątpliwości, że Britten jest człowiekiem, którego nic nie powstrzyma przed zdobyciem tego, czego chce.

A w tej chwili chciał jej.

## ROZDZIAŁ 16

Morgan nie wiedziała, co robić. Próbowwała prośb i gróźb, i nic nie pomogło. Zrozumiała, jak czuje się zwierzę schwymane w pułapkę. W końcu zadzwoniła do Brada.

- Brad, dzięki Bogu, że jesteś! Trzęsę się jak osika!

- Zaraz, zaraz, uspokój się. Co się stało?

- Chodzi o Hugh Brittena - wykrztusiła. - Chyba do reszty mu odbiło. Brad, on nie chce zostawić mnie w spokoju, a ja nie mam pojęcia, co robić!

Była przerażona. Jej drżący głos przypominał nieco ptasi świergot. Powoli, słowo po słowie, Brad wyciągnął z niej, co się stało. Wreszcie Morgan nieco się uspokoiła.

- To już coś więcej niż molestowanie seksualne - powiedziała. - Boję się, że ten człowiek zrobi krzywdę mojej rodzinie! Courtney ciągle leży w szpitalu. Wydatki rosną z godziny na godzinę. A jeśli Britten przekona AmeriCare, że trzeba je obciąć? Nie sądzisz, że powinnam pójść na policję?

- Nie, na razie nie masz żadnych dowodów. Kwiaty i groźby przesyłane e-mailem nie wystarczą.

- Powiedz, nie wyolbrzymiam tej sprawy, prawda?

- Ten facet ma poważne urojenia, Morgan. Masz prawo się bać. Wiem jednak z własnego doświadczenia, że tacy ludzie jak Britten potrafią tylko dużo gadać. Mimo to myślę, że popełniłaś błąd, wysyłając mu tamten e-mail.

- Nie powinnam była stanowczo zareagować i powiedzieć mu prawdy? - spytała.

- Ludzie z pogranicza psychozy - a zaczynam podejrzewać, że kimś takim jest Britten - nie reagują na bezpośrednie próby zmiany ich postępowania. Na twoim miejscu po prostu ignorowałbym go dalej. Ale cóż, zrobiłaś, co uważałaś za stosowne. Britten wie, gdzie mieszkasz?

- Niestety.

- No to niech przyjdzie - powiedział Brad - bo będę tam z tobą. Może wreszcie zrozumie, że "nie" znaczy "nie", kiedy dotrze do niego, że nie jesteś sama.

Brad obiecał, że będzie u niej przed jej powrotem z pracy i słowa dotrzymał. Zjawił się o wpół do siódmej, a Morgan przyjechała po dziesięciu minutach. Obejmując ją, poczuł, że mimo popołudniowego upału jej skóra jest zimna. Morgan nerwowo rozglądała się na wszystkie strony. Upewniwszy się, że Brittena nie ma w

po bliznu, razem weszli do domu i zamknęli drzwi na klucz. Po krótkiej rozmowie ustalili, że to Brad będzie z nim rozmawiał.

Punktualnie o siódmej ciszę przeciął dźwięk dzwonka. Brad był pewien, że uda mu się przemówić Brittenowi do rozsądku. Gdyby to nie poskutkowało i doszłoby do rękoczynów, wiedział, że bez trudu poradzi sobie z tym wymoczkiem.

Po otwarciu drzwi Brad, który nigdy nie widział Brittena na oczy, nie posiadał się ze zdumienia. Ubranie tego faceta nie dość, że było źle dobrane, to jeszcze stanowiło kombinację kilku stylów i dekad. Dzwony rodem z lat sześćdziesiątych, buty - z siedemdziesiątych, koszula z krótkim rękawem właściwa dla lat dziewięćdziesiątych i zapinana wełniana kamizelka, której nie dało się przypisać do żadnej epoki. Brad wyciągnął rękę.

- Proszę wejść, doktorze Britten. Spodziewaliśmy się pana. Britten słabo uścisnął jego dłoń.

- A pan to...?

- Brad Hawkins. Jestem przyjacielem Morgan. Britten uśmiechnął się jak na zawołanie.

- Ach, doktor Hawkins. Oczywiście. - Morgan stanęła za plecami Brada. - Witaj, Morgan. Miałem nadzieję, że będziemy sami.

- Nie ma mowy - powiedziała twardo.

- Że co proszę?

- Niech pan posłucha, doktorze - wtrącił Brad. - Morgan wszystko mi powiedziała. Nie życzy sobie pańskich kwiatów i e-maili. Ponieważ wygląda na to, że jej słowa nie docierają do pana, pozwolę sobie to panu wytłumaczyć. W telegraficznym skrócie: ona nie jest panem zainteresowana.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Brittena.

- Dziękuję za lekcję interpretacji, ale kiedy będę potrzebował porad, to o nie poproszę. Wątpię, czy wie pan cokolwiek na temat jej potrzeb. Posłuchaj, Morgan, ja...

- Nie - uciął Brad. - Niech pan najpierw mnie wysłucha. Może w pracy przywykł pan do gnębienia swoich podwładnych, ale związki osobiste opierają się na innych zasadach. W świecie rzeczywistym "nie" jest zwykłym trzyliterowym słowem, które nie ma żadnych ukrytych znaczeń. Dlatego zachowaj pan swoje e-maile, swoje kwiatki i swoje łapy dla siebie!

- Rozumiem, że to groźba? - powiedział Britten bez mrugnięcia okiem.

- Niech pan to sobie rozumie, jak chce. Powiem jedno. Jeśli nadal będzie pan j



ą niepokoił, Morgan skontaktuje się z adwokatem. Pańskie liściki miłosne i nasze zeznania wystarczą, by w mgnieniu oka załatwić panu sądowy zakaz zbliżania się do niej! Proszę mi wierzyć, gazety uwielbiają podobne sensacyjne historie, a pan na pewno nie życzyłby sobie takiego rozgłosu!

Uśmiech powoli spłynął z twarzy Brittena i na jego miejsce pojawił się wyraz zacieklego uporu.

- Robisz wielki błąd, Morgan. Oboje robicie.

- Drzwi są za pańskimi plecami - uciał Brad. - A teraz wynoś się pan stąd.

Przez długą chwilę Britten patrzył na nich z nienawiścią. Potem odwrócił się sztywno i wyszedł. Brad zatrzasnął za nim drzwi, po czym oparł się o nie plecami.

- Boże jedyny - powiedział. - Co się ze mną dzieje?

- Nic - odparła Morgan, biorąc go za rękę. - Byłeś super.

- Super? Chciałem zachować zimną krew. Zamiast tego wściekłem się i o mało co nie rozwalilem mu łba! Jezu, jak mogłem dać się tak sprowokować?

Ten typ był taki bezczelny, taki pewny siebie! Chryste - westchnął Brad  
Zawaliłem sprawę, co?

Morgan objęła go i oparła mu głowę na ramieniu.

- Zrobiłeś, co trzeba - powiedziała i pocałowała go delikatnie w policzek.

Brad wyszedł po godzinie, kiedy było jasne, że Britten już nie wróci. Morgan natychmiast włączyła system alarmowy i sprawdziła wszystkie drzwi i okna. Brad dzwonił do niej co pół godziny. Wreszcie około północy Morgan zrobiła się senna, wyłączyła talk-show Davida Lettermana i zapadła w lekki, przerywany sen.

Następnego dnia obchód i zabiegi zajęły Bradowi całe przedpołudnie. Była już prawie pierwsza, kiedy poszedł do swojego gabinetu. Ledwie stanął w progu, rejestratorka powiedziała mu, że ktoś do niego dzwoni.

- Cześć, Bradfbrd. Tylko jeden człowiek tak się do niego zwracał.

- Simon, ty łajdaku - powiedział Brad. - Masz coś ciekawego?

- Tak mi się wydaje. Już dawno nie miałem do czynienia z tak interesującym przypadkiem. Trochę się nad nim nagimnastykowałem. Ten skubaniec to roztocz, ale z kurzem domowym nie ma nic wspólnego. Są pewne podobieństwa, ale jeszcze więcej jest różnic. Przeciętny patolog ich nie zauważy.

- Bemie Kornheiser byłby niezadowolony, gdybyś go nazwał "przeciętnym".

- Na pewno jest dobry - ciągnął Crandall - ale to robota dla specjalistów. W każdym razie, zadzwoniłem do znajomego z Anglii. Angole mają świra na punkcie

takich rzeczy. On polecił mi kogoś innego. Słyszałeś o Richardzie Fieldingu?

- Nie, a powinienem?

- Niekoniecznie - powiedział Simon. - Fielding był wszechwiedzącym guru w dziedzinie *acari*, rzędu, do którego należy ten twój robaczek. Facet umarł dwadzieścia lat temu, ale był prawdziwym pasjonatem i robił cholernie dobre notatki. W moje ręce trafiła kopia dziennika, który prowadził przed śmiercią. Jezu, zaglądam do tych notatek i co widzę? Te same roztocza, co w twoim preparacie.

- Czy ten Fielding wspominał coś o tym, że mogą one wywoływać choroby u ludzi?

- A owszem - odparł Crandall. - Opisał zaobserwowany w Kenii przypadek gwałtownej reakcji alergicznej, którą jego zdaniem spowodowała jakaś toksyna albo obce białko wydzielane przez roztocza.

Brad wysłuchał go w skupieniu.

- Czy to możliwe, by te roztocza były tylko czynnikiem skażającym?

- Czynnikiem skażającym? Który przyleciał tu aż z Afryki Wschodniej? Mało prawdopodobne.

- Jak sądzisz, czy ma to związek z tym, co stało się z tym dzieckiem? To znaczy z klinicznego punktu widzenia, czy to mogło być główną przyczyną śmierci?

- Nie mogą tego stwierdzić z całą pewnością - powiedział Crandall -ale gdybym miał zgadywać, tak bym powiedział. Odkryłeś coś naprawdę niezwykłego, Bradford. Myślałeś, żeby to opisać?

- Jeszcze tylko tego brakowało. Na razie najważniejszą sprawą jest ratowanie życia dzieci, a ty bardzo mi w tym pomogłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Mam pomysł. Przefaksuję ci zapiski z dziennika Fieldinga. Rzuć na nie okiem, może coś cię zainteresuje. - Crandall zawiesił głos. - Co się właściwie tam u was dzieje, do pioruna? - spytał. - Kilka dni temu lekarz sądowy podrzucił mi innego owada do identyfikacji. Znalezione go w przewodzie słuchowym szkieletu noworodka z anencefalią. Okazało się, że to bardzo rzadki chrząszcz, zgadnij skąd pochodzący?

- Niech pomyślę. Z Afryki Wschodniej.

- Brawo. W entomologii sądowej dwa tak niezwykle odkrycia nigdy nie zdarzają się przypadkiem. Brad poczuł ukłucie w karku.

- Myślisz, że jedno ma związek z drugim?

- Z tym będziesz musiał zwrócić się do Ośrodka Zapobiegania Chorobom.

Choć stany patologiczne wywołane obecnością roztoczy w układzie oddechowym nie leżały w kompetencjach Ośrodka, był on lepiej wyposażony niż wszelkie inne agencje zajmujące się badaniem chorób. Brad jednak miał nie najlepsze doświadczenia z pracującymi tam ludźmi. Zanim urzędnicy wyślą inspektorów w teren, a ci sporządzą raport, może już być za późno.

Brad podziękował Simonowi, obiecał, że będzie z nim w kontakcie, i odłożył słuchawkę. Następnie rozsiadł się wygodnie na krześle i zmarszczył brwi. Działo się coś bardzo, bardzo dziwnego. Coś, co, jak sugerował Simon, nie mogło być tylko zbiegiem okoliczności. Brad uznał, że w końcu tak czy inaczej prawdopodobnie skontaktuje się z Ośrodkiem, ale na razie musiał naradzić się z Morganem.

Im więcej myślał o tej sprawie, tym więcej przerażających myśli przemykało mu przez głowę, krążąc niczym robaczki świętojańskie. Wszystkie noworodki były ubezpieczone w tej samej firmie. Duże zmiany w liczbie aborcji i urodzin nastąpiły po modyfikacji polityki tejże firmy wobec klientów, co mogło sugerować motyw finansowy. Przerażający los dzieci... Liczba pytań wzrastała w zastraszającym tempie, a odpowiedzi wciąż pozostawały nieznane. Odkrycie Simona Crandalla dorzuciło jeszcze jedno: co, u licha, robiły afrykańskie roztocze w płucach martwych noworodków?

A potem przyszła mu do głowy jeszcze bardziej przerażająca myśl: czyżby ktoś umieścił je tam celowo?

Hugh Britten lizał rany zadane jego dumie, kipiąc ze złości i rozpamiętując, co spotkało go w domu Morgan. To upokorzenie wzmogło stale nękającą go poczucie wyobcowania. Britten był rozdarty między silnym ego a przytłaczającym brakiem wiary w siebie. Niepewny swojej wartości, starał się osiągnąć sukces jedyną metodą, jaką znał - przez pełne wykorzystanie intelektu.

Mimo wszystkich swoich osiągnięć był kompletnym nieudacznikiem, jeśli chodzi o stosunki międzyludzkie. Zupełnie nie radził sobie w sytuacjach "sam na sam". Łatwo się peszył. We wczesnej młodości unikał dyskusji jak ognia, przez co czuł się mięczakiem. Uważał siebie za wiecznego słabeusza, Brad Hawkins był znienawidzonym symbolem, jego przeciwieństwem, mężczyzną, którym on sam nigdy nie będzie.

Cóż z niego za głupiec, że w ogóle zainteresował się tą kobietą! Owszem, była dość ładna, ale to, co do niej czuł, wykraczało poza zwykłe pożądanie. Najbardziej spodobała mu się w niej jej błyskotliwa inteligencja. Była doktorem medycyny, choć

samo to niewiele znaczyło. Znał wielu lekarzy, których uważał za wybitnie nierozgarniętych. Tymczasem doktor Robinson posiadała dar dociekliwości. Britten odkrył to, nadzorując jej pracę. Miała lotny umysł i cięty język. Była tak bliska ideału jak żadna inna kobieta.

Britten nie potrafił zapanować nad gniewem. Wyobrażenia podsuwała mu coraz bardziej wymyślne plany zemsty. Dawniej, kiedy czuł się upokorzony, zamykał się w sobie, nosząc w sercu ból i złość. Teraz miał dość pieniędzy i wpływów by podjąć stanowcze działania przeciw ludziom, którzy go skrzywdzili.

Lista jego wrogów była długa i nieustannie się powiększała. Na jej szczycie znajdowały się władze uczelni. Członkowie zarządu igrali z nim, kusili nominacją na dyrektora systemu szkolnictwa wyższego, by w końcu bezlitośnie go wykorzystać. Teraz sami poznają smak upokorzenia. Lada dzień stanowy departament zdrowia miał zdecydować o zamknięciu oddziału intensywnej terapii noworodków. Rozgłos nadany sprawie przez media skłoni wiele pacjentek do złożenia skarg - niektórych uzasadnionych, innych nie. Wkrótce potem Finansowy Zarząd Ochrony Zdrowia odmówi dalszego finansowania szpitala ze środków publicznych.

Znakomitym posunięciem było podjęcie współpracy z AmeriCare. Daniel Morrison, ten nadęty bufon, nie miał najmniejszego pojęcia o finansach. Nawet najbardziej nieudolny ekonomista przedstawiłby te same propozycje co Britten, ale nie dostałby takiego wynagrodzenia: opcje na zakup akcji, nagroda, której wysokość uzależniono od poziomu zysków. Jeśli optymistyczne prognozy się sprawdzą, wkrótce zostanie multimilionerem.

Nie zawsze trzeba było uciekać się do takich metod jak w przypadku doktora Schuberta. Boże, przecież ten człowiek sam siebie niszczył! Co, u diabła, skłoniło młodego stażystę do wpisania do karty pacjentki uwag, będących praktycznie przyznaniem się do winy? I jak to się stało, że przez trzydzieści lat nikt ich nie zauważył?

Jednak kwestia Morgan Robinson i tego pretensjonalnego doktora Hawkinsa... Nie ulegało wątpliwości, że obydwójce kpią sobie z niego. Dla nich Britten zamierzał przygotować specjalną karę, coś bardziej wymyślnego. Ta kobieta doskonale bawiła się jego kosztem, a facet delectował się tym, że może go poniżyć. Zobaczmy, kto się będzie śmiał ostatni! Na początek postanowił podrażnić się z nimi, zadać im cierpienie. Doskonale znał ich słabe punkty.

I dobrze wiedział, od czego zacząć.

## ROZDZIAŁ 17

Kiedy Melissa Alexander zaczęła rodzić, była osamotniona i przerażona. Nie miała męża, a nie chciała, by ojciec dziecka był obecny przy porodzie. Melissa chodziła do szkoły rodzenia, gdzie mogła liczyć na pomoc instruktorów, ale w szpitalu była zdana tylko na siebie.

To nic. Wmówiła sobie, że to normalne, że się boi. Zawsze lubiła panować nad sytuacją i był to jeden z wielu powodów, dla których zwróciła się do wykwalifikowanej położnej. Kiedy jednak położna poleciła jej udać się do Szpitala Uniwersyteckiego, Melissa uświadomiła sobie, że coś jest nie w porządku.

Nie była to jej wymarzona placówka. Owszem, kiedyś poszła do jednego z dyżurujących tam specjalistów od leczenia bezpłodności, bo bez udziału nowoczesnych, zaawansowanych technologii nie mogłaby w ogóle zająć w ciąży. Uważała jednak, że sam poród, będący całkowicie naturalnym zjawiskiem, nie wymaga takich ceregieli. Zdecydowała się więc na mniej znany, ale przyjazny pacjentom szpital komunalny, prowadzony przez episkopalian. Tymczasem położna upierała się, że ponieważ jedna z jej pacjentek właśnie rodzi w Szpitalu Uniwersyteckim, Melissa musi tam przyjechać.

Melissa nie zastanawiała się długo. Z minuty na minutę było jej coraz ciężej. Bóle porodowe wzmagaly się; przez godzinę cierpliwie znosiła je w domu, potem zadzwoniła do położnej, z którą próbowała odwieść od jej decyzji. Błagała, przekonywała, przypochlebiała się, ale kobieta była niewzruszona. W końcu Melissa dała za wygraną i pojechała taksówką do Szpitala Uniwersyteckiego.

Od samego początku nic nie szło po jej myśli. Po pierwsze, miała podwyższone ciśnienie. Położna zaproponowała, by podłączyć kroplówkę "na wszelki wypadek", ale Melissa nie zgodziła się, czym podpadła pielęgniarce

doskonale znającym takie pacjentki jak ona. Potem personel zaczął nalegać na podłączenie jej do urządzenia monitorującego płód.

Melissa równie stanowczo odmówiła. To właśnie stosowane tu techniki inwazyjne, jak kroplówka czy monitory, zniechęciły ją do rodzenia w Szpitalu Uniwersyteckim. I choć znajdowały się w nim salki dla matki i dziecka, nie były to wygodne, gościnne pokoje, jakich oczekiwała. Szukała pomocy u położnej, ale ta tylko wzruszyła ramionami.

- Przepisy wewnętrzne - powiedziała i dodała, że na niektóre sprawy nie ma wpływu. Melissa niechętnie zgodziła się na badanie.

Kiedy podłączone zostały paski monitora stanu płodu, sytuacja uległa błyskawicznemu pogorszeniu. Może to przez wysokie ciśnienie, powiedziały pielęgniarki. A może dlatego, że poród zaczął się za późno. Tak czy inaczej, choć rytm serca płodu, wynoszący sto czterdzieści uderzeń na minutę, mieścił się w normie, to linia wydawała się płaska, pozbawiona czegoś, co określano mianem zmienności uderzeniowej. Pielęgniarka wyjaśniła pacjentce, że może to oznaczać, iż życie dziecka jest zagrożone.

Melissa bała się coraz bardziej. Kiedy spytała położną, co teraz będzie, kobieta odpowiedziała wykrętnie, że nie jest to już poród niskiego ryzyka i trzeba wezwać lekarza na konsultację. Melissa jęknęła z bólu i złości.

Lekarzem dyżurnym był doktor Richard Summers, najwyższy rangą pracownik lecznicy, do której zgłosiła się Melissa Alexander. Nie spotkała go osobiście, ale słyszała, że jest znany z braku wrażliwości i lubi opowiadać świńskie dowcipy. Po półgodzinie Summers, niski i krępy mężczyzna o siwiejących kręconych włosach, wmaszerował niedbałym krokiem do sali porodowej.

Zignorował Melissa i z miejsca podszedł do położnej. Ta zwracała się do niego "Ricky", co brzmiało dziwnie w odniesieniu do człowieka w średnim wieku. Summers wbił wzrok w monitor. Dźwięk był ściszony, ale z urządzenia dochodziło miarowe pikanie. Melissa miała wrażenie, że wszyscy o niej zapomnieli. Z każdą chwilą coraz bardziej ją to irytowało.

Wreszcie lekarz spojrzął na nią.

- Mamy mały kłopot, co? - powiedział, błyskając uśmiechem.

- Jestem Melissa Alexander - odparła chłodnym tonem. - A pan...?

- Chyba wie pani, kim jestem - powiedział Summers. - Pani dziecko może być w niebezpieczeństwie, dlatego zamierzam podłączyć wewnętrzny przewód monitorowy.

Melissa zmarszczyła brwi.

- Kabel, który wkręca się w głowę dziecka?

- Jeśli upiera się pani, by nam przeszkadzać, to pani sprawa, ja tylko wykonuję moje obowiązki. A przewodu nie "wkręca się w głowę dziecka", tylko się do niej podłącza.

Melissa energicznie pokręciła głową.

- Słyszałam na ten temat mnóstwo potwornych historii. Dobro dziecka jest dla mnie najważniejsze, ale na nic się nie zgodzę bez uzyskania przekonujących wyjaśnień.

- Melisso, proszę - powiedziała położyła.

- Czego chcesz? Ten człowiek wpada do mojego pokoju z szerokim uśmiechem na twarzy, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi. Nawet się nie przedstawia, a potem oświadcza, że chce wsadzić kabel na głowę mojego dziecka. I ty masz mi za złe, że się na to nie zgadzam?

- Panno Alexander, proszę mnie posłuchać - powiedział Summers z narastającym rozdrażnieniem - nie pani tu podejmuje decyzje, tylko my. Z radością pozwoliłbym pani podpisać odpowiedni papierek i znaleźć sobie innego lekarza, ale trochę na to za późno. Musimy sprawdzić stan pani dziecka i przeprowadzić cesarskie cięcie. Żadnych ale. Jeśli zależy pani na dziecku, pozwoli mi pani podłączyć ten przewód. - Zawiesił głos. - No i co pani na to?

- Co ja na to? Prawdę mówiąc, nie podoba mi się pański ton.

- Ton się pani nie podoba? - powiedział Summers, czerwieniejąc ze złości. Podszedł szybkim krokiem do monitora i podkreślił potencjometr. Rozległ się głośny, złowrogi odgłos bijącego serca. - A jak to się pani podoba? Tak uderza serce umierającego dziecka!

Brad umówił się z Morgan po pracy na sushi. Spóźnił się. Przeprosił ją i wyjaśnił, że w ostatniej chwili zadzwonił do niego znajomy. Jak się okazało, Arnold Schubert nie przyszedł do swoich hospitalizowanych pacjentów. Personel nie mógł go znaleźć. Kiedy policjanci wreszcie dostali się do mieszkania Schuberta, znaleźli tam jego zwłoki.

- Atak serca? - spytała Morgan.

- Na to wygląda. Sam sobie był winien. Palił, sporo pił i nie ćwiczył. Mimo to szkoda go. Ale mam ci do powiedzenia coś jeszcze ciekawszego.

Wyjaśnił jej, że Simon Crandall odkrył, iż mały owad z jednego z preparatów był śmiertelnie zjadliwym roztoczem z Afryki Wschodniej, nie odnotowanym w literaturze medycznej. Brad nie miał jednak pojęcia, skąd się wziął w płucach noworodków z Long Island.

Morgan nie wierzyła własnym uszom.

- Czyżby sugerował, że to ten roztocz zabił Benjamina i pozostałe dzieci?

- Tak uważa Simon. Niepokoi mnie to, że nie ma pojęcia, co jest nosicielem tych roztoczy ani jak mogły zostać tu sprowadzone.

- No to będziemy musieli sami do tego dojść - powiedziała Morgan, patrząc w

dal ze zmarszczonymi brwiami. - Może to jakaś migracja owadów, tak jak to było z tymi mrówkami z Ameryki Środkowej, które przedostały się przez Rio Grandę do Teksasu?

- Wątpię - odparł Brad, biorąc słodką bułeczkę. - Zdaniem Simona ten roztocz może być pokrewnym innego, żyjącego, o dziwo, niemal wyłącznie w konopiach indyjskich. Wygląda na to, że w pewnym momencie uległ mutacji i stał się szkodliwy dla ludzi.

- To wszystko jest coraz bardziej zwariowane - powiedziała Morgan, kręcąc głową. - Dzieci i trawa. Wspominałeś o tym komuś innemu, na przykład doktorowi Harringtonowi?

- Najpierw chciałem porozmawiać z tobą. Harrington jeszcze zdąży mnie wyśmiać.

Morgan zamyśliła się, rozsmarowując *wasabi* na kawałku tuńczyka.

- Może nie jest to takie absurdalne, jak się na początku zdawało. Oczywiście, żeby zyskać pewność, trzeba by wyizolować roztocza i dokładnie go przebadać. Ale przypuśćmy, że ktoś to zrobi i stwierdzi, iż roztocz jest śmiertelnie groźny. Jak dostał się do płuc dzieci?

- I tu leży pies pogrzebany - przyznał Brad. - Kiedy Simon powiedział mi o swoich podejrzeniach, w pierwszej chwili chciałem zadzwonić na oddział intensywnej terapii i przestrzec personel. Ale co miałbym im powiedzieć? Gdzie szukać tych roztoczy? Przecież nie w powietrzu czy systemie wentylacyjnym, bo gdyby tam były, wszyscy już dawno zostaliby nimi zainfekowani. Co więc zostaje? Pożywka dziecięca, przewody dostarczające tlen? To raczej mało prawdopodobne.

- A jeśli ktoś je wstrzyknął? - spytała Morgan.

- Myślisz, że jakaś sfrustrowana pielęgniarka spryskała te dzieciaki sprejem z roztoczami?

Morgan zrobiła zawstydzoną minę.

- Lepiej będzie zdobyć więcej dowodów, zanim zgłosimy tę sprawę policji.

- Tak sobie myślę... - Brad napił się herbaty, po czym wyjął z kieszeni kilka stron papieru faksowego. - Chcę, żebyś tego wysłuchała. Simon wyczytał to wszystko, o czym mówiłem, w dzienniku Richarda Fieldinga, brytyjskiego badacza, który dwadzieścia lat temu podróżował po Kenii. Fielding był jednym z najbardziej znanych entomologów na świecie. Simon przysłał mi kopie fragmentów jego dziennika, mówię ci, to fascynująca lektura.



- "Konopie indyjskie występują obficie w okolicach Nairobi, zwłaszcza na zboczach wzgórz, gdzie klimat jest łagodniejszy - czytał Brad. - Coraz więcej młodych Kenijczyków zażywa narkotyki.

Według miejscowej policji - ciągnął Brad - jednym z tych młodych ludzi był wysoki chłopak imieniem Makkede. Policja przypuszcza, że ów Makkede przypadkowo odnalazł ukryty w gąszczu akacji skład marihuany. Było tam kilka zasuszonych bel, zgubionych albo porzuconych. Na skraju brezentowej płachty leżały ludzkie zwłoki w stanie zaawansowanego rozkładu. Ubranie było poszarpane, a ciało prawie całkowicie zmumifikowane".

- Mój Boże - wyszeptała Morgan.

- "Przyjaciele Makkede - czytał Brad - uznali, że biedak tak się ucieszył ze swojego znaleziska, iż postanowił to uczcić. Kiedy dogonili go po około dziesięciu minutach, Makkede wyglądał na odurzonego.

Jednak po następnych dziesięciu minutach zaczęło mu brakować tchu, a jego wargi przybrały siny odcień. Młody Makkede rozpaczliwie chwycił ustami powietrze i zanim przyjaciele zdążyli mu pomóc, piana wystąpiła mu na wargi i umarł".

- To brzmi przerażająco znajomo, Brad.

- Parwda? W każdym razie doktor Fielding udał się z wizytą do znajomego biologa z Uniwersytetu w Nairobi. W tym samym czasie do tamtejszego laboratorium trafiła próbka skażonej marihuany. Policjanci wysłali ją ekspertom w nadziei, że uda im się stwierdzić, co zabiło tego Makkede. Biolog poprosił Fieldinga o pomoc, więc ten obejrzał podejrzaną marihuanę pod mikroskopem. - Brad powiódł wzrokiem po faksie i odczytał: - "Od razu zauważyłem roztocza. Ponieważ wiele ich gatunków żywi się ulegającą rozkładowi materią i przechowywaną przez długi okres żywnością, to, że znalazły się w marihuanie, nie było zaskoczeniem. Wśród *acari* najbardziej znanym jest drapieżny roztocz *macroheles muscado mesticae*".

- Do czego to wszystko zmierza? - spytała Morgan.

Na razie słuchaj - powiedział Brad. - "Kiedy jednak obejrzałem roztocza w większym powiększeniu, coś mnie zaintrygowało. Owszem, miały one pewne cechy *macroheles*, ale ich aparaty gębowe przypominały te, które występują u *dermatophagoides*, roztoczy kurzu domowego. Z drugiej strony kształt głowotułowia przywodził na myśl *demodex*, roztocz spotykany na mieszkach włosowych ludzi. Po długich badaniach doszedłem do wniosku, że dzięki korzystnym warunkom panującym w tej okolicy roztocze z marihuany i roztocze ludzkie skrzyżowały się ze

sobą i uległy mutacji".

Morgan pokręciła głową, zdumiona.

- Fielding był przekonany, że odkryty przez niego roztocz jest niezwykle agresywny - ciągnął Brad. - Myślał, że może on powodować ciężkie powikłania, tak jak u tego Makkede.

- Czy nie były to czyste domysły?

- I tak, i nie - powiedział Brad. - Kiedy wspomniał miejscowej policji o swoich podejrzeniach, lekarz sądowy powtórnie obejrzał próbki pobrane z płuc tego dziesiętnastolatka i zgadnij, co się okazało? W nabłonku oddechowym płuc Makkede tkwiły zmutowane roztocze.

- Ale dlaczego nikt o tym nie wie? - spytała Morgan.

- Bo Fielding nie ogłosił swojego odkrycia. Pobrał próbki roztoczy, ale zaginęły w drodze powrotnej do Anglii. Zdaje się, że chciał wrócić po nowe i opublikować wyniki badań, ale zmarł, zanim zdążył się za to zabrać.

- Niesamowite - wyszeptała Morgan. - To jednak nie wyjaśnia, co one robią w naszym kraju.

- To prawda - zgodził się Brad - ale pod koniec swoich notatek Fielding wspomina, że zaginęła pewna ilość odnalezionej marihuany. Najprawdopodobniej ktoś wziął sobie sporą jej porcję. Jeśli tej osobie udało się zachować roztocza przy życiu i przemycić je do Stanów, cóż...

Morgan tylko pokręciła głową w osłupieniu.

- Wygląda na to, że ten twój Crandall odwalił kawał dobrej roboty.

- To nie wszystko - powiedział Brad. - Simon opowiedział mi jeszcze jedną ciekawą historię związaną z Afryką Wschodnią. Kilka dni temu na Long Island Expressway zdarzył się niegroźny wypadek. Z jednego z uczestniczących w nim samochodów wyleciał szkielet dziecka z anencefalią. Kierowca prysnął. W przewodzie usznym szkieletu znajdował się jakiś owad. Lekarz sądowy poprosił Simona, by go zidentyfikował. Okazało się, że to rzadki afrykański chrząszcz.

- A Crandall uważa, że obie te sprawy mają ze sobą związek? - spytała Morgan.

- Właśnie o to mnie spytał.

- Znasz kogoś, kto coś wie o Afryce Wschodniej? Może ten twój przyjaciel, ten, którego poznałam u ciebie?

- Nbele? Owszem, ale chyba nie interesuje się owadami. Nie zaszkodzi zapytać.

- Hmm - mruknęła Morgan, marszcząc brwi. - Ciekawe... Britten szukał

szkieletu z anencefalią do swojej kolekcji. Przypuśćmy, że wiedział o istnieniu tych afrykańskich chrząszczy - ciągnęła powoli. - Mógł usłyszeć też o tym roztoczu, prawda? To chyba nie jest niemożliwe?

- Wątpię, Morgan. To wariat, ale po co miałby zajmować się czymś takim? Nie wyobrażam sobie, by mógł wprowadzać śmiertelne owady do płuc noworodków. Poza tym nie jest lekarzem. Nawet gdyby potrafił zrobić coś takiego, nie ma wstępu na oddział intensywnej terapii.

- Nie chodzi mi o niego osobiście - powiedziała - ale jestem pewna, że mógł do tego namówić kogoś innego. Sam przyznał, że bezwzględnie dąży do osiągnięcia swoich celów i, moim zdaniem, stać go na wszystko. A co się tyczy motywu, może chciał wykonać opracowany przez siebie plan wydatków AmeriCare? Opieka nad tymi noworodkami jest bardzo kosztowna.

- Myślisz, że jest aż tak bezwzględny?

- Jestem pewna, że nie pozwoliłby, aby cokolwiek przeszkodziło w zdobyciu tego, na czym mu zależy.

- Ale co by na tym zyskał? - spytał. - Sukcesy akademickie nie wystarczą?

- Może normalnym ludziom, ale mam wrażenie, że Britten to człowiek wyjątkowo łasy na pieniądze. Choć jest nadziany jak na faceta w jego wieku, to domyślam się, że sukcesy AmeriCare byłyby mu bardzo na rękę.

- Cholera, Morgan, obys się myliła. Możesz to jakoś sprawdzić?

- Prawdę mówiąc, mogę - odparła.

Tej nocy gospoia miała wolne i Brad chciał wrócić do syna. Po wyjściu z restauracji Morgan pocałowała go w policzek. Żałowała, że nie mogą spędzić ze sobą więcej czasu. Miała nadzieję, że to się kiedyś zmieni.

Pojechała prosto do AmeriCare. Rozejrzała się za samochodem Brittena. Parking był prawie pusty. Morgan zaparkowała wóz i weszła do budynku. Czuła się nieswojo, krocząc opustoszałymi korytarzami. Nie mogła już dłużej tu pracować; pozostawało tylko wybrać odpowiedni moment na złożenie rezygnacji.

Otworzyła swój gabinet, włączyła światło, zasiadła przy komputerze, wpisała hasło i szybko się załogowała. Szukała schematu struktury własnościowej udziałów w AmeriCare - a dokładnie danych dotyczących stanu posiadania dyrektorów firmy. Nie przypominała sobie, by informacje te zostały zamieszczone w rocznym raporcie, ale mogły znaleźć się w niepublikowanych statystykach znanych jako "Dodatek do

skonsolidowanych raportów finansowych". Morgan wiedziała, że niełatwo będzie do nich dotrzeć; pewnie zostały ukryte za pomocą specjalnego wewnątrzfirmowego programu. Całe szczęście, że na studiach zrobiła dodatkową specjalizację z informatyki i nieźle sobie radziła z wszelkimi systemami komputerowymi.

Po dziesięciu minutach Morgan udało się przekonać komputer do ujawnienia interesujących ją informacji. Plik pod nazwą "Pozycje kierownicze" zawierał listę właścicieli dużych pakietów akcji. Była długa. Jak należało się spodziewać, na jej czele figurował prezes Daniel Morrison oraz inni członkowie zarządu. Było też kilku tajnych, bliżej niezidentyfikowanych udziałowców. Ku wściekłości i zdumieniu Morgan jej współpracownik, doktor Martin Hunt, dyrektor medyczny firmy, był posiadaczem nieproporcjonalnie wielu udziałów.

- Marty, ty sprzedajny draniu - wymamrotała.

Pod koniec listy figurowali udziałowcy nie będący członkami zarządu i tam Morgan wypatrzyła nazwisko "Britten, Hugh". Z bijącym sercem zauważyła, że przecucie jej nie zawiodło. Choć rzeczą normalną jest, że członkowie zarządu posiadają duże pakiety walorów, Britten, zatrudniony w firmie stosunkowo niedługo, posiadał akcje, których obecna wartość rynkowa wynosiła dwa miliony dolarów. Do tego był właścicielem sporej liczby opcji na zakup akcji i czegoś, co Morgan uznała za nagrodę uzależnioną od wysokości zysku firmy. Przeprowadziła w myślach niezbędne obliczenia. Udziały Brittena w AmeriCare warte były przeszło dwadzieścia milionów dolarów.

Morgan cicho gwizdnęła. Nie ma mowy, by udziałowcy AmeriCare mogli zgodnie z prawem tak sownie opłacać najlepszemu nawet konsultanta. Znalazła to, czego szukała: motyw Hugh Brittena. Przykładając rękę do zaniedbań

w opiece nad pacjentami, Britten upiekłby dwie pieczenie na jednym ogniu - skompromitowałby uniwersytet, który go odrzucił, jednocześnie napełniając własne kieszenie. Na tę koszmarną myśl Morgan przeszedł dreszcz.

Uświadomiła sobie, że powinna na bieżąco robić notatki, żeby o niczym nie zapomnieć. Podzieliła ekran monitora na dwie części i zaczęła zapisywać to, co wiedziała i co podejrzewała. Po piętnastu minutach przesłała e--mailem cały ten materiał na adres Brada. Potem jeszcze przez jakiś czas przeglądała pliki, aż wreszcie się wylogowała.

- Znalazła pani to, czego szukała, doktor Robinson?

Morgan odwróciła się, wystraszona. Nie spodziewała się zobaczyć tu

Morrisona, choć z drugiej strony odczuła ulgę, że to nie Britten. Było jej głupio, że została przyłapaną przez samego prezesa na grzebaniu w tajnych firmowych dokumentach, ale liczyła na to, że jakoś się wykręci.

- Tak, dziękuję - powiedziała. - Właśnie nadrabiałam zaległości w pracy.

- Co pani powie? Od kiedy to do pani obowiązków należy badanie poufnych spraw finansowych?

- Czemu miałabym robić coś takiego? Spojrzał na nią groźnie.

- Kiedy ktoś otwiera pewne dokumenty, zostają o tym natychmiast powiadomiony. Szczęśliwym trafem byłem akurat w swoim gabinecie, kiedy postanowiła pani rzucić na nie okiem. Ciekaw jestem, dlaczego te informacje są dla pani tak ważne.

Morgan nie zamierzała dać się nastraszyć. Z kamienną twarzą wyłączyła komputer, wstała z krzesła i zebrała swoje rzeczy.

- Dobranoc, panie Morrison. Myślę, że na mnie już czas.

- Zaraz, zaraz... - zaprotestował, ale Morgan się nie zatrzymała. Morrison wpadł w szal. - Co za bezczelność! - wybuchnął. - Tak, już czas na ciebie! Do końca tygodnia masz złożyć rezygnację i wynieść się z tego gabinetu!

Morgan przyszyły do głowy tysiące możliwych ripost, ale postanowiła trzymać język za zębami. Obrzuciła Morrisona hardym spojrzeniem, uśmiechnęła się uprzejmie i wyszła z gabinetu.

Morrison był wściekły i mocno zaniepokojony. Kazał temu durnemu analitykowi systemu zakodować plik, ale programista mu to wyperswadował. Idiota! Wracając do swojego gabinetu, Morrison zastanawiał się, po co Morgan były te informacje. Czy chciała zaszkodzić firmie?

Dopóki zachowywała je dla siebie, ryzyko było niewielkie. Teraz pozostawało tylko dopilnować, by ten stan rzeczy utrzymywał się jak najdłużej. Mogli sobie z nią poradzić, jeśli trzeba nawet przy zastosowaniu drastycznych metod. Ale co będzie, jeśli Morgan mimo to zdoła przekazać te informacje komuś z zewnątrz? Gdyby tak się stało, wszyscy byliby zrujnowani. A on, prezes firmy, mógłby nawet wylądować za kratkami.

Po powrocie do swojego gabinetu Morrison usiadł i wbił wzrok w monitor. Konsultanci, którzy instalowali system komputerowy, wprowadzili do niego pewne wyrafinowane zabezpieczenia. Dostęp do niektórych plików, zgodnie z tym, co Morrison powiedział Morgan, był ściśle ograniczony. Nie powiedział jej natomiast, że

nie tylko otrzymuje powiadomienie o nieautoryzowanym korzystaniu z dokumentów, ale widzi na swoim monitorze wszystkie informacje ściągane przez cyber-intruza. Dlatego też Morrison wiedział od razu, że Morgan otwiera plik pod nazwą "Pozycje kierownicze". A teraz na ekranie widniał wysłany przez nią e-mail.

Morrison przeczytał go i zbladł. Nie wiedział, kto jest odbiorcą wiadomości, ale można to było bez trudu sprawdzić. Pozostawało pytanie, co z tym fantem zrobić. Prezes AmeriCare podniósł słuchawkę i przez naciśnięcie guzika przywołał numer zapisany w pamięci telefonu. - Hugh - powiedział - mamy problem.

Brad był w kuchni, kiedy zadzwoniła Mei Mei Chang, jedna z lekarek o krótkim stażu pracy.

- Summers wyszedł? - spytał z niedowierzaniem. - To kto opiekuje się pacjentką?

- Jest tam położna i nikogo poza tym. Niepokoi mnie odczyt z monitora, doktorze Hawkins. Linia jest prawie prosta, zaczyna się deceleracja akcji serca płodu. Zdaję sobie sprawę, że nie ma pan dzisiaj dyżuru, ale nie wiedziałam, do kogo się zwrócić!

- Gdzie jest doktor Summers w tej chwili?

- Powiedział, że idzie do domu. - Zawiesiła głos. - Moim zdaniem należy jak najszybciej zrobić cesarkę, doktorze Hawkins. Zadzwoniliśmy na numer domowy Summersa i próbowaliśmy go wezwać przez pager, ale nigdzie nie możemy go znaleźć!

Brad był rozczarowany, ale nie zaskoczony. Summers, choć stosunkowo kompetentny, miał osobowość nastolatka. Nie pierwszy raz zdarzyło mu się zniknąć akurat wtedy, gdy był najbardziej potrzebny.

Chang wyraźnie zaczynała wpadać w panikę.

- Dobrze, Mei Mei, posłuchaj mnie. Masz zgodę na cesarkę? Jest anestezjolog? A pediatrzy?

- Jesteśmy gotowi do zabiegu, doktorze Hawkins.

- No to bierzcie ją na salę i zaczynajcie. Zaraz tam będę. Syn podniósł na niego wzrok.

- Tato?

- Włóż trampki, Mikey. Jedziemy do szpitala. To nie powinno długo potrwać. W drodze powrotnej pójdziemy na pizzę.

Chłopiec nie protestował. Interesujący go program telewizyjny miał się zacząć

dopiero za dwie godziny. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń Michael wiedział, że jego ojciec pracuje szybko. Był pewien, że wróci na czas, nawet jeśli pójdą jeszcze na pizzę.

W drodze do szpitala Brad zadzwonił z samochodu do sali porodowej. Pacjentka, niesamowicie gadatliwa kobieta imieniem Melissa, od chwili przyjazdu do szpitala działała wszystkim na nerwy swoimi bezustannymi pytaniami. Zaraz po wyjściu doktora Summersa serce jej dziecka zaczęło bić słabiej, a matka nagle stała się potulna jak baranek. Bez słowa sprzeciwu podpisała zgodę na zabieg i została szybko przewieziona do sali operacyjnej. Według relacji pielęgniarki pacjentkę uśpiono i doktor Chang przystąpiła do operacji. Dziecko powinno wkrótce przyjść na świat.

Pięć minut później Brad wjechał na parking dla lekarzy. W nagłych wypadkach udzielał cichej zgody obecnym na miejscu specjalistom na rozpoczęcie operacji przed jego przybyciem. W końcu za kilka miesięcy Mei Mei i tak będzie już pełnoprawnym lekarzem i kiedyś musi udowodnić, że potrafi radzić sobie sama. Gdyby jej się nie powiodło, Brad szybko wkroczyłby do akcji.

Nie był pewien, co zrobić z Michaelem. Wychodząc z domu, chłopiec wziął Grę Boya, który mógł go zająć na co najmniej godzinę. Brad zamierzał oddać Michaela pod opiekę jednej z pielęgniarek. W pustych pokojach i dyżurkach były telewizory. Mikey mógł też po prostu pójść do pokoju pielęgniarek i tam grać na Grę Boya do woli.

Przemknąwszy obok sali nagłych przypadków, Brad i jego syn stanęli przed zamkniętymi drzwiami windy. Długo nie przyjeżdżała, o tej porze w szpitalu było bowiem wielu odwiedzających, podróżujących między piętrami. Brad niecierpliwie bębnił palcami w ścianę. Kiedy drzwi wreszcie się otworzyły, natychmiast wpadł do kabiny i wcisnął guzik z siódmką. Jak należało oczekiwać, winda zatrzymała się na czwartym piętrze i wypełniła ludźmi, by stopniowo pustoszeć na kolejnych kondygnacjach. Wydawało się, że minęła wieczność, zanim kabina wreszcie stanęła na siódmym piętrze.

Brad i Michael byli ostatnimi pasażerami, którzy ją opuścili. Po wyjściu z windy niespodziewanie natknęli się na Nbele. Michael spojrzał na niego i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nbele! - zawołał.

- Michael, przyjacielu - powiedział Nbele z promiennym uśmiechem. 4 Nasze spotkania w szpitalu stały się już tradycją!

- Pracujesz do późna, Nbele? - spytał Brad.

- Nie, doktorze. Dziś odwiedzam przyjaciela.

- Mogę z nim pójść, tato? - spytał Michael, wyraźnie ożywiony.

- Muszę przeprowadzić pilny zabieg - wyjaśnił Brad i kiwnął głową w stronę sal porodowych. - Nie miałem z kim zostawić Michaela. Na pewno któraś z pielęgniarek chętnie się nim zajmie.

- Z radością wezmę go ze sobą, doktorze.

- Tato, proszę!

- No cóż... jeśli nie uważasz, że ci się narzucam...

- Wie pan, że powiedziałbym, gdyby tak było - odparł Nbele. - Dopilnuję, by Michaelowi nie spadł włos z głowy, doktorze Hawkins. Zadzwoń pan do mojego gabinetu po zabiegu?

- Dobrze. Wpadnę do was za jakiś czas.

- Super! - krzyknął Michael.

Brad pospiesznie pomachał im na pożegnanie i wszedł na porodówkę. Szybko włożył fartuch i skierował się do sali. Za szybą widać było doktor Chang i stażystę, krzątających się obok pacjentki. Brad wsunął głowę w drzwi i oznajmił, że już jest.

- Wszystko w porządku, Mei Mei?

- Dzień dobry, doktorze Hawkins. Dobrze, że pan przyszedł. Wyjeliśmy dziecko, ale wystąpił lekki krwotok.

- Co z dzieckiem?

- Minutę po porodzie miało pięć punktów w teście APGAR - powiedziała - ale jest z nim coraz lepiej.

W jej głosie brzmiała nuta niepewności. Brad wiedział, że doktor Chang jest dobrą lekarką, ale nagle przypadki sprawiały jej czasem spore kłopoty. Szybko włożył papierowe ochraniacze na buty, czapkę, maskę, po czym pospiesznie się umył. Wkrótce, z podniesionymi rękami ociekającymi mydłem, wszedł tyłem do sali operacyjnej. Po kilku sekundach miał już na sobie kitel i rękawice.

Brad podszedł do stołu operacyjnego od lewej strony, naprzeciwko doktor Chang, która pracowicie wycierała krew tamponami, podczas gdy stażysta stojący obok niej posługiwał się plastikowym zasysaczem. Krew jednak wciąż płynęła. Spojrzawszy na macicę, Brad zauważył, że nie obkurczyła się we właściwym stopniu. Miękka i gąbczasta, obficie krwawiła; stan ten określano mianem atonii macicznej.

- Odłóż te tampony, Mei Mei - powiedział Brad. - Musisz zmusić macicę do



skurczu. Weź ją w obie ręce i masuj do skutku.

- Próbowałam, doktorze Hawkins.

- To próbuj dalej - powiedział, przybierając nieco ostrzejszy ton. -Z tego draństwa wylewa się sześćset centymetrów sześciennych krwi na minutę. Jeśli tego nie zatamujesz, pacjentka ci się wykrwawi!

Przez chwilę przyglądał się, jak doktor Chang ostrożnie kładzie ręce na dnie macicy, by rozpocząć ucisk, po czym położył na nich swoje dłonie i zademonstrował, jak masować mięsień z większą siłą, rytmicznymi, zdecydowanymi ruchami.

- Już lepiej - powiedział. - Tak trzymaj, ale przygotuj plan awaryjny na wypadek, gdyby masaż nie pomógł. Co wtedy zrobisz?

- Podam pacjentce prostaglandynę?

- Słusznie, ale należałoby zacząć od łagodniejszych leków. - Spojrzał na kroplówkę. - Co w tym jest?

- Ringer's plus ampulka pitocyny.

- Odkręć to na maksa - polecił Brad anestezjologowi. - I dodaj dwadzieścia jednostek, dobrze? Jak z jej objawami czynności życiowych?

- Ciśnienie w normie - powiedział anestezjolog - ale pojawił się lekki częstoskurcz.

- Krew gotowa?

- Dwie jednostki.

- Lepiej przygotuj jeszcze dwie - powiedział Brad do anestezjologa. -Niech przyślą jej natychmiast. Podałeś jej metylergometrynę?

- Jeszcze nie.

- Może dobrze byłoby podać jej domięśniowo dwie dziesiąte miligrama?

- Robi się - odparł anestezjolog.

Brad w skupieniu obserwował sytuację. Mimo poprawionej techniki masażu krwotok nie ustawał. Brad oszacował, że pacjentka straciła już około litra krwi.

- No dobrze, Mei Mei - powiedział. - Pitocyna i metylergometryna gotowe. Przyszykowałeś prostaglandynę?

- Jeszcze o nią nawet nie poprosiłam - przyznała zawstydzona. Brad zwrócił się do pielęgniarki.

- Spróbuj wygrzebać skądś trochę piętnasto-metylowej prostaglandyny F-2 alfa. Dwie piąte miligrama od razu nabierz do strzykawki.

Kiedy pielęgniarka wyszła z sali, Brad zamyślił się. Przewlekły krwotok

poporodowy spowodowany atonią maciczną stanowił zagrożenie dla życia. Zazwyczaj tamowano go prostymi środkami jak leki i masaż; kiedy jednak to się nie udawało, doświadczony chirurg musiał działać ostrożnie, krok po kroku.

- Nie trać głowy, Mei Mei - powiedział spokojnym tonem. - Prostaglandynę podaj od razu, kiedy będzie gotowa, ale na wszelki wypadek zachowaj czujność.

Pielęgniarka przygotowała zastrzyk. Brad pokazał Chang, jak wstrzyknąć lek prosto do mięśnia macicznego. Kiedy lekarka wznowiła masaż, wszyscy wbili wzrok w macicę, wypatrując oznak twardnienia.

- Jak długo mam to robić? - spytała.

- Góra pięć minut - odparł Brad. - Jaka jest w dotyku?

- Nie wyczuwam żadnej zmiany.

Rzeczywiście, fioletowa masa wydawała się miękka jak rybie mięso, a krew wciąż wylewała się do miednicy. Pacjentka straciła kolejne pięćset centymetrów sześciennych. Nie przyniesiono jeszcze krwi do transfuzji; jeśli krwotok nie zostanie szybko zatrzymany, może nastąpić zapaść.

- No dobrze, Mei Mei, przechodzimy do planu B - powiedział Brad. - Co zamierzasz zrobić?

- Podwiązać tętnicę biodrową wewnętrzną? - zaryzykowała.

- To standardowa odpowiedź udzielana na egzaminach - przyznał Brad. - Ale jedna pacjentka umarła na moich oczach po tym, jak chirurg przeciął tętnicę. Nie jest to łatwy zabieg i wymaga sporego doświadczenia. Może zaczniemy od tamponady macicy?

W drżącym głosie doktor Chang brzmiała niepewność.

- Zdawało mi się, że to jest nieskuteczne?

- Nic nie jest skuteczne, dopóki się nie spróbuje. No, dawaj.

Spojrzał na lekarkę. Widać było, że jest mocno przejęta. W takich chwilach niepewni własnych umiejętności chirurdzy szli na łatwiznę i decydowali się na wycięcie macicy. Dla kobiety, która zaszła w ciążę po raz pierwszy, było to druzgocącym ciosem. O wiele lepiej, pomyślał, wypróbować wszystkie dostępne możliwości, pod warunkiem że nie wyklucza tego stan pacjentki.

Brad związał dwa tampony i wsunął je do jamy macicy. Miał nadzieję, że ucisk od wewnątrz połączony z masażem macicy spowoduje zatamowanie krwotoku. Kiedy wszystko znalazło się na swoim miejscu, Brad zaczął energicznie ugniatać zwiotczały mięsień. Po dwóch minutach stało się jasne, że ten fortel także okazał się

nieskuteczny. Tampony zmieniły się w mokrą, szkarłatną bryłę.

- No cóż, warto było spróbować - skwitował krótko. - No to zaczynamy plan C. Jak ciśnienie?

- Skurczowe spadło do dziewięćdziesięciu - odparł anestezjolog. - Nie nadążam z uzupełnianiem płynów.

- Może spróbujemy embolizacji terapeutycznej tętnicy macicznej? - spytała doktor Chang.

- Dobra myśl - powiedział Brad - to mogłoby się udać, gdybyśmy mieli czas. Ale nie mamy. Moglibyśmy zszyć tętnice maciczne, ale jest jeszcze inna możliwość. Słyszałaś o szwie B-Lynch?

Chang pokręciła głową. Brad wyrzucił przesiąknięte krwią tampony poprosił pielęgniarkę o przygotowanie nici. Wziął siedemdziesięciomilimetrową igłę o stępionej końcówce i okrągłym przekroju, a następnie polecił siostrze nawlec katgut chromowy numer dwa. Rozglądając się po sali operacyjnej, Brad zauważył, że wszyscy patrzą na niego w skupieniu, a kilka osób wstrzymało oddech. Teraz albo nigdy.

Kiedy imadło do igieł zostało przygotowane, Brad zręcznie założył pierwszy szew pod dolnym nacięciem macicy. Poprosił doktor Chang, by w czasie szycia nie przerywała ucisku. Następnie przeciągnął nić nad macicą i poprowadził z powrotem w dół. Zamierzał ciasno owinąć nią krwawiący narząd, by ucisk był stały i jednorodny. Na koniec zawiązał końce nici w bezpieczny chirurgiczny węzeł. Macica wyglądała teraz jak okrągła paczka mocno przewiązana sznurkiem. Pozostawało tylko czekać.

Powoli, ale zauważalnie, ściśnięta macica zaczęła twardnieć. Mięsień napiął się, a niedawno jeszcze fioletowe włókna szarzały i marszczyły się w miarę ustawiania krwotoku. Brad pozwolił sobie na głębokie westchnienie. Uniósłszy głowę, zobaczył pełne ulgi spojrzenie doktor Chang.

- W samą porę - powiedział.

- Dobra robota, doktorze Hawkins - stwierdził anestezjolog. - Już zaczynałem się niepokoić. Wszystko pod kontrolą?

- Prawie. Sprawdź hematokryt, żebyśmy wiedzieli, jak stoimy z podawaniem środków krwiozastępczych. Mei Mei, zszyjesz pacjentkę?

Lekarka, wciąż rozdygotana, z wdzięcznością skinęła głową. Wyciągnęła drżącą rękę, by założyć pierwszy szew. Przy pomocy Brada szła powoli i spokojnie, najpierw zamykając macicę, a potem powięź. Następnie spięli skórę zszywkami z nierdzewnej stali. W sumie operacja trwała czterdzieści pięć minut.

Brad wziął kartę od anestezjologa i wyszedł, by wpisać do niej krótką notatkę. W pokoju pielęgniarek jedna z siostr powiedziała mu, że wreszcie udało się złapać Summersa i spytała, czy ma go wezwać do szpitala. W pierwszej chwili Brada korciło, by podnieść słuchawkę i powiedzieć temu kretynowi, co o nim myśli. W końcu jednak powściągnął gniew. Może to lepiej dla pacjentki, że nie dostała się w ręce Summersa, którego umiejętności były mocno wątpliwe.

Po wpisaniu swoich uwag do karty Brad podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę, by połączyła go z gabinetem Nbele. Telefon zadzwonił trzy, potem cztery razy. Nikt nie odbierał. To dziwne, pomyślał Brad. Może poszli kogoś odwiedzić albo wędrowali korytarzami szpitala. Tak czy inaczej, musi jeszcze omówić parę spraw z doktor Chang.

W sali operacyjnej pielęgniarki nakładały sterylne opatrunki na brzuch pacjentki. Wkrótce rurka dotchawicza została wyjęta z gardła Melissy Alexander. Kiedy tylko kobieta zaczęła oddychać samodzielnie, przeniesiono ją na nosze i zawieziono do sali pooperacyjnej. Stan dziecka uległ wyraźnej poprawie; malec leżał już w sali dla noworodków.

Brad omówił pooperacyjne zalecenia z doktor Chang. Poziom hematokrytu u pacjentki spadł z trzydziestu sześciu - tyle wynosił przed operacją - do dwudziestu trzech. Jednak objawy czynności życiowych były w normie, a kobieta otrzymywała dużo płynów i wyglądało na to, iż można się wstrzymać z transfuzją. Brad polecił wykonać badania krzepliwości. Jeśli wyniki będą w normie, prawdopodobnie nic złego tej nocy już się nie wydarzy.

Po piętnastu minutach Brad znów spróbował dodzwonić się do gabinetu Nbele. Minęła już godzina od chwili, kiedy zostawił syna pod jego opieką; może, znudzeni czekaniem, zdecydowali się przyjść tutaj, pod salę porodową.

I tym razem nikt nie podniósł słuchawki. Brad, zaniepokojony, postanowił osobiście sprawdzić sytuację.

Wiedział, że gabinet Nbele znajduje się w pobliżu kostnicy. Pora była dość późna, na opustoszałych korytarzach panował chłód. Brad odszukał właściwe drzwi. Zapukał, ale nikt nie odpowiadał. Nacisnął kłamkę. Drzwi się otworzyły.

Ku jego zdumieniu w gabinecie panowały ciemności. Brad wymacał włącznik światła i jarzeniówki rozbłysły, ukazując pusty pokój. Rozejrzał się, coraz bardziej zaniepokojony. Gdzie oni mogą być, u licha? Przecież niedługo zaczyna się jeden z ulubionych programów Mikeya; nie przegapiłby go za nic w świecie. Brad ogarnął

spojrzeniem wewnątrz gabinetu. Nagle zauważył leżącego pod biurkiem Gamę Boya.

Serce Brada zaczęło bić mocniej. Michael nigdy nie rozstawał się ze swoją grą. Działo się tu coś dziwnego. Brad pospiesznie wyrwał kartkę z kalendarza stojącego na biurku. "Nbele" - napisał - proszę, zadzwoń na mój pager albo na numer sali porodowej, kiedy tylko wrócicie!". Na dole złożył swój podpis i zanotował aktualną godzinę. Następnie przyczepił kartkę do drzwi.

Odetchnął głęboko. Uspokój się, powiedział sobie. Muszą być gdzieś w szpitalu. Pewnie krążą po korytarzach, snując opowieści o obcych lądujących na afrykańskich równinach.

Wjechał windą z powrotem na siódme piętro, w nadziei, że tam ich znajdzie - Michaela nie mogącego doczekać się powrotu do domu i Nbele stojącego ze skruszoną miną. Wypadając na korytarz przez wahadłowe drzwi, Brad pospiesznie się rozejrzał. Zobaczył tylko zwrócone ku niemu zdumione twarze. Szybko wypytał pielęgniarki o swojego syna i Nbele, ale żadna ich nie widziała.

Brad szybkim krokiem podszedł do windy i zaczął niecierpliwie wciskać guzik. Najpierw zajrzał do holu głównego, potem do kafeterii, by w końcu wrócić do gabinetu Nbele. Kartka była tam, gdzie ją zostawił, nietknięta. Zaczynał tracić panowanie nad sobą.

- Na litość boską, Michael, teraz to ci się naprawdę dostanie! - wymamrotał pod nosem.

Godziny wizyt dobiegły końca i większość odwiedzających poszła do domu. Brad wybiegł ze szpitala w zapadające ciemności, w nadziei, że zobaczy Michaela i Nbele, oglądających gwiazdy. Jednak tam też ich nie było. Może poszli do jego samochodu? No tak, przecież to oczywiste! Przebiegł przez lądowisko helikopterów i wpadł na parking dla lekarzy. Zbliżając się do swojego samochodu, stopniowo zwalniał kroku. W pobliżu nie było żywej duszy.

- Mikey! - krzyknął na całe gardło. - Mikey, gdzie jesteś, do cholery?

- W czym mogę panu pomóc, doktorze Hawkins? - rozległ się głos w ciemności.

Brad obrócił się na pięcie i zobaczył Sue Frankel, strażniczkę uniwersytecką i jego wieloletnią pacjentkę.

- Sue, zaraz mnie szlag trafi! - powiedział, przeczesując palcami włosy. Nie mogę znaleźć syna. Zostawiłem go przed godziną pod opieką Nbele...

- Tego Afrykanina, który pracuje na patologii?

- No właśnie - przytaknął Brad. - Nbele pilnował go, kiedy ja kończyłem

cesarkę. Ale to było przeszło godzinę temu i nie mogę ich nigdzie znaleźć, i...

- Chwileczkę, panie doktorze, niech się pan uspokoi - powiedziała Sue, unosząc dłonie. - W przyrodzie nic nie ginie. Był pan w gabinecie Nbele?

- Tak, dwa razy. Znalazłem tylko Game Boya Mikeya. On nigdy nie rozstaje się z tą zabawką!

- Dobrze, oto, co zrobimy - powiedziała Sue uspokajającym tonem. - Pójdziemy razem do jego gabinetu, dobrze? A potem obszukamy cały szpital, od dołu do góry.

Brad ruszył za nią, zirytowany własną niecierpliwością, próbując walczyć z ogarniającym go strachem. Wyjaśnił Sue, że jego syn nigdy dotąd nie zachowywał się nierozważnie. A Nbele? Co on sobie myśli?! Brad uświadomił sobie, że zaczyna mówić bez ładu i składu. Na korytarzach szpitala nie było żywej duszy. Na drzwiach gabinetu Nbele wciąż wisiała nietknięta kartka. Brad porwał shichawkę i szybko wykręcił numer sali porodowej. Nikt z personelu nie widział Mikeya.

Sue Frankel wyjęła telefon komórkowy i przez chwilę z kimś rozmawiała. Wkrótce wszyscy strażnicy w szpitalu zostali postawieni w stan gotowości. Po kilku sekundach z głośników popłynęło wezwanie, by Nbele i Michael Hawkins zadzwonili do biura ochrony. Potem Sue i Brad wjechali na osiemnaste piętro i rozpoczęli obchód szpitala.

Trwało to przeszło godzinę. Michael i Nbele przepadli jak kamień w wodę. Nerwy Brada były napięte jak postronki. Bał się, że Michaelowi coś się stało, że leży gdzieś bezbronny, rozpaczliwie wzywając pomocy. Brada ogarniało poczucie zatrwającej bezsilności i choć wiedział, że jego obawy prawdopodobnie nie są uzasadnione, nie mógł się ich wyzbyć.

Co kilka minut dzwonił do sali porodowej, gabinetu Nbele i szefa ochrony. Wreszcie jeden ze strażników wpadł na pomysł, by poszukać samochodu Nbele. Po dziesięciu minutach znaleźli go na parkingu. Maska była zimna.

- Jest pan pewien, że nie zabrał gdzieś pańskiego syna? - spytała Sue.

- Nbele? Skąd, to człowiek godny zaufania! - Brad, zagubiony, potarł obolałe czoło. - Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Czy pański syn ma klucz do domu? Może pojechali tam taksówką.

Dlaczego sam na to nie wpadł? Brad skłął się w duchu i porwał słuchawkę najbliższego telefonu. Ściskając ją tak mocno, że kostki mu zbieleły, wykręcił numer domowy. Przeczekał trzy sygnały, potem czwarty, aż wreszcie włączyła się automatyczna sekretarka. Niecierpliwie wstukał kod pozwalający na odsłuchanie

wiadomości.

Była tylko jedna. Brad poblądł i powoli opuścił słuchawkę. Jego ręka drżała, a w głosie brzmiał strach.

- Porwali mi syna - powiedział cicho.

## ROZDZIAŁ 18

Morgan pojechała do Brada, gdy tylko do niej zadzwonił. Zaraz za drzwiami wzięła go w ramiona i przytuliła mocno, próbując choć trochę uśmierzyć jego ból, pomóc mu, tak jak on pomógł jej, gdy tego potrzebowała.

Kiedy usiedli przy stole w kuchni, Brad powiedział jej, jak wygląda sytuacja. Wiadomość była krótka i zwięzła: jeśli chce, by jego syn żył, musi przestać węszyć wokół AmeriCare. Rozmówca powiedział, że jeszcze zadzwoni, po czym odłożył słuchawkę.

- Poznałeś jego głos? - spytała Morgan.

- Nie, mówił z obcym akcentem. - Zawiesił głos. - Ale jestem pewien, że gdzieś go już słyszałem.

- Nie był to Nbele?

- Nie, na pewno nie - powiedział Brad, kręcąc głową. - Mówił podobnie, ale to nie był on. Nbele nie jest taki. Przynajmniej tak myślę. Powierzyłem mu Mikeya.

- Właściwie jak dobrze go znasz?

- Tak jak wszyscy - powiedział, wzruszając ramionami. - Jest odludkiem.

- No to kto dzwonił?

Brad przybrał na twarz zacięty wyraz.

- Czy to nie oczywiste? Ten sukinsyn Britten, tylko że zmienił głos! Parszywy drań.

- Ale porwanie? Wiem, że to dziwak, chyba jednak nie jest aż tak szalony.

- Nie? Sama mówiłaś, że jest bezwzględny! W tej chwili trawi go wściekłość. Poza tym żyje złudzeniami. Pamiętasz, jak się wściekł, kiedy nie został wybrany szefem systemu szkolnictwa wyższego? Wierz mi, on jeszcze nie powiedział ostatniego słowa!

- Ale przecież to nie ma nic wspólnego z tobą.

- Nie - przyznał Brad - ale z tobą owszem. Ta scenka w twoim domu musiała do reszty wytrącić go z równowagi. Pomyśl tylko: musiał podwinąć ogon i dać dyla. To dopiero było upokorzenie. Postanowił się więc odegrać!

- Czyli nie wierzysz, że to ma związek z twoim zainteresowaniem AmeriCare?

- Nie, Morgan, to sprawa osobista, między nim a mną.

- No to co zrobisz? Co radzi policja? Brad odwrócił wzrok.

- Jeszcze niczego im nie powiedziałem.

- Co?! - spytała z niedowierzaniem. - Brad, nie możesz tego przed nimi



ukrywać!

- I nie zamierzam, ale jest za wcześnie, żeby ich do tego mieszać. Policjanci nie sprawdzają zgłoszeń o zaginionych osobach, dopóki nie minie przynajmniej...

- Tu nie chodzi o zaginięcie, tylko o porwanie!

- Wiem, ale co miałbym im powiedzieć? Że jakiś zakochany maniak, który nieszczęśliwym trafem jest znanym na całym świecie ekonomistą, próbuje mi się dostać do skóry? Chryste, zamknęliby mnie, a nie jego! - Brad odetchnął głęboko, próbując się uspokoić. - Morgan, wiesz dobrze, że jestem równie wściekły jak ty, a może nawet bardziej. Chodzi o mojego syna. Ale muszę załatwić to po swojemu!

- Powiedziałeś pani Frankel, co się stało, prawda?

- Ochrona zgodziła się poczekać z powiadomieniem policji do rana.

- Myślę, że głupio postępujesz - powiedziała Morgan - ale decyzja należy do ciebie. Mam nadzieję, że przygotowałeś jakiś plan.

- Najpierw znajdziemy Nbele, a potem tego kretyna Brittena. W taki czy inny sposób odzyskam syna!

- Powinieneś zostawić to zawodowcom - upierała się Morgan. - Amatorzy, choćby mieli najlepsze zamiary, tylko pogarszają sytuację. - Mówiąc to, uprzytomniła sobie, że chodzi o życie jego syna, i ugryzła się w język. Bardzo chciała mu pomóc, w końcu więc wymogła na nim tę samą obietnicę, którą złożył Sue Frankel: jeśli nie znajdzie Mikeya do rana, zadzwonią na policję.

Brad przeczcił notatnik w poszukiwaniu numeru telefonu i adresu Nbele. Choć kilkakrotnie dzwonił tam ze szpitala, postanowił spróbować raz jeszcze. Nikt nie podniósł słuchawki. Zirytowany, wyjął kasetę z automatycznej sekretarki i wszedł z Morgan do samochodu.

Była już prawie północ. Ruszyli na wschód, w stronę zalesionych, słabiej zaludnionych obszarów w North Shore. Siedząca obok Morgan odszukała adres Nbele na planie miasta. Dom stał przy słabo oświetlonej ślepej uliczce. Brad zatrzymał wóz.

Powoli wysiedli z samochodu i ostrożnie ruszyli przed siebie wąskim chodnikiem. Dom z drewnianym gontem tonął w ciemnościach. Brad nacisnął klamkę. Ku jego zdumieniu drzwi się otworzyły. Pchnął je.

- Nbele? - krzyknął. - Jest ktoś w domu? Mikey, to ja, tata!

Nie było odpowiedzi. Morgan weszła do środka za Bradem i wymacała na ścianie włącznik światła. Błada, żółtawa poświata zalała pokój, który okazał się

małym, skąpo umeblowanym salonem. Brad przeszedł wąskim korytarzem do pustej jadalni i, zniecierpliwiony, otworzył wahadłowe drzwi.

Pomieszczenie, w którym się znalazł, było pogrążone w mroku. Brad podejrzewał, że to kuchnia. W powietrzu wisiał lekko gryzący odór marihuany. Brad ostrożnie ruszył do przodu, próbując nie stracić orientacji w ciemnościach. Nagle pośliznął się na czymś mokrym.

Zwalił się całym ciężarem na podłogę i przez chwilę nie mógł złapać tchu. Kiedy leżał w bezruchu, chwytając powietrze, Morgan włączyła światło. Brad, wciąż nieco oszołomiony upadkiem, dopiero po kilku sekundach w pełni doszedł do siebie. A tym, co go otrzeźwiło, był mrozący krew w żyłach krzyk Morgan.

Była blada, a z jej szeroko otwartych oczu wyzierało przerażenie. Wskazywała coś drżącym palcem. Brad z trudem usiadł na podłodze i obejrzał się. Wtedy i jemu zaparło dech w piersiach.

To, na czym się pośliznął, było kałużą krzepnącej krwi, gładkająk plama oleju. Krew wylewała się z ludzkiej głowy.

Mężczyzna leżał na brzuchu z rękami nieudolnie związanymi sznurkiem na plecach. Jego potylicą została rozplątana wielkim nożem, którego metalowe ostrze tkwiło w czaszce. Krew z rozległej rany ściekała po policzku i szyi, zbierając się na posadzce. Podnosząc się na kolana, Brad zauważył, że to Nbele.

Jego oczy były na wpół otwarte, zwrócone ku podłodze. Brad spostrzegł, że białka już wyschły. Na szyi nie wyczuł pulsu, a pierś się nie poruszała.

Pod wpływem adrenaliny i strachu Brad zerwał się na równe nogi i wybiegł z kuchni. Morgan ruszyła za nim. Brad przemierzył cały dom, wołając Michaela, lękając się tego, co może zobaczyć. Ale wszystkie pokoje były puste. Zatrzymał się dopiero pod drzwiami frontowymi. Ciężko oddychał, a serce waliło mu jak młotem. Zdał sobie sprawę, że musi zebrać myśli. Zaczerpnąwszy tchu, położył dłoń na ramieniu Morgan i ścisnął je lekko, jakby chciał dodać jej otuchy. Nie mógł jednak ukryć bólu brzmiącego w jego głosie.

- Gdzie on jest, do cholery?

- Znajdziemy go, nie martw się, ale musimy działać logicznie. Brad niechętnie skinął głową. Nie mogli bez sensu biegać w kółko.

- Najpierw zadzwonimy anonimowo na policję i powiemy o Nbele - powiedział stanowczym tonem.

- Chcesz, żebym ja to zrobiła? - spytała Morgan.

- Dobry pomysł. Lepiej, żeby nie mieli nagrania mojego głosu. Potem znajdziemy tego sukinsyna Brittena. Jestem pewien, że to on stoi za tym wszystkim. Mamy dużo pytań, a on zna odpowiedzi. - Zawiesił głos. - Oby tylko był u niego mój syn.

Po kilku minutach Brad i Morgan znów jechali samochodem, usiłując dojść do ładu z tą okropną sytuacją.

- W oczach tego świra Brittena - powiedział Brad - jestem facetem, który odebrał mu dziewczynę i zrobił z niego pośmiewisko. Myśli tylko o zemście, nic innego się dla niego nie liczy.

- To prawda - stwierdziła Morgan - ale ja ciągle staram się to zobaczyć w szerszej perspektywie.

- Nie ma szerszej perspektywy, Morgan. Chodzi o zemstę i tyle.

- Wiem, ale co z możliwym związkiem między zgonami noworodków i AmeriCare?

- A co to ma wspólnego z Michaeliem?

- Nie czytałeś e-maila, którego ci wysłałam?

Brad potrząsnął głową. Zaczęło padać, włączył więc wycieraczki. Patrząc przez mokrą szybę na biegnącą przed samochodem jezdnię, Morgan opowiedziała Bradowi o swoim spotkaniu z Danielem Morrisonem i o tym, jak zazdrośnie bronił dostępu do danych na temat stanu posiadania członków zarządu.

- Najwyraźniej informacje te nie były przeznaczone dla ludzi z zewnątrz - powiedziała. - Brad, on dosłownie wpadł w szal. Teraz już wiemy, że Britten ma powód, by chcieć śmierci tych dzieci. Wszystko sprowadza się do pieniędzy.

- No dobrze, ale po co miałby uprowadzać mojego syna?

- Nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że Morrison i Britten są ze sobą w zмовie - stwierdziła Morgan. - Britten wie, że widziałam prognozy finansowe firmy, a Morrison przyłapał mnie na studiowaniu stanu posiadania członków zarządu i doradców.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ponieważ wiedzą o naszym związku i zdają sobie sprawę, że znamy motywy ich działania, chcą uciszyć nas oboje? A jeśli zgodzimy się milczeć, oddadzą mi Michaela?

- Wiem, że to wydaje się absurdalne, ale tak samo myślałam o twojej hipotezie dotyczącej AmeriCare.

Brad doskonale to pamiętał. Morgan była wówczas równie sceptyczna jak on w

tej chwili.

- Mimo wszystko, żeby od razu porywać niewinne dziecko... - nie ustępował. - Przecież to inteligentni, zamożni, wykształceni ludzie, a nie zwykli przestępcy.

Przez kilka minut nie odzywali się do siebie i jedynym przerywającym ciszę dźwiękiem było skrzypienie wycieraczek.

- A Nbele? - spytał nagle Brad. - Czy on odegrał w tym wszystkim jakąś rolę? Skoro został zamordowany, można by pomyśleć, że nie, ale... Czy możliwe jest, by Britten go znał? Czy to Nbele porwał Michaela na jego rozkaz?

Wyobraźnia znów podsunęła Bradowi obraz Michaela, przemarzniętego, osamotnionego, wzywającego pomocy ojca. Zamknął oczy i pokręcił głową.

Za dużo tych pytań, pomyślał. Tym, czego rozpaczliwie potrzebowali tej ciemnej, ponurej nocy, były odpowiedzi, ale na razie mieli przed sobą tylko piętrzący się stos zagadek.

Minęła północ. Nuru Milawe pędził jak szalony, kierując się w stronę Manhattanu. Jechał wynajętym fordem taurusem, jako że jego furgonetka ciągle jeszcze była w warsztacie, i musiał zdążyć na pierwszą do East Village, gdzie umówił się na spotkanie.

Stres coraz bardziej dawał mu się we znaki. Za dużo rzeczy działo się naraz. Był piątek, Nuru powinien więc pracować od trzeciej do jedenastej w Szpitalu Uniwersyteckim North Shore jako technik od respiratorów. Dziś jednak zgłosił, że jest chory, bo Britten zlecił mu specjalne zadanie.

Nuru zawsze przyjmował jego zlecenia z zadowoleniem, bo dobrze na nich zarabiał. Umieszczając roztocza w tytoniu doktora Schuberta - nic łatwiejszego - stał się bogatszy o dziesięć tysięcy dolarów. Uprowadzenie syna lekarza nie sprawiło mu najmniejszych trudności. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce do rąk Nuru trafi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Ale, ach... z zadaniem tym wiązała się jeszcze jedna korzyść. Przez prawie czterdzieści osiem godzin Nuru nie spuszczał z oka doktora Hawkinsa i jego syna. Było to dla niego czymś naturalnym; już w dzieciństwie, w Afryce, zajmował się tropieniem zwierząt. Kiedy polecono mu przystąpić do działania, odpowiednia po temu okazja nadarzyła się niemal natychmiast, kiedy doktor przywiózł syna do szpitala i zostawił go z Nbele.

Nbele! Imię jego kuzyna budziło w nim strach i nienawiść. Obaj zostali

wychowani w tym samym szczepie Masajów. Nbele był dwa lata starszy od Nuru i doskonale się czuł w roli starszego, bardziej odpowiedzialnego członka rodziny; zawsze pouczał młodszego kuzyna, co mu wolno, co nie, i jak powinien się zachowywać.

Świętoszek, myślałby kto! Nic, tylko: Nuru, nie bierz narkotyków, Nuru, jesteś nie lepszy niż amerykański ćpun z ulicy. Ciągłe próbował go upokorzyć! W dodatku nie pozwalał Nuru zapomnieć, że to on, Nbele, załatwił mu pracę w Szpitalu Uniwersyteckim.

Teraz to już przeszłość. Nbele nigdy więcej nie narobi mu wstydu.

Mijając granicę miasta, wciąż na lekkim haju, Nuru uśmiechnął się do siebie. Wszystko poszło mu nadspodziewanie łatwo. Kiedy zastał swojego kuzyna z chłopcem w gabinecie, wystarczyło, że wyjął simi i przyłożył ostrze do gardła małego. Nigdy nie zapomni miny Nbele. Nie był już tak skory do wygłaszania kazań, ba, trząsł się jak galareta.

Początkowo zamiary Nuru nie wykraczały poza uprowadzenie chłopca. Kiedy jednak zobaczył strach w oczach swojego kuzyna, postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. W samochodzie trzymał chłopcu nóż na gardle, zmuszając Nbele, by zawiózł ich do swojego domu. Zaczekał, aż ten nabożny obłudnik ukorzy się przed nim, po czym wysłał go do ziemi przodków. Następnie zawłókł Michaela do swojego domu. Tam, dzięki obfitym zapasom afrykańskich narkotyków roślinnych, mógł trzymać go tak długo, jak to będzie konieczne. Michael zapadł w głęboki sen i miał się obudzić dopiero za kilka godzin. Jak dotąd, pomyślał Nuru, to bardzo udana noc. Jeszcze tylko jedna sprawa do załatwienia i będzie mógł triumfalnie wrócić do domu.

Pilotowany przez Morgan, Brad skręcił w ulicę, przy której stał dom Brittena. Wyłączył światła i ostatnie sto metrów przejechał w ciemności. Zgasił silnik. Przez chwilę razem z Morgan w milczeniu obserwowali dom. Na podjeździe stały dwa samochody. Morgan poznała wóz Brittena, ale nie wiedziała, kto jest właścicielem dużego mercedesa. Mimo późnej pory światła w domu były zapalone. Brad, zdecydowany uzyskać odpowiedzi na dręczące go pytania, wyciągnął rękę do klamki.

Morgan chwyciła go za ramię.

- Zastanówmy się, Brad.

- Nad czym mamy się zastanawiać? Chcę odzyskać syna!

- Myślisz, że to ci się uda, jeśli wpadniesz do środka i powiesz "Dzięki, że się

nim zaopiekowałaś"? - Mówiła spokojnym, opanowanym tonem. -Britten nie jest na tyle głupi, by trzymać Michaela w swoim domu.

- Nie zamierzam siedzieć beczynnie, kiedy życie mojego syna jest w niebezpieczeństwie!

- Chodzi mi tylko o to, że nie powinieneś zachowywać się jak słoń w składzie porcelany. Wiem, że chcesz skrócić Brittenowi kark, ale na razie to on ma wszystkie atuty w ręku.

Brad zdał sobie sprawę, że Morgan ma rację. Poza tym Britten nie był sam.

- Jak myślisz, kto jest u niego?

- Jest jeden sposób, żeby to sprawdzić. Gotowy?

Brad odetchnął głęboko, skinął głową i otworzył drzwi samochodu. Razem z Morgan podeszli do drzwi frontowych. Już miał wcisnąć dzwonek, kiedy zauważył, że są otwarte. Pchnął je i weszli do środka.

Morgan pamiętała hol ze swojej poprzedniej wizyty, ale wtedy zwróciła uwagę głównie na makabryczną kolekcję gospodarza. Teraz po lewej stronie zauważyła przestronny, jasno oświetlony salon. Na sofie siedzieli Britten i Morrison, patrząc z zadowoleniem na nieproszonych gości.

Morgan i Brad zatrzymali się w pół kroku, bynajmniej nie zaskoczeni. Britten i Morrison: czyż nie to właśnie podejrzewali?

- Proszę, wejdźcie - powiedział Britten ze sztuczną wesołością. - Spodziewaliśmy się was. Napijcie się czegoś?

- Zamknij się, draniu! - krzyknął Brad. - Gdzie mój syn? Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Brittena, który pochylił się, przybierając zaciętą minę.

- Drań, powiadasz? Wiedz, że ten "drań"...

- Hugh, spokojnie - ostrzegł go Morrison. - Nie widzisz, że on próbuje cię sprowokować?

- Coś ty za jeden? - rzucił Brad.

- Daniel Morrison. Jestem prezesem AmeriCare.

- A więc to ty jesteś Morrison, tak? - wycedził Brad. - Zabijanie dzieci ci nie wystarcza? Postanowiłeś sprawdzić, jak sobie poradzisz z porwaniem?

- Hugh uprzedził mnie, że pan i doktor Hawkins prawdopodobnie tu wpadniecie - odpowiedział spokojnie Morrison. - Skoro już jesteście, nie widzę powodu, by obrzucać się pomówieniami. Po prostu powiedzcie nam, co wiecie.

- Wszystko! - warknął Brad. - Ale za cholereę wam nie powiemy, dopóki nie

odzyskam Michaela!

Morrison nie dał się sprowokować.

- Dla formalności, chcę zaznaczyć, że nie mam najmniejszego pojęcia, o co panu chodzi.

- Słuchaj, ty parszywy...

- Brad - prosiła Morgan - uspokój się.

- Trafna sugestia - powiedział Morrison. - Szkoda, że nie była pani równie | ostrożna w swoich poczynaniach wobec naszej firmy, doktor Robinson. Cóż, jeśli rzeczywiście zaginął syn doktora Hawkinsa, być może wspólnie znajdziemy jakiś sposób na odnalezienie go. Oczywiście, mówię tylko hipotetycznie.

- Słuchamy - powiedziała Morgan.

- Jak już wspominałem - ciągnął Morrison - chcę, żebyście mi powiedzieli, co wiecie albo podejrzewacie. Możecie zacząć od tego, co doktor Hawkins rozumie przez "zabijanie dzieci".

- A jeśli to zrobimy? - spytał Brad.

- Podejrzewam, że w takim przypadku pański syn mógłby się w najbliższym czasie odnaleźć cały i zdrowy.

Brad kipiał gniewem, ale był to gniew przytłumiony poczuciem bezsilności. Rozglądając się po pokoju, uprzytomnił sobie, że Morgan ma rację. Tu nie znajdzie swojego syna. Britten i Morrison byli górą. Brad wiedział, że nie ma wyboru. Zwracając się do Morgan, przełknął wzbierającą mu w gardle żółć i powoli skinął głową.

Nie było sensu kręcić. Morgan powiedziała Morrisonowi, co chciał wiedzieć. Prezes AmeriCare wysłuchał jej w zamyśleniu, z wydętymi wargami i zmrużonymi oczami.

- Bardzo ciekawe - powiedział w końcu. - Nie przeczę, że niektórzy z nas mogli odegrać pewną rolę w kształtowaniu liczby aborcji i porodów terminowych. Szczerze mówiąc, sądzę, że mielibyście spore trudności z wykazaniem, iż jest w tym coś złego. Robią to wszystkie firmy zajmujące się zarządzaniem ochroną zdrowia, czy się do tego przyznają, czy nie. Niektórzy mogliby nawet powiedzieć, że obowiązkiem dobrze prowadzonej firmy jest ograniczanie kosztów przez korygowanie własnej polityki. Z drugiej strony lepiej, żeby opinia publiczna o tym nie wiedziała, prawda?

- Ani o tym, że zabijaliście bezbronne noworodki - dodała Morgan. Morrison pokręcił głową.

- To zupełnie co innego. Mikroskopijne owady i niewydolność układu oddechowego, co za absurd! Nic nam o tym nie wiadomo. Przyznaję, śmierć tych dzieci przyczyniła się do poprawy sytuacji finansowej firmy, ale to tylko zbieg okoliczności. Wola boża, można by powiedzieć.

- Jesteś pieprzonym kłamcą - wyszczał Brad przez zaciśnięte zęby.

- Jak sądzę, macie dowody przeciwko nam? - ciągnął Morrison ze spokojem. - Jedno z was widziało doktora Brittena, mnie albo któregoś z naszych podwładnych, gdy wkładali te robale do dróg oddechowych noworodków?

Morgan spojrzała znacząco na Brada. Opowiadając o tym, czego dowiedzieli się na temat AmeriCare, nie wspomniała o Simonie Crandallu i jego podejrzeniach dotyczących pochodzenia owadów.

- Nie? Tak mi się wydawało. To nedorzeczne zarzuty, które uwłaczają mojej godności. Ale prasa uwielbia takie sensacyjki. Dlatego zapewne nie będziecie zaskoczeni tym, że w chwili, gdy dzisiejszego wieczoru doktor Robinson opuściła siedzibę firmy, plik znany jako "Pozycje kierownicze" przestał istnieć. Oprócz Komisji Papierów Wartościowych i Giełd nikt już nie posiada dokumentu określającego, kto najwięcej zyska na zmianie finansowej sytuacji firmy. Zaskoczyć was natomiast może fakt, że każde z was jest dumnym posiadaczem stu tysięcy akcji AmeriCare.

- Co? - spytała Morgan.

- Tak, mam tu dokument - ciągnął Morrison - który potwierdza, że przed rokiem dokonaliście zakupu walerów firmy. Myśleliście wówczas, że ich cena osiągnęła najniższy poziom i od tej pory zacnie rosnąć. Niestety, akcje nadal traciły na wartości, co bardzo was zaniepokoiło. Dlatego też, jak na zdesperowanych kochanków przystało...

- Ty draniu! - warknął Brad.

- ...wymyśliliście sposób na uzdrowienie sytuacji finansowej firmy -mówił Morrison ze spokojem. - Pan, doktorze Hawkins, napisał nawet list do swojej kochanki, będący dowodem waszej winy. - Podniósł kartkę papieru. -Nieprzyjemna sprawa, trzeba przyznać. Niestety, zapomniał pan go podpisać, ale jestem przekonany, że przed wyjściem naprawi pan to niedopatrzenie.

Zaciskając pięści, Brad zrobił krok do przodu.

- Nigdzie nie pójde bez mojego syna!

- Ależ pójdzie pan, pójdzie - powiedział spokojnym tonem Morrison. -Jeśli pan to zrobi, pański syn prawdopodobnie w końcu się odnajdzie. Jego los jest w pańskich



rękach.

Hawkins wrzał gniewem, ale się nie odezwał. Po chwili Morgan wzięła go za rękę i delikatnie zwróciła ku sobie.

- Brad, podpisz to - szepnęła. - Nie mamy wyboru.

- Niczego nie podpiszę!

- Posłuchaj mnie. W tej chwili najważniejsze jest, żebyś odzyskał Michaela, dlatego musisz zrobić, co ci każą i podpisać to! Oboje dobrze wiemy, że wymuszone przyznanie się do winy to żaden dowód, więc co ci zależy? Musimy zyskać na czasie.

Z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę Brad zwrócił się twarzą do Morrisona. Jeśli to podpiszę, jaką mam gwarancję, że odzyskam Michaela?

- Żadnej - powiedział Morrison, wyciągając w jego stronę długopis. - Ale jeśli pan to zrobi, kto wie, może jutro się z panem skontaktujemy.

Brad wbił w niego wściekłe spojrzenie. Boże, ten człowiek doprowadzał go do szoku! Nie ulegało jednak wątpliwości, że Morrison i Britten wygrali tę potyczkę. Dusząc w sobie złość, Brad podszedł do stołu. Podpisał się na dole kartki maszynopisu, nawet go nie czytając, po czym z obrzydzeniem odrzucił długopis.

- Chodźmy stąd - powiedział, biorąc Morgan za rękę. Kiedy pociągnął ją za sobą do drzwi, Britten, dotąd dziwnie milczący, podniósł się z sofy.

- Jeszcze jedno, doktorze Hawkins.

- Co znowu? - powiedział Brad zirytowany. Britten uśmiechnął się. - Morgan zostaje.

- Odbiło ci! - krzyknął. - Być może, ale to jeden z warunków umowy. Wszystko albo nic.

- I jak długo miałaby tu zostać?

- Na jedną noc. Co najmniej - powiedział Britten, nieporuszony. - Będę dla niej wyjątkowo gościnnie. Nie będę zdziwiony, jeśli jutro okaże się, że sama chce tu zostać.

- Z tobą? - Brad zacisnął pięści. - Mało prawdopodobne!

- Brad, proszę! - powiedziała Morgan w obawie, że dojdzie do rękoczynów. Przerażała ją myśl, że zostanie sama z Brittenem i Morrisonem. Jednak przemoc nic by nie dała. - Nie martw się, nic mi nie będzie - uspokajała Brada. - Idź już! Jutro porozmawiamy.

Brad zawahał się; bał się ją tu zostawić, ale jednocześnie nie chciał zrobić czegokolwiek, co mogłoby zagrozić bezpieczeństwu Michaela.

- Jeśli włos spadnie z głowy jej albo Mikeya, pożałujecie tego! - powiedział

wreszcie z kamienną twarzą.

- Tak, tak, oczywiście - odparł Morrison z drwiącym uśmiechem i wskazał dłonią drzwi. - A teraz, jeśli nie ma pan już nic więcej do powiedzenia...

Morgan zmusiła się do uśmiechu, ale jej podbródek drżał, a do oczu napłynęły łzy. Brad Hawkins spojrział na nią, po czym odwrócił się i wyszedł.

Nuru jechał East River Drive na południe, aż dotarł na Lower East Side. Celem jego podróży był mały, niedawno otwarty sklepik z kośćmi pod nazwą "Kręgosłupiarnia". Nuru był ważną personą w tej branży i obilo mu się o uszy, że sklep poszukuje dostawcy. Odbił kilka rozmów z kim trzeba, sygnalizując, jakim dysponuje towarem. Większość wstępnych negocjacji toczyła się przez pośrednika; Nuru musiał zorientować się, czy nabywca jest poważnie zainteresowany zawarciem transakcji i jakie ceny może zaoferować. Ostatnia faza rozmów miała się odbyć w cztery oczy, z prezentacją potencjalnemu klientowi próbek towaru.

Nuru nie wziął najciekawszych okazów. Na początku najważniejsze było wyrobienie sobie reputacji solidnego dostawcy. W tym celu wiozł ze sobą wartościowe, choć nie unikalne, eksponaty ze swojej kolekcji: szkielet indiańskiego dziecka, szczątki pigmejskiego wojownika ze śladami ran klutych i kilka czaszek z kambodżańskich Pól Śmierci. Towar był schludnie zapakowany i oznakowany. Potem, w zależności od stanu konta nabywcy, Nuru mógł zaoferować mu bardziej egzotyczne okazy.

Znalazł sklepik o pierwszej piętnaście, kwadrans po ustalonej porze spotkania. Latarnie dawały niewiele światła i ulica tonęła w mroku. Nuru zatrzymał taurusa i rozejrzał się po okolicy. Wyglądało to, że wszystko jest w porządku. W myśli obliczył, że negocjacje zajmą mu pół godziny, co oznaczało, że zdąży wrócić do domu, zanim chłopak się ocknie. Zamknął samochód, otworzył bagażnik i wyjął skrzynię ze szczątkami indiańskiego dziecka.

W sklepie, do szyby wystawowej podszedł mężczyzna, który ostrożnie wyjrzał na ulicę. Był ubrany w niebieską bluzę, z dużymi żółtymi literami tworzącymi napis "Policja", na głowie miał czapkę bejsbolówkę.

- Mamy gościa, Kev - powiedział cicho, zwracając się w stronę zaplecza sklepu.  
- Czarny mężczyzna, jest sam.

- Ma towar? - spytał detektyw Riley.

- Na to wygląda. Coś niesie.

- Pozwól mu dojść do lady - powiedział Riley. - Wtedy go zdejmujemy.

Kilka godzin wcześniej władze federalne zwróciły się do policji nowojorskiej z prośbą o pomoc w doręczeniu nakazu sądowego. Istniało podejrzenie, że nowo otwarty sklep rozpoczął działalność dzięki pomocy mafii.

Według informacji policji po północy miała tam zostać zawarta jakaś transakcja. Korzystając z okazji, by dogodzić i sobie, i federalnym, o północy policjanci zrobili nalot na sklep i aresztowali właściciela.

Facet był sam i wyraźnie się denerwował. Miał przy sobie dużą ilość gotówki. Kiedy został skuty, od razu zamilkł. Choć było już późno, Riley postanowił poczekać ze swoimi ludźmi w sklepie i sprawdzić, kto się tam zjawi. W tej chwili siedział przyczajony w cieniu. Odpiął kciukiem pasek kabury, by w razie potrzeby mógł szybko wyciągnąć Glocka.

Tymczasem Nuru wsunął skrzynię pod pachę i lewą ręką wyjął portfel. Coś mu się tu nie podobało. Przed wyjściem z domu zapisał sobie adres i schował go do portfela. Sprawdziwszy go raz jeszcze, położył portfel na skrzyni. Potem nacisnął wolną dłonią klamkę. Drzwi się otworzyły.

Kiedy Nuru wyszedł w mrok, szósty zmysł ostrzegł go przed groźącym niebezpieczeństwem. Było to stare, dobrze mu znane uczucie, które pamiętał z dzieciństwa, świadomość, że w pobliżu czai się drapieżca. Włosy zjeżyły mu się na karku. Nuru zatrzymał się na środku pomieszczenia. Oswajając oczy z ciemnościami, powoli się rozejrzał.

Z mroku wyskoczył mężczyzna, trzymający coś w dłoni.

- Policja, nie ruszaj się! - krzyknął. - Ręce do...

Instykt podpowiedział Nuru, że mężczyzna ma pistolet, i skłonił go do natychmiastowego działania. Zanim policjant zdążył w niego wymierzyć, Nuru szybkim ruchem ręki poderwał skrzynię do góry. Drewniane pudło zakreśliło łuk w powietrzu. Siła uderzenia wytrąciła pistolet z dłoni mężczyzny, ale ten zdążył jeszcze pociągnąć za spust. Rozległ się ogłuszający huk. Po sekundzie skrzynia trafiła mężczyznę w twarz.

Kevin Riley widział to wszystko jak przez mgłę - najpierw nastąpił oślepiający błysk, potem coś przeleciało ze świstem tuż koło jego ucha. Kiedy po ułamku sekundy odzyskał wzrok, zobaczył jednego ze swoich ludzi, zataczającego się w tył. Przedmiot, którym policjant został uderzony, powoli przeokoziolkował po podłodze. Niemal w tej samej chwili napastnik obrócił się i rzucił w stronę drzwi. Riley stracił go z oczu,

zanim zdążył wyciągnąć glocka z kabury. - Johnny! - krzyknął Riley i rzucił się naprzód. Dzwoniło mu w uszach. -Johnny, wszystko w porządku? - Policjant był nieprzytomny. - Mamy rannego! - krzyknął Riley do wpiętego w klapę mikrofonu. - Ścigany, czarny mężczyzna, jedzie na pomoc drogą Allen! - Przy wtórze trzasków z krótkofalówki Riley pochylił się, by udzielić policjantowi pierwszej pomocy.

Po piętnastu minutach na ulicy przed sklepem stało już sześć wozów policyjnych i karetka pogotowia. Pielęgniarze ostrożnie przenieśli rannego na nosze. Choć odzyskał przytomność, miał złamaną szczękę i wstrząs mózgu. Napastnikowi nic się nie stało. Po odjeździe karetki Riley wszedł z powrotem do sklepu, by obejrzeć przedmiot, który nieznajomy przyniósł ze sobą.

Obok roztrzaskanej drewnianej skrzynki leżał pogruchotany szkielet małego dziecka. Doktor Crandall będzie miał zajęcie, pomyślał Riley. Cenniejszym znaleziskiem był jednak leżący wśród szczątków portfel napastnika. Riley wyjął zeń prawo jazdy.

- Nuru Milawe - przeczytał powoli. - Nura, koleś, teraz już mi nie uciekniesz.

Brad odjechał spod domu Brittena, z trudem panując nad nerwami. Był wściekły na Morrisona, Brittena, a przede wszystkim wkurzała go jego własna bezsilność. Zawsze uważał siebie za człowieka czynu, ale teraz nie mógł praktycznie nic zrobić. Musiał czekać. Jechał do domu, zaślepiiony nienawiścią.

Próbował sobie wmówić, że Morgan będzie w stanie się obronić. Ale co z Michaeliem, na litość boską? Jego syn był tylko dzieckiem, do tej pory żył jakby pod kloszem. Rzadko bywał sam, więc jakże mógł sobie teraz poradzić? Biedny chłopak pewnie nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Na pewno jest przerażony, dezorientowany i... Brad zazgrzytał zębami, próbując odpędzić te straszne myśli. Skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. Po pewnym czasie wreszcie wjechał do swojego garażu. Przez chwilę miał nadzieję, że zastanie Michaela w domu, ale powitała go tylko pustka i cisza. Z bijącym sercem sprawdził nagrania na automatycznej sekretarce. Taśma była czysta. Brad rąbnął pięścią w ścianę i zaczął krzyczeć.

Pamięć podsunęła mu obraz Michaela, stojącego na pokładzie łodzi, z szerokim uśmiechem na twarzy i jasnymi włosami rozwiewanymi przez wiatr. Brad widział oczami duszy syna, biegającego za piłką i pochylonego w skupieniu nad Game Boyem... Boże, zrobiłby wszystko, byle odzyskać Mikeya. Jednego na pewno nie zrobi: nie będzie siedział beczynn timer. Gdyby tylko miał broń... ale nie miał. Nagle coś sobie

przypomniał i rzucił się biegiem do piwnicy. W czasie studiów Brad dorabiał sobie w wakacje, imając się różnych zawodów. Kiedyś został asystentem okręgowego strażnika przyrody. Brzmiało to dumnie, ale w praktyce sprowadzało się do odławiania bezpańskich psów. Mimo krótkiego stażu, Brad nabral sporego doświadczenia w tym fachu, a także dostał specjalny sprzęt, w tym także strzelbę do usypiania zwierząt. W jego umyśle zaczął się rysować plan.

Strzelba była właściwie ładowaną od tyłu wiatrówką. Tania, o małej mocy rażenia, przeznaczona była do usypiania małych zwierząt z odległości nie przekraczającej sześciu metrów. Brad miał jeszcze garść nabojów usypiających, będących plastikowymi strzykawkami podskórnymi z igłą na jednym końcu i lotkami na drugim. Kiedy pocisk trafiał w cel, środek uspokajający był wstrzykiwany automatycznie.

Brad wziął jeden z nabojów i obejrzał go. Wyglądało na to, że i strzelba, i amunicja nadają się do użytku. Wrzucił kilka pocisków do kieszeni, pochwycił wiatrówkę i wbiegł schodami na górę. Minutę później był już w swoim samochodzie i jechał w stronę szpitala.

Tam, w zamkniętej szafce trzymał zapas wstrzykiwanych leków uspokajających, które zazwyczaj podawał pacjentom podczas drobnych zabiegów. Najczęściej korzystał z valium i demerolu; teraz jednak chciał wziąć ketaminę, środek znieczulający szeroko rozpowszechniony wśród narkomanów, wchłaniających go przez nos. Brad rzadko korzystał z ketaminy ze względu na jej długotrwałe, często halucynogenne działanie.

Wszedł do swojego gabinetu i otworzył szafkę z lekami. Data ważności ketaminy minęła przed dwoma miesiącami, ale Brad liczył na to, że środek nadal jest skuteczny. Za pomocą strzykawki wprowadził do każdego z nabojów po cztery centymetry sześciennego leku, po czym włożył nakładki na igły. Wygrzebał spod szafki torbę, której nie używał od lat, i poukładał naboje na dnie. Po chwili namysłu dorzucił jeszcze trochę brewitálu, sterylny roztwór soli i kilka innych leków.

Nagle poczuł się głupio. Potrzebował prawdziwego pistoletu, nie jakiejś tam pukawki. Nie był nawet pewien, czy strzelba zadziała. Poza tym ketamina działała najlepiej, kiedy podawano ją dożylnie; wiatrówka była przeznaczona do aplikacji domięśniowej. Nie miał też pojęcia, jak dużo czasu minie, zanim środek zacznie działać. Jego arsenał był dość skąpy, ale na poczekaniu nie mógł zdobyć nic lepszego.

Przygotowania były stosunkowo łatwe. Teraz zaczynał się najtrudniejszy etap,

kiedy nie pozostawało mu nic, jak tylko czekać.

## ROZDZIAŁ 19

Simon Crandall zawarł niepisane porozumienie z policją i biurem lekarza sądowego, obowiązujące tylko w nagłych przypadkach. Choć oficjalnie nie pełnił służby po godzinach pracy, przyjeżdżał na miejsce zbrodni, gdy został o to poproszony i pozwalały mu na to okoliczności. Dla wszystkich zainteresowanych było jasne, że wzywa się go tylko wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne; dlatego też, kiedy o drugiej w nocy zadzwonił do niego detektyw Riley, Crandall bez wahania zgodził się przyjechać do sklepu na Lower East Side.

Był tam po dwudziestu minutach, wciąż nieco zaspany. Riley na powitanie podał mu kubek kawy.

- Dziękuję za przybycie, doktorze Crandall. Cieszę się, że nie oderwałem pana od jakichś ważnych spraw.

- Jak kocha, to poczeka - mruknął Crandall, sącząc kawę. Rozejrzał się po pustym sklepie. - Gdzie ciało?

- Widzi pan to? - powiedział Riley, wskazując otwór w ścianie za wystawą. - Kaliber dziewięć milimetrów, wydrążony pocisk. Kulka z remingtona sto piętnaście plus-P-plus leci z prędkością czterdziestu metrów na sekundę. Proszę za mną. - Poprowadził Crandalla torem kuli, która przeleciała przez zaplecze, przebiła ścianę i wypadła na pogrążony w mroku zaułek. Otworzył tylne drzwi i skierował strumień światła z latarki na kształt rysujący się w ciemności.

Crandall zrobił krok do przodu i pochylił się. Pod ścianą leżał mężczyzna w wymiętym ubraniu. Miał zamknięte oczy. W ręku ścisnął półlitrową butelkę wódki Georgi. W jego prawym uchu był widoczny mały otwór.

- To dopiero pech - powiedział Crandall. - Tak to jest, jak człowiek znajdzie się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim momencie. Wygląda na to, że przynajmniej umarł szczęśliwy. Ale to nie z jego powodu mnie wezwaliście, prawda?

- Nie, on jest tylko pretekstem. Powód jest tam.

Riley zaprowadził Crandalla z powrotem do sklepu i włączył światło. Pomieszczenie było czymś w rodzaju salonu wystawowego, na ścianach wisiały tanie metalowe półki zastawione pudełkami pełnymi kości; gdzieniegdzie widać było całe szkielety.

- Taniocha - powiedział Crandall, rozejrzawszy się. - Niewiele mógłby na tym zarobić.

- Dopiero rozkręcał interes - stwierdził Riley, przechodząc do drugiego

pomieszczenia. Wskazał mały szkielet i roztrzaskaną skrzynię. - Co pan na to?

Simon ukląkł przy szczątkach i wyciągnął spośród nich kartkę z napisem "Siuks Nakoda, ok. 1874". Następnie wyjął lupę i przyjrzał się kilku kościom.

- No, to już coś. Towar wyższej klasy. Wygląda na swoje lata, ale będę musiał go jeszcze komuś pokazać, by stwierdzić, czy to naprawdę Indianin. Skąd to się tu wzięło?

Riley opowiedział Crandallowi o zaplanowanej na ten wieczór transakcji i nieudanej zasadzce. Simon wysłuchał go w skupieniu.

- Sprawdzaliście tego typa w komputerze?

- Tak - odparł Riley - ale to ślepa uliczka. Kiedyś dostał nadzór kuratora za posiadanie narkotyków, ale od tej pory był czysty. Adres z prawa jazdy jest fałszywy. Jeden z moich ludzi uważa, że facet ma afrykańskie, być może kenijskie, nazwisko.

Słowa Riley'a zaintrygowały Simona. Ostatnimi czasy interesowało go wszystko, co miało związek z Afrykańczykami i małymi szkieletami.

- Ma pan ten dokument?

Riley podał mu portfel, z którego zdjęto już odciski palców. Kiedy Crandall otworzył go, ze środka wypadł mały kawałek papieru. Simon złapał go w powietrzu. Kiedy zobaczył wypisane na nim nazwisko, opadła mu szczęka.

- O cholera! - powiedział. - Przecież ja go znam!

Czekanie było dla Brada Hawkinsa prawdziwą męczarnią. Chodził nerwowo po pustym domu, trawiony niepokojem, rozmyślając z bólem o swoim synu. Od czasu do czasu zatrzymywał się i patrzył na telefon, jakby spojrzeniem chciał zmusić aparat, by zadzwonił. O trzeciej nad ranem Brad wreszcie uznał, że ma dosyć. Wziął torbę i pojechał do Brittena.

Szkopuł w tym, że nie miał żadnego planu. Podejrzewał, że Britten wykorzystuje każdą chwilę na próby oczarowania Morgan; jeśli to mu się nie powiedzie, ucieknie się do gróźb i szantażu, byle tylko ją zdobyć. Brad był pewien, że wysiłki tego palanta spełzną na niczym, ale nie w tym rzecz. Musiał coś zrobić, by powstrzymać Brittena i Morrisona, i uratować Mikeya. Ale co? Nie mógł wpaść do środka ze strzelbą w rękach i oczekiwać, że się poddadzą. Nie zdziwiłby się, gdyby ci dwaj byli uzbrojeni w pistolety. Prawdziwe.

Jak do tego doszło? - zadreptał się. Spokojnie prowadził swoją praktykę na przedmieściach, wychowywał syna, kiedy nagle jego życie zmieniło się w koszmar. Zawsze chciał tylko zajmować się pacjentami, patrzeć, jak rośnie Michael, i może od



czasu do czasu popływać pod żaglami. To chyba nie tak wiele? Potem ku swojemu zaskoczeniu - i zadowoleniu - zakochał się. Ale co z tego, skoro teraz miał przeciwko sobie morderców i porywaczy?

A wszystko to w jakiś przewrotny sposób wiązało się z zarządzaniem ochroną zdrowia. Mimo gorzkich słów skierowanych do Morgan przy ich pierwszym spotkaniu w zasadzie nie miał nic przeciwko systemowi finansowania ochrony zdrowia jako takiemu. Problem polegał na tym, że szara rzeczywistość mijała się z jego marzeniami. Cóż, pewnie było nieuniknione, że zarządzanie ochroną zdrowia w końcu sprowadza się do zarządzania finansami. Ubezpieczenia zdrowotne były wielkim biznesem, ale nikt już chyba nie sądził, że system ten może być odpowiedzią na potrzeby zdrowotne ludności.

Dawniej dofinansowywaniem służby zdrowia zajmowały się półcharytatywne organizacje, które starając się wyjść na swoje, miały na względzie przede wszystkim dobro pacjentów. Teraz, kiedy firmy ubezpieczeniowe były potężnymi korporacjami publicznymi, najważniejsze stały się dla nich pieniądze. Chodziło nie tyle o same zyski, co o bezpardonowe dążenie do ich osiągnięcia: jeśli jakaś kuracja nie znajdowała korzystnego odbicia w podsumowaniu kwartalnym, rezygnowano z jej finansowania, nie zważając na pacjentów. To nieuchronnie prowadziło do nadużyć. Pieniądze były przynętą, która wabiła rekiny takie jak Britten czy Morrison.

Brad skręcał właśnie w ulicę, przy której stał dom Brittena, gdy nagle włączył się pager. Jezuu, ależ z niego idiota! Może jeszcze wynajmie orkiestrę dętą, by oznajmić swoje przybycie? Był pewien, że ten cholerny terkot niesie się po całej ulicy. Brad wcisnął guzik i spojrzał na wyświetlacz. Spodziewał się zobaczyć numer swojej poczty głosowej; jednak rząd cyfr poprzedzony był kierunkowym Manhattanu. Po chwili Brad zorientował się, że to numer Crandalla.

Po kiego licha Simon dzwoni do niego o tej porze? Brad szybko zjechał na pobocze, zgasił światła i wystukał numer na klawiaturze telefonu samochodowego.

- Simon? Co...

- Przepraszam, że zawracam ci głowę, Bradford, ale to pilne.

- Simon, mam masę, kłopotów. Co jest? Crandall wyczuł napięcie w głosie przyjaciela.

- Może najpierw ty powiedz, co się z tobą dzieje.

Brad miał na głowie wiele zmartwień i choć ufał Simonowi, wołał nie... nagle uświadomił sobie, że popada w obłąd. Właściwie czemu nie mógłby zwierzyć się

przyjacielowi ze swoich obaw? Brad wziął głęboki oddech i zaczął opowieść.

Kiedy skończył, było mu nieco lżej.

- Simon, jesteś tam jeszcze? - spytał.

- Boże przenajświętszy, ty to masz kłopoty. Dzwoniłeś już na policję?

- Nie i wolałbym tego nie robić - powiedział Brad - przynajmniej na razie.

Myślę, że tym ludziom zależy przede wszystkim na moim milczeniu. Jeśli przekonam ich, że będę trzymał język za zębami, może oddadzą mi syna.

- A co z Morgan?

- Jeszcze nie mam pomysłu - powiedział Brad. - Cholernie się o nią martwię, ale myślę, że sobie poradzi. No a teraz ty powiedz, czemu chciałeś ze mną rozmawiać?

Crandall od razu przeszedł do rzeczy. Właśnie wrócił z miejsca zbrodni, gdzie policja znalazła szkielet indiańskiego dziecka. Obok leżał portfel, z którego wypadł kawałek kartki z nazwiskiem Brada. Simon podał rysopis mężczyzny, który wymknął się z policyjnej zasadzki.

Brad czuł, jak krew stygnie mu w żyłach. Opis podany przez Simona idealnie pasował do Nbele.

- Nuru Milawe - powtórzył pod nosem.

- Znasz go? Kto to jest i czego od ciebie chce?

- Nie wiem, ale Nbele, mój znajomy, który został zamordowany, wspominał, że ma kuzyna. To pewnie on, ten Nuru. Masz jego adres?

- Tylko fałszywy. Bradford, proszę cię, nie rób żadnych głupstw. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że nic w tej sprawie nie jest dziełem przypadku? Zaczynam rozumieć, jak to wszystko - chrząszcze, roztocze, nieboszczyki kości - wiąże się ze sobą. Chcesz mojej rady? Pozwól, żebym wciągnął w to policję i... Bradford? Brad?

Ale Brad, uśmiechając się, już się rozłączył. Tylko tego brakowało, żeby musiał tracić czas na wyjaśnianie wszystkiego policji. Kawałki układanki powoli zaczynały łączyć się w całość. Teraz już wiedział, dlaczego Morrison i Britten byli tak pewni siebie: to nie oni więzili Michaela. Miał go kto inny. Jeśli on, Brad, dobrze rozegra tę partię, znajdzie i tego człowieka, i swojego syna.

Najpierw musiał zdobyć prawdziwy adres Milawe. Być może figurował w aktach policji hrabstwa. Poza tym w miejscowej wschodnioafrykańskiej społeczności prawdopodobnie wszyscy się znają. No i dochodziły jeszcze zabójstwa na oddziale intensywnej terapii. Łatwość, z jaką je popełniono, wskazywała, że sprawcą musi być ktoś, kto dobrze zna szpital.

Brad zadzwonił na uniwersytet i poprosił do telefonu kierownika nocnej zmiany. Kiedy wytłumaczył, o co chodzi, kierownik powiedział, że owszem, zna pana Milawe, ale dość słabo. Milawe pracował na dziennej i czasami wieczornej zmianie jako technik od respiratorów; szczerze mówiąc, nikt za nim nie przepadał.

- Tak, to on - powiedział Brad z bijącym sercem. Po kilku minutach kierownik znalazł w komputerze adres Milawe. Brad podziękował mu, zawrócił wóz i ruszył w stronę Expressway.

Kiedy Nuru wrócił do domu, chłopiec jeszcze spał. Milawe postanowił go nie budzić, ponieważ miał jeszcze dużo roboty. Najpierw napalił pod kotłem. Kilka zamrożonych okazów czekało na spreparowanie. Przez chwilę zastanawiał się, czy samemu się nie zdrzemnąć, ale był zbyt zajęty i zbyt zdenerwowany.

Nerwy miał napięte jak postronki. Na myśl o tym, jak niewiele brakowało, by został aresztowany, wzrastał mu poziom adrenaliny. Od lat siedział w tym biznesie, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się patrzeć prosto w lufę pistoletu. Tylko dzięki swojemu szóstemu zmysłowi i niewiarygodnemu szczęściu zdołał tak szybko zareagować.

Na przyszłość będzie musiał być o wiele czujniejszy. Przedsięwzięte przez niego środki ostrożności okazały się niewystarczające. Od tej pory będzie kontaktował się tylko z pewnymi ludźmi - dotyczyło to zwłaszcza nowych klientów. Pierwsza transakcja odbędzie się na neutralnym terenie. Co ważniejsze, mimo swojej nieufności do broni palnej być może będzie musiał zacząć ją nosić.

Był zaniepokojony utratą portfela. Nie chodziło o znajdujące się w nim trzysta dolarów czy karty kredytowe, zresztą wszystkie kradzione. Najważniejsze było prawo jazdy. Mimo że wpisany w nie adres był fałszywy, w ręce policji wpadło jego zdjęcie i nazwisko. Nie sądził, by go odnaleźli, ale na wszelki wypadek musiał podjąć odpowiednie działania, by temu zapobiec.

Na razie był skonany i musiał się zrelaksować. Nadeszła pora, by wynagrodzić sobie trudy dnia - nic tak nie pomagało, nie przynosiło takiej ulgi i zapomnienia jak wysokiej jakości marihuana. Tak mocno jej pragnął! Była dla niego tym, czym dla innych jedzenie czy woda.

W czasie, gdy kocioł się nagrzewał, Nuru poszedł sprawdzić, co z chłopcem. Potrząsnął Michaelem za ramię. Chłopiec poruszył się i próbował otworzyć oczy, ale zaraz znów zapadł w sen, Nuru uniósł jego powieki. Źrenice wciąż były rozszerzone,

choć mniej niż poprzednio. W ciągu najbliższej godziny trzeba będzie mu podać kolejną dawkę środka uspokajającego. Teraz, kiedy wszystko zostało przygotowane, przyszedł czas na relaks. Nuru zwałił się na fotel.

Nabijając fajkę marihuaną, zawahał się. Po trawie zawsze był senny, ale tym razem, choć jego ciało domagało się odpoczynku, nie mógł sobie na to pozwolić. Z drugiej strony to nie powód, by odmówić sobie przyjemności.

Każdy problem związany z narkotykami miał swoje farmakologiczne rozwiązanie. W tej chwili Nuru potrzebował środków pobudzających. Choć nie był ich wielkim fanem, przydawały się w takiej sytuacji jak ta. Łagodziły efekt działania marihuany jak woda dolewana do wina. Kofeina i nikotyna nie wchodziły w grę, były za słabe. Amfetamina też mu nie odpowiadała. Nuru wybrał coś bardziej naturalnego - czyste liście erythroxolon coca, rośliny, z której wytwarzano kokainę.

Nuru wyjął kilka liści z woreczka, włożył je do ust i zaczął żuć. Gorzką kokainą i inne alkaloidy zostały szybko wchłonięte przez błonę śluzową ust, działając znieczulająco na gardło i podniebienie miękkie. Teraz trzeba było zapalić, zanim kokaina spowoduje gwałtowny skok tętna. Nuru wsunął zapalną do lufki i włożywszy cybuch w usta, zaciągnął się głęboko. Po kilku sekundach cząsteczki tetrahydrokanabinolu połączyły się z receptorami w mózgu.

Skutek był natychmiastowy. Serotonina i endorfiny przepływały obfitym strumieniem przez pień mózgu. Delikatne palce narkotyku pieściły duszę Nuru, dając mu ukojenie, pozwalając zapomnieć o troskach. W tym samym czasie koka czyniła swoje cuda w innych obszarach mózgu. Powstał swoisty farmakologiczny miszmasz, pobudzenie połączone z wyciszeniem. Nuru westchnął głęboko i wciągnął do płuc kolejną porcję dymu. Odchylając się z błogą miną na oparcie fotela, był czujny, beztroski i oglupiały.

Pragnąc przekonać Morgan, że drugiego takiego jak on to ze świecą szukać, Britten nakręcił film kamerą wideo pod tytułem Ekonomista: Życie i czasy kawalera. Kiedy majstrował coś przy magnetowidzie, jego wymarzona partnerka dyskretnie rozglądała się po domu, wypatrując wyjść i możliwych dróg ucieczki. Nie zamierzała pokornie zdać się na łaskę swoich prześladowców. Jednak, świadoma, że stawiając opór, narażałaby Michaela na niebezpieczeństwo, postanowiła na razie zachowywać się jakby nigdy nic.

Wideo zostało nakręcone przez znanego reżysera filmów dokumentalnych.

Narrator zza kadru objaśniał, co przedstawiają kolejne prezentowane zdjęcia: Hugh jako dziecko; Britten, pilny student; Britten, wielokrotnie nagradzany profesor. Godzinną prezentację zakończyła mowa wygłoszona osobiście przez Brittena, stojącego przed kamerą, adresowana do Morgan. Długi monolog zawierał wszystkie dobrze jej znane argumenty - są dla siebie stworzeni, byliby doskonałą parą i tak dalej, i tak dalej. Ze słów i mimiki Brittena biła uczciwość sprzedawcy używanych aut. Morgan niezwykle wydało się to, że ktoś gotów był zapłacić tyle pieniędzy za nakręcenie tak egocentrycznej autoreklamy.

Ta kaseta wideo tylko potwierdzała, jak mocno zakorzenione są rojenia tego człowieka. Niestety, według Brittena taka prezentacja była odpowiednim sposobem na zdobycie serca kobiety, której pożądał. Jego wyważony, logiczny i dokładny wywód był raczej propozycją zawarcia umowy niż oświadczynami. Miał jednak także swoją ciemną stronę: groźby i zawołowane insynuacje stanowiły jego nieodłączną część. Po obejrzeniu tego nagrania Morgan utwierdziła się w przekonaniu, że Brittenowi potrzebna była nie żona, ale lekarstwa i długa hospitalizacja.

Przez cały czas Britten siedział u jej boku, sącząc sauterna i jedząc pasztet z gęsich wątróbek niczym widz chrupiący prażoną kukurydzą w kinie. Kiedy po zakończeniu filmu włączył światła, Morgan zauważyła, że wrócił mu dobry nastrój.

- No i co ty na to, moja droga? Jesteśmy sobie przeznaczeni, nie sądzisz?

- Jestem pod wrażeniem, Hugh - powiedziała. - Wideo najwyższej klasy. Pewnie kosztowało cię fortunę.

- Pieniądze nie mają znaczenia. Liczy się tylko to, czy cię przekonałem.

- Dałeś mi do myślenia - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to szczerze. - Zobaczyłam cię od innej strony. Britten, o dziwo, zarumienił się.

- Dziękuję. Staram się, jak mogę. A teraz, jeśli...

- Hugh - przerwał mu Morrison, wpadając do pokoju. Chodź tu na chwilę.

- Czego znowu? - powiedział Britten ze złością. - Chcę mieć odrobinę prywatności.

- Ta sprawa nie może czekać. Właśnie zadzwonił do mnie jeden z naszych ludzi z policji. W komputerze policyjnym pojawiło się nazwisko Nuru Milawe.

- Co takiego? - Uśmiech momentalnie zniknął mu z twarzy. - To musi być jakaś pomyłka, przecież miał siedzieć w domu z tym chłopakiem!

- Może teraz tam siedzi, ale o pierwszej trzydziści był w mieście i próbował opchnąć komuś jeden z tych swoich szkieletów.

- Wspominano coś o chłopcu? Czy Milawe dał się złapać? Morrison pokręcił głową.

- Uciekł. Ledwo ledwo. Był sarn.

- Rozumiem - powiedział Britten. - Czyli teraz ten głupiec jest w domu! Z tego, co wiem, policja nie zna jego adresu. Przynajmniej on tak mówił.

- Może to sprawdzimy.

- Słusznie. - Britten odwrócił się do Morgan. - Przepraszam, moja droga, ale na chwilę zostawię cię samą. Musimy do kogoś zadzwonić.

Odnalezienie położonej na odludziu, wyboistej drogi wiodącej do domu Nuru, zajęło Bradowi czterdzieści pięć minut. W czasie jazdy myślał o Michaelu, którego twarz bezustannie stawała mu przed oczami. Siąpił drobny deszcz, a droga była nieoświetlona i w złym stanie. Brad zatrzymał wóz w bezpiecznej odległości od domu Milawe, wziął wiatrówkę i torbę z tylnego siedzenia. Ostrożnie zamknął drzwi, starając się nie robić hałasu. Potem pochylił się i potruchtał ciemną, błotnistą drogą przed siebie.

Zaniedbany drewniany budynek bardziej przypominał opuszczoną stodołę niż dom. Z wnętrza wydobywał się słaby blask. Myśl, że to tu więziony jest jego syn, wzmogła i tak silną determinację Brada. Prostując ramiona, ruszył naprzód, z twarzą mokrą od deszczu.

Liczył na to, że zastanie Nuru samego. Brad wiedział, że gdyby doszło do walki wręcz, adrenalina doda mu sił, zwiększając jego szansę. Mimo to nie mógł zapomnieć, z jaką łatwością Nuru zabił dobrze zbudowanego Nbele.

Niezachwiany w swoim postanowieniu, podkraść się do budynku. Z oddali dobiegł pomruk gromu. Kilka metrów od drzwi Brad schował się za grubym pniem drzewa. Serce waliło mu jak młotem i musiał głęboko oddychać. Dokładnie obejrzał drzwi, a następnie powiódł wzrokiem po oknach. W górze widać było cienki czarny drut tańczący na wietrze - kabel telefoniczny.

Brad nie sądził, by telefon był mu potrzebny, i jednocześnie nie chciał, by Milawe mógł zeń skorzystać. Ukląkł na mokrej ziemi i przez chwilę grzebał w torbie. Odnalazłszy skalpel, szybko zdjął plastikową pochwę, wyciągnął rękę do góry i jednym ruchem przeciął kabel.

Britten przekartkował notatnik z adresami, aż wreszcie znalazł ten właściwy i wystukał numer. Przez chwilę słuchał w skupieniu, po czym odłożył słuchawkę i

jeszcze raz spróbował uzyskać połączenie. Rozległ się cichy trzask, ale nie było sygnału. Bruzda przecięła czoło Brittena.

- To dziwne. Nie mogę się do niego dodzwonić.

- Co, nie odbiera?

- W ogóle nie ma sygnału - powiedział Britten. - Czekać, zadzwonię do informacji.

Po krótkiej rozmowie odłożył słuchawkę.

- Podobno są jakieś kłopoty na łączach, być może spowodowane burzą.

- To nam niewiele daje.

- Nie możemy sobie pozwolić na pozostawanie w niepewności. Pojedziemy tam.

- A co z dziewczyną? - spytał Morrison.

- Weźmiemy ją ze sobą.

Burza nadciągała w błyskawicznym tempie. Po kilku niespokojnych minutach Brad wyłonił się z cienia i podkradł do ściany domu, trzymając w rękach strzelbę i torbę. Mroczne i ponure niebo doskonale odzwierciedlało jego stan ducha.

Brad ruszył w stronę zasłoniętego okiennicami okna, oddalonego o kilka metrów. Zza szyby sączyło się słabe światło. Pochylny przebiegł przez mokre zarośla. Zimne strugi deszczu chłostały mu ramiona i przesiąkały przez ubranie. Przedzierający się przez rozkołysane drzewa wiatr wył upiornie.

Brad podszedł do okna i zatrzymał się, oddychając ciężko. Jeśli dopisze mu szczęście, huk piorunów zagłuszy odgłos jego kroków. Na środku okna, między zmurszałymi drewnianymi okiennicami była szeroka szpara. Przywierając plecami do szorstkiego drewna, Brad powoli zbliżył twarz do odsłoniętego kawałka szyby.

Trudno było cokolwiek zobaczyć przez mokre szkło, ale Brad miał wrażenie, że widzi duży, prawie pusty pokój. Wydawało mu się, że czuje charakterystyczny zapach marihuany. Nagły podmuch wiatru poderwał z ziemi mokre liście, obsypując mu twarz jakimiś paprochami. Brad przetarł oczy i zajrzał do wnętrza domu.

Słabe światło sączyło się z małej lampki po drugiej stronie pokoju. Brad przejechał dłonią po szkłe, próbując zetrzeć mokre smugi i parę. Jego oczy powoli wyłowiły z półmroku ciemny prostokątny kształt, znajdujący się w odległości około trzech metrów od okna. Serce zamarło Bradowi w piersi, gdy zorientował się, że to oparcie fotela. Unosiła się nad nim cienka wstęga dymu. Fotel był obrócony nieznacznie w lewo. Z cienia wyłoniła się głowa z fajką w ustach. Nawet w półmroku

dało się zauważyć ludzące podobieństwo do Nbele; mężczyzna miał ostre, wyraziste rysy i grubą szyję, tak jak jego kuzyn.

Brad szybko schylił głowę. Mimo słabości do marihuany Milawe wyglądał na groźnego i silnego przeciwnika. Cóż, dodawał sobie otuchy Brad, mam przewagę, jaką daje mi zaskoczenie.

W strugach lejącego deszczu Brad ostrożnie otworzył ładownicę strzelby i wychylił ją do przodu, odsłaniając wlot lufy. Zdjąwszy osłonę zabezpieczającą z jednego z nabojów, niepewnie wsunął go do zamka, po czym zatrzasnął magazynek. Następnie trzykrotnie zarepetował wiatrówkę, wytwarzając dość ciśnienia, by pocisk wyleciał z lufy z prędkością stu pięćdziesięciu metrów na sekundę. Towarzyszący temu trzask utonął w huku piorunów. Strzelba była gotowa do strzału.

Odgłosy zbliżającej się burzy przywodziły na myśl salwy artyleryjskie. Brad powoli wychylił się zza okiennicy. Fotel wrócił do swojej początkowej pozycji, zasłaniając Milawe. Brad spojrzał w lewo, gdzie światło lampki było silniejsze. Przy ścianie stało małe składane łóżko. Otworzył szerzej oczy. Na łóżku leżał jego syn z ustami zaklejonymi taśmą.

Michael patrzył w okno.

Brad pragnął go zawołać, jednak byłoby to zbyt ryzykowne. Szybko odchylił głowę. Był ciekaw, czy Michael go poznał. Pod zasnutym ciężkimi burzowymi chmurami niebem panowały nieprzeniknione ciemności. Szczęście w nieszczęściu, pomyślał Brad, że chłopiec żyje i nic mu nie jest.

Nawet gdyby Michael go zauważył, na pewno nie dałby tego po sobie poznać. Był zbyt inteligentny, by się zdradzić. Brad zdawał sobie jednak sprawę, że nie może już dłużej zwlekać. Mikey był cały i zdrowy, ale kto wie, jak długo jeszcze. f; I co teraz zrobić? Mógłby spróbować wejść przez drzwi frontowe, ale pewnie są zamknięte. Z drugiej strony, gdyby podkradł się niezauważony od tyłu i uderzył Milawe w tył głowy kolbą strzelby... Burza nie ustawała. Brad był przemoknięty do suchej nitki. Porywisty, wilgotny wiatr szalał wśród drzew, a krople deszczu waliły w dach. Oparłszy lufę strzelby o parapet, Brad położył torbę na ziemi. Ostrożnie otworzył okno. Michael nie spał już od kilku minut. Leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami. Widział na własne oczy, co ten potężny mężczyzna zrobił Nbele, i był przerażony, że to samo spotka i jego. Jeśli będzie udawał, że śpi, może zły człowiek zostawi go w spokoju.

Usta miał czymś zaklezione. Dobrze, że mógł oddychać. W jego nozdrza uderzył



jakiś dziwny, a mimo to znajomy zapach, taki sam, jak na placu zabaw, kiedy kręciły się tam starsze chłopaki. Michael powolutku otworzył oczy. Mężczyzna siedział w fotelu i palił fajkę. Michael ostrożnie rozejrzał się po pokoju, zwracając uwagę na wszystkie szczegóły. Jego wzrok spoczął na przedmiocie wiszącym na ścianie za fotelem. Chłopiec zmrużył oczy, usiłując zobaczyć go wyraźniej. Kiedy uświadomił sobie, co to takiego, serce zamarło mu w piersi.

Był to szkielet, z palcem wyciągniętym w jego stronę.

Michael wybałuszył oczy z przerażenia. Nie mógł oderwać wzroku od czarnych oczodołów, które zdawały się patrzeć prosto na niego. Szkielet miał około metra dwadzieścia wysokości i był częściowo ukrzyżowany. Jego stopy zachodziły na siebie, przebite dużym gwoździem, a lewa dłoń została przytwierdzona do prymitywnego drewnianego krzyża. Kościsty palec prawej ręki zdawał się wskazywać Michaela oskarżycielskim gestem.

Przez kilka przerażających minut chłopiec nie mógł oderwać oczu od tego makabrycznego widoku. W końcu, kiedy wreszcie przekonał sam siebie, że przecież ten szkielet jest nieżywy, odwrócił się w stronę okna.

Za spływającymi po szkle strugami wody widoczny był zarys ludzkiej głowy. Minęła chwila, zanim Michael rozpoznał twarz, którą widział już tyle razy, pochyloną nad swoim łóżkiem.

Twarz jego taty.

Po chwili zniknęła, równie niespodziewanie, jak się pojawiła. Michael nie wiedział, co robić. Miał ochotę zerwać się i pobiec do ojca, ale coś nakazało mu nie ruszać się z miejsca.

Michael zamknął oczy. Czy to wszystko mu się przyśniło? Wsłuchał się w donośną melodię burzy, świst wiatru wśród krokwi, nieustające dudnienie deszczu, huk piorunów. Po kilku sekundach uchylił powieki. Nie widział nic prócz lejących się z nieba strug wody. W oknie znów pojawiła się znajoma sylwetka.

Dygocząc ze strachu, Michael patrzył, jak jego ojciec bezskutecznie próbuje otworzyć okno. Wśród szumu deszczu dało się słyszeć ciche skrzypienie. Nagle po niebie przeleciała błyskawica i niemal od razu rozległ się ogłuszający huk. Michael zobaczył oświetloną od tyłu sylwetkę ojca, zmagającego się z oknem.

Nuru usłyszał podejrzaną dźwięk, charakterystyczne skrzypienie drewna. Przechylił głowę, odłożył fajkę i zaczął nasłuchiwać. Nagle zrobiło się jasno jak w dzień i usłyszał przeraźliwy huk. Nuru skrzywił się. Kątem oka zauważył jakiś ruch.

Odwracając się, spostrzegł uniesioną głowę chłopca, wpatzonego w okno. Nuru skierował wzrok w tamtą stronę.

Bradowi od huku dzwoniło w uszach. Próbował otworzyć okno dwiema rękami, ale nic to nie dawało. Framuga musiała być wypaczona. Próbował sprawdzić, w którym miejscu się zacięła, ale nieustający deszcz zalewał mu oczy, o mało go nie oślepiając. Obawiał się, że za bardzo hałasuje, ale było już za późno, by dać za wygraną.

Brad rozłożył ręce i oparł je na framudze, w miejscu, gdzie wydawała się najsolidniejsza, po czym pchnął ją z całej siły. W pierwszej chwili okno nawet nie drgnęło, ale zaraz zaczęło ustępować. Brad, zachęcony, zmusił się do jeszcze większego wysiłku, zamknął oczy, twarz nabiegła mu krwią, aż wreszcie...

W tej samej chwili rozległ się brzęk tłuczonego szkła i deszcz odłamków uderzył w twarz Brada. Jego szyja znalazła się w żelaznym uścisku, a nogi oderwały się od ziemi. Brad zmusił się, by otworzyć oczy, i zobaczył twarz Nuru Milawe.

W oknie ziały dwie poszarpane dziury, przez które przeszły pięści Milawe. Potężny, naćpany mężczyzna trzymał Brada za szyję i dusił obiema rękami. Jego ciemną twarz wykrzywiał grymas wściekłości, spomiędzy rozchylnych warg wyłaniały się zaciśnięte zęby. Brad widział jak przez mgłę białka jego oczu, poprzecinane cienkimi żyłkami.

Próbował podjąć walkę, ale nie mógł złapać tchu. Silne palce Milawe ścisnęły jego tchawicę. Po chwili zaczęło mu brakować tlenu. Podskakiwał jak kukielka, od czasu do czasu dotykając ziemi czubkami butów. Dwiema rękami próbował oderwać palce Milawe od swojej szyi, ale napastnik był za silny.

Brad błyskawicznie tracił wzrok. Widział wszystko jak przez celownik optyczny - to, co w środku pola widzenia, było wyraźne, a natomiast wszystko po bokach tonęło w ciemnościach. Nieoczekiwanie dla samego siebie pomyślał o Michaelu. Tyle miał mu do powiedzenia, ale zabrakło na to czasu.

Widział przed sobą pełną nienawiści twarz Milawe. Zaczęło mu dzwonić w uszach, co świadczyło, że ustał przepływ krwi przez tętnicę szyjną. Wisząc bezradnie w strugach padającego deszczu, powoli zapadał się w ciemność.

Nagle rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk. Brad zdołał dostrzec wśród szybko ogarniającego go mroku profil Milawe i obnażone zęby. Nagle poczuł, że jedna z duszących go dłoni zwalnia uścisk, i dotknął nogami ziemi. Chwiejąc się, próbował odzyskać równowagę. Nie mógł złapać tchu. Milawe wciąż trzymał go drugą ręką za

szyję, boleśnie wbijając kciuk w zagłębienie nad mostkiem. Wszystko zaczęło tonąć w czerni.

Rozmyślając gorączkowo, Brad przypomniał sobie o strzelbie do usypiania zwierząt. Nie zważając na miazdzący uścisk, szybko opuścił ręce. Przez chwilę wymachiwał nimi w powietrzu i wydawało mu się, że potracił i przewrócił strzelbę. Kiedy już miał stracić nadzieję, palcami wymacał chłodną lufę.

Błagając los o choćby łyk powietrza, Brad podniósł strzelbę. Przekładał ją z jednej ręki do drugiej, aż poczuł pod prawą dłońią spust, a lewa spoczęła na kolbie. Resztkami sił wbił lufę w okno, mierząc w głowę Milawe. Ciężki jak z ołowiu palec spoczął na spuście. Padł strzał.

I nagle duszący ucisk ustał. Brad zatoczył się do tyłu, półprzytomny, i ciężko upadł na ziemię. Spojrzał przymrużonymi oczami w okno, ale nie dość, że były zalane deszczem, to jeszcze wirowały przed nimi tysiące punkcików.

Zaciągnięte ciężkimi chmurami niebo przecięła kolejna błyskawica, która oświetliła na chwilę Milawe, wciąż stojącego w oknie. Mężczyzna nieporadnie próbował wyrwać strzykawkę z szyi. Na jego twarzy malował się wyraz wściekłości i zaskoczenia. Potem niebo znów pociemniało i rozległ się grzmot.

Brad leżał na ziemi, chwytając ustami powietrze. Jego gardło zdawało się płonąć żywym ogniem, a krtań bolała przy każdym oddechu. Przez kilka sekund, dopóki nie zebrał myśli, nie był pewien, gdzie właściwie jest. Uniósł się na łokciach, próbując nieco ochłoniąć. Milawe wciąż gdzieś tu był. Możliwe, że ranny, ale to czyniło go jeszcze bardziej niebezpiecznym. Brad pomyślał o swoim synu i ogarnęło go przerażenie.

- Michael! - krzyknął, ale jego słaby, chrapliwy głos utonął w łoskocie piorunów. - Michael!

Czy naraził syna na jeszcze większe niebezpieczeństwo? Przyparł Milawe do muru. Ten człowiek był mordercą. Kto wie, może właśnie w tej chwili znęcał się nad Michaeliem.

Oszalały ze strachu, Brad uklęknął, po czym zmusił się do wstania. Ruszył chwiejnym krokiem przed siebie, wykrzykując imię syna, ale jego wołania ginęły w skowycie wiatru. Zaczął wodzić palcami po roztrzaskanym oknie, nie zważając na potłuczone szkło. W końcu napał rękami na framugę.

- Tato!

Brad uniósł głowę, zbity z tropu. Spodziewał się, że lada chwila wyrośnie przed

nim Milawe, w którego wstąpiły nowe siły. Tymczasem zobaczył Michaela. Oczy Brada wypełniły się łzami.

- Chyba trzeba to otworzyć - powiedział chłopiec spokojnie. Wgramolił się na coś, przez chwilę majstrował przy zatrzasku, po czym spojrzął w dół z uśmiechem. - Już!

Deszcz zaczynał ustawać. Brad niepewnie spojrzął za plecy syna.

- Mikey, wszystko w porządku? Co się stało z tamtym człowiekiem?

- Tam leży - powiedział Michael, wskazując podłogę. - Ale go znokautowałeś, tato.

Znokautowałem go? - pomyślał Brad, zaskoczony. Czyżby środek zadziałał tak szybko? Popchnął framugę do góry.

- Uważaj na szkło, Mikey. I nie spuszczaaj tego faceta z oczu!

Okno otworzyło się bez najmniejszego oporu. Brad zepchnął odłamki szkła z parapetu i wsunął się przez otwór do ciepłego, suchego pokoju. Obrócił się i zeskoczył na podłogę.

Milawe z zamkniętymi oczami leżał na plecach. Był nieprzytomny i oddychał głęboko. Brad podbiegł do Michaela i z ulgą porwał go w ramiona, dając upust ogromnej radości.

- Dzięki Bogu, dzięki Bogu! - powtarzał raz po raz, tuląc chłopca. - Tak się o ciebie martwiłem!

- Tato, przestań! Jesteś cały mokry!

Brad jeszcze raz go przytulił, pocałował w policzek i postawił na podłodze.

- Czy ten człowiek zrobił ci krzywdę, synku? Czy w ogóle ci coś zrobił?

- Nic mi nie jest. Kiedy tu przyjechaliśmy, dał mi do wypicia coś słodkiego. Zrobiłem się strasznie senny, ale to wszystko. - Spojrzął ojcu w twarz. - Strasznie jesteś podrapany. Boli cię?

Brad nawet nie poczuł, że się pokaleczył.

- Właściwie nie. - Ukucnął przed synem i czule pogładził go po twarzy. - Teraz powiem ci, co masz zrobić, Mikey. Wyjdiesz stąd frontowymi drzwiami - powiedział, wskazując je - i podejdziesz do okna. Powinna tam być strzelba i torba. Przynieś tutaj te rzeczy, dobrze?

- Strzelba?

- Stara wiatrówka. No, ruszaj. - Klepnął chłopca w siedzenie i Mikeyy wybiegł z domu. Brad odprowadził go spojrzeniem. Na myśl, że jego syn jest już bezpieczny,

ogarniało go poczucie nieopisanej wręcz ulgi.

Rzuciwszy okiem na leżącego nieruchomo Milawe, Brad zaczął szukać papierowych serwetek. Kiedy je wreszcie znalazł, wytarł sobie twarz. Drobne ranki już prawie nie krwawiły. Rozejrzał się i zauważył, że jest tu jeszcze drugi pokój. Włączył światło i wszedł tam.

Pomieszczenie było wypełnione spreparowanymi szkieletami i wiszącymi na ścianach półkami z nierdzewnej stali. Na drugim końcu stał ogromny czarny żelazny kocioł z wrzącą wodą. Brad, zaskoczony, przez chwilę stał w bezruchu. Potem zamknął drzwi, odwrócił się i podszedł do nieprzytomnego mężczyzny.

Zakrwawiony nabój leżał na podłodze. Spełnił swoje zadanie: tłok był wciśnięty, a strzykawka opróżniona. Brad ukląkł przy Milawe i od razu zorientował się, czemu środek zadziałał tak szybko. Szczęśliwym trafem igła wbiła się w żyłę biegnącą pod skórą pokrywającą naczynia krwionośne szyi. Wyglądało na to, że ketamina została wstrzyknięta prosto do wewnętrznej żyły szyjnej. Środek uspokajający musiał dostać się do mózgu Milawe w kilkanaście sekund, pozbawiając go świadomości.

Nagle drzwi otworzyły się i do domu wbiegł Michael, ściskając w rękach torbę i strzelbę.

- O to chodziło, tato?

- Tak - odparł Brad. - Połóż to na podłodze. Kiedy się obudziłeś?

- Zaraz po tym, jak on zaczął palić trawę i...

- Hej, hej, kolego! A skąd ty wiesz, co to jest trawa?

- Tato, daj spokój! Przecież czuć ją w całej szkole.

- Boże jedyny - powiedział jego ojciec, kręcąc głową. - Mów dalej.

- Zakleił mi usta taśmą, ale ręce miałem związane luźno, no nie? Kiedy otworzyłem oczy, ten facet siedział sobie i palił. Jestem pewien, że nie zauważył, że już nie śpię. Potem zobaczyłem cię w oknie.

- Nie wiedziałem, czy mnie poznałeś.

- Bo nie poznałem, dopóki nie uderzył piorun - powiedział Michael. - Ale potem zauważyłem, że on wstaje. Wiedziałem, że go nie widzisz. Chciałem cię ostrzec, ale... - Głos Michaela załamał się i chłopiec zaczął płakać. - Przepraszam, tato.

- No coś ty! Przecież ja też się bałem. - Brad przygarnął syna do siebie. - Ale nic nam się nie stało, prawda? Michael pociągnął nosem i skinął głową.

- No. Ale kiedy ten facet rzucił się na ciebie, tak się zezłościłem, że ugryzłem go

w nogę.

- Ugryzłeś go?

- Tak. Nic innego nie przyszło mi do głowy. Mówię ci, ale go załatwiłem!

Na twarz Brada wypłynął uśmiech pełen wdzięczności i podziwu. To wyjaśniało, dlaczego Milawe wypuścił go ze śmiertelnego uścisku. Michael uratował życie swojemu ojcu.

Brad spojrział na Milawe. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Przez ostatnie kilka tygodni nagromadziło się mnóstwo pytań. Milawe mógł udzielić na nie odpowiedzi. Jako narzędzie w rękach Brittena z pewnością doskonale wiedział, co wydarzyło się w szpitalu. Sprawdziwszy puls i źrenice Milawe, Brad otworzył swoją torbę.

- Co chcesz zrobić, tato?

- Mam tu taki lek o nazwie brevital. - Chłopiec wyglądał na zbitego z tropu. - Słyszałeś kiedyś o eliksirze prawdy? - spytał. Mikey potrząsnął głową.

- To eliksir, który zmusza ludzi, by mówili prawdę. Duża dawka działa usypiająco, ale jeśli dobierze się odpowiednią ilość leku, to delikwent odpowie na każde pytanie, jakie mu zadasz.

- Fajnie. O co go zapytasz?

- Właśnie się zastanawiam. - Brad wyjął z torby fiolkę, w której było dwa i pół grama sproszkowanego brevitalu. W normalnych warunkach środek ten rozpuszczano, po czym przenoszono do większej ilości rozcieńczalnika, na ogół wynoszącej dwieście pięćdziesiąt centymetrów sześciennych. Potem pacjentowi powoli wstrzykiwano dziesięć centymetrów sześciennych płynu, co równało się stu miligramom czystego brevitalu. Jednak jedynym rozcieńczalnikiem, jakim Brad dysponował w tej chwili, było pięćdziesiąt centymetrów sześciennych sterylnej wody; oznaczało to, że stężenie będzie pięciokrotnie wyższe od normalnego. Musiał więc zachować najwyższą ostrożność przy wstrzykiwaniu środka. Jeśli poda go za dużo albo za szybko, Milawe może już się nigdy nie obudzić.

Brad rozpuścił proszek, rozcieńczył go i napełnił strzykawkę. Musiał zaczekać z podaniem brevitalu, aż ketamina przestanie działać, a nie wiedział, jak długo to potrwa. Domyślał się, że około godziny. Za długo. Znów zaczął grzebać w torbie.

Brad żałował teraz, że bardziej nie zainteresował się farmakologią, ale cóż, w tej sytuacji musiał zgadywać. Wyjął kilka ampulek i fiolek, po czym przeniósł ich zawartość do strzykawki o pojemności pięciu centymetrów sześciennych. Otrzymał w

ten sposób silną mieszankę maziconu, efedryny i narcanu. Nie miał pojęcia, ile wynosi normalna dawka ani czy to cholera w ogóle zadziała.

Michael przyglądał się, jak ojciec zawiązuje mankiet na bicepsie Milawe.

- Mogę i ja go o coś spytać?

- Masz coś konkretnego na myśli, chłopie?

- Chcę się dowiedzieć, dlaczego zrobił krzywdę Nbele.

- Też jestem tego ciekaw - powiedział Brad, czując nawrót gniewu. - Najpierw jednak muszę go trochę ocucić. Michael, przerażony, zrobił krok do tyłu.

- Tato, nie budź go!

- Nie bój się, nigdzie nam nie ucieknie.

Brad poklepał przedramię Milawe, powodując rozszerzenie naczyń krwionośnych. Znalazł wystającą żyłę w zgięciu łokcia i podłączył kroplówkę.

Następnie podczepił do niej strzykawkę i zaczął powoli wciskać tłok. Co pewien czas szczypał Milawe i klepał go w policzek. Po mniej więcej trzech minutach Murzyn poruszył się. Brad sprawdził puls - był mocno przyspieszony - i źrenice, które zaczynały się zwężać. Potem, zanim Milawe zdążył się ocknąć, Brad zamienił strzykawkę, podłączając do kroplówki brevital.

Ostrożnie wcisnął tłok. Pod wpływem środków pobudzających Milawe powoli zaczął wracać do przytomności. Zamrugał powiekami, po czym szybko popatrzył w lewo i w prawo. Już odwracał głowę w stronę Brada, kiedy zaczął działać brevital. W oczach Nuru pojawił się błysk złości, ale zaraz znów zasnuła je mgła. Brad zdjął rękę ze strzykawki.

- Pora się obudzić - powiedział i klepnął Milawe w policzek. - Mam do ciebie parę pytań.

Mężczyzna burknął coś pod nosem.

Michael na wszelki wypadek trzymał się od niego z daleka.

- Boję się, tato.

- Wiem, Mikey. Ale on nie wstanie, wierz mi. Chcę tylko, żeby się trochę ocknął.

Odpowiednio dozując brevital, mógł utrzymywać Milawe w stanie półprzytomności, między jawą a snem. Uważnie przyglądał się jego twarzy. Pod pewnymi względami brevital działał jak alkohol. Powodując rozluźnienie wszelkich zahamowań, rozwiązywał język. Objawem tego, że lek zaczyna działać, był euforyczny uśmiech. Mięśnie twarzy Milawe powoli się napinały, aż wreszcie wykrzywił usta w

radosnym grymasie. Już czas.

- Słyszysz mnie pan, panie Milawe?

Mężczyzna z widocznym wysiłkiem wydał wargi.

- Kurwa...

- A, to rozumiem. Teraz zadam ci kilka pytań, dobrze?

- Pytań - wymamrotał Milawe.

- Jak się nazywasz?

Wydawało się, że znalezienie odpowiedzi kosztuje go mnóstwo wysiłku, jakby jego mózg pracował na mocno zwolnionych obrotach.

- Nuru Milawe - wykrztusił wreszcie.

- Widzisz, jakie to łatwe? Następne pytanie. Po co przywiozłeś tu Michaela Hawkinsa?

Powoli, zacinając się, Milawe odpowiedział na wszystkie zadane mu pytania. Brad musiał umiejętnie dozować brevital, zwiększając dawkę, gdy było to konieczne, i przerywając zastrzyk, gdy mężczyzna zaczynał tracić przytomność. Słuchał jego wyjaśnień z narastającą wściekłością. Musiał wyteńczyć całą siłę woli, by oprzeć się pokusie podania mu śmiertelnej dawki.

Nuru wyjaśnił, że przywiezienie tu Michaela było jego pomysłem. Za resztę odpowiada Britten.

- A skąd ty właściwie znasz doktora Brittena?

- Kości - powiedział Nuru. - Britten... kolekcjoner.

- I to on wpadł na pomysł, by zabić te dzieci?

- Tak - wybełkotał Nuru. - Powiedziałem mu o roztoczech... wiedział, że pracuję przy respiratorach. Dzieci... powiedział, że są za kosztowne.

Nuru obrócił głowę i jego powieki zaczęły się podnosić. Brad ostrożnie wstrzyknął mu kolejną dawkę brevitalu.

- Robisz wszystko, czego on zażąda, tak? Dlaczego?

- Pieniądze - wydusił Nuru. - Załatwiłem też Schuberta. Brad nie posiadał się ze zdumienia.

- Schuberta? To znaczy, że Schubert został zamordowany? Nuru radośnie wyszczerzył zęby i pokiwał głową.

- Ale dlaczego zabiłeś własnego kuzyna? - spytał Brad. Na usta Nuru wypłynął półprzytomny uśmiech.

- Zasłużył sobie.



- A co z moim synem? Jak długo zamierzałeś go tu więzić?

- Do skutku...

Na te słowa Michael wybuchnął płaczem. Brad ścisnął jego dłoń, próbując dodać mu otuchy. Plan Brittena był przerażający. Milawe to tylko dobrze opłacany chłopiec na posyłki, pozbawiony skrupułów morderca, ale Britten... Zasięg tego spisku był porażający.

Uzyskawszy wszystkie odpowiedzi, Brad przyciągnął syna do siebie, utulając go w cieple swoich ramion.

- Weź to.

Morgan spojrzała na dwie zielone kapsułki leżące na dłoni Morrisona.

- Po co?

- Bo nie chcemy, żebyś nam przeszkadzała - powiedział. - Sprawiałaś już dość kłopotów. Jeśli masz pójść z nami, zrobisz to na moich warunkach!

- Co to za tabletki?

- Dzięki nim przez jakiś czas będziemy mieli cię z głowy. - Podał jej proszki i dał szkocką do popicia.

Morgan miała dość pokornego wykonywania ich poleceń. Kiedy połknie te tabletki, będzie niezdolna do jakiegokolwiek działania, a tym bardziej do stawiania oporu. Rzuciła okiem w stronę korytarza, by sprawdzić, czy nie kręci się tam Britten, po czym wzięła szklankę whisky. Ledwie jednak zacisnęła na niej palce, chlusnęła alkoholem w twarz Morrisona i obróciła się na pięcie, ruszając do wyjścia.

Morrison przewidział jej reakcję. Uchylił głowę, dzięki czemu nie został oblany, i wysunął nogę. Morgan potknęła się i runęła na podłogę. Morrison jakby nigdy nic podniósł szklankę i nalał następną solidną porcję alkoholu. Potem z pobłażliwym uśmiechem pomógł Morgan wstać i ponownie wyciągnął tabletki i szklankę w jej stronę.

Wściekła na siebie za swoją nieporadność, Morgan niechętnie wzięła proszki. Przyjrzała im się dokładnie, obracając je w dłoni. Zorientowała się, że jest to jakaś pochodna etchlorowinolu, silnego leku nasennego. Popularny wśród studentów, został odrzucony przez większość lekarzy z powodu toksyczności. Dwie siedemsetpięćdziesięciomiligramowe kapsułki w połączeniu z alkoholem mogły ją uśpić na wiele godzin.

Patrząc hardo na Morrisona, Morgan wzięła szkocką i wrzuciła tabletki do ust,

po czym zręcznie wsunęła je językiem w zagłębienie obok górnych zębów trzonowych. Pociągnęła łyk whisky, zakaszła, po czym wypila do dna, oddając Morrisonowi pustą szklanke.

- Pycha.

Morrison wpatrywał się w nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że nie próbujesz robić mnie w konia?

- Uważasz mnie za idiotkę?

- Otwórz usta - powiedział. - Podnieś język. Morgan wykonała polecenie.

- I co, zadowolony? - Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem i szybko odeszła na bok, żeby nie zdążył zmienić zdania.

- No dobrze, ruszaj. - Pchnął ją mocno w plecy.

Morgan weszła do drugiego pokoju. Britten wyciągnął rękę.

- Gotowa, moja droga? Daniel dał ci coś, żebyś się odprężyła?

- Odprężyła? - powiedziała. - Te dwie tabletki zwałyby konia z nóg.

- Przyda ci się trochę odpoczynku. Chodź - rzucił Britten i ruszył w stronę drzwi. - Pojedziemy moim wozem.

Siąpił drobny deszcz. Morgan usiadła z tyłu, a Morrison i Britten z przodu. Wiedziała, że gdyby wzięła te tabletki na czczo, rozpuściłyby się i dostały do krwiobiegu po około kwadransie. Czula w ustach gęstą, rozpluwającą się żelatynę. Kiedy nabrała pewności, że Morrison i Britten patrzą na drogę, wypluła klejące kapsułki na dłoń.

Wóz jechał mokrą od deszczu autostradą. Wycieraczki cicho szurały po przedniej szybie, a spod kół samochodu dobywał się jednostajny plusk. Morgan nie odrywała wzroku od zegara w desce rozdzielczej. Kiedy uznała, że środek usypiający powinien zacząć na nią działać, ziewnęła przeciągle. Britten spojrział na nią w lusterku wstecznym.

- Co, Morgan, jesteś zmęczona?

- Zmęczona, też coś - wymamrotała. - Raczej naćpana.

- No to lepiej się zdrzemnij. No już, połóż się. Obudzimy cię, kiedy będzie po wszystkim.

To właśnie Morgan chciała usłyszeć. Westchnęła głośno i dramatycznie osunęła się na bok, po czym ziewnęła jeszcze raz. W myślach odliczała sekundy. Po trzech minutach zaczęła głośno chrapać.

Leżąc z zamkniętymi oczami, Morgan wsłuchiwała się w dźwięki dochodzące z

zewnątrz. Przemijająca burza odgrażała się śmiertelnikom hukiem piorunów. Monotonną melodię kół samochodu co pewien czas przerywał charakterystyczny stukot betonowych progów. Morgan czuła lekki szum w głowie od wypitej szkockiej. Alkohol uspokoił jej skołatane nerwy. Rozmyślała gorączkowo nad swoją sytuacją.

Jedyną jej nadzieją było działanie z zaskoczenia. Domyślała się, że kiedy Morrison i Britten dojadą na miejsce, zostawiają w samochodzie, choć istniała możliwość, że będą próbowali ją obudzić i zabrać ze sobą. Jeśli tak się nie stanie, ona pójdzie za nimi. Gdyby udało jej się ich zaskoczyć, mogłaby się do czegoś przydać.

Morgan ani na chwilę nie przestała donośnie chrapać. Wydawało jej się, że minęło pół godziny, zanim wóz wreszcie zaczął zwalniać. Autostrada przeszła w krętą, boczną drogę. Uchyliwszy powieki, Morgan zauważyła, że Britten wyłączył światła. Samochód zatrzymał się i silnik zgasł.

- A niech to szlag - usłyszała głos Morrisona. - Czyj to wóz?

- Jeśli się nie mylę - powiedział Britten - naszego dobrego znajomego, doktora Hawkinsa.

- Chryste! Przecież mówiłeś, że nikt nie wie, gdzie jest ten dom.

- Cóż, najwyraźniej myliłem się - ciągnął Britten spokojnym tonem. - Ale to nie ma znaczenia. Wygląda na to, że Hawkins jest w środku.

- Skąd wiedział, że jest tu jego dzieciak?

- Może nie wiedział - powiedział Britten. - Jeśli nawet, to jego problem. Nie zdaje sobie sprawy, jak trudnym przeciwnikiem jest pan Milawe. Chodźmy.

- A dziewczyna?

Morgan usłyszała szelest materiału, co oznaczało, że Britten obejrzał się. Leżała z otwartymi ustami, oddychając równo i głęboko.

- Niech sobie śpi.

Morgan wstrzymała oddech i usłyszała charakterystyczny metaliczny trzask magazynka wkładanego do pistoletu, a potem odgłos odciągania zamka. Następnie drzwi samochodu otworzyły się i zamknęły ze stłumionym hukiem. Morgan wydawało się, że słyszy cichy dźwięk oddalających się kroków; jednak, ponieważ szyby były pozasuwane, nie mogła być tego pewna.

Po kilku minutach ośmieliła się podnieść głowę i wyjrzeć przez okno. Samochód stał w gęstym, pogrążonym w mroku lesie. W oddali widać było zarys zmurszałej stodoły. Morgan miała wrażenie, że widzi tam jakiś ruch, ale trwało to tylko przez ułamek sekundy. Jej serce zaczęło bić mocniej, kiedy dostrzegła samochód

Brada. Ostrożnie wyszła z wozu Brittena i po cichu zamknęła drzwi.

Bradowi wreszcie udało się uspokoić Michaela. Nie miał już więcej pytań do Nuru Milawe, mógł więc oddać go w ręce policji. Sięgając po telefon, przypomniał sobie, że przeciął kabel. Teraz tego żałował. Na szczęście, komenda policji znajdowała się niedaleko, o piętnaście minut drogi.

Brad nie chciał jednak zostawić Milawe samego. Znów zaczął grzebać w torbie. Szybko otworzył ampułki fentanylu i diazepam, po czym nappełnił strzykawkę. Zaaplikował nieprzytomnemu mężczyźnie obydwie te środki, a następnie podał mu dużą dawkę brevitalu. Barbituran, środek uspokajający i narkotyk powinny utrzymać go w stanie uśpienia do czasu, aż policja przyśle tu wóz patrolowy. Usatysfakcjonowany Brad zamknął torbę i podniósł strzelbę za lufę.

- Chodźmy stąd, Mikey.

Z drugiej strony pokoju dobiegł tubalny głos.

- A dokąd to, panowie?

Brad zastygł w bezruchu. Daniel Morrison wyłonił się z cienia i ruszył w jego stronę, z pistoletem w dłoni. Za nim w drzwiach, stał Britten. Brad czuł gwałtowny przypływ adrenaliny i ogarnęła go ślepa furia. Bez namysłu cisnął strzelbą w Morrisona.

Morrison zauważył lejącą w jego stronę wiatrówkę. Próbował się uchylić, ale nie zdążył. Drewniana kolba trafiła go w czoło. Odruchowo pociągnął za spust. Pistolet wystrzelił.

Wydrażony pocisk przeciął powietrze i wbił się w szczękę Milawe. Kiedy kula trafiła w cel, jej miedziany płaszcz rozerwał się na kawałki, które poleciały w górę, w stronę mózgu. Największy odłamek przeciął tętnicę i utkwiał w kości skroniowej.

- Uciekaj, Mikey! - krzyknął Brad. Michael jednak był przerażony. Z szeroko otwartymi oczami i ustami, stał jak wrośnięty w ziemię.

- Łap go! - wrzasnął Britten.

Morrison szybko doszedł do siebie. Kiedy mgła rozwiała mu się przed oczu, zauważył Brada wbiegającego w drzwi. Morrison podniósł pistolet i nie mierząc, pociągnął za spust. Broń podskoczyła mu w dłoni. Kule przebiły framugę, wrywając z niej drzazgi. Ale Brad zniknął.

- Goń go! - krzyknął Britten. Złapał Michaela za rękę. - Mam dzieciaka!

Brad był przerażony. Rozejrzał się gorączkowo. Jego wzrok spoczął na drzwiach w drugim końcu pokoju. Rzucił się biegiem w ich stronę. Mijając gorący

kocioł, otarł się o niego i oparzył sobie rękę. Zacisnął zęby i przypadł do klamki. Drzwi były zamknięte. Brad odchylił się, po czym wpadł na nie z całym impetem, wbijając ramię w zmurszałe drewno. Rozległ się głośny trzask i drzwi wyskoczyły z zawiasów. Brad wypadł z domu.

Biegł po mokrych od deszczu liściach, zapadających się w błoto. Za plecami miał las. Przez ułamek sekundy Brad nie wiedział, co robić. Nie chciał opuścić Michaela, ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że jeśli tu zostanie, zginie. Musiał uciec i wezwać pomoc. Las mógł dać mu schronienie; Brad rzucił się więc, na wpół ślizgając się, na wpół biegnąc w stronę tonących w mroku drzew. Ani na chwilę nie przestał myśleć o synu. Obejrząwszy się przez ramię, zobaczył sylwetkę Morrisona rysującą się w otwartych drzwiach.

- Hawkins, zapomniałeś swojego dzieciaka! - krzyczał. - Coś mi mówi, że Britten potrafi świetnie się bawić z małymi chłopcami, doktoru. Nie zmuszaj mnie, żebym cię gonił!

Brad wpadł między drzewa, rozpamiętując słowa Morrisona. Nisko wiszące gałęzie smagały go po twarzy. Gdy spowił go mroczny całun lasu, zwolnił kroku, oddychając ciężko. Za plecami słyszał tupot nóg Morrisona. Brad bez wahania rzucił się w gęstą ciemność.

## ROZDZIAŁ 20

Huk wystrzałów przestraszył Morgan. Zatrzymała się na chwilę, po czym schowała się za drzewem. Z bijącym sercem chwyciła powietrze. Była pewna, że Brad jest w stojącym przed nią domu; możliwe, że był tam też Michael. Gdyby tylko miała jakąś broń... Zbierając się na odwagę, podeszła na palcach do zaniedbanego budynku.

Znów zerwał się silny wiatr, świszczący w koronach drzew. Gałęzie smagały Morgan po ciele, a krople deszczu padały na jej głowę i ramiona. Pochylona podkradła się do najbliższego okna. Framuga była całkowicie roztrzaskana. Usłyszawszy cichy jęk, Morgan ostrożnie wychyliła się zza parapetu.

Jej oczom ukazał się słabo oświetlony pokój. Britten przytrzymał na składanym łóżku wyrywającego się Michaela i krępował jego ręce taśmą samoprzylepną. Na widok umorusanych policzków chłopca żal ścisnął ją za serce. Z twarzy Brittena biła dzika furia. Kiedy nagle zwrócił się w stronę okna, Morgan błyskawicznie się pochyliła.

Miała wrażenie, że jej nie zauważył. Nie unosząc głowy, ruszyła wzdłuż ściany. Wychyliła się zza rogu, ale zobaczyła tylko nieprzeniknione ciemności. Odetchnęła głęboko i poszła przed siebie, próbując znaleźć jakiś sposób, by niezauważenie dostać się do domu.

Sto metrów dalej Brad przedzierał się przez zarośla. Jego skórę, chłostaną gałęziami, przecinały dziesiątki zadrapań. Powoli oswajając wzrok z ciemnością, dostrzegł przed sobą małą polanę. Przyszło mu do głowy, że gdyby zaszedł Morrisona z tyłu, mógłby odebrać temu draniowi broń. A potem, gdyby wszystko poszło po jego myśli, uratowałby Michaela. Nagle zastygł w bezruchu. W jego nozdrza uderzył odór śmierci. Ciepły, wilgotny powiew znad moczarów potęgował woń zgnilizny. Cuchnęło tu jak w szpitalnej kostnicy, tyle że smród był po tysiącokroć intensywniejszy. Brad zmarszczył nos i cofnął się o krok, ogarnięty obrzydzeniem.

Ziemia rozstąpiła mu się pod nogami. Po chwili tkwił w niej już po kostki. Trzęsawisko wciągało go coraz głębiej, a odór przybierał na sile. Brad szarpnął się w bok, usiłując uwolnić się z pułapki. Wskoczył do przodu, zostawiając buty w bagnie, ale trafił na jeszcze bardziej zdradliwy grunt. W mgnieniu oka zapadł się po kolana, a gęsta maź w błyskawicznym tempie wciągała go coraz głębiej.

Ogarnął go paniczny strach. Brad rozpaczliwie szarpał się na wszystkie strony, usiłując znaleźć jakieś oparcie dla nóg, jednak bagno wydawało się bezdenne. Z sekundy na sekundę zapadał się coraz głębiej, breja sięgała już jego bioder. Oszalały z

przerażenia, zaczął wymachiwać rękami w poszukiwaniu czegoś, czego mógłby się chwycić.

Czuł, że nadchodzi śmierć, wciągająca go nieubłaganie w cuchnącą maź. Nie zamierzał jednak się poddać. Przez głowę przemknęły mu myśli o Michaelu i Morgan, dodając sił. W ostatnim desperackim zrywie rzucił się naprzód.

Trzęsawisko nie zamierzało jednak go puścić. Breja szybko sięgnęła jego szyi i zaczęła wlewać się do uszu. Brad odchylił głowę, kierując podbródek ku górze, rozpaczliwie starając się utrzymać na powierzchni. Gwałtownie szarpał rękami i nogami, ale jego ciało było zbyt ciężkie; czuł się, jakby pływał pieskiem w melasie.

Zaczynało mu brakować tlenu. Kiedy wdychał cuchnące powietrze, małe fale ohydnej mazi przewalały się przed jego wargami. Do ust wpadły mu kawałki czegoś, co przypominało zgniłe mięso. Brad zakaszał i prychnął, wypluwając to obrzydlistwo.

Wciąż nie poddawał się i wyęczał wszystkie siły, usiłując utrzymać głowę nad powierzchnią brei. Jeszcze raz szarpnął się ku górze, rozrzucając ręce. Ku swojemu zdumieniu poczuł pod palcami coś twardego. Po chwili chwycił korzeń drzewa z determinacją człowieka walczącego o życie i pospiesznie podciągnął się na nim obiema rękami.

Powoli, dysząc ciężko, wygrzebywał się z bagna. Najpierw udało mu się wydobyć głowę nad powierzchnię mazi; wkrótce cofająca się breja sięgała już tylko jego kolan. Był szczęśliwy, że żyje. Wciąż miał szansę uratować siebie i swojego syna.

Rozejrzał się w otaczających go ciemnościach. Nagle oślepił go jasny blask. Brad odwrócił wzrok.

- Co, doktorze Hawkins, postanowiliśmy sobie popływać? Brad od razu pojął, że odgłosy jego walki z bagnem musiały zwabić tu człowieka, przed którym uciekał.

- Ale syf - stwierdził Morrison. - Siedzisz w tym paskudztwie po szyję.

- Mógłbyś jeszcze ocalić własną skórę - powiedział Brad hardym tonem - gdybyś przestał zachowywać się jak idiota.

Morrison ostrożnie nachylił się i przystawił pistolet do głowy Brada.

- Wiesz, właściwie nie miałbym nic przeciwko temu, żeby rozwalić ci łeb. Albo pozwolić utonąć w tym gównie. Jeden diabeł. Ale jestem człowiekiem słownym i muszę spełniać zachcianki mojego małego Hugh. Wyciągaj dupę z tej brei!

Brad nie miał wyboru. Jeśli zginie, nie będzie mógł pomóc Michaelowi. Morrison wyłączył latarkę i zrobił krok do tyłu. Brad powoli podciągał się na korzeniu, aż wreszcie całkowicie wynurzył się z bagna. Padł bez życia na mokrą ziemię,

chwytając powietrze i dygocząc na całym ciele.

- Jezu, ale śmierdzisz - powiedział Morrison. - No, wstawaj. Idź w stronę domu i nie rób żadnych głupstw.

Z bijącym sercem Brad, zrezygnowany, wstał. W głowie roilo mu się od myśli. Jedynym skutkiem jego desperackiej ucieczki było to, że o mało się nie utopił. Wyczerpany i zasapany, powłócząc nogami, ruszył w stronę domu. Wolał nie myśleć, co Britten w tej chwili robi z Michaeliem.

Morrison szedł za nim w bezpiecznej odległości, zachowując czujność. Był świadom, że Hawkins jest zdesperowany i nieobliczalny. Nie zdziwiłby się, gdyby próbował mu uciec albo go zaatakować. Tak czy inaczej, Morrison nie zdejmował palca ze spustu.

Drzwi pracowni Milawe wciąż były otwarte i sączące się z nich światło zdawało się zapraszać do środka. Rozgrzany kocioł sprawiał, że powietrze było ciepłe i wilgotne, a z pomieszczenia buchały kłęby pary. Brad stanął na progu, niezdecydowany, ale Morrison pchnął go w plecy.

Morgan widziała to wszystko ze swojej kryjówki. Jej serce biło jak dzwon. Słyszała, jak przed kilkoma minutami Morrison krzychał do Brada, po czym obaj zniknęli w ciemnym, posępnym lesie. Morgan postanowiła zostać w ukryciu, dopóki nie zorientuje się, co się dzieje. Po chwili zobaczyła Brada, prowadzonego z powrotem do domu; na jego twarzy malowało się przygnębienie. Morgan przygryzła wargę. Wiedziała, że musi coś zrobić.

Cienki promyk światła przeciskał się przez framugę. Morgan wpadła na pewien pomysł. Zebrawszy odwagę, podeszła do domu i załomotała do drzwi.

Morrison ścisnął pistolet w dłoni.

- Co, do licha...? - W pierwszej chwili pomyślał, że Britten wyszedł z domu z chłopcem. Ostrożnie podszedł do drzwi, z pistoletem gotowym do strzału. - Kto tam?

- Wpuść mnie! - wybełkotała Morgan. - Chcę siku!

- Morgan! - krzyknął Brad.

Morrison skierował lufę pistoletu w jego stronę.

- Nawet o tym nie myśl. - Powoli uchylił drzwi. - Kiedy się obudziłaś, do cholery?

Morgan próbowała odegrać godną Oskara rolę pijanej kobiety.

- Ja nie wytrzymam!

Morrison wyciągnął rękę, złapał Morgan za ramię i wciągnął ją do domu.



- Właź!

Stojąc obok bulgoczącego kotła, Brad patrzył ze zdumieniem, jak najwyraźniej naćpana Morgan wtacza się do pokoju. Morrison pchnął ją w jego stronę. Wpadła prosto w ramiona Brada.

- Opanuj się, na litość boską! - krzyknął. Morgan próbowała się od niego oderwać.

- Pęcherz mi zaraz pęknie - wymamrotała. - Puszczaj! - Zanim Brad zdążył zareagować, wyśliznęła się z jego ramion i zatoczyła do przodu, omal nie wpadając na Morrisona.

- Morgan, nie! - krzyknął Brad.

- Gdzie ten cholerny kibel?

- Głupia suka! - ryknął Morrison i uderzył ją łokciem w plecy, na wysokości nerek.

Ból przeszył jej pierś i Morgan runęła na podłogę. Przez chwilę leżała nieruchomo, chwytając powietrze. Najważniejsze, że znalazła się dokładnie tam, gdzie chciała: za plecami Morrisona.

Brad wpadł w szal. Rozsądek podpowiadał mu, że nie powinien rzucać się na uzbrojonego mężczyznę, ale emocje wzięły górę. Uniósł ręce i skoczył Morrisonowi do gardła. Ten jednak był na to przygotowany. Szybkim ruchem zamierzył się pistoletem na Brada.

Ciężka lufa trafiła go w skroń. Z twarzą wykrzywioną bólem Brad pochylił się i złapał obiema rękami za głowę. Nie dał jednak za wygraną. Jeszcze zanim w pełni ochłonął po ciosie, rzucił się na Morrisona, próbując chwycić go w pasie. Morrison jednak był czujny i zanim Brad dopadł do niego, podniósł kolano, trafiając napastnika w podbródek.

W drugim pokoju Britten klęczał u boku Milawe i patrzył, jak życie ucieka zeń przez otwór w roztrzaskanej szczęce. Oczy Afrykańczyka były zamglone i jego wargi powoli się wydymały.

Usłyszawszy dochodzące zza drzwi głosy i stłumione uderzenia, Britten ostrożnie wstał. Niech szlag trafi tego Morrisona! Nie dość, że było z niego o wiele mniej pożytku niż z Milawe, to jeszcze teraz ten kretyn znowu coś schrzanił.

Brad leżał na podłodze półprzytomny. Przed oczami miał tylko małe punkciki i dzwoniło mu w uszach. Usiłował wstać, ale był w stanie tylko podźwignąć się niepewnie na ręce i kolana. Po policzku płynęła mu strużka krwi. Potrząsnął głową,

próbując dojść do siebie.

- Boże, ale jesteś żaloszny - powiedział Morrison. Wymierzył z pistoletu w głowę Brada i odbezpieczył broń. - Ale jedno muszę ci przyznać: jesteś wytrwały. Chyba Hugh nie będzie miał mi za złe, jeśli skończę to w tej chwili.

Leżąc na podłodze i łapiąc powietrze, Morgan wodziła wzrokiem po pokoju. Za plecami Morrisona stał ogromny żelazny kocioł. Kiedy Brad runął na podłogę, Morgan zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu jakiejś broni. Widząc pistolet w dłoni Morrisona, uznała, że nie może dłużej czekać. Z przenikliwym wrzaskiem zerwała się z podłogi i skoczyła na Morrisona niczym sprinter wychodzący z bloków startowych.

Usłyszawszy ją, Morrison obrócił się na pięcie z szeroko otwartymi ustami. Rozpędzona postać była już prawie przy nim. W ostatniej chwili skierował w jej stronę pistolet, ale zrobił to za późno. Głowa Morgan wbiła się w jego brzuch.

Pistolet wyskoczył mu z ręki i przeleciał przez pokój. Morrison zatoczył się do tyłu i uderzył biodrami w krawędź kotła. Straciwszy równowagę, wpadł do gotującej się wody.

Rozległ się mrozący krew w żyłach skowyt bólu. Brad i Morgan podnieśli się tak szybko, jak mogli to uczynić na trzęsących się nogach.

Gdy głowa Morrisona zniknęła pod wodą, ich uszu dobiegł przerażający charkot. Na powierzchni pozostała tylko prawa ręka, z drżącymi, rozłożonymi palcami. Skóra na niej była czerwona i pokryta pęcherzami. Po chwili ręka zniknęła wśród kotłujących się bąbli.

- Mój Boże, wyciągnij go stamtąd! - krzyknęła Morgan. Zaczęła gorączkowo rozglądać się za czymś, co mogłoby pomóc jej uratować Morrisona. Zauważywszy jego włosy unoszące się tuż pod powierzchnią, wyciągnęła do nich rękę, ale Brad złapał ją za nadgarstek.

- Wybij to sobie z głowy, Morgan - powiedział. - Widziałaś jego skórę? Już po nim.

Za ich plecami rozległ się znajomy głos.

- Och, a to ci dopiero!

Brad i Morgan szybko odwrócili się, zaskoczeni. Pistolet Morrisona wylądował pod drzwiami. Britten podniósł go od niechcenia i wycelował w ich stronę. Zajrzał z obrzydzeniem do kotła.

- "Po nim" to trochę za mało powiedziane - powiedział. - Cóż, ostatnio rzeczywiście był trochę zbyt arogancki. Na szczęście rozwiązaście ten problem

za mnie. Droga Morgan, ależ ty jesteś przebiegła! Domyślam się, że nie połknęłaś tych tabletek?

W odpowiedzi tylko przeszła go wściekłym spojrzeniem.

- Zawsze niewyczerpana w pomysłach - ciągnął Britten. - Jest to jeden z powodów, dla których mimo wszystko zamierzam spędzić z tobą resztę życia.

- Co zrobiłeś Michaelowi? - warknął Brad.

- Jest bezpieczny, ale nie tobie to zawdzięcza. Powiedziałbym nawet, że przywiązał się do mnie. Słuchaj, Morgan - ciągnął - spróbujmy zapomnieć o tym wszystkim, dobrze? Wierz mi, jestem naprawdę rozsądnym człowiekiem. Pora, żebyśmy wspólnie pomyśleli o przyszłości.

Morgan zawahała się. Z całego serca nienawidziła tego szaleńca. Miał na jej punkcie obsesję, która, choć podręcznikowa w swoich objawach, czyniła go nieprzewidywalnym, a to ją niepokoiło. Nie bała się o siebie, ale o Brada i Michaela. Człowiek, który tak bezdusznie zareagował na śmierć swojego współnika, był zdolny do wszystkiego.

- To niezły pomysł, Hugh. Brad spojrział na nią osłupiały.

- Morgan, chyba nie mówisz poważnie? Przecież to wariat! Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Wariat, powiadasz? - rzucił Britten bez mrugnięcia okiem. - Może i masz rację. Ale co z tego, skoro twoje opinie już niedługo nie będą miały żadnego znaczenia.

- Wyjął z kieszeni rolkę taśmy klejącej i rzucił ją Morgan. - Zwiąż pana doktora. Ręce z tyłu, proszę.

- A potem pójdziemy stąd? - spytała.

- Och, oczywiście. Wszyscy inni tu zostaną, włącznie z nieszczęsnym panem Milawe. To był niezwykle człowiek, szkoda, że tak skończył. Będzie mi go brakowało, ale cóż... trzeba dalej pracować.

- Jesteś parszywym draniem - powiedział Brad. Britten podniósł pistolet.

- Jeszcze trochę, a stracę cierpliwość, doktorze. Może i nie znam się na broni palnej, ale jestem pewien, że potrafię pociągnąć za spust.

Słyszając jego groźny ton, Morgan natychmiast zaczęła rwać taśmę klejącą. Pragnęła jak najszybciej się stąd wydostać i zapewnić wszystkim bezpieczeństwo. Oderwała kilka długich skrawków i zaczekała, aż Brad skrzyżuje ręce za plecami. Zrobił to niechętnie. Okleiła mu nadgarstki, nie luźno, ale i nie za ciasno.

Pod ścianą stało stare drewniane krzesło z wysokim oparciem. Britten postawił

je na środku pokoju i wskazał Bradowi lufą pistoletu. Ten posłusznie usiadł, z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę.

- Grzeczny chłopiec - powiedział Britten. - Przywiąż go do krzesła, moja droga. Co najmniej trzy razy owiń mu pierś.

Kiedy skończyła, Britten wziął taśmę i wyjął z kieszeni kajdanki.

- Twoja kolej, Morgan. Odwróć się. Choć bardzo cię cenię, niestety nie mogę powiedzieć, że ci ufam.

Morgan przebiegł dreszcz niepokoju. Nie tak miało być. Nie mogła stawić oporu Brittenowi, będąc skrepowana. Nerwowo rozejrzała się po pokoju. Ciało Morrisona wynurzyło się na powierzchnię bulgoczącej wody. Pokryta pęcherzami skóra zaczęła odchodzić od mięsa, a pokój wypełnił odór spalonych włosów. Morgan, zrezygnowana, założyła ręce za plecy.

- Mówiłeś, że Brad i Michael tu zostaną, prawda? - powiedziała, kiedy usłyszała trzask kajdanek. - Dajesz słowo, że kiedy wyjdziemy, nic im się nie stanie? Britten zachichotał.

- Powiedz sama: przecież nie mówiłem nic na temat stanu, w jakim ich tu zostawię, prawda?

Morgan odwróciła się nerwowo.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę przez to powiedzieć - ciągnął nonszalancko Britten - że ten dom to istne pudełko zapalek. Wiele razy ostrzegałem Nuru, ale był uparty. Niestety, wypadki chodzą po ludziach. - Wyjął z kieszeni puszkę płynu zapalającego. Zdjąwszy zatyczkę, zaczął oblewać nim ściany.

Morgan odskoczyła, przerażona.

- Nie!

Britten zignorował ją. Wyjął zapalniczkę, wykrzesał ogień, po czym rzucił ją na ścianę. Płyn zapalił się z głośnym sykiem i płomienie strzeliły ku górze. Britten złapał Morgan i pchnął ją w stronę drzwi.

Niedowierzanie, z jakim zareagowała na jego słowa, przeszło we wściekłość. Nie spodziewała się, że Britten jest zdolny do popełnienia morderstwa z zimną krwią. Rozsierdzona, wyrwała się i kopnęła go w piszczel.

Z ust Brittena wyrwał się okrzyk bólu.

- Ty suko! - Wykonał unik przed kolejnym kopniakiem i wyciągnął rękę do jej włosów.

Morgan uchyliła się. Pragnęła rozorać mu twarz paznokciami, wydrapać oczy. Jednak skuta kajdankami, mogła atakować go tylko nogami i głową. Przypomniała sobie, jak załatwiła Morrisona, i kiedy Britten znów wyciągnął do niej rękę, uskoczyła w bok i rzuciła się naprzód, mierząc głową w jego twarz. Trafiła go czołem w grzbiet nosa. Rozległo się obrzydliwe chrupnięcie.

Pistolet wystrzelił. Pocisk kaliber czterdzieści pomknął w stronę półek ze stali nierdzewnej i uderzył w róg skrzynki z chrząszczami. Emaliowana płytka rozpadła się na kawałki, a rozbudzone chrząszcze wylały się na zewnątrz, instynktownie poszukując pożywienia.

Britten zatoczył się do tyłu, jęcząc, z twarzą ukrytą w dłoniach. Krztusił się krwią przeciekającą mu przez palce. Opuścił rękę, spojrzał groźnie na Morgan,

po czym z niedowierzaniem popatrzył na swoje palce. Jego szkarłatne dłonie były mokre i lepkie, a ze zmiążdżonego nosa lała się krew. Kiedy Britten znów podniósł oczy na Morgan, jego twarz była wykrzywiona nienawiścią.

Płomienie błyskawicznie trawiły ścianę. Pokój wypełnił się gryzącym dymem, zapachem prochu i spalonego mięsa. Głowa Morgan wciąż pulsowała od ciosu wymierzonego Brittenowi, a jej oczy były zażawione. Spojrzała niepewnie na Brada, a on na nią. Mieli coraz mniej czasu.

- Widzisz, co zrobiłaś? - warknął Britten. - A wiązałem z tobą takie nadzieje. Żegnaj, moja droga.

Serce w piersi Morgan waliło jak młotem. Kiedy zobaczyła, że Britten mierzy w nią, skoczyła w bok w tej samej chwili, kiedy on pociągnął za spust. Huk wystrzału prawie ją ogłuszył. Podmuch osmałił jej policzek, ale kula przeleciała obok i trafiła w stalowe podpórki półek.

Brad, choć wciąż przywiązany do krzesła, zerwał się na równe nogi. Zanim Britten zdążył ponownie wycelować, Hawkins rzucił się nieporadnie w jego stronę. Kiedy Britten zwrócił się ku niemu, Brad pochylił ramię jak futbolista i całym impetem wpadł na niego.

Britten zatoczył się na ścianę i uderzył plecami w stalowe podpórki półek. Jedna z nich przechyliła się. Chrząszcze runęły w dół, niczym masywna czarna fala, zalewając głowę i ramiona Brittena.

Chrząszcze, stworzenia prymitywne, kierowały się niemal wyłącznie odruchami. Gdy znalazły się na wolności, ich pierwszą reakcją było dążenie do zaspokojenia głodu. Przemykając po twarzy Brittena, wyczuły nowy, intrygujący

zapach. Do tej pory jadły tylko padlinę, świeża krew wydała im się więc bardzo nęcąca. Nie mogły oprzeć się pokusie.

Pobudzone zapachem krwi owady wpadły w istny szal. Rozbiegły się we wszystkich kierunkach, pokrywając całą twarz Brittena. Krzyknął przeraźliwie, gdy tysiące żuwaczek wbiły się w jego skórę. Próbował odpędzić natrętne owady, ale te obsiadły go, włączając jeden na drugiego.

Drobne stworzenia były nienasycone. Poszukując drogi do obfitego źródła pokarmu, wdarły się do nosa Brittena, zatykając drogi oddechowe. Jego wrzaski przeszły w charkot. Sapał i prychał, powoli osuwając się na kolana, a chrząszcze wdzierały mu się w usta i oczy. Twarz Brittena stała się błyszczącą maską z ruchliwych owadów i zakrzepłej krwi.

Morgan nie mogła na to patrzeć. Odwróciła się i ku swojemu przerażeniu ujrzała, że w pomieszczeniu rozpętało się prawdziwe piekło. Spojrzała na Brada, który przewrócił się po zderzeniu z Brittenem. Przygnieciony krzesłem, nieporadnie próbował podnieść się z podłogi.

- Morgan, wyjmij mu z kieszeni klucz od kajdanek. Szybko! Morgan podeszła do Brittena i usiadła przy nim. Odwrócona plecami, wyciągnęła skute rękę w jego stronę. Kiedy udało jej się wsunąć dłoń do marynarki, wymacała klucz na dnie kieszeni i chwyciła go. Wtedy Britten uniósł rękę i złapał ją za gardło.

Palce mężczyzny wbiły się boleśnie w jej szyję. Morgan kręciła głową na wszystkie strony, próbując się uwolnić, ale Britten trzymał ją mocno. Nie mogła złapać tchu i szybko wpadła w panikę. Już zaczynała mieć mroczki przed oczami, gdy Brad wstał i rzucił się w jej stronę.

Kopnął Brittena z całej siły w nadgarstek, odtrącając jego dłoń. Morgan zaczerpnęła tchu. Ściskając klucz w dłoni, chwiejnie podźwignęła się z podłogi. Pod sufitem zbierały się kłęby gęstego dymu, wdzierającego się w oczy i w usta. Nagle pośród trzasku płomieni rozległ się stłumiony płacz dziecka.

- Mikey! - krzyknął Brad. - Trzymaj się, już idę!

Po raz ostatni rzucił okiem na Brittena, który wciąż klęczał, ale już nie próbował strząsać chrząszczy z twarzy. Walka dobiegała końca, a on przegrał. Ręce opadły mu bezwładnie, po czym przechylił się na bok i wpadł w płomienie.

Morgan szła pierwsza. Mimo że była skuta, udało jej się otworzyć drzwi, i razem z Bradem wpadli do drugiego pokoju. Za nimi popłynęły kłęby duszącego dymu.

- Michael, gdzie jesteś?! - krzyknął Brad.

- Tato, tutaj!

Głos dobiegł z drugiego końca pokoju. Brad zauważył syna, który był przywiązany do łóżka.

- Trzymaj się, Michael!

- Brad, najpierw spróbuj mnie rozkuć - powiedziała Morgan. - Tylko ostrożnie z kluczem.

Płomienie, które wdarły się przez otwarte drzwi, zaczęły ogarniać sufit. Jeszcze chwila i cały dom stanie w ogniu. Brad i Morgan nieporadnie podeszli do siebie, odwrócenii plecami. Wyciągnęli ręce po bokach oddzielającego ich krzesła. Po chwili Morgan ostrożnie upuściła klucz na dłoń Brada, a ten zaczął majstrować przy kajdankach. Wreszcie udało mu się je otworzyć.

- Moja torba - powiedział, gdy kajdanki z brzękiem spadły na podłogę. - Są w niej nożyczki!

Podczas gdy Morgan pobiegła po nie, Brad przypadł do syna. Mimo że Michael był przywiązany do łóżka taśmą, udało mu się poluzować knebel. Piersią chłopca wstrząsał silny kaszel, a oczy miał zażawione od dymu. Widząc rozprzestrzeniające się płomienie, Brad opadł na kolana.

- Trzymaj się, synku. Jeszcze tylko chwila. Michael zmarszczył nos.

- Czemu tak cuchniesz?

Brad zupełnie zapomniał, że jego ubranie jest mokre i śmierdzące.

- To długa historia - powiedział.

Morgan podbiegła do nich. Przecięła taśmę krępującą Michaela, postawiła go na podłodze i pchnęła w stronę drzwi prowadzących na dwór.

- Wyjdź stąd - powiedziała. - Uciekaj! Chłopiec zawahał się i spojrzał pytająco na ojca.

- Ale...

- Idź, idź! - krzyknął Brad.

Gdy Michael popędził w stronę wyjścia, za plecami Morgan na podłogę runęła klocki, wzbijając kaskadę iskier. Słupy złotego ognia strawiły już połowę domu i płomienie sunęły po drewnianej posadzce niczym rozwijający się dywan. Morgan drżącymi palcami przecięła taśmę krępującą ręce Brada, po czym zajęła się paskami przywiązującymi go do krzesła. Żar był nie do zniesienia. Morgan spieszyła się coraz bardziej. Wreszcie, kiedy iskry zaczęły spadać deszczem na jej ramiona, uporała się z

ostatnim kawałkiem taśmy. Brad był wolny.

Gdy rzucili się biegiem ku drzwiom, rozległ się głośny trzask i fragment dachu nad ich głowami zaczął się zapadać. Kiedy runął, Brad w ostatniej chwili pociągnął Morgan za nadgarstek. Rozżarzone krokwie z donośnym hukiem spadły na podłogę tuż za ich plecami. Sekundę później byli już na zewnątrz, wdychając chłodne nocne powietrze.

Sparaliżowany strachem i zdumieniem, Michael stał nieruchomo, dopóki Brad nie porwał go na ręce i zaniósł na bezpieczną odległość. Kiedy się odwrócili, ujrzeli błysk; pożar objął resztę budynku. Brad, Morgan i Michael stali w milczeniu, wsłuchani w przeciągły łoskot, wpatrzeni w płomienie strzelające ku niebu. Łuna nadawała ich twarzom pomarańczowy odcień.

- Wreszcie jest po wszystkim, prawda? - spytała Morgan.

- Tak - odparł Brad. Objął syna, po czym wyciągnął do niej ręce. - Już po wszystkim.



## EPILOG

Dzień Pracy

Południowo-wschodnie wybrzeże Long Island było mekką bogaczy, gwiazd i ich pretensjonalnych naśladowców. Jednak wszyscy ci piękni ludzie nie wiedzieli, że o rzut kamieniem od złocistych plaż Hampton znajdowały się enklawy prawdziwej biedoty. Tydzień po gali w East Hampton, połączonej ze zbiórką funduszy na kampanię wyborczą, Brad jechał wyboistą ulicą biegnącą niecałe półtora kilometra od hotelu, w którym nocował prezydent.

Zatrzymał wóz przed małym białym budynkiem. Prace remontowe były w toku - podjazd nie został jeszcze wykończony, a frontowe drzwi należało jak najszybciej pomalować. Wypisany dużymi literami szyld głosił: DARMOWA KLINIKA PEDIATRYCZNA. Brad zatrąbił i odchylił się na oparcie.

Wkrótce drzwi się otworzyły i stanęła w nich ciężarna Latynoska, niosąca dziecko na rękach. Najprawdopodobniej była jedną z sezonowych pracownic przybywających na okoliczne farmy w porze żniw. Mimo upału dziecko było szczelnie zawinięte w pled. Po minucie z kliniki wyłoniła się Morgan, pomachała Janice na pożegnanie i uśmiechnęła się do Brada. Pod białym kitem miała dżinsy i koszulkę polo. Kiedy ruszyła do samochodu, podmuch wiatru rozwał jej rude włosy. Wsiadła do uszu i pocałowała Brada w policzek.

- No i jak minął pierwszy tydzień? - spytał.

- Doskonale. - Obdarzyła go promiennym uśmiechem. - Nie przypominam sobie, żeby za dawnych czasów pediatria była aż tak fajna.

- Bo może nie była. Wtedy robiłaś to, co musiałaś, a nie to, co chciałaś. Myślisz, że dalej będziesz się tym zajmować?

- Przynajmniej na razie - powiedziała. - Lepsze to niż zarządzanie. Zostanę tu dotąd, aż zabraknie mi pieniędzy.

Brad zjechał na jezdnię, kiwając głową. Klinika wydawała się znakomitą inwestycją dla kogoś, kto musiał zrewidować swoje plany na przyszłość. Fundusze na rozkręcenie interesu zawdzięczali Brittenowi i Morrisonowi. Choć ani

Brad, ani Morgan nie chcieli akcji, które niespodziewanie znalazły się na ich kontach w domu maklerskim, nie mogli podważyć ważności elektronicznych transakcji i zrzec się prawa do udziałów w firmie. Brad uznał, że po wszystkich koszmarach przeżyciach Michael zasłużył sobie na to, by pieniądze ze sprzedaży walorów poszły na jego przyszłe studia; a Morgan doszła do wniosku, że akcje

AmeriCare najlepiej będzie spożytkować na sfinansowanie ochrony zdrowia, o jakiej zawsze marzyła, zapewniającej opiekę najbardziej tego potrzebującym. Obydwoje błyskawicznie pozbyli się udziałów w firmie.

Po kilku dniach, kiedy gazety zaczęły rozpisywać się o skandalu w AmeriCare, cena akcji spadła na łeb, na szyję. Opinia publiczna przyjęła z niedowierzaniem wiadomości o tym, do czego zdolny był zarząd, byle osiągnąć zysk. Nie minął miesiąc, a AmeriCare, nie będąca w stanie przetrwać serii dochodzeń i negatywnej kampanii w mediach, została bankrutem. Na aferze ucierpiały wszystkie firmy z tej branży. Sprzeciw wobec dotychczasowego sposobu finansowania ochrony zdrowia osiągnął niespotykane rozmiary. Po kilku tygodniach wszyscy jednogłośnie zaczęli się domagać głębokich reform.

Policjanci, którzy przeszukali dom Brittena, byli równie zaskoczeni jak opinia publiczna. Pliki z jego komputera świadczyły o tym, że znany ekonomista zamierzał rozszerzyć swoją strategię wobec noworodków na cały stan. Rozważał także zastosowanie opracowanych przez siebie metod w stosunku do innych pacjentów nie przynoszących dochodów firmom ubezpieczeniowym, takich jak chorzy na AIDS czy na raka. Był to plan z piekła rodem.

Na widok nadciągających z zachodu chmur burzowych Bradowi przypomniała się tamta straszna noc. Minął prawie miesiąc, nim Mikey w pełni doszedł do siebie; psycholog dziecięcy stwierdził, że chłopiec jest bardzo silny psychicznie. Być może od czasu do czasu będą go nawiedzać koszmary, dodał lekarz, ale później powinny ustąpić. Równie silna okazała się Jennifer, która w końcu odkryła, że najlepszym antidotum na rozpacz po śmierci syna jest troskliwa opieka nad córką.

Morgan patrzyła na przesłonięte ciężkimi chmurami niebo. Sezon żeglarski miał trwać jeszcze miesiąc i postanowili z Bradem, że tego dnia zabiorą Michaela na wieczorny rejs. Machnęła ręką ku chmurom.

- Myślisz, że powinniśmy zaryzykować?

- Raczej nie - przyznał Brad. - Ale trzeba pojechać na przystań i rzucić kotwicę, zanim nadejdzie burza.

- Może jutro popływamy?

- No jasne - przytaknął. - Po przejściu takiego frontu atmosferycznego morze na ogół jest wyjątkowo spokojne.

Jak w życiu, pomyślała Morgan. Nawet po najgwałtowniejszych burzach następowały cudowne wschody słońca, jeśli tylko miało się szczęście. Spojrzała w

niebo, a potem na Brada. I uśmiechnęła się.

Im szczęście dopisało.

## **PODZIĘKOWANIA**

Szczególne podziękowania należą się Alanowi Goldblattowi za cenne uwagi w kwestiach naukowych. Jak zawsze dziękuję Deannie Gebhart za pomoc przy obsłudze komputera.

Jestem wdzięczny Joemu Veltre z St. Martin's Press za pomoc przy redakcji tekstu, a zwłaszcza Lindzie Price za jej nieustanne sugestie, przenikliwość i rozwagę. Jak zwykle pragnę też podziękować mojemu agentowi, nieustrudzonemu Henry'emu Morrisonowi.

Na koniec nieustające wyrazy wdzięczności dla Jima Byrne'a, Boba Kapłana, Boba Riley'a, Nata Blumberga, Jerry'ego Levina, Roberta Hirscha, Johna Franco i Jerry'ego Garguilo za pomoc w sprawach osobistych.

## **OD AUTORA**

Szpital Uniwersytecki w Stony Brook jest istniejącą w rzeczywistości (i znakomitą) placówką wyspecjalizowaną w opiece położniczej. Z wyjątkiem miejsca akcji wszystkie postacie i wydarzenia są wytworami wyobraźni autora i nie należy ich uważać za prawdziwe. Wszelkie podobieństwa do prawdziwych osób i wydarzeń są przypadkowe. Postacie, wydarzenia i dialogi zawarte w tej książce są całkowicie fikcyjne i nie przedstawiają rzeczywistych osób ani wydarzeń.